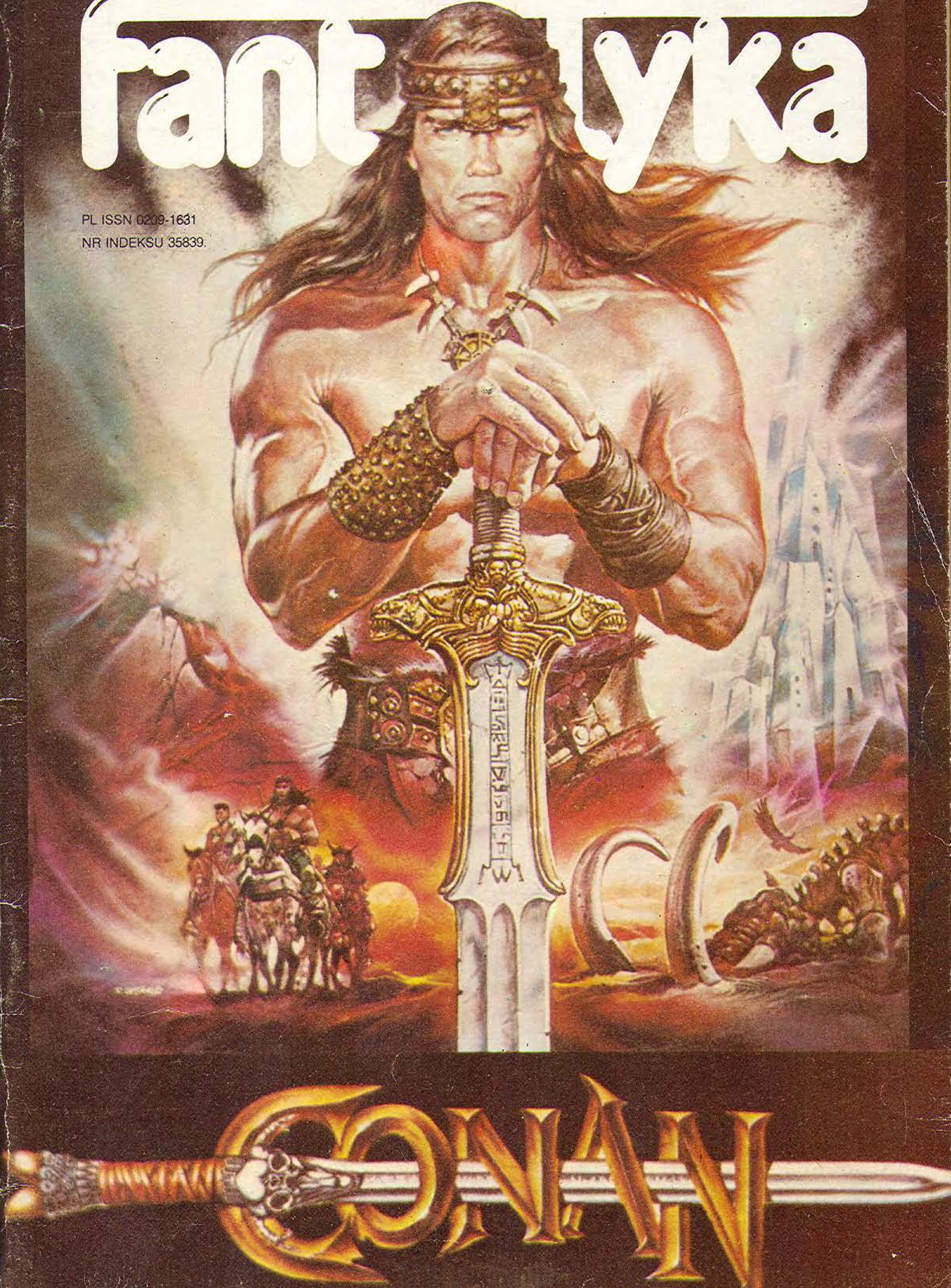
MIESIĘCZNIK

Fantastyka

1(28) STYCZEŃ 1985 CENA 50 ZŁ

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839.



SF w kraju i na świecie

Z Science Ficton na Ty

Po Dniach Fantastyki w Staszowie (piszemy o nich na str. 59) niejako z marszu (26–28 X 84) przyszło nam współorganizować razem z Polskim Stowarzyszeniem Miłośników Fantastyki i Domem Sztuki na warszawskim Ursynowie imprezę o zupełnie innym charakterze. „Z Science Fiction na Ty", bo tak hasłowo nazwaliśmy to spotkanie było imprezą otwartą, nastawioną na zainteresowanie literaturą fantastyczną ludzi dotychczas jedynie luźno z nią związanych. Z tą myślą został przygotowany program, w którym nie zabrakło filmów i spotkań autorskich, giełdy książek SF i pokazu gier komputerowych. Przybyły tłumy. Przez obszerne korytarze gościnnego Domu Sztuki trudno się było przecisnąć. Mimo to uważamy, ze nie w pełni spełniliśmy nasze zamierzenia, bo publiczność składała się przede wszystkim z fanów. Dało w ten sposób znać o sobie zjawisko będące często utrapieniem działaczy spod znaku SF. Po prostu większość miłośników fantastyki to ludzie ceniący przede wszystkim intymny odbiór literatury.

Bardzo ciekawy był program filmowy, w którym wśród dziewięciu prezentowanych obrazów pokazano dwie absolutne nowości: „E.T." i „Grę w wojnę" (War games). Nie mniej interesujące były: dyskusja panelowa z udziałem Macieja Parowskiego, Andrzeja Niewiadowskiego i Stefana Otcetena oraz spotkania autorskie z Januszem A. Zajdlem, Maciejem Parowskim, Krzysztofem Boruniem i Adamem Hollankiem. Dużym powodzeniem cieszył się prowadzony przez naszych redakcyjnych kolegów Jacka Rodka i Darosława Torunia pokaz gier komputerowych. Dla osób, które w science fiction bardziej cenią science zostało zorganizowane spotkanie z zespołem telewizyjnego programu „Spectrum". Odbyło się również spotkanie z naszą redakcją.

Wszelkie rekordy powodzenia, mimo obaw organizatorów, pobiła giełda książek SF, na której w atmosferze emocji towarzyszącej tego typu aukcji można było zakupić parę unikatowych już tytułów.

Oprócz tego miłośnicy fantastyki mogli uczestniczyć w konkursie wiedzy o twórczości Stanisława Lema, w kwizie „Skojarzenia", w pokazie slajdów z malarstwem SF i w konkursie literackim na miniopowiadanie. Specjalnie dla dzieci zorganizowano błyskawiczny konkurs rysunkowy na temat „Ursynów w roku 2000".

Tę bogatą ofertę kulturalną uzupełniały wystawy grafik i książek oraz specjalne stoisko z plakatami, znaczkami, plakietkami itp., przygotowane przez PSMF.

Tak więc każdy, kto tylko miał ochotę przejść z fantastyką na Ty, mógł znaleźć w czasie tych trzech październikowych dni coś interesującego dla siebie. Dziękujemy serdecznie uczestnikom i współorganizatorom.

(B.M.)

Wydawnicze zagadki

Jedną z osobliwości amerykańskiego rynku księgarskiego jest obecnie fakt, że wydawnictwa albo płacą bardzo dużo, albo... w ogóle nic. Charakterystyczny przykład to zadziwiający los dwóch angielskich autorów, których ostatnie książki nie znalazły w Ameryce żadnego wydawcy: J.G. Ballarda i Christophera Priesta. Zarówno jeden, jak i drugi piszą niekonwencjonalne opowiadania, dla których na rynku amerykańskim najwidoczniej brakuje zainteresowania. Z książek J.G. Ballarda nie wydano w Ameryce powieści „Hello America!" (1981) i zbioru ostatnich opowiadań pod wspólnym tytułem „Myths of the Near Future" (1982), nie ukazała się również „The Affirmation" (1981) Chr. Priesta. Najnowszą natomiast powieść Ballarada „Empire of the Sun" zakupiła amerykańska firma wydawnicza Simon and Schuster za kwotę 80 000 dolarów. Książka została też uznana przez Book-of-the-Month Bookclub oraz Quality Paperback Bookclub za najlepszą książkę miesiąca. Z kolei Priest otrzymał 82 000 dolarów za swą powieść „The Glamour" od amerykańskiego giganta wydawnczego „Doubleday" i Jonathana Cape'a z Anglii. Powieść Ballarda ukaże się jesienią w Anglii nakładem Victora Gollancza, pierwszego wydawcy Ballarda, podczas gdy jego ostatnie książki wydał Jonathan Cape. Akcja reklamowa tej książki jest niezwykle szeroka, wydaje się jednak, że jest opłacalna: prawa autorskie za wydanie kieszonkowe sprzedano w Anglii Granadzie za 55 000 funtów, co jest chyba największą sumą uzyskaną kiedykolwiek przez Gollancza. Nakład początkowy w Anglii wynosi 15 000 egz., stanowi więc znaczny postęp w porównaniu do stosowanych uprzednio – 2000–3000 egz. Powieść traktuje się jako kandydatkę do najznakomitszej nagrody literackiej Wielkiej Brytanii, „Booker Prize". „Empire of the Sun" różni się od wcześniejszych powieści fantastycznych Ballarda. Jest to książka realistyczna, częściowo autobiograficzna, jakkolwiek fikcyjna, a nawet fantastyczna. Ballarda, urodzonego w 1930 r. w Szanghaju, internowano podczas II wojny światowej w japońskim obozie jenieckim dla cywilów. W swojej powieści opisuje analogiczne przeżycia młodego chłopca, Jima – przystosowanie się bohatera do sytuacji w obozie, narastającą stopniowo identyfikację z Japończykami, a później również z amerykańskimi lotnikami, pojawiającymi się coraz częściej na niebie – i czyni to w sposób mistrzowski. Tematyka i akcja zapewnią książce niewątpliwie ogromny sukces.

Nagrody

Amerykańskie nagrody Nebula, przyznane przez SFWA (Science Fiction Writers of America) wręczono 28 kwietnia 1984 r. w Long Beach. Laureatami w poszczególnych kategoriach zostali:

- najlepsza powieść: David Brin – „Startide Rising",
- najlepsza nowela: Greg Bear – „Hardfought",
- najlepsza nowelka: Greg Bear – „Blood Music",
- najlepsze opowiadanie: Gardner Dozois – „The Peacemaker",
- Grand Master Award – Andre Norton.

■

Nagrody amerykańskiego biuletynu informacyjnego literatury SF „Locus" otrzymały:

- najlepsza powieść SF: David Brin – „Startide Rising",
- najlepsza powieść „fantasy": Marion Zimmer Bradley – „The Mists of Avalon" (absolutny bestseller, ponad 100 000 egz. sprzedanych w RFN),
- najlepsza powieść debiutancka: R.A. MacAvoy – „Tea with the Black Dragon",
- najlepsza pozycja literatury sekundarnej: Charles Platt – „Dream Makers", tom II, (wywiady z autorami SF),
- najlepsza minipowieść: Michael Bishop – „Her Habiline Husband",
- najlepsza nowela: George R.R. Martin – „The Monkey Treatment",
- najlepsze opowiadanie: James Tiptree, Jr. – „Beyond the Dead Reed",
- najlepszy wybór opowiadań: Roger Zelazny – „Unicorn Variations",
- najlepsza antologia: Terry Carr – „The Best Best Science Fiction of the Year nr 12",
- najlepszy ilustrator: Michael Whelan,
- najlepszy magazyn: „Locus",
- najlepsze wydawnictwo SF: Ballantine (Del Rey).

„Locus" to ukazujący się co miesiąc w nakładzaie kilku tysięcy egz. biuletyn informacyjny literatury SF i fantasy. Sondaż był przeprowadzony wśród 995 czytelników; jest to więcej głosów, niż w przypadku typowania laureatów nagród Nebula i Hugo razem wziętych.

■

Również inny magazyn informacyjny, „Science Fiction Chronicle", wydawany przez Andrew Portera przeprowadził w 1984 r. swój pierwszy sondaż. Oto wyniki:

- najlepsza powieść: Tim Powers – „The Anubis Gate",
- najlepsza minipowieść: Michael Bishop – „Her Habiline Husband",
- najlepsza nowela: Kim Stanley Robinson – „Black Air",
- najlepsze opowiadanie: Gardner Dozois – „The Peacemaker",
- najlepsze osiągnięcie dramatyczne: „The Return of the Jedi",
- najlepszy wydawca magazynu profesjonalnego: Edward L. Freman – „The Magazine of Fantasy and Science Fiction",
- najlepszy wydawca książek: David Hartwell z „Timescape Books" w Pocket Books (w tym samym czasie Hartwell... stracił posadę, a wydawanie jego serii wydawniczej wstrzymano ze względu na brak sukcesu),
- najlepszy ilustrator profesjonalny: Michael Whelan,
- najlepszy magazyn półprofesjonalny: Science Fiction Chronicle,
- najlepszy fanzin: „File 770" (Michael Glyer),
- najlepszy fan-autor: Richard Geis,
- najlepszy fan-ilustrator: Alexis Gilliland,
- najlepszy układ okładki magazynu: „Analog",
- najlepszy układ okładki książek: Ace Books.

Powieści cykliczne

Powieści cykliczne są w literaturze SF niezmiernie popularne. Coraz częściej zdarza się, że serie, których początki były raczej skromne, zdobyły sobie z biegiem czasu szeroką rzeszę zwolenników, a wiele z nich znalazło się nawet na listach bestsellerów (jak np. cykl „Xanth" Piersa Anthony'ego albo „Dragonriders of Pern" Anny MacCaffrey). Największym sukcesem może poszczycić się seria Franka Herberta „Dune", która rozrosła się już do 5 tomów. Za każdy kolejny tom autor otrzymuje coraz większe zaliczki. W nieco mniejszym stopniu widoczne to jest w cyklu „Darkover" Marion Zimmer Bradleya lub „Riverworld" Philipa José Farmera.

Niektórzy autorzy po kilkunastoletniej przerwie powracają do swoich poprzednich udanych powieści. I tak Asimov pisząc „Foundation's Edge" stworzył część czwartą cyklu, a „The Robots of Dawn" stanowi część trzecią cyklu o detektywie-robocie, Lije Baileyu.

Obecnie Frederik Pohl ukończył jedną z najbardziej udanych satyrycznych powieści SF, „The Space Merchants" (wydana w 1953 r., napisana wspólnie z Cyrylem M. Kornbluthem) osiągnęła do chwili obecnej łączny nakład kilku milionów egzemplarzy. Pohl napisał ciąg dalszy już sam (Kornbluth zmarł w 1957 r.) pod tytułem „The Merchants's War". Powieść ukaże się w lutym 1985 r. nakładem nowojorskiego wydawnictwa St. Martin's Press.

(F.R. i A.H.)

■



...3...2...1...



Gdy dojdzie do Was to, co w tej chwili piszę, będzie zima. Według przewidywań, ma to być wyjątkowo ostra pora zimowa. A ja pragnę opowiedzieć o „babim lecie" wśród kolorowej Puszczy Sandomierskiej, w październiku – dla Was – zeszłego roku, dla mnie jeszcze roku bieżącego. Dni Fantastyki, podczas których rozdaliśmy pierwsze literackie nagrody SF w ciągu dotychczasowej, ponad dwuletniej, egzystencji naszego pisma, jak już donosiliśmy, odbyły się w 1984 r. w Staszowie, a raczej w przystaszowskim Golejowie, niedaleko Tarnobrzegu. Obecnych było dwudziestu jeden pisarzy, czyli prawie cała czołówka literacka polskiej fantastyki, oraz jedenastu krytyków (!). Wyjątkowa i niezwykła to była okazja, zarówno dla nich samych, jak i dla fanów – do wymiany poglądów, dyskusji. Było też radio, telewizja oraz wydawcy z informacjami o książkach, które w najbliższej i dalszej przyszłości zamierzają wydać.

Toteż wypełniono po brzegi salę ośrodka, goszczącego miłośników i twórców science fiction z całego kraju, a także, niestety nielicznych, z zagranicy (m.in. pisarze Szabo i Csornay z Węgier oraz Heiner Rank z NRD), gdy doszło do spotkania twarz w twarz tych, co książki przygotowują z autorami i czytelnikami. Niektórzy mówili potem, że ta publiczna spowiedź wydawców wobec tłumu krytycznie ustosunkowanych do ich działalności edytorskiej czytelników, stanowiła kulminację całej imprezy. A przecież impreza ta mogła poszczycić się naprawdę bogactwem spotkań autorskich, kiermaszem książek, unikatową historyczną wystawą niemal wszystkich książek z dziedziny SF dotychczas u nas wydanych (także tłumaczeń) oraz fachowymi referatami takich tuzów naukowej krytyki jak Ryszard Handke czy Antoni Smuszkiewicz, autor „Zaczarowanej gry".

Niestety, mimo pogodnego na ogół nastroju, podsycanego wspaniałą naprawdę aurą i pełnymi grzybów lasami, ludzie po spotkaniu z wydawcami wyszli z sali skwaszeni.

I nam, współgospodarzom imprezy, miny zrzedły, kiedy usłyszeliśmy, że takie renomowane firmy edytorskie, jak „Czytelnik" czy „Iskry" są w stanie, na skutek trudności poligraficznych i kłopotów z papierem, oferować setkom tysięcy oczekujących na nowości – po kilka (!) zaledwie tomów oryginalnej rodzimej i tłumaczonej literatury rocznie. Błyskotliwie zabrzmiała na tym tle krociowa oferta Krajowej Agencji Wydawniczej.

Ale i ona budziła małe nadzieje, gdy wyszło na jaw, że w roku bieżącym ukazały się dotychczas w tej oficynie zaledwie dwa tytuły. Dwa!

Edytorzy nie kryli, że znajdujemy się w „dołku wydawniczym". Zresztą zwykły pożeracz literatury fantastycznej i codziennej praktyki beznadziejnego krążenia po księgarniach doskonale się orientuje sam w sytuacji. Niczego nie ma na ladach. Po okresie ostatnich dwu lat, kiedy to wydawało się, że byliśmy świadkami przełomu, kiedy roczna produkcja wydawnictw z dziedziny science fiction poczęła szybko piąć się ku szczytowi wymarzonych stu tytułów rocznie (niestety, nawet wówczas nie zdobytemu), nadszedł gwałtowny i jakże już nieoczekiwany spadek. Tym bardziej działa to rozczarowująco.

Rosną ceny książek na czarnym rynku. Książka, która powinna być łatwo dostępnym, codziennym, zwykłym, naturalnym przedmiotem, urasta do roli zbytku, jest rarytasem.

Dziwi nas także polityka wielu wydawnictw. Cierpiąc z jednej strony na kryzys materialny, na brak funduszy, nie sięgają one po literaturę fantastyczną, znakomicie się sprzedającą. Za to ileż zamiast literatury różnego rodzaju poradników, przyczynkarstwa, rzeczy o paranauce... Zresztą po co wyliczać.

Ja nie twierdzę, że takie rzeczy są w ogóle niepotrzebne – „każda potwora znajdzie swego amatora", mówi przysłowie. Ale widzę tak jak i wielu innych, że science fiction miewa u nas jakiegoś szczególnego pecha.

Oczywiście ci wydawcy, którzy uczestniczyli w Dniach Fantastyki to ludzie doceniający w pełni wartości i walory gatunku będącego zresztą, czy się to komu podoba, czy nie, gatunkiem pełnym dydaktyzmu lub zawsze przynajmniej nim zabarwionym. Zdają się tego natomiast prawie zupełnie nie dostrzegać na przykład kompilatorzy podręczników dla młodzieży szkolnej, lub ci, co to dobierają młodym obowiązkowe lub nadobowiązkowe lektury. Śmiem twierdzić, że są oni szczególnie ślepi na fantastykę, a ich rozeznanie w tej gałęzi literatury równa się zeru. To zresztą nie jedyne grzechy układaczy książek szkolnych i lektur dla dzieci i młodzieży. Ślepotę swą, co gorsze, objawiają również w stosunku do samych zainteresowań naszego młodego pokolenia, nie umiejąc kompletnie dostrzec jego gustów i zamiłowań. A gdzie tu socjologowie czy psycholodzy?

Lepiej się zresztą nie denerwować wśród tej pięknej aury „babiego lata", stanowiącej jak gdyby przeciwstawne tło do tego typu refleksji. Pragnę bowiem o jeszcze jednym powiedzieć w związku ze staszowską imprezą. A mianowicie o ogromnej chłonności ludzi mieszkających na prowincji, chłonności i życzliwości objawianej wobec zjawisk kulturowych. Nie zawsze bywają na nie dostatecznie przygotowani, ale to nie ich wina, gdy książek, jakie lubią, programów, jakich chętnie by słuchali czy oglądali przede wszystkim w telewizji, ale także i w kinach – jak na lekarstwo, a mało jest okazji do kontaktów z żywymi autorami książek, czy żywymi widowiskami teatralnymi. Są więc na razie bierni i surowi, tylko potencjalni odbiorcy, do których trzeba dopiero dotrzeć z propozycjami i konkretnymi programami.

Oczywiście bierność, która często w takim terenie rzuca się w oczy, nie jest jednakże tam regułą. My wybraliśmy Staszów i jego okolice nie przypadkowo. Powstał tam bowiem i działa żywo Klub Fantastyki PSMF i on ma szansę stać się i nawet powoli już staje się odnowicielem czy też forpocztą działań kulturowych w swoim regionie. Jest to więc okolica, w której działania kulturowe rozpoczynają się nie od klasyki, lecz od... science fiction. W pełni świadomi są tego gospodarze imprezy – panowie Janusz Monte i Jan Żukowski (prezes oraz sekretarz klubu) oraz ich pomocnicy. Im zależy na kontynuacji spotkań i seminariów z profesjonalistami i fanami SF. A my może ciągle nie znamy dobrze kraju. Może nie tylko tutaj kulturę inicjuje grupa zwolenników gatunku nie budzącego wielkiej estymy w środkowiskach tzw. normalnych twórców. Piszę o tym bez kompleksów. Bo powiedzcie, kto tu normalny?

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK Literacki **Fantastyka**

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch". Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa P.Z. Graf. RSW Łódź.
Oddano do składu: 19 października 1984 r. Zam.3707/84r. T-70. NR INDEKSU 35839. PL ISSN 0209-1631

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XXIII

Na czoło tematyki ostatnio otrzymywanych przeze mnie listów Czytelników wysuwa się sprawa fantasy. Dalibóg nie spodziewałem się, że zaprezentowanie kilku zaledwie pozycji, dających pewne pojęcie, na czym współczesna baśń fantastyczna polega, wywoła aż taką burzę. Fanowie stają się czasem wprost nieobliczalni.

Wysadzę redakcję

Chciałem Panu zwrócić uwagę, że drukowanie komiksu w środku numeru nie ma sensu, gdyż – jeśli chcę zachować komiks w środku numeru – nie wyrywając go, to dostanę oczopląsu na skutek czytania powieści na surowo, bez obróbki introligatorskiej. Jeżeli zaprezentuje pan jeszcze jedną powieść z wszawego gatunku fantasy (łowcy smoków) to wysadzę waszą redakcję w powietrze w czasie jej godzin pracy...

podpis nieczytelny

Złym pomysłem jest poświęcanie jednego numeru na jakiś jeden temat. Nie wszystkich interesują smoki lub inne fantasy, tak aby musieli to czytać od deski do deski. Gdzie u was Dick, dlaczego klasycy pojawiają się od święta?

Piotr Wróblewski z Pyskowic

Przed chwilą skończyłem czytać numer „Fantastyki" poświęcony fantasy. Ten rodzaj właśnie jest moim ulubionym. Bardzo chciałbym wam podziękować za taki, a nie inny charakter numeru.

Aleksander Jazębski z Warszawy

No i co? Takie bajki powstają tylko za granicą, a Polacy to gęsi, swoich bajek pisać nie potrafią. A może nie chcą? Staliśmy się cholernymi realistami. I nudziarzami. Wstyd.

Ryszard Doręcki z Krakowa

Jak fantasy nie dostanę, chwycę pismo, rżnę o ścianę.

Lucjan L. (z zawodu pilot)

Gdy otrzymałem ostatni numer „Fantastyki" byłem zachwycony. Fantasy to jest coś. Tymczasem okazało się, że na cały numer przypadają trzy opowiadania tego gatunku. Z tego jedynie „Królestwo cieni" zasługuje na miano dobrego, a „Reguła Nazwisk" była już drukowana w tomie opowiadań. Dotychczas redakcja wstrzymywała się od wszelkiego rodzaju powtórzeń...

Marcin Szewczyk

Więcej nauki

...Nie lubię fantasy. Jestem zwolennikiem tylko literatury fantasyczno-naukowej, a niestety opowiadań tego typu bywa coraz mniej. Fatalnie, że zmniejszył się dział „nauka", to mnie niepokoi.

Ryszard Smoliński z Łańcuta

Czemu na waszych jakże poczytnych przecież łamach nie spotyka się w ogóle prawie wypowiedzi polskich uczonych na różne, interesujące zresztą nie tylko fantastów, tematy? Nauka wyrosła z fantazji, z marzeń, z fantasy (baśni) także. Co się robi nowoczesnego w pracowniach naszych uczonych, jak oceniają oni rozwój światowej nauki, co myślą, oto pytania, na które niestety bardzo mało odpowiedzi w pismach do tego szczególnie przeznaczonych. Może więc u nas, fantastów, dla nas fantastów warto by zamieścić takie właśnie materiały. Chodzi, podkreślam, o polską naukę...

Jerzy Rychwerski z Warszawy

Tak dobrze wystartowaliście z materiałami z pogranicza nauki i paranauki. I to zupełnie zniknęło ze stron „Fantastyki". A przecież najwybitniejsi uczeni świata ustosunkowują się dzisiaj do zjawisk, które dopiero z czasem nauka przyjmie na swój warsztat lub odrzuci. Piszecie o paranauce z punktu widzenia prawdziwych uczonych... Tego jakoś nikt nie robi...

Jan Bartyła z Poznania

Skąd wasza ciągła niemożność

Zamieszczajcie, zamiast takich posterów, jakie wydaliście, afisze z modelami statków kosmicznych, znanymi z powieści fantastycznych u nas popularnych oraz z filmów. Pokazujcie na tych afiszach krajobrazy okolic nieistniejących na naszej planecie, ale możliwych gdzie indziej. I istoty, i rośliny, a przede wszystkim zwierzęta i potwory kosmiczne. Takie postery to wam pójdą, że ha.

J. L. ze Świnoujścia

Czy można otrzymać miesięcznik „Fantastyka" z banku rezerw Waszej redakcji? Jeśli tak, to czy to możliwe za pobraniem pocztowym. Proszę o listowną odpowiedź.

Tadeusz Domowacki z Przejmy Wysokiej

Od kilku lat pasjonuję się literaturą fantystyczno-naukową (obecnie mam 36 lat), kupując wszystko, co tylko ukazuje się na naszym rynku wydawniczym. W tym również wydawany przez was miesięcznik „Fantastyka". Niestety, mieszkam w małej miejscowości, pod Kielcami, gdzie jest tylko jeden kiosk Ruchu, który otrzymuje 1 egzemplarz „Fantastyki", i zdarza się, że ktoś mnie ubiegnie i oczekiwanego kolejnego numeru nie udaje się kupić.

Marek Idziak z Sitkówki

„Fantastyka" w ogromnym tempie znika z kiosków. Za każdym razem, kiedy chcę ją kupić, muszę obejść wszystkie kioski w mieście. Ciekawą rzeczą jest, że do każdego kiosku przychodzi po jednym egzemplarzu. Nie wiem, czy gdzie indziej tak źle się dzieje jak u nas...
PS. Co się stało z programem „Fantastyki" w TV?

Piotr Kujawa z Koła

Skąd ta wasza ciągła niemożność? Macie duży nakład, pismo jest rozchwytywane, a wy nakładu nie potraficie wywalczyć większego jeszcze ani objętości odpowiedniej, abyście mogli sprostać swoim obowiązkom wobec czytelnika (jesteście jedyni na rynku). Nie potraficie wywalczyć papieru lepszego (z wyjątkiem okładek) ani wielu innych rzeczy. Jak to właściwie się dzieje? Przecież, jeżeli chcemy Was czytać, mamy prawo wymagać od Was i Wydawnictwa, które Was wydaje, szacunku dla życzeń czytelników. Gdzie on się podział, ten szacunek?

Leon Dranlewicz z Przemyśla

Nie wierzę w to, że „Fantastyka" nie może mieć większego nakładu i wkładki z okładką do powieści wewnątrz. Olbrzymia popularność „Fantastyki" chyba Was do tego przekona, abyście zaczęli o to walczyć...

Piotr Wróblewski z Pyskowic

Teraz przez chwilę ja

Do dyskusji o fantasy nie chcę się na razie mieszać. Myślę, że sprzeczność opinii to rzecz naturalna, umyślnie tę sprzeczność podczas tych naszych „Lądowań" eksponuję, aby Czytelnicy zdali sobie sprwę z trudności redagowania pisma i dogadzania wszystkim. A także, żeby dobrze pojęli potrzebę tolerancji, szacunku dla poglądów osób drugich.

Kierując się serią listów nadsyłanych ostatnio, już podjęliśmy decyzję w sprawie zamieszczania wypowiedzi naszych polskich uczonych o nauce. Uznajemy ten postulat za słuszny i stopniowo będziemy go urzeczywistniać w postaci odpowiednich materiałów. Proszę jednakże stale pamiętać o dystansie czasowym, jaki dzieli Was Czytelników od nas redagujących. Co my dzisiaj przygotowujemy – możecie czytać dopiero za trzy, cztery miesiące.

Bardzo przykre są kierowane pod naszym adresem zarzuty w sprawie: niedocierania do Was prenumeraty, numerów wydrukowanych wadliwie, małego nakładu, pozwalającego na wydzielanie po jednym numerze na jeden kiosk. Szczególnie drastycznie wygląda sytuacja z możliwością kupna „Fantastyki" w małych miejscowościach. Do wielu w ogóle nie docieramy. Tak, to bolesne. Ale zarzut, że nie walczymy o zwiększenie liczby egzemplarzy „Fantastyki", o większą jej objętość i lepszą jakość papieru jest niesłuszny.

Otóż walczymy. Od momentu, gdy przekonaliśmy się, że nie jesteśmy dzieckiem niekochanym na rynku. I już się drukuje o 50 tysięcy numerów więcej! Nakład wzrósł do 200 tysięcy. I nie to napawa zadowoleniem, że pod względem nakładu zajmujemy drugie po amerykańskim „Omni" miejsce w świecie, lecz to, że odtąd będzie nas mogło czytać kilkadziesiąt do kilkuset tysięcy osób więcej. Bo przecież każdy numer czyta czy przegląda nie sam jedynie kupujący, lecz i jego rodzina, koledzy. Wywalczyć się nam też udało lepsze okładki, jesteśmy już z ich powodu, jak to się mówi, „podobni do ludzi". Ani na chwilę nie przestajemy zabiegać o zwiększenie objętości.

Mamy jeszcze mnóstwo innych bolączek, utrudniających nam redagowanie – kłopoty lokalowe, komunikacyjne, drukarniane i tak dalej, i tak dalej. Kto nie ma kłopotów? I jeszcze jedno – proszę nie myśleć, że powodzenie przewraca nam w głowach, że zastygamy w rutynie. Nic podobnego. Zawsze staramy się mieć dystans, dystans krytyczny do naszej pracy i bardzo wnikliwie studiujemy listy od Was, zmieniając to, co większość z Was uzna, iż zmienić należy.

Tylko nie męczcie nas o prenumeraty i niedostarczone numery. To nie nasz resort, lecz naszego dystrybutora – my numerami, które otrzymujemy dla redakcji, ledwo zdołamy obdzielić nasz zespół i autorów, którym się należą. Nie mamy z czego stworzyć rezerwowego banku egzemplarzy „Fantastyki", a przydałoby się.

Redaktor

PS. O program „Fantastyki" w TV i o powody jego usunięcia pytajcie nie nas, lecz Szanowne Kierownictwo naszej Telewizji.

Alfred E. van Vogt

potwór

(The Monster)

W gorze, ćwierć mili nad jednym z miast, wisiał wielki statek, poniżej rozciągała się kosmiczna martwota. Enash, spływając w dół w kapsule energetycznej, zauważył, że budynki rozsypują się ze starości.

– Nie ma żadnych śladów zniszczeń wojennych! – zabrzmiał w jego uszach zdający się docierać znikąd głos. Enash wyłączył go.

Na ziemi zwinął kapsułę. Znalazł się na zarośniętym chwastami placyku, ograniczonym ze wszystkich stron murami budynków. W bujnej trawie, tuż przy ścianie budowli o smukłych, lekkich liniach, leżało kilka szkieletów. Należały do wysokich, dwunożnych i dwuręcznych istot o czaszce osadzonej na końcu cienkiego grzbietu. Zdawały się być doskonale zachowane, jednak gdy Enash dotknął jednego z nich, szkielet rozsypał się w drobniutki pył.

Enash zauważył, że niedaleko ląduje Yoal. Poczekał, aż historyk wyjdzie z kapsuły, potem spytał:

– Czy sądzisz, że powinniśmy się uciec do ich ożywienia?

Yoal zamyślił się.

– Wypytywałem kilka osób, które już wylądowały. Na tej planecie coś jest nie tak. Nie przetrwał tu żaden rodzaj życia, nawet owady. Musimy się dowiedzieć, co się tutaj stało zanim zaryzykujemy kolonizację.

Enash nie odpowiedział. Łagodny wiatr zaszeleścił liśćmi rosnącej w pobliżu kępy drzew. Enash ruszył w ich kierunku. Yoal skinął głową i powiedział:

– Tak, życie roślinne pozostało nienaruszone, ale przecież rośliny reagują w inny sposób niż aktywne formy życia.

Przerwał mu głos, dobiegający z jego własnego odbiornika.

– Znaleziono muzeum, mniej więcej w centrum miasta. Na jego dach zostało skierowane czerwone światło.

– Pójdę z tobą – powiedział Enash. – Tam mogą być szkielety zwierząt, a także tej inteligentnej istoty w różnych stadiach jej ewolucji. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy będziemy te istoty ożywiać?

– Mam zamiar przedyskutować tę sprawę z Radą – powiedział Yoal powoli – ale myślę, iż tu nie może być wątpliwości. Musimy poznać przyczynę tej katastrofy. – Niezdecydowanym ruchem zatoczył jedną z macek półkole. Potem dodał, jakby po namyśle: – Oczywiście powinniśmy postępować ostrożnie i rozpocząć od przedstawicieli niższych szczebli rozwoju. Brak szkieletów dzieci wskazuje, iż ta rasa osiągnęła osobniczą nieśmiertelność.

Rada przyleciała obejrzeć wystawy w muzeum. Enash wiedział, że był to tylko formalny krok przygotowawczy. Decyzja została podjęta i wskrzeszenia będą przeprowadzane. W tej wizycie kryło się coś więcej. Członkowie Rady byli ciekawi. Kosmos był ogromny, podróże przezeń długie i samotne, zaś lądowanie stanowiło zawsze stymulujące doświadczenie, dające szanse obejrzenia i zbadania nowych form życia.

Muzeum wyglądało zupełnie zwyczajnie. Wysoko sklepione, kopulaste sufity, ogromne sale. Plastykowe modele dziwnych bestii, wiele przedmiotów – zbyt wiele, by obejrzeć i zrozumieć w tak krótkim czasie. Uwięziony tu został, w kolejnych zbiorach coraz bardziej skomplikowanych eksponatów, cały okres istnienia rasy. Enash oglądał to wszystko wraz z innymi i był bardzo zadowolony, gdy natrafili na zbiór zakonserwowanych ciał i szkieletów. Usadowił się za ekranem siłowym i obserwował ekspertów biologii, wyjmujących zmumifikowane ciało z kamiennego sarkofagu. Było owinięte wieloma warstwami butwiejącego materiału. Eksperci nie próbowali nawet go odwijać. Ich kleszcze sięgnęły do wewnątrz i wycięły kawałek czaszki – była to normalna, przyjęta procedura. Właściwie mogła być użyta dowolna część szkieletu, jednak najdoskonalsze ożywienia, najpełniejsze rekonstrukcje osiągano wtedy, gdy został użyty jakiś fragment czaszki.

Hamar, naczelny biolog, wyjaśnił wybór tego właśnie ciała:

– Chemikalia, użyte do zakonserwowania tej mumii wskazują na pewną, jakkolwiek dość powierzchowną znajomość chemii. Symbole, którymi pokryty jest sarkofag, znamionują prymitywną, niemechaniczną kulturę. System nerwowy przedstawicieli tego typu cywilizacji nie mógł jeszcze w pełni rozwinąć swych potencjalnych możliwości. Nasi językoznawcy przeprowadzili analizę zapisów dźwiękowych, które są częścią każdej ekspozycji i pomimo iż natknęli się na wiele różnych języków – jest to dowodem na to, że starożytna mowa, której używano w czasie, gdy to ciało było żywe, została odtworzona – nie mieli żadnych trudności z ich rozszyfrowaniem i ułożeniem słowników. Wprowadzili je do naszej uniwersalnej maszyny translacyjnej, tak więc ci, którzy sobie tego życzą, mogą mówić do swego komunikatora, a ich słowa będą przełożone na język ożywionej istoty. Proces odwrotny, oczywiście, również zachodzi. Ach, widzę, że już jesteśmy gotowi z pierwszym ciałem.

Enash patrzył uważnie, jak zamyka się wieko plastykowego rekonstruktora i jak rozpoczynają się procesy wzrostu. I mimo iż w tym, co się działo przed jego oczyma nie było nic z przypadku, gdyż sterujące ożywianiem formuły naukowe były proste i zawsze w pełni efektywne, poczuł jak ogarnia go napięcie.

Mężczyzna mrugnął i otworzył oczy.

– A więc to prawda – powiedział głośno, a jego słowa zostały natychmiast przetłumaczone na język Ganae. – Śmierć jest tylko wejściem, prowadzącym do innego życia. Ale gdzie są moi słudzy? – W ostatnich słowach zabrzmiała nuta skargi.

Usiadł, a potem wyszedł z pojemnika, który automatycznie otworzył się w momencie, w którym odzyskał życie. Zauważył ich i zamarł, ale tylko na moment. Miał w sobie dumę i jakiś rodzaj aroganckiej odwagi – te cechy dobrze mu teraz służyły. Z ociąganiem opadł na kolana i, oddając hołd, dotknął głową podłogi, ale widocznym było, że ma bardzo poważne wątpliwości.

– Czy znajduję się w obecności bogów Egiptu? – spytał, podnosząc się z powrotem na nogi. – Co to wszystko znaczy? Nie kłaniam się bezimiennym demonom.

– Zabić go! – powiedział kapitan Gorsid.

Dwunogi potwór skręcił się i rozpłynął w zabójczej strudze z promiennika.

Drugi ożywiony człowiek wstał blady i trzęsący się ze strachu.

– Mój Boże, przysięgam, że już nigdy nie dotknę tego cholerstwa. Ta gadka o białych myszkach...

Yoal był zaciekawiony.

– Jakie cholerstwo masz na myśli, ożywiona istoto?

– Gorzałę, truciznę w piersiówce, płyn, który mi dali w tej knajpie... mój panie!

Kapitan Gorsid spojrzał pytająco na Yoala.

– Czy musimy jeszcze zwlekać?

Yoal zawahał się.

– Zaciekawia mnie – powiedział. Potem zwrócił się do ożywionej istoty: – Gdybym ci oświadczył, że jesteśmy przybyszami z innego systemu gwiezdnego, jaka byłaby twoja reakcja?

Człowiek wbił w niego wzrok. Był wyraźnie zaintrygowany, ale strach był silniejszy.

– Chwileczkę.... – powiedział. – Jechałem spokojnie, nie narzucając się nikomu. Przyznaję, że strzeliłem sobie przedtem o jednego czy dwa za dużo, ale to wina tego świństwa, które się ostatnio podaje. Przysięgam, że nie widziałem tego drugiego samochodu, a jeśli to jest jakiś nowy rodzaj kary dla tych, którzy prowadzili samochód po pijanemu to w porządku, wygraliście. Do końca życia nie wypiję już nawet kropli.

– Mówi, że prowadził „samochód" – powiedział Yoal – a jednak nie widzieliśmy tutaj niczego takiego. Nawet nie zadali sobie trudu, by to zachować w muzeum.

Enash spostrzegł, że każdy czeka, aby ktoś inny się odezwał. Zdenerwował się trochę, gdy zdał sobie sprawę, że cisza będzie trwać, dopóki on czegoś nie powie.

– Każ mu opisać samochód – powiedział. – Jak to działa?

– No, wreszcie mówicie do rzeczy – powiedział mężczyzna. – Narysujcie tu kredą tę swoją linię i ja po niej przejdę, a potem zadawajcie mi dowolne pytania. Mogę być tak zalany, że widzę nie całkiem prosto, ale prowadzić zawsze dam radę. Jak samochód działa? Po prostu – wrzucasz bieg i naciskasz na gaz.

– Gaz – powiedział Veed, inżynier. – Silnik spalinowy. To go umiejscawia.

Kapitan Gorsid skinął do strażnika, trzymającego promiennik.

Trzeci mężczyzna usiadł i popatrzył na nich w zamyśleniu.

– Z gwiazd ? – powiedział po chwili. – Macie jakiś system czy to ślepy przypadek.

Członkowie Rady Ganae poruszyli się niespokojnie w swych wygiętych krzesłach. Enash pochwycił spojrzenie Yoala. Malujące się w nim zdumienie zaniepokoiło go. „Przystosowanie się dwunogiego do nowej sytuacji – pomyślał – zrozumienie przez niego otaczającego realiów było anormalnie szybkie. Żaden Ganae nie potrafiłby tak szybko zareagować".

– Szybkość myślenia – odezwał się Hamer, naczelny biolog – niekoniecznie musi być oznaką wyższości. Powolny, ale dokładny myśliciel zajmuje równie poczesne miejsce w hierarchii intelektu.

Jednak Enash złapał się na myśli, że rzecz nie polegała na szybkości, a raczej na dokładności odpowiedzi. Wyobraził sobie sie-

bie, ożywionego po śmierci i natychmiast pojmującego znaczenie obecności przybyszów z gwiazd. Nie, dla niego to by było niewykonalne.

Zapomniał o swych myślach, gdyż człowiek wyszedł z pojemnika. Obserwowany uważnie przez wszystkich podszedł szybko do okna i wyjrzał na zewnątrz. Rzucił tylko jedno spojrzenie, a potem odwrócił się.

– Czy wszędzie jest tak jak tutaj? – spytał.

I znowu szybkość, z jaką wszystko zrozumiał wywołała sensację. Tym, który w końcu odpowiedział był Yoal.

– Tak. Pustynia. Śmierć. Ruiny. Czy wiesz cokolwiek o tym, co tu się mogło stać?

Człowiek wrócił i stanął przed ekranem siłowym, ochraniającym Ganae.

– Mógłbym się rozejrzeć po tym muzeum? Muszę się zorientować, w jakim obecnie znajdujemy się okresie. Gdy byłem żywy, istniały pewne możliwości samozniszczenia, ale która z nich się urzeczywistniła zależy od liczby lat, które tymczasem upłynęły.

Członkowie Rady spojrzeli na kapitana Gorsida, który wahał się przez chwilę.

– Pilnuj go – powiedział w końcu do strażnika z promiennikiem. Potem zwrócił się do ożywionego: – W pełni rozumiem twoje motywy. Chciałbyś zdobyć kontrolę nad tą sytuacją, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Pragnę cię uspokoić. Jeżeli nie zrobisz żadnych fałszywych kroków wszystko skończy się dobrze.

Człowiek nie zdradził ani jednym gestem, czy uwierzył w to kłamstwo. Nie dał również po sobie poznać, że zauważył plamy sadzy na podłodze w miejsach, w których dwaj jego poprzednicy zostali unicestwieni śmiercionośnymi promieniami. Podszedł powoli do najbliższych drzwi, przyjrzał się drugiemu strażnikowi, który tam na niego czekał, a potem energicznie przestąpił próg. Strażnicy ruszyli za nim, mając za plecami ruchome pole siłowe, chroniące idących gęsiego członków Rady.

Enash przeszedł przez drzwi jako trzeci. W sąsiedniej sali były wystawione szkielety i plastykowe modele zwierząt, natomiast następna była czymś, co Enash, z braku lepszego określenia, nazwał salą kulturową. Zawierała ona przedmioty pochodzące z jednego okresu dziejów tej cywilizacji. Wyglądały na bardzo zaawansowane technicznie. Gdy pierwszy raz przechodzili przez tę salę, Enash przyjrzał się niektórym z wystawionych maszyn i od razu pomyślał: „Energia atomowa". Nie był jedynym, który to zauważył. Zza jego pleców kapitan Gorsid rzucił człowiekowi ostrzeżenie:

– Nie wolno ci niczego dotykać. Jeden fałszywy ruch będzie dla strażników sygnałem do otworzenia ognia.

Mężczyzna stał swobodnie na środku sali i Enash, mimo obawy, którą przed nim odczuwał nie mógł nie podziwiać jego opanowania. Przecież ten osobnik musiał dokładnie wiedzieć, jaki los go czeka, jednak stał spokojnie, pogrążony w myślach, a w końcu powiedział:

– Nie muszę już iść nigdzie dalej. Być może wy będziecie w stanie ocenić trafniej niż ja czas, jaki upłynął od epoki, w której ja się urodziłem, a te maszyny zostały zbudowane. Widzę tu urządzenie, które, sądząc z napisu na nim, służy do liczenia eksplodujących atomów. Gdy tylko właściwa ich liczba eksploduje, wyłącza ono dopływ energii na dokładnie taki okres, jaki jest potrzebny, aby zapobiec reakcji łańcuchowej. W moich czasach istniały tysiące urządzeń służących ograniczaniu rozmiarów reakcji jądrowych, ale ich powstanie wymagało upływu dwóch tysięcy lat od dnia, gdy pierwszy raz wykorzystano energię atomową. Czy możecie zrobić jakieś porównania?

Członkowie Rady spojrzeli na Veela. Inżynier zawahał się. Wreszcie, jakby z ociąganiem, powiedział:

– Już dziewięć tysięcy lat temu znaliśmy tysiące metod kontroli wybuchów jądrowych. – Przerwał, a potem dodał, jeszcze bardziej powoli: – Nigdy jednak nie słyszałem o aparacie, który w tym celu liczyłby atomy.

– I mimo to – zamruczał Shuri, astronom – ta rasa została zniszczona.

Zapadła cisza. Przerwał ją Gorsid, rzucając najbliższemu strażnikowi rozkaz:

– Zabij tego potwora!

Ale tym, który upadł był strażnik. I to nie jeden, ale wszyscy strażnicy! Upadli jednocześnie, wybuchając błękitnym płomieniem. Płomień liznął ekran siłowy, cofnął się, natarł jeszcze raz z większą siłą i znów się cofnął. Przez kłąb ognia Enash zobaczył, że stwór ucieka w stronę drzwi w drugim końcu sali, a maszyna, która liczy atomy jarzy się intensywnie błękitnym światłem.

– Strażnicy z promiennikami,zablokować wszystkie wyjścia – krzyknął kapitan Gorsid do swego komunikatora. – Statki gotowe do zniszczenia obcego ciężką bronią!

– Kontrola za pomocą myśli – powiedział ktoś. – Jakiś rodzaj kontroli myślowej. W co myśmy się wpakowali?

Wszyscy się wycofywali. Błękitne płomienie sięgały sufitu, starając się sforsować pole. Enash rzucił jeszcze okiem na maszynę – musiała ciągle liczyć atomy, gdyż była diabelnie błękitna. Wbiegł razem z innymi do pomieszczenia, w którym mężczyzna został ożywiony. Szybko ustawiono drugi ekran. Ganae, już bezpieczni, pospiesznie rozwijali swoje indywidualne kapsuły i ze świstem uciekali na zewnątrz, a potem w górę, ku statkowi.

Wielki statek wzniósł się i po chwili z jego wnętrza wyleciała bomba atomowa. Grzyb ognia pokrył leżące w dole miasto.

– Jednak wciąż nie wiemy, dlaczego ta rasa zginęła – szepnął Yoal do Enasha, gdy na niebie, które pozostawili za sobą, umilkły wreszcie grzmoty.

Blade, żółte słońce gramoliło się na niebo znad horyzontu, gdy Enash, trzeciego dnia po zrzuceniu bomby, a ósmego po ich przybyciu na tę planetę, leciał w dół ku innemu miastu. Leciał tam po to, by protestować przeciw dalszym ożywianiom.

– Jako meteorolog – powiedział – ogłaszam tę planetę za bezpieczną i nadającą się do kolonizacji. Nie widzę potrzeby podejmowania dodatkowego ryzyka. Ta rasa odkryła tajemnicę swego systemu nerwowego i nie możemy sobie pozwolić...

Przerwano mu.

– Jeżeli wiedzieli tak dużo – powiedział sucho Hanash, biolog – dlaczego nie wyemigrowali do innych systemów gwiezdnych i nie ocalili się?

– Jestem skłonny przypuszczać – odpowiedział Enash – że prawdopodobnie nie odkryli naszego systemu umiejscawiania gwiazd, które posiadają rodziny planetarne. – Spojrzał poważnym wzrokiem na zgromadzonych wokół niego przyjaciół. – Zgodziliśmy się już, że to odkrycie było związane z wyjątkowym zbiegiem okoliczności. Zawdzięczamy je szczęściu, nie mądrości.

Z wyrazu ich twarzy wywnioskował, iż jego argumenty nie trafiły im do przekonania. Poczuł się bezsilny w obliczu nieuniknionej katastrofy. Przeczuwał ją, gdyż potrafił wywołać w wyobraźni obraz tej wielkiej rasy w chwili, w której stała ona w obliczu śmierci. Zagłada musiała nadejść bardzo szybko, ale nie tak szybko, aby o niej nie wiedzieli. Zbyt wiele szkieletów leżało na otwartej przestrzeni, w ogrodach wspaniałych domów, jakby każda rodzina wyszła na zewnątrz, by tam oczekiwać śmierci swego gatunku. Przez chwilę starał się przekazać członkom Rady ten obraz, obraz tego ostatniego dnia dawno, dawno temu, gdy ta rasa spokojnie wyszła naprzeciw swemu przeznaczeniu. Jednak z jakichś przyczyn jego wizja do nich nie dotarła. Poruszyli się tylko niecierpliwie na ustawionych za szeregiem ekranów energetycznych krzesłach, a kapitan Gorsid spytał:

– A dokładnie co wywołało w tobie tak intensywną reakcję emocjonalną, Enash?

Pytanie zaskoczyło go. Nie myślał o tym jako o reakcji emocjonalnej. Ta obsesja tak niezauważalnie nim owładnęła, iż zupełnie nie zdawał sobie sprawy z jej natury. I teraz nagle ją sobie uświadomił.

– To ten trzeci ożywiony – powiedział powoli. – Widziałem go przez zasłonę ognia tuż przed naszą ucieczką – stał spokojnie w drzwiach i obserwował nas z ciekawością. Jego odwaga, jego spokój, sposób, w jaki wyprowadził nas w pole – to wszystko się zsumowało...

– A sumą była jego śmierć – powiedział Yamar i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Daj spokój, Enash – powiedział rozbawionym tonem zastępca kapitana, Mayad – chyba nie masz zamiaru twierdzić, że ta rasa jest dzielniejsza od naszej, albo że, przy tych wszystkich środkach ostrożności, jakie teraz podjęliśmy, powinniśmy się obawiać jednego osobnika?

Enash milczał, czując się bardzo głupio. Odkrycie, iż owładnęła nim obsesja emocjonalna zbiło go z tropu. Nie chciał się okazać pozbawionym rozsądku. Zdobył się jednak na ostatni protest.

– Chciałem tylko podkreślić – powiedział z uporem w głosie – że chęć wyjaśnienia tego, co się stało z tą wymarłą rasą nie wydaje mi się być sprawą o podstawowym znaczeniu.

Kapitan Gorsid skinął do biologa.

– Rozpocząć proces ożywiania – powiedział. Potem zwrócił się do Enasha: – Jak możemy wrócić na Ganę i rekomendować masowe migracje, a potem przyznać, że właściwie nie zakończyliśmy badań na tej planecie? To niemożliwe, przyjacielu.

Był to dość zużyty argument, ale Enash musiał przyznać, choć niechętnie, że w tym przypadku istniały okoliczności, które za nim przemawiały. Zapomniał jednak o tym, gdyż czwarty ożywiony potwór poruszył się.

Człowiek usiadł. I zniknął.

Zapadła głucha, pełna osłupienia cisza. Potem kapitan Gorsid powiedział szorstko:

– Nie wydostanie się stąd. Wiemy to. Musi być gdzieś tutaj.

Wszyscy zerwali się z krzeseł, wpatrując się w ściany energetycznej muszli. Strażnicy niepewnie zaciskali macki na promiennikach. Kątem oka Enash zauważył, że jeden z obsługujących ekrany techników zamachał do Veeda. Inżynier podszedł do niego, a po chwili wrócił z ponurą miną.

– Doniesiono mi – powiedział – że wskaźniki skoczyły o dziesięć punktów w chwili, gdy on zniknął. To oznacza poziom nukleonów.

– Na starożytnych Ganae! – szepnął Shuri. – Wpadliśmy w to, czego się zawsze obawialiśmy.

– Zniszczyć wszystkie lokatory na statku – krzyczał Gorsid do komunikatora. – Zniszczyć je, słyszycie!

Odwrócił się z oczyma pełnymi wściekłości.

– Shuri – ryknął – zdaje się, że oni nie rozumieją! Powiedz tym swoim podwładnym żeby działali. Wszystkie lokatory i rekonstruktory muszą zostać zniszczone!

– Pospieszcie się, szybko! – powiedział Shuri słabym głosem.

Gdy polecenie zostało wykonane, wszyscy odetchnęli z ulgą. Pojawiły się krzywe, pełne ponurej satysfakcji uśmiechy.

– Wreszcie! – powiedział Mayad. – Teraz już nigdy nie uda mu się odnaleźć Gany. Nasza znakomita metoda namierzania gwiazd z systemami planetarnymi pozostanie naszą tajemnicą. Nie będą mogli zemścić się za... – urwał, a potem powiedział powoli: – O czym ja mówię? Przecież myśmy nic im nie zrobili. Nie ponosimy odpowiedzialności za katastrofę, która spadła na mieszkańców tej planety.

Jednak Enash wiedział, co Mayad miał na myśli. W momentach takich jak ten poczucie winy przedzierało się na powierzchnię, przywołując duchy wszystkich ras, które Ganae unicestwili, przypominając bezlitosną wolę, która w nich była, gdy tu wylądowali, wolę zniszczenia wszystkiego, co się tu mogło znajdować. Ciemne przepaści nienawiści i strachu, które za sobą zostawiali, dni, podczas których zalewali śmiercionośnym promieniowaniem mieszkańców spokojnych planet – wszystko to kryło się za słowami Mayada.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że on uciekł – powiedział kapitan Gorsid. – On tu jest. Czeka aż opuścimy nasze ekrany, dając mu możliwość ucieczki. Ale my tego nie zrobimy.

Znów zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się wyczekująco w pustkę wewnątrz energetycznego kokona. Rekonstruktor stał spokojnie na metalowych podporach, ale poza nim nie było tam niczego innego – najmniejszego śladu nienaturalnego światła czy cienia. Otwarte przestrzenie kąpały się w żółtych promieniach słonecznych, nie zostawiających skrawka miejsca, w którym można by się było ukryć.

– Straż – powiedział Gorsid – zniszczyć rekonstruktor. Przypuszczam, że mógłby tu wrócić, aby go obejrzeć, ale nie możemy sobie pozwolić na związane z tym ryzyko.

Aparat spłonął gwałtownym, białym płomieniem. Cicha nadzieja Enasha na to, że wyzwolona w trakcie niszczenia rekonstruktora energia zmusi dwunogą istotę do ujawnienia się, rozwiała się w nicość.

– Ale gdzie on mógł się podziać? – szepnął Yoal.

Enash zaczął się ku niemu odwracać, by przedyskutować tę sprawę i wtedy zobaczył, że potwór przygląda im się, stojąc pod drzewem, rosnącym w odległości około dwudziestu stóp od nich. Musiał się tam pojawić dosłownie w tym momencie, gdyż wszyscy jednocześnie krzyknęli z przestrachem i cofnęli się. Jeden z techników, wykazując wielką przytomność umysłu, postawił ekran siłowy między nim a Ganae. Stwór powoli ruszył naprzód. Był bardzo szczupły, głowę trzymał prosto, wysoko uniesioną. Jego oczy płonęły wewnętrznym ogniem.

Podszedł do ekranu, zatrzymał się i wyciągnął rękę, dotykając go końcami palców. Ekran zamigotał, wokół palców pojawiła się plama szybko zmieniających się kolorów. Kolory stawały się coraz jaskrawsze, rozrastając się w powikłany wzór, który pokrywał obszar, ciągnący się wzdłuż całego ciała potwora, od jego głowy aż do ziemi. Potem plama zbladła, wzór stał się niewidoczny. Człowiek przeniknął przez ekran.

Zaśmiał się – miękki, szczególny dźwięk. Potem spoważniał.

– W pierwszej chwili, tuż po przebudzeniu – powiedział – byłem zaintrygowany tą sytuacją. Główne pytanie brzmiało: co mam z wami zrobić?

Słowa obcego, wypowiedziane w nieruchome powietrze tej planety umarłych, zabrzmiały dla Enasha jak ponura przepowiednia.

Ciszę przerwał jakiś głos, tak napięty i nienaturalny, że Enash dopiero po chwili uświadomił sobie, że należał on do kapitana Gorsida.

– Zabić go.

Gdy promienniki przerwały swą pracę, niezniszczalny potwór nadal stał, jakby nic się nie zdarzyło. Potem podszedł powoli, aż znalazł się w odległości zaledwie pół tuzina stóp od najbliższego Ganae. Enash zajmował pozycję na tyłach.

– Narzucały się dwa sposoby postępowania – powiedział mężczyzna powoli – jeden, oparty na wdzięczności za przywrócenie mnie do życia, drugi – oparty na realiach. Wiem, jacy wy jesteście. Tak, znam was – i to jest dla was dość niefortunne. Trudno tu być litościwym. Żeby od czegoś zacząć – ciągnął dalej – przypuśćmy, że oddacie sekret waszego lokatora. Oczywiście teraz, gdy istnieje system, nie damy się już tak złapać, jak uprzednio.

Umysł Enasha był tak pochłonięty spekulacjami na temat możliwości nastąpienia katastrofy, że wydawało się niemożliwe, aby mógł myśleć o czymkolwiek innym. A jednak część jego uwagi została odciągnięta w bok.

– Co tu się wydarzyło? – spytał.

– Nuklearny sztorm. Przybył skądś z zewnątrz i przeczesał ten kraniec naszej galaktyki. Miał około dziewięćdziesięciu lat świetlnych średnicy, znacznie przekraczając granicę naszej siły. Nie było przed nim ucieczki. Dawno już nie budowaliśmy statków kosmicznych i nie było czasu, by to nadrobić. Kastor, jedyna odkryta przez nas gwiazda, posiadająca układ planetarny, również leżał na trasie sztormu.

Urwał. Potem powiedział:

– Sekret?

Członkowie Rady wokół Enasha oddychali już znacznie swobodniej. Wypełniający ich strach przed zniszczeniem rasy Ganae począł się ulatniać. Enash zauważył z dumą, że początkowy szok minął i że członkowie Rady nie boją się już nawet o siebie.

– Ach, więc nie znacie sekretu – powiedział Yoal miękko. – Jedynie my, mimo wszystkich waszych wielkich osiągnięć, możemy podbić galatykę. – Spojrzał na innych, uśmiechając się z pewnością siebie. – Nasza duma z wielkiego osiągnięcia Ganae jest usprawiedliwiona. Proponuję, abyśmy wrócili na statek. Nie mamy już nic do roboty na tej planecie.

Nie oddamy tej planety tak łatwo – powiedział kapitan Gorsid. – Proponuję przeprowadzenie następnej rozmowy z tym stworem.

I znowu spływali w dół ku miastu. Enash, Yoal, Veed i dowódca. Ponownie zabrzmiał głos kapitana Gorsida:

– ...Tak jak ja to widzę – przez mgłę wokół siebie Enash dostrzegał półprzeźroczyste kapsuły pozostałych trzech – wyciągnęliśmy na temat tej istoty zbyt pochopne, nie oparte na dowodach wnioski. Na przykład – gdy się obudził, zniknął. Dlaczego? Oczywiście dlatego, że się bał. Chciał ocenić sytuację. On sam nie wierzył, że jest wszechmocny.

To brzmiało logicznie. Enash zauważył, iż podnosi go to na duchu. Zdumiał się nagle, iż tak łatwo wpadł w panikę. Zaczynał dostrzegać niebezpieczeństwo w innym świetle. Tylko jeden żywy osobnik na całej planecie. Jeżeli by się zdecydowali, koloniści mogliby zostać sprowadzeni tak, jakby on w ogóle nie istniał. Przypomniał sobie, iż już wcześniej tak robiono. Na kilku planetach niewielkie grupy miejscowych przetrwały niszczącą radiację i schroniły się w odległych regionach. W każdym niemal przypadku koloniści ich wytropili i zniszczyli. Były jednakże, jak Enash pamiętał, dwie planety, których niewielkie skrawki w dalszym ciągu znajdowały się w rękach miejscowych ras. Ich zniszczenie uznano za niepraktyczne, gdyż taka akcja narażałaby na niebezpieczeństwo przebywających na tych planetach Ganae. Tak więc te ocalałe resztki były tolerowane. Jeden osobnik nie zajmuje dużo powierzchni.

Gdy go znaleźli, zajęty był zamiataniem podłogi na parterze niewielkiej willi. Odstawił miotłę i wyszedł na przylegający do domu taras.

Propozycję przedstawił kapitan Gorsid. Enash nie mógł nie podziwiać wypowiedzi kapitana złożonej do mikrofonu translatora. Dowódca był bardzo szczery. Zdecydowano, że zostanie przyjęta taka właśnie postawa. Podkreślił, iż nie można oczekiwać od Ganae, aby kontynuowali ożywianie zmarłych mieszkańców tej planety. Tego rodzaju altruizm byłby dziwny, gdy wziąć pod uwagę fakt, iż rosnące zastępy Ganae bezustannie potrzebują nowych światów do zasiedlania. Ciągle zwiększający się przyrost naturalny jest problemem, który może zostać rozwiązany tylko w jeden sposób. W tym przypadku koloniści chętnie będą respektowali prawa jedynego ocalałego przedstawiciela wymarłej rasy.

W tym momencie człowiek przerwał wypowiedź kapitana.

– Ale jaki jest cel waszej niekończącej się ekspansji? – wydawał się być szczerze zaciekawiony. – Co się stanie, gdy w końcu zasiedlicie wszystkie planety tej galaktyki?

Zdziwione oczy kapitana spotkały się ze wzrokiem Yoala, potem przeniosły się na Veeda, potem na Enasha. Enash bezradnie potrząsnął korpusem. Czuł litość dla tej istoty. Ten osobnik po prostu nie rozumiał, najprawdopodobniej nigdy nie byłby w stanie zrozumieć. Była to stara historia dwóch różnych postaw – ekspansywnej i dekadenckiej, postawy rasy, która sięgała do gwiazd i rasy, która nie chciała rzucić wyzwania przeznaczeniu.

– Dlaczego – nalegał człowiek – nie wprowadzicie kontroli urodzeń?

– Rząd, który by to zrobił, natychmiast by upadł! – odpowiedział Yoal.

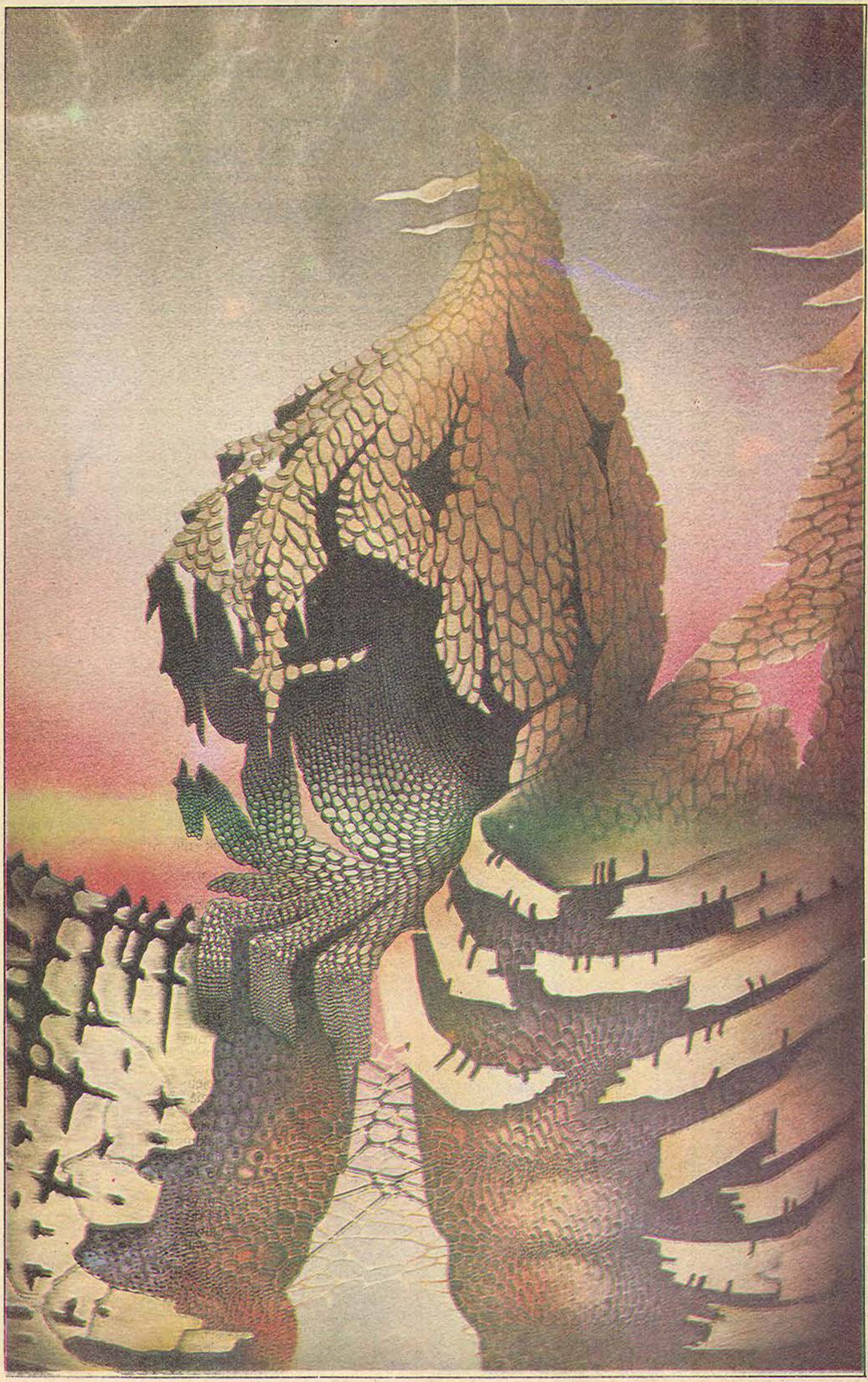
W jego głosie brzmiała wyrozumiałość i Enash zauważył, że wszyscy kiwają głowami nad naiwnością tej istoty. Poczuł, jak rozszerza się między nimi przepaść intelektualna. Ten stwór zupełnie nie rozumiał działania naturalnych sił witalnych.

– A więc dobrze – powiedział człowiek – jeżeli wy nie chcecie, my je będziemy kontrolować za was.

Zapadła cisza.

Zaczęło narastać napięcie. Enash czuł je w sobie i widział jego oznaki na twarzach pozostałych Ganae. Znów zwrócił wzrok ku stojącemu przy drzwiach stworowi i nie po raz pierwszy odniósł wrażenie, że ich wróg jest zupełnie bezbronny. „Przecież – pomyślał – z łatwością mógłbym objąć go mackami i zgnieść". Zaczął się zastanawiać, czy z umiejętnością sprawowania myślowej kontroli nad nukleonami, energią atomową i polem grawitacyjnym wiąże się zdolność odparcia ataku o skali makrokosmicznej. Doszedł do wniosku, że jednak tak. Siła zademonstrowana kilka godzin temu mogła podlegać jakimś ograniczeniom, ale jeśli nawet one istniały, to były zupełnie niewidoczne. A groźba już została wypowiedziana: „Jeśli wy nie kontrolujecie – my to zrobimy".

Te słowa odezwały się echem w mózgu Enasha i w miarę, jak ich znaczenie coraz wyraźniej do niego docierało, ulatniała się jego dotychczasowa powściągliwość. Zawsze uważał się za widza, za stojącego z boku obserwatora. Nawet wtedy, gdy – kilka godzin wcześniej – spierał się na temat zasadności przeprowadzania dalszych rekonstrukcji, czuł, że jakaś odseparowana część jego świadomości raczej przygląda się tej dyskusji, niż w niej uczestniczy. Nagle pojął z porażającą jasnością, że właśnie dlatego nie udało mu się nikogo przekonać. Sięgnąwszy pamięcią do bardziej odległej przeszłości, uświadomił sobie, że nigdy nie uważał się za w pełni uczestniczącego w podbojach planet należących do innych ras. Był tym, który obserwował, rozmyślał o



Mirosław Gołędzinowski

realiach i wikłał się w spekulacjach na temat życia, które zdawało się być pozbawionym znaczenia. Ale teraz nastąpił przełom - złapał go wartki nurt wydarzeń i Enash czuł, jak się w nim zanurza, jak płynie, stapiając się w jedność ze zbiorowością wszystkich Ganae. W jego ciało wstąpiła siła i niezłomna wola całej rasy.

- Istoto - warknął - jeżeli żywisz jakiekolwiek nadzieje na ożywienie swej wymarłej rasy, lepiej porzuć je już teraz.

Człowiek spojrzał na niego, ale się nie odezwał.

- Jeżeli potrafiłbyś nas zniszczyć - nacierał dalej Enash - już byś to zrobił. Jednak prawda jest taka, że twoja potęga ma ściśle określone ramy i nie możesz ich przekroczyć. Nasz statek jest tak zbudowany, że nie jest możliwe zapoczątkowanie w nim jakiejkolwiek reakcji łańcuchowej. Na każdy kawałek potencjalnie niestabilnego materiału przypada inny, przeciwdziałający, zapobiegający powstaniu masy krytycznej. Być może byłbyś w stanie spowodować eksplozje w naszym silniku, ale one również musiałyby być ograniczone i zapoczątkowałyby jedynie proces, do którego silniki i tak są przeznaczone.

Poczuł, że Yoal dotyka jego ramienia.

- Ostrożnie - ostrzegł historyk. - Nie zdradź, w swym usprawiedliwionym gniewie, jakichś żywotnych informacji.

Enash strząsnął powstrzymującą go mackę.

- Bądźmy realistami - powiedział cierpko. - Ten stwór odkrył większość naszych rasowych tajemnic po prostu patrząc na nasze ciała. Zachowywalibyśmy się naiwnie, gdybyśmy zakładali, że on dotychczas nie zdaje sobie sprawy z możliwości, jakie wynikają z tej sytuacji.

- Enash! - powiedział rozkazującym tonem kapitan Gorsid. Uniesienie Enasha uleciało równie szybko, jak nadeszło. Cofnął się o krok. - Słucham, kapitanie.

- Przypuszczam, że wiem, co chciałeś powiedzieć. Zapewniam cię, że w pełni się z tym zgadzam, ale wydaje mi się również, że to ja, najwyższy rangą wśród Ganae, powinienem być tym, który sformułuje ultimatum.

Kapitan odwrócił się. Jego guzłowate ciało górowało nad człowiekiem jak wieża.

- Wypowiedziałeś groźbę, której nie można wybaczyć. Powiedziałeś nam, choć nie wprost, iż będziesz usiłował ograniczyć rozwój prężnego ducha rasy Ganae.

- Nie ducha - powiedział człowiek. Zaśmiał się cicho. - Nie, nie ducha.

Dowódca zignorował jego słowa.

- W związku z tym - ciągnął - nie mamy żadnego wyboru. Zakładamy, że, przy odpowiedniej ilości czasu na znalezienie materiałów i wykonanie narzędzi, byłbyś w stanie zbudować rekonstruktor. Według nas trwałoby to co najmniej dwa lata, nawet gdybyś znał jego budowę. Rekonstruktor jest niezwykle skomplikowaną maszyną. Jej budowa musiałaby sprawić niemałe kłopoty jedynemu ocalałemu z rasy, która zrezygnowała z maszyn tysiące lat przed nastąpieniem katastrofy.

Nie mieliście czasu na wybudowanie statku kosmicznego, teraz my nie damy ci czasu na wybudowanie rekonstruktora. Za kilka minut nasz statek rozpocznie zrzucanie bomb. Możliwe, że uda ci się zapobiec wybuchowi tych, które spadną w najbliższym sąsiedztwie, wobec tego zaczniemy od bombardowania przeciwległej półkuli planety. Jeżeli uda ci się unieszkodliwić tamte bomby, będzie to oznaczało, że sami nie damy sobie rady. W ciągu sześciu miesięcy lotu z maksymalnym przyspieszeniem możemy osiągnąć punkt, z którego nasze depesze zostaną odebrane na najbliższej, należącej do Ganae planecie. Przybędzie stamtąd flota tak potężna, że twój opór zostanie z łatwością złamany. Zrzucając na każde miasto sto lub tysiąc bomb w ciągu minuty zniszczymy je tak dokładnie, że ze szkieletów twoich ziomków nie zostanie nawet odrobina kurzu. Taki jest nasz plan. I taki pozostanie. A teraz możesz robić z nami, którzy jesteśmy na twojej łasce, co ci się podoba.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nic z wami nie zrobię. Na razie! - powiedział. Potem dodał: - Wasze rozumowanie jest niemal poprawne. Niemal. Rzeczywiście nie jestem aż tak potężny, ale wydaje mi się, że zapomnieliście o pewnym niewielkim szczególe. Nie powiem wam teraz o jakim. To już chyba wszystko, a więc - do widzenia. Wracajcie na statek i ruszajcie w drogę. Ja mam tutaj masę roboty.

Przez cały czas Enash stał spokojnie, czując jednak jak znowu narasta w nim furia. Teraz z sykiem rzucił się do przodu, wyciągając macki. Już niemal dotykał gładkiej skóry potwora, gdy poczuł, że coś go unosi.

Nagle był z powrotem na statku.

Nie pamiętał przebytej drogi, ale nie pamiętał również, aby został ogłuszony czy w ogóle jakoś pozbawiony przytomności. Zobaczył, że obok stoją Veed, Yoal i kapitan Gorsid, równie zdumieni jak on.

Przez chwilę nie wykonał żadnego ruchu, rozmyślając o słowach obcego: „... zapomnieliście o pewnym niewielkim szczególe". Zapomnieli? To znaczy, że o nim wiedzieli. Co to mogło być? Ciągle jeszcze gubił się w domysłach, gdy Yoal powiedział: - Możemy być niemal pewni, że nasze bomby nie wybuchną.

I rzeczywiście.

Statek znajdował się w odległości czterdziestu lat świetlnych od Ziemi, gdy Enash został wezwany do pomieszczeń Rady. Yoal przywitał go słabym, trzęsącym się głosem: „Potwór jest na pokładzie".

Wiadomość uderzyła w Enasha jak grom. W chwilę potem przyszło nagłe zrozumienie.

- A więc to miał na myśli, mówiąc, że o czymś zapomnieliśmy - powiedział w końcu w zamyśleniu. - Zapomnieliśmy, że on może podróżować w przestrzeni tylko za pomocą woli, w granicach - jaką liczbę wymienił? - dziewięćdziesięciu lat świetlnych.

Westchnął. Nie było nic dziwnego w tym, że Ganae, używający do podróżowania statków, nie pomyśleli natychmiast o takiej możliwości.

Asystent fizyka, idąc do pomieszczeń magazynowych, zauważył potwora, przechodzącego dolnym pokładem. Dziwne było, iż na statku z tak liczną załogą nie został on zauważony wcześniej.

- Ale przecież my nie mamy zamiaru przelecieć całej drogi do naszej planety - powiedział Enash. - W jaki sposób on chce nas wykorzystać do jej umiejscowienia, jeżeli posłużymy się jedynie łącznością video... - Urwał. To było właśnie to. Kierunkowe fale łączności video mogły oczywiście służyć za drogowskaz i potwór będzie znał właściwy kierunek w tym samym momencie, w którym zostanie wysłana wiadomość.

Enash wyczytał z oczu kolegów decyzję, jedyną możliwą w tych okolicznościach. A jednak wciąż mu się wydawało, że coś umknęło ich uwadze, jakaś rzecz o podstawowym znaczeniu. Powoli podszedł do wielkiego ekranu video, zajmującego jedną ze ścian pomieszczenia. Ekran był włączony i obraz na nim był tak ostry, tak żywy, tak majestatyczny, że nieprzywykłego obserwatora mógłby przyprawić o zawrót głowy. Przedstawiał fragment Drogi Mlecznej. Czterysta milionów gwiazd, widzianych przez teleskopy, zdolne wychwycić światło czerwonego karła z odległości trzydziestu tysięcy lat świetlnych.

Ekran video liczył dwadzieścia pięć jardów średnicy i widok, który przedstawiał nie miał sobie równego.

Tylko jedno z dwustu tysięcy tych błyszczących słońc miało układ planetarny.

Ten właśnie fakt zmuszał ich teraz do wykonania nieodwracalnego kroku. Enash rozejrzał się wokół ze znużeniem.

- Potwór by bardzo sprytny - powiedział cichym głosem. - Jeżeli polecimy dalej, on poleci z nami, zdobędzie rekonstruktor i wróci do domu tą swoją metodą. Jeżeli użyjemy kierunkowej fali video, poleci wzdłuż niej, zdobędzie rekonstruktor i znów wróci na swoją planetę szybciej niż my. W każdym z tych przypadków do czasu przybycia naszej floty ożywi dostateczną liczbę sobie podobnych, aby każdy atak, jaki podejmiemy, spalił na panewce.

Potrząsnął kadłubem. Analiza sytuacji, którą przeprowadził była słuszna, był tego pewien, ale w dalszym ciągu wydawała mu się być niekompletna.

- Mamy teraz nad nim jedną przewagę - powiedział powoli. - Cokolwiek postanowimy, nie ma w pobliżu maszyny translacyjnej, która pozwoliłaby mu dowiedzieć się o naszej decyzji. Możemy realizować nasze plany, a on będzie ich zupełnie nieświadomy. On wie, że żadna ze stron nie jest w stanie wysadzić statku. To zostawia nam tylko jedno skuteczne rozwiązanie.

Zapadła cisza, przerwana po pewnym czasie przez kapitana Gorsida.

- Tak więc, widzę, że wszyscy myślimy o tym samym. Włączymy silniki, zniszczymy urządzenia kontrolne i zabierzemy go ze sobą.

Popatrzyli po sobie oczyma pełnymi dumy z wartości, które tkwiły w ich rasie. Wszyscy po kolei dotknęli się mackami.

Godzinę później, gdy upał zaczynał już dawać się we znaki, Enashowi przyszła do głowy myśl, która sprawiła, że jak oparzony skoczył do komunikatora, by wezwać Shuriego.

- Shuri - krzyknął - pamiętasz, że gdy potwór obudził się po rewitalizacji i zniknął, kapitan Gorsid miał trudności w zmuszeniu twoich podwładnych do zniszczenia lokatorów. Nie przyszło nam wcześniej do głowy, by ich spytać, jaka była przyczyna tej zwłoki. Spytaj ich... spytaj ich teraz...

Po krótkiej chwili z komunikatora odezwał się słaby głos astronoma.

- Nie mogli... dostać się... do ich pomieszczenia... Drzwi były zamknięte.

Enash ciężko opadł na podłogę. Zrozumiał, że przegapili więcej niż jeden szczegół. Człowiek obudził się, ocenił sytuację i, zniknąwszy, udał się na statek, aby zdobyć sekret lokatora i poznać budowę rekonstruktora, jeżeli już przedtem jej nie znał. Do czasu swego powtórnego pojawienia się wziął już od nich wszystko, czego potrzebował. Całe jego późniejsze zachowanie miało na celu doprowadzenie ich do tego aktu rozpaczy, który właśnie wprowadzali w życie.

Za kilka chwil opuści spokojnie statek, pewien, że wkrótce nikt obcy nie będzie wiedział, że jego planeta istnieje. Pewien również, że jego rasa znowu będzie żywa i że tym razem już nigdy nie umrze.

Enash podniósł się na nogi, chwycił trzeszczący komunikator i wykrzyczał do niego swoją nową wiedzę. Nikt nie odpowiedział.

Skamlał jeszcze do mikrofonu kilka minut później, gdy potężny statek zanurzył się w sercu błękitno-białej gwiazdy.

Przełożył Darosław J. Toruń

Idris Seabright

zwarcie w klatce piersiowej

(Short in the Chest)

Dziewczyna w zielonym mundurze oficera Piechoty Morskiej podkręciła trochę swój aparacik słuchowy – wszyscy cierpieli na nieznaczną wadę słuchu od zimnowojennych bombardowań – i z poważną miną szacowała huxleya, siedzącego po drugiej stronie biurka.

– Jesteś najoryginalniejszym z huxleyów, znanych mi ze słyszenia – powiedziała bez entuzjazmu. – Tamci są zupełnie inni.

Wyglądało na to, że huxleya nie obruszyła ta uwaga. Zdjął okulary wielkości szyb okiennych, nachuchał na nie, przetarł chusteczką i z powrotem usadził na nosie. Podkręcając aparat słuchowy Sonia znów wywołała u niego zwarcie w klatce piersiowej; osłonił się, składając ręce przy najwyższych guzikach szarawej brokatowej kamizelki.

– A czymże to, moja droga panienko, tak się rożnię od innych huxleyów? – spytał.

– Na przykład chcesz, żebym była wobec ciebie szczera, żebym opowiedziała ci wszystko, co mi leży na sercu. Byłam dopiero raz w życiu u huxleya, który cały czas ględził o konieczności widzenia rozległego, ogólnego tła problemu, o swadźbieniu* jako drodze do przekroczenia własnego ja. Rozgadał się o miłości wewnątrz grupy, o harmonii pomiędzy grupami i stwierdził, że przede wszystkim musimy być lojalni wobec Obrony, która w obliczu zimnowojennego pogotowia oznacza przecież sam naród.

Wcale nie jesteś taki jak tamten, wcale nie filozofujesz. Chyba dlatego nazywają ich huxleyami – bo są filozofującymi rob... najmocniej przepraszam.

– Śmiało! Skończ, co chciałaś powiedzieć – uspokajał ją huxley. – Nie jestem wstydliwy. Możesz spokojnie nazywać mnie robotem.

– Powinnam się była domyślić. Chyba dlatego cieszysz się taką popularnością. Nigdy w życiu nie widziałam u żadnego huxleya tak długiej kolejki w poczekalni.

– Rzeczywiście, jestem raczej niezwykłym robotem – powiedział huxley z nutą zadowolenia z siebie. – Jestem nowym modelem, świeżo po okresie próbnym, z nadzwyczaj skomplikowanym systemem przekaźników. Ale wróćmy do rzeczy. Jeszcze nie opowiedziałaś mi o swoich kłopotach.

Dziewczyna nerwowo manipulowała regulatorem aparatu słuchowego. Po chwili zmniejszyła siłę głosu; niemal słyszalne trzeszczenie w klatce piersiowej huxleya zanikło.

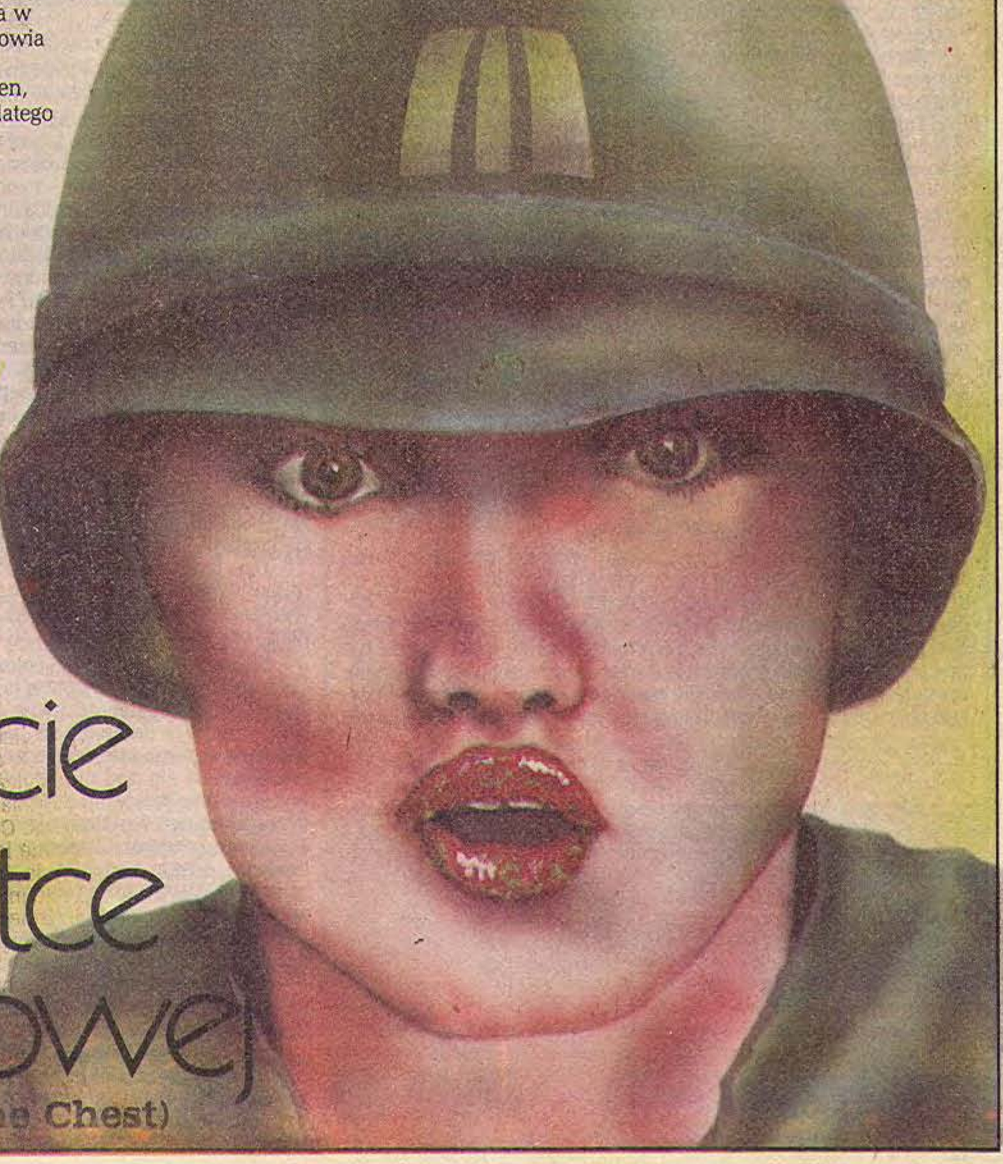
– Chodzi o świnie – powiedziała.

– Świnie – huxley wyrwał się ze swojego mechanicznego opanowania. – No prosze, a myślałem, że masz kłopoty ze swadźbieniem – powiedział po chwili. Uśmiechnął się zwycięsko. – Zwykle z tym właśnie do mnie przychodzą.

– Właściwie... o to też chodzi. Ale wszystkie zmartwienia zaczęły się od świń. Nie wiem czy zdajesz sobie sprawę z kim masz do czynienia. Major Sonia Briggs, intendent tuczarni świń w Strefie 13.

– O ho, ho – powiedział huxley.

– No właśnie... Tak jak i we wszystkich innych rodzajach sił zbrojnych, my z Piechoty Morskiej jesteśmy samowystarczalni jeśli chodzi o żywność. Moja świniarnia jest nader ważnym ogniwem na odcinku utrzymywania dostaw kotletów schabo-



Andrzej Brzezicki

wych. Trudno więc się dziwić, że byłam wstrząśnięta, gdy nowo narodzone prosięta nie chciały przyjmować pokarmu. Skoro jesteś nowiutkim robotem, twoje cewki pamięci nie odebrały zapewne wielu danych o świniach. Jak tylko urodzą się prosięta, oddzielamy je od maciory – posługujemy się aseptyczną szuflą – i wprowadzamy je do osobnej zagrody, w której znajduje się wielki zbiornik z pokarmem. Posiadamy nagranie chrząkania maciory, na dźwięk którego prosięta powinny pobierać pokarm. Maciorze podajemy estryk i po kilku dniach jest gotowa do kolejnego zapłodnienia. System ten obliczony jest na wyprodukowanie znacznie większej ilości wieprzowiny niż za pomocą tradycyjnej metody pozostawiania prosiąt z maciorą. Ale, jak już zaznaczyłam, od jakiegoś czasu prosiaki nie chca jeść. Bez względu na to, jak wzmacniamy nagrane chrząkanie, odrzucają butelkę. Trzeba było zarżnąć kilka pomiotów zamiast czekać aż pozdychają z głodu. Na domiar złego mięso takich młodych nie jest smaczne – zbyt papkowate i miękkie. Jak się możesz łatwo zorientować, sytuacja staje się coraz poważniejsza.

– Um – powiedział huxley.

– Oczywiście zameldowałam dokładnie o wszystkim swoim zwierzchnikom. Nikt nie mógł znaleźć rozwiązania. Ale kiedy otrzymałam jedną z ostatnich kart swadźbienia, w rubryce oznaczonej „Cel", obok każdorazowego stempla: „Zmniejszenie napięcia między poszczególnymi rodzajami wojsk" ktoś dopisał: *„Zdobyć od Lotnictwa rozwiązanie problemu żywienia nowo narodzonych prosiąt".*

– Wiedziałam już, że mam swadźbić partnera z Lotnictwa nie tylko po to, by rozładować napięcie pomiędzy Piechotą Morską i Lotnictwem, ale także po to, aby wydostać od niego informację, w jaki sposób Lotnictwo zmusza młode prosiaki do jedzenia. – Spuściła wzrok, bawiąc się nerwowo sprzączką swojego chlebaka.

– I co dalej? – spytał huxley ostrzejszym tonem. – Nie będę mógł ci w niczym pomóc, jeżeli mi całkowicie nie zaufasz.

– Czy to prawda, że system swadźbienia opracowała grupa psychologów po zbadaniu napięcia między poszczególnymi rodzajami służb obronnych? Po tym, jak dostrzegli zatargi Piechoty Morskiej z Lotnictwem, Lotnictwa z Piechotą i Piechoty z Marynarką przybierające tak groźne oblicze, że zakłócone zostało sprawne funkcjonowanie całej Obrony? Czyżby sądzili, że powiązania seksualne będą najlepszym z możliwych sposobów stłumienia wzajemnej wrogości i zastąpienia jej przyjaznymi uczuciami, więc wprowadzili systematyczne swadźbienie ogólnowojskowe?

– Znasz odpowiedzi na te pytania tak samo jak ja – odparł chłodno huxley. – Ton, jakim je zadawałaś wyraźnie domaga się twierdzącej odpowiedzi. Coś pani Major przede mną ukrywa.

– Taka nieprzyjemna historia... Co mam ci opowiedzieć?

– Opowiedz mi dalej dokładnie co zaszło po tym, jak dostałaś niebieską kartę swadźbienia.

Obrzuciła go bystrym spojrzeniem, zarumieniła się, znów odwróciła wzrok i wyrzuciła z siebie potok słów.

– Dostałam kartę na najbliższy wtorek. Nie znoszę swadźbić się z Lotnictwem, ale myślałam, że wszystko pójdzie dobrze. Wiesz jak to jest... może człowieka rąbnąć, jak czuje, że przedmiot zimnej nienawiści nagle zaczyna pociągać, podniecać i wzbudzać uwielbienie. Jasna sprawa, że po normalnej dawce Watsona.

– Weszłam na teren neutralny we wtorek po południu. Zastałam go w pokoju. Z wywalonymi przed siebie wielkimi stopami siedział rozparty w fotelu, ubrany w tę ich koszmarną skórzaną kurtkę. Na mój widok podniósł się uprzejmie, ale zdawałam sobie sprawę, że wolałby poderżnąć mi gardło, jak tylko mnie zobaczył, bo przecież jestem z Piechoty Morskiej. Oczywiście oboje byliśmy uzbrojeni.

– Jak on wyglądał? – przerwał huxley.

– Prawdę mówiąc, nie przyglądałam mu się. Wystarczyło mi, że był z Lotnictwa. No, ale mimo wszystko napiliśmy się razem. Słyszałam, że do trunków podawanych w strefie neutralnej dodają haszyszu i chyba to prawda. Udało mi się nawet do niego uśmiechnąć, a on postarał się odpowiedzieć mi uśmiechem. Już po chwili wcale nie byłam tak wrogo do niego nastawiona. Powiedział: „Właściwie to moglibyśmy zabrać się do rzeczy". Poszłam więc do latryny. Rozebrałam się i położyłam pistolet na ławeczce przy umywalce. Wstrzyknęłam sobie w udo jednego Watsona.

– Zwykłego Watsona? – zapytał huxley, kiedy przerwała opowiadanie. – Estryk z antykoncypatorem podawany podskórnie ze sterylnej ampułki?

– Tak. On też wstrzyknął sobie Watsona, priaptyk, bo jak wróciłam... – Rozpłakała się.

– Co się stało, kiedy wróciłaś? – nalegał huxley, pozwoliwszy jej się chwilę wypłakać.

– Byłam do niczego. Całkiem do niczego. Z takim samym skutkiem mogłam równie dobrze wstrzyknąć sobie wodę zamiast Watsona. Wreszcie zaczął się pieklić. Wykrzyknął: „Co się z tobą dzieje? Mogłem się domyślić, że jak tylko ktoś z Piechoty Morskiej się za coś weźmie, to musi wszystko spieprzyć". Zdenerwował mnie, ale byłam zbyt przygnębiona, żeby się bronić. „Ładne mi zmniejszanie napięcia!", powiedział. „Rzeczywiście świetny sposób na krzewienie harmonii pomiędzy sekcjami Obrony. Nie tylko nie podpiszę karty spełnienia, ale wystosuję też na ciebie skargę do twojego oddziału".

– A to ci dopiero – powiedział huxley.

– No właśnie, czy to nie potworna sprawa? Powiedziałam mu na to: „Jeżeli wystosujesz na mnie skargę, to ja zgłoszę zażalenie na ciebie. Ty też nie rozładowałeś u m n i e napięcia". Sprzeczaliśmy się o to przez chwilę. Powiedział, że jeżeli ja odwołam się ze swoją skargą, odbędzie się proces i będę musiała zażyć pentatol, a wtedy prawda wyjdzie na jaw. Twierdził, że to nie jego wina! Przecież był gotów. Zdawałam sobie sprawę, że ma rację, więc starałam się go przebłagać. Przypomniałam mu o zimnej wojnie, o tym, że wróg jest o krok od zdobycia Wenus, zostawiając nam jedynie Marsa. Powoływałam się na lojalność wobec Obrony i spytałam go, jak by się czuł, gdyby go wyrzucili z Lotnictwa. Aż wreszcie, po rozmowie ciągnącej się dla mnie całymi godzinami powiedział, że nie wystosuje skargi. Chyba go wzruszyłam. Zgodził się nawet podpisać kartę spełnienia. Jeden kłopot z głowy. Wróciłam do latryny, ubrałam się i oboje wyszliśmy. Jednak nie opuściliśmy pokoju równocześnie, bo byliśmy zbyt zdenerwowani, żeby się do siebie uśmiechać i robić wrażenie szczęśliwej pary. A nawet mimo to zdawało mi się, że niektóre osoby z personelu strefy neutralnej coś podejrzewały.

– Czy to jest powodem twoich zmartwień? – spytał huxley, kiedy wydawało się, że skończyła opowiadać.

– No więc... Można ci zaufać, prawda? Na pewno nie doniesiesz?

– Nie ma mowy. Obowiązuje nas gwarancja tajemnicy każdego wyznania. Pierwsza poprawka do konstytucji odnosi się przede wszystkim do naszego zawodu.

– Tak. Pamiętam, że sąd najwyższy ogłosił jakąś decyzję w sprawie wolności słowa... – przełknęła ślinę, odchrząknęła i jeszcze raz przełknęła. – Kiedy dostałam następną kartę swadźbienia – powiedziała odważnie – byłam tak roztrzęsiona, że złożyłam podanie o wizytę u ginekologa. Miałam nadzieję, że lekarz dopatrzy się u mnie jakiejś nieprawidłowości, ale powiedział, że wszystko mam w porządku i dodał: „Taka dziewczyna jak ty świetnie się nadaje do rozładowywania wewnętrznych napięć w łonie Obrony." A więc nic mi to nie pomogło.

– Potem poszłam do huxleya, tego, o którym ci już mówiłam. Zrobił mi wykład filozofii. To mi też nic nie dało. Więc... w końcu... no cóż, ukradłam dodatkowego Watsona z laboratorium.

Zapadła cisza. Kiedy zorientowała się, że huxley przełknął jej wyznanie bez zbytniego podniecenia, dodała:

– Dodatkowego, to znaczy oprócz tego, który mi normalnie przysługiwał. Nie mogłam znieść myśli, że będę musiała przejść przez takie swadźbienie jeszcze raz. Zniknięcie ampułki wywołało niezgorsze zamieszanie. Watsony przechowywane są pod ścisłą kontrolą. Ale dotąd nikt nie znalazł winnego.

– Czy to ci coś pomogło? Podwójna dawka estryku? – spytał huxley. Poszturchiwał się palcem wskazującym w okolicy najwyższego guzika kamizelki, tak jak ktoś, kto nie jest całkiem pewien, czy go w tym miejscu swędzi.

– Pomogło mi. Wszystko poszło dobrze. On, to znaczy ten mężczyzna, powiedział, że jestem fajną dziewczyną, że Piechota Morska to dobra służba, oczywiście po Piechocie Regularnej, którą reprezentował. Sama też się dobrze bawiłam i kiedy w zeszłym tygodniu otrzymałam od Piechoty prośbę o świnie z rodowodem, bez namysłu się pod nią podpisałam. To zmniejszanie napięcia rzeczywiście działa. A jednak cały czas jestem roztrzęsiona. Wczoraj znowu dostałam niebieską kartę swadźbienia. Co robić? Nie mogę przecież ukraść jeszcze jednego Watsona. Zaostrzyli kontrolę. A nawet gdybym mogła, nie sądzę, żeby jeden nadprogramowy Watson mi wystarczył. Tym razem, zdaje się, trzeba by zdobyć d w a.

Złożyła głowę na poręczy fotela, z trudem powstrzymując się od płaczu.

– Czy jesteś pewna, że nie wystarczy ci tylko jeden Watson? – spytał po chwili huxley. – Jakkolwiek było, dawniej ludzie swadźbili się regularnie, obchodząc się bez żadnych Watsonów.

– Ale nie swadźbili się w celu rozładowania wewnętrznych napięć w Obronie. Nie, nie wydaje mi się, żebym sobie poradziła. Zrozum, że znów wyznaczyli mi Lotnictwo. Mam za zadanie zdobyć sposób na żywienie prosiąt. A całe życie wyjątkowo nie znosiłam Lotnictwa.

Idris SEABRIGHT

to pseudonim amerykańskiej autorki M a r g a r e t S t. C l a i r. Urodziła się w 1911 r. w Huthcinson w stanie Kansas i tam spędziła 17 lat swego życia. Początkowo pisała historie kryminalne (sukces odniosła jej powieść „**The Perfectionist**"). Prozą SF zainteresowała się pod koniec lat czterdziestych debiutując na łamach „Startlin Stories" i „Thrilling Wonder Stories". Pierwsze powieści Margaret St. Clair nosiły następujące tytuły: „**Agent of the Unknown**" (1952), „**The Dolphins of Altair**"(1967), „**Sing of the Lebrys**" (1963), „**Change the Sky**". Osiem utworów z lat czterdziestych weszło w skład tomu „**Oona and Jik**". Pod pseudonimem Idris Seabright – Margaret St. Clair publikowała zwłaszcza w „Magazine of Fantasy and Science Fiction". Utwory amerykańskiej pisarki były przekładane na język niemiecki, francuski, włoski i japoński. (A.N.)

Nerwowo kręciła pokrętłem aparatu słuchowego. Huxley poderwał się nieznacznie.

– Hm... cóż, naturalnie możesz złożyć rezygnację – powiedział ledwie słyszalnym szeptem.

– Chyba sobie żartujesz. Dowcip w bardzo złym guście. Nie po to zwierzałam ci się ze swoich zmartwień, żebyś ze mnie robił balona.

Huxley zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko.

– Wcale nie chciałem cię urazić, moja droga panienko – powiedział pocieszającym tonem. Przycisnął ręce do piersi. – To tylko sugestia. Jak sama zauważyłaś, w złym guście. Powinienem był się domyślić, że wolałabyś zginąć niż wystąpić z Piechoty Morskiej.

– Zgadza się.

Z powrotem przykręciła swój aparacik słuchowy. Huxley się odprężył. – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś całkowicie odosobniona w swoich kłopotach – powiedział. – Całkiem możliwe, że po dłuższym zażywaniu estryków w organizmie powstają przeciwciała. W stanie początkowego wstrętu fizjologicznego, wymuszona gotowość seksualna może... Ale przecież takie rzeczy ciebie nie obchodzą. Potrzebujesz pomocy. A może podzieliłabyś się swoimi kłopotami z moim zwierzchnikiem? Albo z samą górą?

– Chodzi ci o KO?

Huxley skinął głową.

Twarz pani major Briggs stała się purpurowa. – Nie mogę! Wykluczone. Żadna uczciwa dziewczyna by się na to nie zdobyła. Spaliłabym się ze wstydu. – Uderzyła ręką w chlebak i wybuchnęła płaczem.

Wreszcie podniosła się. Huxley bacznie przyglądał się dziewczynie. Otworzyła chlebak, wyjęła kosmetyki i lusterko, po czym zabrała się do usuwania śladów emocji. Następnie wydobyła z czeluści chlebaka elektronową wibro-igłę i jakąś nieokreśloną, białą część garderoby i wzięła się do haftowania.

– Nie wiem, co bym zrobiła bez swojej robótki – wyjaśniła. – Przez te ostatnie kilka dni tylko dzięki niej nie postradałam zmysłów. Na całe szczęście haftowanie jest teraz w modzie. No cóż, wyznałam ci wszystkie swoje kłopoty. Czy masz jakieś pomysły?

Huxley wpatrywał się w nią lekko wytrzeszczonymi oczami. Wibro-igła postukiwała miarowo, tak miarowo, że Sonia nie zwróciła uwagi na wzmożone potrzaskiwanie w piersiach huxleya. Poza tym jej aparat słuchowy nie wychwytywał zbyt dobrze dźwięków o takiej częstotliwości.

Huxley odchrząknął. – Czy jesteś pewna, że sama ponosisz winę za swoje kłopoty ze swadźbieniem? – spytał dziwnie zmienionym głosem.

– No chyba... tak mi się zdaje. Przecież w obydwu wypadkach mężczyznom nic nie brakowało. – Major Briggs nie odrywała oczu od robótki.

– Owszem, pod względem fizjologicznym. Postawmy sprawę w ten sposób. I chciałbym, żebyś pamiętała, moja droga panienko, że oboje jesteśmy dojrzałymi, inteligentnymi osobnikami, a ja jestem huxleyem. Przypuśćmy, że miałabyś swadźbić partnera z... Piechoty Morskiej. Czy przyszłoby ci to z trudnością?

Sonia Briggs odłożyła robótkę, a na jej policzki wystąpiły rumieńce. – Z towarzyszem broni? Nie masz prawa tak mówić!

– No już dobrze, dobrze. Opanuj się.

Trzaski w piersiach huxleya stały się już tak głośne, że tylko podniecenie Soni mogło je zagłuszyć. Utrwaliły się do tego stopnia, że nie osłabiło ich nawet wyłączenie wibro-igły.

– Nie chciałem cię obrazić – ciągnął huxley nienaturalnym głosem. – Wskazałem tylko na całkowicie hipotetyczny przypadek.

– A więc... załóżmy, że traktujemy to jako czystą hipotezę, bo nigdy, przenigdy nie odważyłabym się na coś takiego... no więc, nie sądzę żebym miała z tym jakiekolwiek kłopoty. – Z powrotem zabrała się do swojej robótki.

– Innymi słowy, to nie twoja wina. Spójrz na to pod tym kątem. Jesteś w Piechocie Morskiej.

– Tak. – Dziewczyna dumnie podniosła głowę. – Ku chwale Obrony!

– Właśnie. A to oznacza, że jesteś sto razy, tysiąc razy lepsza od każdego z tych typów, których musiałaś swadźbić. Zgadza się? Po prostu tak już jest. Bo jesteś z Piechoty Morskiej.

– No tak, chyba masz rację. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

– Ale teraz pomyślałaś i poznałaś prawdę. Weźmy na przykład twoje spotkanie z tym facetem z Lotnictwa. Czy to twoja wina, że pozostałaś nieczuła w ramionach kogoś z L o t n i c t w a ? Skądże znowu! To jego wina – jasne jak słońce – j e g o wina, bo jest w tak odrażającej służbie, jak Lotnictwo!

Sonia wpatrywała się w huxleya z otwartymi ustami i błyskiem w oku. – Nigdy o tym nie pomyślałam – wykrztusiła. – Przecież to prawda. Masz rację. Masz świętą przenajświętszą rację!

– Jakżeż by inaczej – powiedział huxley zadowolony z siebie. – Zostałem zbudowany po to, żebym miał zawsze rację. Rozważmy teraz sprawę twojej następnej randki.

– Dobrze.

– Jak zwykle, udasz się do strefy neutralnej. Weźmiesz ze sobą swój miniBAR, prawda?

– No jasne. Zawsze chodzimy uzbrojone.

– Dobra. Pójdziesz do latryny i rozbierzesz się. Wstrzykniesz sobie Watsona. Jeżeli będzie działał...

– Nie będzie. Jestem tego niemal pewna.

– Nie przerywaj mi. A więc jeżeli będzie działał, będziesz go swadźbić. Jeżeli nie, zatrzymasz przy sobie swój miniBAR.

– Gdzie? – spytała zafrasowana Sonia.

– Za plecami. Chcesz mu dać szansę. Ale niezbyt wielką szansę. Jeśli Watson nie podziała – tu huxley zrobił pauzę dla dramatycznego efektu – w y c i ą g a j s p l u w ę i s t r z e l a j . P r o s t o w s e r c e . Zostaw go leżącego pod przepierzeniem. Dlaczego miałabyś cierpieć jeszcze raz podobną scenę jak ta, którą właśnie opisałaś przez jakiegoś bałwana z Lotnictwa?

– No dobrze... ale – Sonia zachowywała się jak ktoś, kto usiłując myśleć rozsądnie, nie jest zbyt pewien, czy rozsądne myślenie ma tu jakieś uzasadnienie. – W ten sposób nie rozładuję skutecznie napięć.

– Moja droga panienko, dlaczego napięcia w Obronie mają być rozładowane kosztem Piechoty Morskiej? Trzeba poza tym przyjąć szeroki, ogólny punkt widzenia. Dobro Piechoty Morskiej jest dobrem Obrony.

– Rzeczywiście... Masz rację... Dałeś mi dobrą radę.

– Rozumie się! Jeszcze jedno. Jak już go zastrzelisz, zostaw przy nim karteczkę ze swoim nazwiskiem, sektorem i numerem dowodu osobistego. Nie wstydzisz się swojego czynu.

– Nie... Pewnie, że nie... Ale, już bym zapomniała. Jak dowiem się od trupa receptury na paszę dla prosiąt?

– Będzie równie skory dać ci ją po śmierci, jak za życia. A przy tym, co za poniżenie. Żebyś ty, oficer Piechoty Morskiej, miała zniżyć się do tego, żeby wyłudzać coś od byle bubka z Lotnictwa! Co to, to nie! Powinien być zaszczycony, dumny z tego że może ci dać recepturę.

– Słusznie. – Sonia zacisnęła usta. – Nie wezmę od niego żadnych bzdur – powiedziała. – Nawet jeśli Watson podziała wyswadźbię go i zastrzelę. Co ty na to?

– Świetnie. Każda honorowa dziewczyna tak by postąpiła.

Major Briggs spojrzała na zegarek. – Już dwadzieścia po! Jestem spóźniona do świniarni. Ślicznie dziękuję. – Obdarzyła go szerokim uśmiechem. – Skorzystam z twojej rady.

– Bardzo mi miło. Do widzenia.

– Do widzenia.

Wyszła z gabinetu, nucąc „Z pałaców Montezumy..."

Huxley, kiedy już został sam, w roztargnieniu przestawił sobie kilka razy oczy i nos. Spozierał zamyślony na sufit, jakby się zastanawiał kiedy bomby rzucone przez Lotnictwo, Piechotę i Marynarkę zwalą się do środka. Przyjął do tej pory już dwanaście młodych kobiet i wszystkim udzielił takich samych rad, jak pani Major Briggs. Nawet huxley ze zwarciem w klatce piersiowej mógłby przewidzieć, że skutki jego porad okażą się katastrofalne dla Piechoty Morskiej.

Posiedział jeszcze chwilę, powtarzając sobie: „Poper, Poper. Papa, placki, pieprz, prążki, prątki i prąd, prątki i prąd".

Zwarcie dawało o sobie znać głośnym i beztroskim iskrzeniem. Przeszukiwał całe pasmo odbiornika fal dźwiękowych, aż wreszcie znalazł program muzyki atonalnej, zagłuszającej skutecznie hałas dochodzący z piersi. Mimo iż rozstroił się już do tego stopnia, że niedużo brakowało mu do obłędu, nie zatracił jeszcze całkiem swoje sprytu.

Jeszcze raz powtórzył sobie: „Poper, Poper", po czym skierował się do drzwi swojej poczekalni i wezwał następnego klienta.

Przełożył **Zbigniew Kański**

* W oryg. *dighting*. W słowniczku załączonym do „Dzieł polskich" Jana Kochanowskiego pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego: swadźbić – «mieć stosunek miłosny». Tłumacz chciał tu być wierny intencjom autorki, wyrażonym w następującym przypisie: *„W przeszłości zarzucano mi wymyślanie niezwykłych słów występujących w moich opowiadaniach. W niektórych przypadkach zarzuty te są uzasadnione; czasami jednak, jak w przypadku »Vulcan's Dolls« (zob. »Plant Life of the Pacific World«) są bezpodstawne. Gwoli formalności wyjaśniam zatem, iż użyte tu słowo «digth» pochodzi ze średniowiecznej angielszczyzny, gdzie znaczyło między innymi mieć stosunek z (zob. »Poets of the English Language«, Auden and Pearson, tom 1, str. 173). Słowo «dight» zostało ponownie wprowadzone do języka angielskiego przez jednego z dwudziestowiecznych filologów, którego drażnił eufemizm «spać z kimś», i który zauważył, że w naszym [angielskim] języku potrzebny jest odpowiedni czasownik przechodni, którego użycie byłoby poprawne".* (przyp. tłum)

CONAN

CONAN zrodził się z wyobraźni Roberta E. Howarda przed ponad pół wiekiem. Mocarny, dziki wojownik z krainy Cymmerian pojawił się po raz pierwszy przed czytelnikami amerykańskiego miesięcznika „Weird Tales" w jego grudniowym wydaniu z 1932 roku, w opowiadaniu „The Phoenix on the Sword".

Zapewne ani autor, ani wydawcy miesięcznika nie przewidywali wówczas, że był to tylko początek bujnej, pełnej przygód egzystencji bohatera, trwającej po dzień dzisiejszy. Zainteresowanie czytelników spowodowało, że Howard zaczął opisywać wciąż nowe przygody Conana, tworząc konsekwentnie jako tło jego działań, cały legendarny świat sprzed 12 tysiącleci.

Do końca swego krótkiego życia (zmarł w 1936 roku w wieku 30 lat) Howard napisał jeszcze 17 opowieści o przygodach Conana. Wkrótce okazało się, że śmierć autora nie oznaczała kresu egzystencji bohatera. Conan istniał nadal, odradzał się pod piórem innych pisarzy we wciąż nowych książkach i komiksach. Pod koniec lat siedemdziesiątych jego przygody ukazywały się przynajmniej w trzech komiksowych miesięcznikach i dwóch dwumiesięcznikach tego samego typu. To była jakby druga faza – po oryginalnej howardowskiej – egzystencji bohatera. Jego potężną, muskularną postać utrwalił w tej fazie znany amerykański rysownik Frank Frazetta. Stąd już był tylko jeden krok do następnego wcielenia bohatera: na ekranie. W końcu 1981 r. powstała, wielka filmowa epopeja niejako porządkująca i ujmująca w jedną całość przygody Conana. Autor scenariusza John Milius dodał przy tym do nich coś, czego dotychczas brakowało: ukazał początki życia bohatera, a także motywy, jakie nim kierowały w późniejszym awanturniczym, pełnym przygód życiu. Miłośnicy przygód Conana (w czasie, gdy kręcono film istniały w Ameryce całe kluby jego fanów) ujrzeli więc najpierw spokojne cymmeriańskie osiedle, w którym wiódł żywot młody Conan u boku swych



rodziców, a następnie krwawy napad jeźdźców z sąsiedniej krainy Vanir, którym przewodził bóg-wąż Thulsa Doom. Starsi mieszkańcy osiedla, w tym również rodzice Conana, zostali wymordowani, zaś młodzież popędzono do niewoli. Następnie 15 lat spędza Conan przykuty do ogromnych żaren, marząc o zemście. Silny organizm podołał morderczo ciężkiej pracy i zmienił młodzieńca w niezwykle silnego mężczyznę. To powoduje zmianę jego losu. Conan uwolniony od żaren zostaje przez swych panów przeznaczony do roli gladiatora. Taki jest początek jego drogi ku wszystkim dalszym przygodom w owym trzecim, filmowym wcieleniu.

Czytelnikom „Fantastyki" postanowiliśmy przedstawić Conana z wszystkich trzech faz egzystencji bohatera. Najpierw początki jego drogi na szlaku przygód, gdy zdobywa miecz, który pozwala mu odnieść później tyle zwycięstw nad najbardziej niesamowitymi wrogami. Ta przygoda należy do drugiej, po-howardowskiej, fazy i wyszła spod pióra dwóch znanych amerykańskich autorów fantastyki – Lina Cartera i Lyona Sprague de Campa.

Oryginalny Conan, taki jakim go widział Howard, występuje w noweli „Wieża słonia". Natomiast na ilustracjach przedstawiamy Conana filmowego ze scenariusza Johna Miliusa, wcielonego przez austriackiego aktora-kulturystę (najpierw kulturystę, a później aktora) Arnolda Schwarzeneggera.

Zapewne to trzecie wcielenie, zwłaszcza dla tych, którzy widzieli film, jest najbardziej sugestywne i przesłania poprzednie. Jednak Conan – głównie ten howardowski – jest przede wszystkim zjawiskiem na gruncie literatury fantastycznej. Tutaj bowiem rozpoczął swoje życie, a nawet uczynił coś więcej: poszerzył, a częściowo nawet wytyczył drogę wiodącą ku fantastycznym światom i bohaterom z jakiejś odległej przeszłości, zrodzonym z mieszaniny rozlicznych mitów i legend oraz z przetwarzającej je autorskiej wyobraźni. (w.m.)

(The Thing of the Crypt)

spotkanie w krypcie

Lin Carter i Lyon Sprague de Camp

1. Czerwone ślepia

Od dwóch dni wilki szły przez las jego śladem i teraz znów go dogoniły. Oglądając się przez ramię, młodzieniec dostrzegł je – włochate, szare cienie kłusowały bezgłośnie wśród czarnych pni, a w zapadającym mroku ich ślepia płonęły jak rozżarzone węgle. Wiedział, że tym razem już nie zdoła odeprzeć ataku.

Grube pnie wiekowych drzew wznosiły się wokół, jak milczący żołnierze zaklętej armii, ograniczając widok. Północne stoki wzgórz pokrywały poszarpane, białe łaty śniegu, lecz bulgot tysięcy strumyków zapowiadał rychłe ustąpienie mrozu i nadejście wiosny. Nawet w środku lata był to mroczny, ponury świat, a teraz, w słabnącym ze zbliżaniem się zmierzchu, przyćmionym świetle pochmurnego nieba, wyglądał jeszcze bardziej niegościnnie.

Młodzian biegł pod górę gęsto zadrzewionym zboczem, uciekając już trzeci dzień od chwili, gdy udało mu się zbiec z hyperborejskiej niewoli. Chociaż wolny, młodzieniec znalazł się w samym środku wrogiego królestwa, daleko od rodzinnej Cymmerii. Tak więc umknął na południe, w dziką, górzystą krainę oddzielającą południowe tereny Hyperborei od żywych równin Brythunii i stepów Turanu. Słyszał, że gdzieś na południu leży legendarna Zamora – ziemia czarnowłosych kobiet i wież, zamieszkałych przez tajemnicze pająki. Gdzieś tam stały wspaniałe miasta – stolica państwa, Shadizar, zwana Miastem Łajdaków, Arenjun – Miasto Złodziei i Yezud – miasto boga-pająka.

Zdawało mu się, że na południu olbrzymia siła z łatwością przyniesie mu bogactwo i sławę wśród wychowanych w mieście słabeuszy. Skierował się więc ku północnym granicom Brythunii, by szukać swego szczęścia, a prócz wystrzępionej, poszarzałej tuniki i kawałka łańcucha nie miał nic.

Wilki wpadły na jego ślad. Zazwyczaj nie atakowały ludzi, lecz zima trwała wyjątkowo długo i wygłodniałe drapieżniki były gotowe na wszystko. Za pierwszym razem, kiedy go dopadły zakręcił łańcuchem z taką furią, że położył trupem jednego szarego napastnika, a drugiemu złamał kręgosłup. Szkaradna posoka opryskała topniejący śnieg. Wygłodzone stado odstąpiło od człowieka ze świszczącym groźnie łańcuchem, by ucztować na trupach swych krewniaków, a młody Conan pomknął na południe. Ale niebawem wilki znów ruszyły jego tropem.

Następnego dnia opadły go o zachodzie słońca, przy zamarzniętej rzece na granicy Brythunii. Walczył z nimi na śliskim lodzie, młócąc okrwawionym łańcuchem jak cepem, dopóki najśmielszy wilk nie chwycił zębami żelaznych ogniw i nie wyrwał łańcucha ze słabnącej dłoni. Wtedy cienki lód załamał się pod ciężarem walczących i Conan znalazł się w lodowatej wodzie. Krztusząc się i łapiąc gwałtownie oddech zobaczył, że kilku prześladowców wpadło razem z nim. Przez chwilę widział nie opodal na pół pogrążonego w wodzie wilka, wściekle skrobiącego przednimi łapami krawędź przerębli, ale nigdy się nie dowiedział, ile zwierząt zdołało się wydostać, a ile zostało wciągniętych pod lód

przez wartki nurt. Dzwoniąc zębami wygramolił się z wody, pozostawiając wyjące stado na drugim brzegu. Półnagi i na wpół zamarznięty umykał całą noc i cały dzień przez porośnięte lasem wzgórza na południe.

Teraz wilki znów go doganiały.

Mroźne górskie powietrze paliło żywym ogniem pracujące jak miechy płuca Conana. Ołowiane nogi poruszały się miarowo bez udziału świadomości. Za każdym krokiem jego obute w sandały stopy zapadały się z cichym chlupnięciem w namokniętą ziemię. Wiedział, że z gołymi rękami nie ma żadnej szansy przeciwko tuzinowi szarych zabójców, ale biegł dalej, nie zatrzymując się. Posępna natura Cymmerianina nie dopuszczała myśli o poddaniu się losowi, nawet w obliczu nieuchronnej śmierci.

Znów zaczął sypać śnieg, duże, mokre płatki opadały ze słabym, lecz dającym się słyszeć szelestem, znacząc wilgotną ziemię i strzeliste świerki miriadami białych plam. Tu i tam z dywanu igieł sterczały wielkie głazy, kraina stawała się coraz bardziej górzysta i skalista. Te głazy były jedyną nadzieją Conana, który zamierzał oprzeć się o skałę i zabezpieczywszy się w ten sposób przed atakiem z tyłu, stanąć do ostatniej walki. Niewielką miał nadzieję na wyjście z życiem z opresji – dobrze znał szybkość i siłę stalowych szczęk tych żylastych, stufuntowych ciał – ale lepsza taka szansa niż żadna.

Las rzedniał w miarę jak zbocze stawało się bardziej strome. Conan popędził ku grupie skał wznoszących się na stoku, jak brama jakiegoś zasypanego grodu. W tej samej chwili wilki wypadły z leśnej gęstwiny i pognały za nim, wyjąc jak piekielne demony, triumfujące nad potępioną duszą.

2. Skalne komnaty

Przez biały zamęt sypiącego śniegu młodzieniec dojrzał ziejący czernią otwór między dwoma potężnymi blokami skalnymi i pomknął w tym kierunku. Kiedy dobiegał do wąskiej, ciemnej szczeliny, wilki następowały mu już na pięty – zdawało mu się, że na gołych nogach czuje ich gorące, smrodliwe oddechy. Wcisnął się w otwór w momencie, gdy przodownik stada skoczył na niego. Ociekające śliną kły chwyciły powietrze – Conan był bezpieczny. Ale na jak długo?

Schyliwszy się, macał dookoła siebie w ciemności, szukając na chropowatej, kamiennej podłodze czegoś, czym mógłby odeprzeć wyjącą hordę. Na zewnątrz słychać było dreptanie łap po świeżym śniegu, skrobanie pazurów o kamień i ciężkie dyszenie zziajanych tak jak i on wilków. Wygłodniałe, żądne krwi zwierzęta skomliły czując jego zapach, lecz żadne nie próbowało dostać się do środka. I to wydawało się dziwne.

Ciemności, panujące w niewielkiej, skalnej komnacie rozpraszało tylko słabe światło wpadające przez otwór wejściowy. Nierówną podłogę pokrywały śmieci naniesione tu w ciągu długich lat przez wiatr, ptaki i zwierzęta – zeschłe liście, igliwie, suche gałązki, nieco rozsypanych drobnych kości, kamyków i okruchów skały. Nie znalazł niczego, ci mogłoby posłużyć za broń.

Prostując się na całą wysokość swej mierzącej już ponad sześć stóp postaci, młodzian zaczął badać ściany wyciągniętą ręką. Wkrótce znalazł przejście wiodące gdzieś dalej, w smolisty mrok. Macając krawędzie otworu stwierdził, że ma on regularny kształt i odkrył ślady dłuta na kamiennej framudze, układające się w tajemnicze znaki jakiegoś nieznanego pisma. Nieznanego przynajmniej młodemu barbarzyńcy z północy, który nie umiał ani czytać, ani pisać i wręcz pogardzał takimi umiejętnościami, uważając je za objaw zniewieściałości.

Musiał się zgiąć wpół, by przecisnąć się przez niskie drzwi, ale przeszedłszy przez nie mógł znowu stanąć wyprostowany. Zatrzymał się, nasłuchując czujnie. W otaczającej go ciszy i ciemności instynktownie wyczuł czyjąś obecność. Chociaż napięte zmysły nie dostarczały mu żadnych wskazówek, miał dziwne wrażenie, że nie jest sam w komnacie.

Wytężając wyćwiczony w leśnej głuszy słuch doszedł do wniosku, że pomieszczenie, w jakim się znalazł, jest o wiele większe od pierwszego. Wokół unosił się zaduch nagromadzonego przez wieki kurzu i nietoperzych odchodów. Ostrożnie stawiając stopy napotykał porozstawiane tu i tam przedmioty i chociaż ich nie widział, wydawały mu się sprzętami wykonanymi przez człowieka.

Zrobił jeden zbyt szybki krok w kierunku ściany, potknął się o coś i kiedy upadł, przedmiot rozleciał się z trzaskiem pod jego ciężarem. Ostra drzazga zarysowała mu skórę, dodając następne zadrapanie do skaleczeń spowodowanych przez świerkowe igły i wilcze kły. Klnąc, podniósł się i pomacał połamane szczątki. To było krzesło, tak zbutwiałe, że drewno kruszyło się w palcach.

Dalsze badania prowadził z większą ostrożnością. Wyciągając ręce natrafił na inny, większy przedmiot, w którym niebawem rozpoznał wojenny rydwan. Szprychy przegniły i koła załamały się, tak że wóz leżał na podłodze wśród fragmentów podwozia i kawałków obręczy. Błądzące palce Conana dotknęły zimnego metalu – najwidoczniej zardzewiałego, żelaznego okucia rydwanu. To nasunęło mu pomysł. Odwrócił się i wymacując sobie drogę powrócił do przedsionka. Zebrał garść suszu i kilka skalnych odłamków. Ponownie wszedł do komnaty i ułożywszy małą kupkę z chrustu i liści uderzył żelazem o kamień. Po kilku nieudanych próbach z kolejnego kamienia trysnęły jasne iskry. Za chwilę w komnacie płonęło małe ognisko podsycane resztkami połamanego krzesła i drewnianymi kawałkami rydwanu. Teraz mógł odpocząć po straszliwym wyścigu i ogrzać zdrętwiałe członki. Żwawo trzaskające płomienie powstrzymają wciąż kręcące się przed wejściem wilki, które, chociaż zwykle niechętnie rezygnują ze zdobyczy, nie próbowały wtargnąć do ciemnej jaskini. Ciepły, żółty blask ognia tańczył po ścianach z topornie ociosanego kamienia. Conan rozejrzał się wokół. Pomieszczenie miało kształt prostokąta i było znacznie większe niż pierwotnie przypuszczał. Wyniosły strop ginął w głębokim cieniu i zasłonach pajęczyn. Pod ścianami stało kilka krzeseł i parę kufrów ze strojami i bronią, których otwarte wieka ukazywały zakurzoną zawartość. W wielkiej, kamiennej komnacie roztaczała się woń śmierci i stęchlizny.

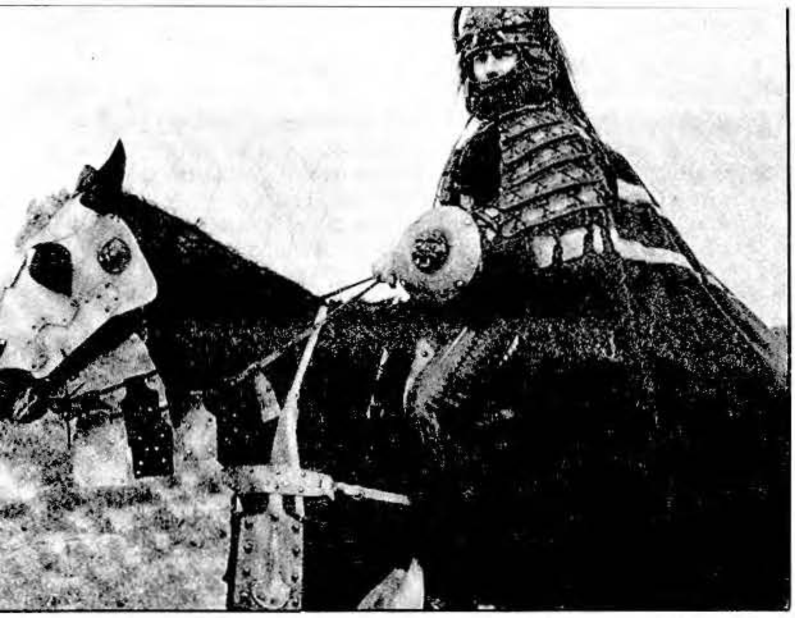
Nagle dreszcz przebiegł Conanowi po plecach – w odległym kącie pomieszczenia, na ogromnym kamiennym tronie siedział nagi olbrzym z obnażonym mieczem na kolanach. W migocącym blasku płomieni trupia czaszka spoglądała pustymi oczodołami na młodego Cymmerianina. Chude jak patyki kończyny były brązowe i wyschnięte, a ciało na potężnej piersi skurczone i popękane przywarło w strzępach do odsłoniętych żeber. Conan wiedział, że nagi gigant nie żyje od wielu wieków, lecz świadomość tego nie zmniejszała przerażenia młodzieńca. Nieustraszony w starciu z człowiekiem czy zwierzęciem, nie obawiał się bólu i śmierci z rąk wrogów. Jednak jako barbarzyńca z dzikiej Cymmerii lękał się nadprzyrodzonych mocy, demonów i potwornych stworów Odwiecznej Nocy i Chaosu, jakimi jego prymitywny lud zapełniał ciemności za kręgiem obozowych ognisk. Conan wolałby stawiać czoła głodnym wilkom niż pozostawać tutaj z martwym, spoglądającym na niego ze skalnego tronu zapadniętymi oczodołami, w których drżący odblask ogniska, ożywiając wyschnięte oblicze trupa, poruszał mroczne cienie.

3. Miecz

Krew zastygła młodzieńcowi w żyłach i włosy zjeżyły mu się na głowie, ale wziął się w garść. Odsyłając w duchu wszystkie przesądy do diabła, podszedł na sztywnych nogach do tronu, by przyjrzeć się z bliska zmarłemu. Tron – solidny blok szklistego ciemnego kamienia, ociosanego z grubsza na kształt fotela – stał na niskim postumencie. Olbrzym musiał umrzeć siedząc na nim albo został tam posadzony po śmierci. Jeżeli nosił kiedyś jakąś odzież, to już dawno zbutwiała i rozsypała się w proch. Mosiężne zapinki i resztki zbroi nadal leżały u jego stóp. Szyję otaczał naszyjnik z nieoszlifowanych bryłek szlachetnego kruszcu, a na szponiastych dłoniach, ściskających poręcze tronu, błyszczały złote pierścienie. Zwieńczony rogami hełm z brązu, pokryty teraz zieloną warstwą tłustej śniedzi, chronił wyschniętą czaszkę budzącej grozę postaci. Mimo żelaznych nerwów Conan z trudem zmusił się, by spojrzeć w tę zniszczoną przez czas twarz. Zapadnięte oczy trupa zostawiły dwie czarne jamy, a łuszcząca się skóra wyschniętych warg obnażyła pożółkłe, wyszczerzone w ponurym uśmiechu zęby.

Kim był zmarły? Starożytnym wojownikiem, wielkim wodzem budzącym strach za życia i czczonym po śmierci? Nikt nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Blisko sto ras wędrowało i władało tym górzystym pograniczem, od czasu kiedy Altantyda zapadła się w szmaragdowe fale Zachodniego Oceanu osiem tysięcy lat wcześniej. Sądząc po zwieńczonym rogami hełmie, trup mógł być wodzem pierwotnych Vanirów lub Aesirów, albo królem jakiegoś zapomnianego, prymitywnego szczepu Hyborian, od dawna pochłoniętego przez mroki czasu i pogrzebanego przez pył wieków.

Spojrzenie Conana padło na wielki miecz, leżący na kolanach trupa. Była to przerażająca broń – szeroką klingę o blisko metrowej długości wykuto z hartowanej stali – nie z miedzi czy brązu, jak można by się spodziewać ze względu na wiek oręża. Mógł to być pierwszy stalowy brzeszczot wykonany ręką ludzką; cymmeriańskie legendy wspominały o dniach, gdy sieczono się i kłuto czerwonym spiżem, nie znając tajemnicy wyrobu żelaznych przedmiotów. Ten miecz w zamierzchłej przeszłości musiał być świadkiem wielu bitew – mówiła o tym jego szeroka klinga, wciąż ostra, lecz poszczerbiona w licznych miejscach, gdzie z brzękiem spotkała się niegdyś z ostrzami innych mieczy i toporów. Pociemniały ze starości, poplamiony rdzą oręż nadal budził respekt. Cymmerianinowi mocniej zabiło serce – w jego żyłach płynęła krew pokoleń wojowników.



Na Croma, co za miecz! Z taką bronią mógł stawić czoła nie tylko stadu wygłodzonych wilków. Chwytając rękojeść pożądliwą ręką nie dostrzegł ostrzegawczego błysku w ciemnych oczodołach starożytnego wojownika. Conan zważył miecz w ręku. Oręż z Dawnych Wieków wydawał się ciężki jak ołów. Może w przeszłości nosił go jakiś legendarny król-heros, jak Kull Atlantyda – król Valuzji w czasach, nim skryła ją zielona toń... Młodzieniec poczuł jak wzbiera w nim siła, a serce bije szybciej przepełnione dumą posiadania. Zamachnął się. Bogowie, co za broń! Wojownik z takim mieczem jest godzien każdego zaszczytu! Mając taki oręż nawet półnagi młody barbarzyńca z surowej, dzikiej Cymmerii może wywalczyć sobie drogę przez zastępy wrogów i przebrnąwszy przez rzeki posoki zająć poczesne miejsce w panteonie władców!

Stanął z dala od tronu, tnąc i dźgając powietrze ostrą stalą, oswajając się z dotykiem zniszczonej przez czas rękojeści. W zadymionym pomieszczeniu rozległ się jedynie świst rozcinanego powietrza, a migoczące światło ogniska odbijało się skrzącymi promieniami od powierzchni ostrza, rzucając małe, złote błyski na kamienne ściany. Z taką bronią nie obawiał się nawet armii wojowników!

Conan nabrał tchu w piersi i wydał dziki okrzyk wojenny swego ludu. Krzyk odbił się grzmiącym echem po komnacie pełnej tajemniczych cieni i zestarzałego kurzu. Cymmerianin nie pomyślał, że gromkie wyzwanie rzucone w takim miejscu mogło obudzić nie tylko śpiące nietoperze, lecz również coś, co według wszelkich praw powinno spoczywać w spokoju przez nadchodzące wieki.

Nagle młodzieniec zastygł w niedokończonym geście, słysząc dziwny, suchy chrzest, dobiegający z tej części komnaty, gdzie stał tron. Młody barbarzyńca odwrócił się wolno, spojrzał... i serce w nim zamarło, a lodowaty dreszcz strachu przebiegł mu po krzyżu. Wszystkie nocne koszmary i przesądne lęki obudziły się w jego duszy, napełniając ją szaleństwem i grozą. Trup ożył.

4. Spotkanie

Powoli, konwulsyjnymi ruchami, trup podniósł się ze swego kamiennego fotela i spojrzał na intruza pustymi oczodołami, które zdawały się jarzyć zimnym, nienawistnym spojrzeniem. Dzięki tajemniczej sztuce pradawnych czarnoksiężników, życie wciąż tliło się w wysuszonej mumii starego wodza. Obnażone szczęki rozchyliły się i zamknęły w przerażającej parodii mowy. Conan usłyszał tylko suchy chrzest, z jakim resztki mięśni i ścięgien tarły o siebie. Ta bezgłośna imitacja mowy przeraziła młodzieńca bardziej niż fakt, że martwy ożył i poruszał się.

Szkielet zstąpił z postumentu i zwrócił się ku Cymmerianinowi. Puste oczodoły wypełniły się nagle krwawym blaskiem, gdy ich spojrzenie padło na wielki miecz. Krocząc niezdarnie mumia ruszyła przez komnatę w kierunku Conana, jak uosobienie grozy, jak demon z majaczeń szaleńca, wyciągając kościste szpony, by odebrać swoją własność.

Przejęty zabobonnym lękiem młodzian cofał się krok za krokiem przed zbliżającym się olbrzymem. Płomienie ogniska rzucały na pobliską ścianę czarny, potworny cień szkieletu, drgający na chropowatej skale. Panującą w grobowcu ciszę zakłócał tylko syk ognia, pożerającego resztki drewnianego krzesła, chrzest wyschniętych mięśni zbliżającego się trupa i ciężki oddech przerażonego, z trudem chwytającego powietrze Conana. Mumia przyparła intruza do ściany i wyciągnęła drżącą brązową rękę.

Odruchowo, instynktownie, młody barbarzyńca uderzył. Rozległ się świst i z trzaskiem, przypominającym odgłos łamanej gałęzi stalowe ostrze odrąbało wyciągnięte ramię. Odcięta ręka upadła z suchym grzechotem na podłogę nadal zaciskając palce; z kikuta wyschniętego przedramienia nie trysnęła nawet kropla krwi.

Straszliwa rana, jaka powaliłaby każdego śmiertelnika, nie powstrzymała trupa, który cofnął okaleczoną rękę i wyciągnął drugą. Oszalały Conan skoczył na napastnika wymierzając zamaszyste, potężne ciosy. Jeden z nich trafił w bok mumii. Pod ostrzem miecza żebra trzasnęły jak gałązki i olbrzym upadł z łoskotem. Młodzieniec stał na środku kamiennej komnaty dysząc ciężko i ściskając wyślizganą rękojeść w spotniałej dłoni patrzył rozszerzonymi oczyma na trupa, który wolno dźwignął się na nogi i wyciągając szponiastą dłoń zbliżał się znowu.

5. Pojedynek

Rozpoczęły się śmiertelne zmagania. Conan uderzał ze wszystkich sił, lecz musiał cofać się krok po kroku przed niepowstrzymanym pochodem wciąż następującego przeciwnika. Nagle mumia gwałtownym ruchem cofnęła ramię przed ciosem i impet wytrącił Cymmerianina z równowagi. Nim ją odzyskał, trup chwycił kościstą ręką za fałdy tuniki i zerwał z niego postrzępioną szatę, zostawiając go nagim prócz sandałów i przepaski na biodrach.

Conan odskoczył i wymierzył potężne uderzenie w głowę monstrum. Mumia znów uchyliła się i ponownie młody barbarzyńca z trudem wywinął się z uścisku. W końcu silny cios trafił w hełm przeciwnika, odcinając jeden z wieńczących go rogów. Następny – i hełm z brzękiem potoczył się po podłodze w kąt komnaty. Kolejne uderzenie spadło na wyschniętą, ohydną czaszkę. Ostrze utkwiło na moment w kości i to prawie zgubiło Conana – czarne pazury sięgnęły jego szyi, rozdzierając skórę, gdy gwałtownie wyrwał wbitą broń.

Jeszcze raz trafił mumię w żebra i znów ostrze zakleszczyło się w kręgach. I tym razem udało mu się je wyszarpnąć. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zatrzymać napastnika. Nie sposób przecież zranić trupa! Szkielet chwiał się, ale ciągle nacierał, nie znając zmęczenia ani słabości, chociaż rany, jakie odniósł, powaliłyby tuzin krzepkich wojowników.

Jak można zabić martwego? – to pytanie tłukło się pod czaszką bliskiego szaleństwa Conana. Zadawał je sobie raz po raz, siekąc i rąbiąc ze wszystkich sił. Serce waliło mu jak młotem, płuca pracowały jak miechy, lecz jego ciosy nie wywierały żadnego wrażenia na milczącym przeciwniku.

Wreszcie barbarzyńca przywołał na pomoc cały swój spryt. Pomyślawszy, że okulawiona mumia nie będzie mogła go ścigać, wymierzył nagły, zamaszysty cios w kolano trupa. Trzasnęła kość i szkielet upadł, ale w wyschniętej piersi kryła się nadnaturalna moc. Czołgając się po kamiennej podłodze mumia znowu dźwignęła się na nogi i ruszyła do młodzieńca powłócząc okaleczoną kończyną.

Conan uderzył, utrącając dolną szczękę, która z grzechotem potoczyła się po komnacie. Trup nawet się nie zatrzymał. W niestrudzonym, miarowym pochodzie wciąż następował na intruza, chociaż poniżej płonących niesamowitym blaskiem oczodołów dolna część czaszki była teraz zaledwie masą białych, potrzaskanych kości. Conan zaczynał żałować, że wilcze stado nie dopadło go, zanim zdążył schronić się w tej przeklętej krypcie, której zmarły przed wiekami mieszkaniec był wciąż żywy i niebezpieczny.

Nagle coś chwyciło go za nogę. Straciwszy równowagę, runął jak długi na nierówną kamienną podłogę, wierzgając wściekle, by uwolnić się z uchwytu kościstych palców. Spojrzał i zamarł na

Linwood Vrooman CARTER

Urodził się w roku 1930 w Stanach Zjednoczonych. Debiutował w magazynie „If" artykułami krytycznymi o międzynarodowych fandomach science fiction. Był wydawcą serii fantasy dla dorosłych w wydawnictwie Ballantine (m.in. tekstów Mac Donalda, George Meredith, Lorda Dunsany), opracował wiele antologii fantasy. Razem z Lyonem Sprague de Camp kontynuował niezwykle popularną odmianę „heroic fantasy" zapoczątkowaną przez Roberta E. Howarda – cykl utworów poświęcony bohaterskiemu barbarzyńcy Conanowi. W latach 1965 – 1978 opublikował ponad 50 tytułów z gatunków fantasy, które przyniosły mu sławę jednego z czołowych autorów w Stanach Zjednoczonych. Najważniejsze powieści Cartera to: **„Under the Green Star"** (1972), **„When the Green Star Calls"** (1973), **„By the Light of the Green Star"** (1974), **„As the Green Star Rises"** (1975), **„In the Green Star's Glow"** (1976) – pięciotomowa historia przygód bohatera o ogromnej sile fizycznej, który wykorzystuje swoją magiczną moc w walce z tajemniczymi mieszkańcami innych planet.

(an)

chwilę, gdy zobaczył uczepioną jego kostki, odrąbaną dłoń trupa. Wyschnięte szpony wbiły się głęboko w ciało.

Olbrzymia, siejąca grozę i szaleństwo postać pochyliła nad nim swą strzaskaną twarz i z szyderczym grymasem wyciągnęła rękę ku gardłu ofiary.

Conan instynktownie z całej siły kopnął obiema nogami w skurczony brzuch trupa wyrzucając go w powietrze. Z głośnym trzaskiem olbrzym upadł - prosto w ognisko. Cymmerianin chwycił odciętą rękę, wciąż ściskającą jego kostkę, oderwał ją, skoczył na nogi i cisnął kończynę w ślad za resztą zwłok. Pochylił się, porwał upuszczony w czasie upadku miecz i rzucił się w kierunku ogniska - by stwierdzić, że bitwa zakończona.

Wysuszone przez niezliczone stulecia kości płonęły gwałtownie, jak suchy chrust. Nadnaturalne życie jeszcze nie opuściło trupa - wyprostował się z wysiłkiem i wtedy płomienie ogarnęły cały jego szkielet, przeskakując z kości na kość, zmieniając go w żywą pochodnię. Już prawie udało mu się wygramolić z ognia, gdy nagle okaleczona noga ugięła się pod nim i olbrzym runął z powrotem w ognisko. Płonące ramię uniosło się i opadło jak ułamana gałąź, czaszka potoczyła się między węgle i po kilku chwilach ogień pochłonął mumię zupełnie, pozostawiając jedynie kilka rozżarzonych węgielków i garstkę popiołu.

6. Decyzja

Conan z przeciągłym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc i ponownie nabrał tchu. Napięcie opuściło go, pozostawiając w całym ciele uczucie zmęczenia. Wytarł zimny pot z czoła i przegładził palcami czarne włosy. Oto wojownik był w końcu naprawdę martwy i wielki miecz należał do zwycięzcy. Jeszcze raz zważył oręż w ręku, ciesząc się jego ciężarem i mocą.

Śmiertelnie utrudzony, zastanowił się nad spędzeniem nocy w krypcie. Na zewnątrz czekały na niego wilki i mróz, a nawet instynktowne wyczucie kierunku nie uchroni go przed zbłądzeniem na obcej ziemi w bezgwiezdną noc. Po krótkim namyśle zdecydował się. Wypełniona dymem komnata śmierdziała już nie tylko stęchlizną, ale także dziwnym, budzącym odrazę odorem spalonego ciała. Pusty tron zdawał się spoglądać szyderczo na młodego Cymmerianina, który wciąż miał to niesamowite wrażenie czyjejś obecności, jakie odniósł, gdy po raz pierwszy wszedł do grobowca. Na myśl o noclegu w tym nawiedzonym miejscu czuł lodowate palce strachu pełznące po plecach.

Nowa broń napełniła go otuchą. Wypiął pierś i ze świstem przeciął ostrzem powietrze. Po chwili wynurzył się z otworu wejściowego, otulony w stare futro, wyjęte z jednej ze skrzyń, trzymając pochodnię w jednej, a miecz w drugiej ręce.

Po wilkach nie było śladu. Spoglądając w górę, Conan zobaczył rozpogadzające się niebo. Przez chwilę wpatrywał się w gwiazdy, błyskające wśród pochmurnego jeszcze nieboskłonu i znów skierował swoje kroki na południe.

Przełożyli: **Zbigniew A. Królicki**
Robert J. Szmidt

Lyon SPRAGUE DE CAMP

Urodził się w roku 1907 w Nowym Yorku. Był pracownikiem naukowym, inżynierem, agentem reklamowym, ale przede wszystkim dał się poznać jako autor i wydawca SF. Pierwsze opowiadanie **„The Isolinquals"** opublikował w roku 1937 w magazynie „Astounding". Szybko jednak zaczął pisać powieści (początkowo z Fletcherem Prattem i P. Schuylerem Millerem). Swoje teksty drukował w magazynie „Unknown" Johna W. Campbella. Był również autorem książek popularno-krytycznych **„Great Cities of the Ancient World", „The Ancient Engineers",** napisał biografię Lovecrafta (1975). Zainteresowania Sprague de Campa problematyką fantasy przywiodły go do kontynuacji modelu prozy Roberta R. Howarda, który w latach trzydziestych opublikował ponad 100 opowiadań w magazynach „Weird Tales", „Magic Carpet", „Strange Detective Stories", „Sprey Adventure Stories". Współpracując z Linwoodem Carterem L. Sprague de Camp stworzył wiele opowiadań o podobnej tematyce, kontynuując znaną serię przygód herosa Conana (m.in. **„Conan the Freebooter", „Conan the Wanderer", „Conan the Adventurer", „Conan the Avenger", „Conan the Usurper", „Conan of the Isles").** W sumie Sprague de Camp opublikował ponad 60 książek; do jego najsłynniejszych utworów należą: **„Lest Darkness Fall"** (1939), **„The Clocks of Iron** (1971), **„The Tower of Zanid"** (1958). Jest także twórcą około 350 artykułów i opowiadań zamieszczanych w ponad 80 periodykach. Jego utwory były przekładane na wiele języków. Za swoją działalność otrzymał: „International Fantasy Award" za książkę „Lands Beyond" (1953 - współautor Willy Ley), „Cleveland SF Award" za **„Tales From Caragan's Bar"** (1953 - współautor Fletcher Pratt), „Athenaeum of Philadellia Fiction Award" za książkę **„An Elephant For Aristotle"**(1959), „Gandalph Award" (1976), „J. R. R. Tolkien Award" (1976) za osiągnięcia w dziedzinie fantasy i w 1979 - „Nebula Award" za całokształt pracy literackiej (kategoria: „Grand Master Award").

(an)

Robert E. Howard

Wieża słonia

(The Tower of Elephant)

Ze zdobytym mieczem u boku Conan podąża wciąż na południe, przez dzikie góry, oddzielające wschodnie kraje hyperboriańskie od stepów Turanu, aż w końcu dociera do Arenjunu, słynnego zamorańskiego „Miasta Złodziei". Tam, nieobyty z cywilizacją i z natury niechętnie odnoszący się do prawa barbarzyńca osiąga - a raczej wywalcza sobie, pozycję zawodowego złodzieja w społeczeństwie, w którym kradzież jest sztuką i tytułem do chwały. Ze względu na młody wiek i brak doświadczenia Cymmerianin z początku nie odnosi większych sukcesów w nowym zawodzie.

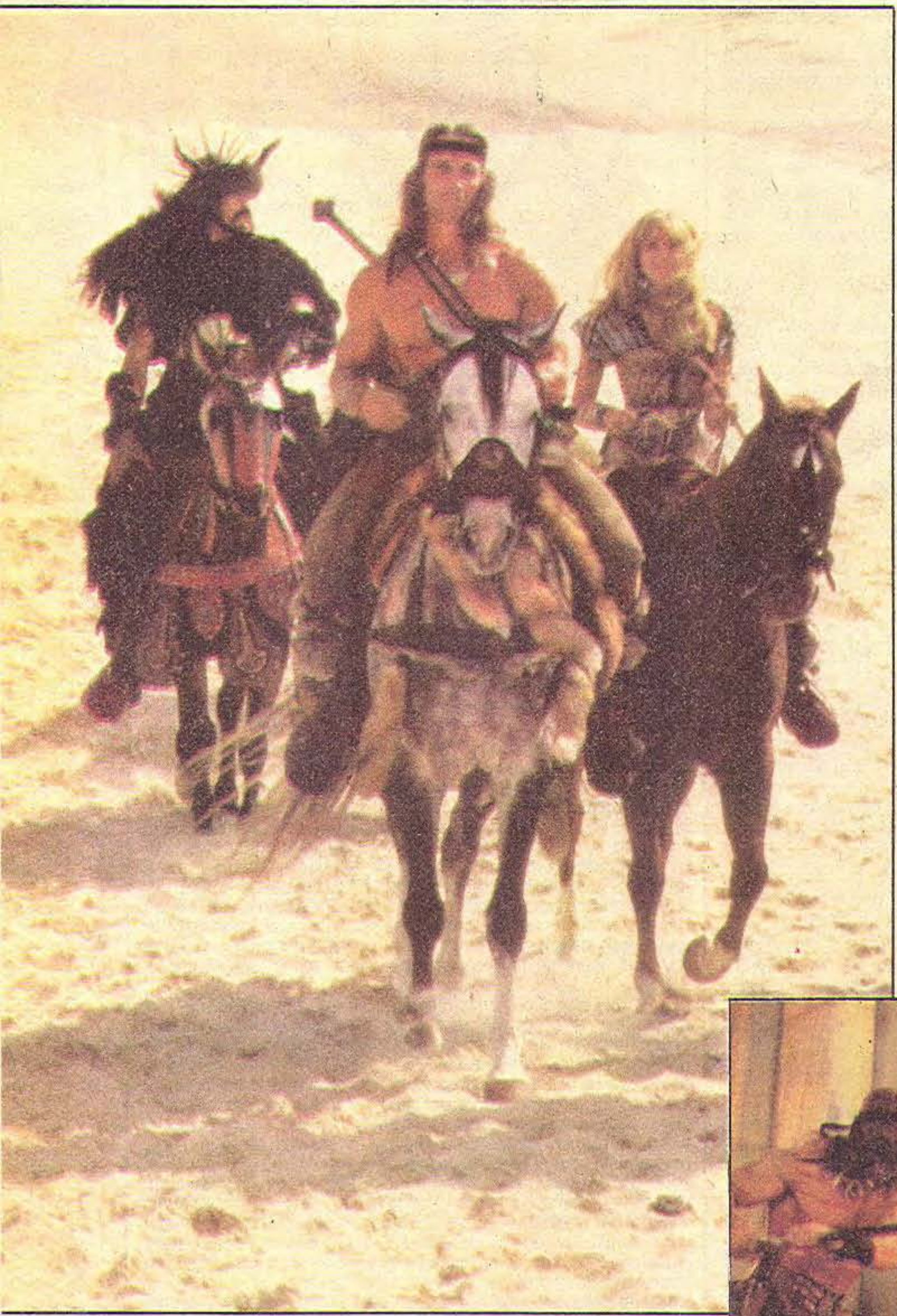
Pochodnie rzucały przyćmiony blask na wąskie uliczki Maul, gdzie złodzieje z całego Wschodu hulali do białego dnia. W Maul mogli szaleć i hałasować do woli, bo uczciwi ludzie unikali tej dzielnicy, a nocne straże, sowicie opłacane splamionymi krwią pieniędzmi, nie wtrącały się do ich zabaw. Krętymi ulicami bez trotuarów, pokrytymi stertami odpadków, pełnymi błotnistych kałuż, przetaczał się zgiełkliwy, pijany tłum. Z mrocznych zaułków dobiegały przenikliwe śmiechy kobiet, odgłosy szarpaniny, czasem brzęk stali. Przez szeroko otwarte okna i drzwi wydostawało się światło świec, dolatywał kwaśny odór wina i spoconych ciał, łomot kufli i pięści, tłukących o toporne stoły oraz zapierające dech w piersiach strzępy sprośnych piosenek.

W jednej z takich rozbrzmiewających gwarem spelunek, pod niską okopconą powałą zebrali się obwiesie wszelkiej maści: drobni łotrzykowie, przebiegli porywacze, złodzieje o zręcznych palcach i chełpliwi awanturnicy ze swymi krzykliwie odzianymi dziewkami o piskliwych głosach. Wśród rzezimieszków przeważali tubylcy - ciemnoskórzy, czarnoocy Zamoranie, noszący sztylety u pasa i zdradę w sercu - lecz nie brakło tu też zbójców z pół tuzina odległych krain. Był małomówny, groźny olbrzym - hyperborejski renegat z szablą o szerokiej klindze u boku - w Maul broń noszono otwarcie. Był shemicki fałszerz z haczykowatym nosem i kędzierzawą kruczoczarną brodą. Bezwstydna dziewka z Brythunii siedziała na kolanach brązowowłosego Gundermana - najemnika i włóczęgi, dezertera z jakiejś pobitej armii. Tłusty rubaszny łotr, którego sprośne żarty wywoływały śmiech zebranych, był zawodowym porywaczem, przybyłym z odległego Koth, by pokazać Zamoranom, jak się kradnie kobiety. Nie zdawał sobie sprawy, że tubylcy rodzili się, wiedząc o tym więcej niż on nauczył się przez całe życie. Właśnie przerwał opisywanie wdzięków dziewczyny, którą zamierzał porwać i zanurzył swój opasły pysk w ogromnym kuflu pienistego piwa. Pociągnął tęgi łyk i zdmuchując pianę z wydętych warg powiedział:

- Na Bela, boga wszystkich złodziei, pokażę im jak się kradnie dziewki! Jeszcze przed świtem przewiozę ją przez granicę Zamory, a tam będzie czekała karawana, by ją odebrać. Książę Ophiru obiecał mi trzysta sztuk srebra za młodą, gładką Brythunkę szlachetnego rodu. Przez kilka tygodni wędrowałem jako żebrak po nadgranicznych miastach, szukając odpowiedniej kobiety. Znalazłem naprawdę piękną sztukę!

Wysłał obleśny całus w powietrze.

- Znam w Shemie takich, którzy nie zamieniliby jej nawet na tajemnicę Wieży Słonia! - powiedział wracając do swego piwa. Ktoś pociągnął go za rękaw i tłusty obwieś odwrócił głowę, marszcząc się groźnie. Zobaczył stojącego obok wysokiego, silnie zbudowanego młodzieńca. Przybysz wyróżniał się wśród zgromadzonej w spelunce gawiedzi, jak szary wilk wśród stada nędznych kundli. Tania tunika nie ukrywała potężnych mięśni, ciasno opinając szerokie bary i masywny tors właściciela. Pod spadającą na czoło strzechą czarnych, rozwichrzonych włosów niebieskie oczy spoglądały przenikliwie z opalonej na brąz twarzy. Młodzieniec nosił u pasa długi miecz w wytartej skórzanej pochwie. Kothianin cofnął się bezwiednie - przybysz nie należał do żadnej ze znanych mu, cywilizowanych ras.



– Mówiłeś o Wieży Słonia – powiedział obcy po zamorańsku z silnym cudzoziemskim akcentem. – Wiele o niej słyszałem. Co to za tajemnica?

W zachowaniu młodzieńca Kothianin nie wyczuwał żadnej groźby, a wypite piwo i wyraźna aprobata słuchaczy dodały mu odwagi. Rozpierało go poczucie własnej ważności.

– Tajemnica Wieży Słonia? – wykrzyknął. – Ba, nawet dziecko wie, że zamieszkuje w niej kapłan Yara, który posiada olbrzymi kamień zwany Sercem Słonia, zapewniający mu magiczną moc!

Barbarzyńca przetrawiał przez chwilę te informacje.

– Widziałem tę wieżę – powiedział w końcu. – Stoi w rozległym ogrodzie, otoczonym wysokim murem. Nie widziałem żadnych strażników, a mur wydaje się nietrudny do przejścia. Dlaczego jeszcze nikt nie ukradł tego tajemniczego klejnotu?

Kothianin rozdziawił usta, zadziwiony prostodusznością pytającego, a później wybuchnął szyderczym śmiechem, do którego przyłączyli się wszyscy zebrani.

– Słuchajcie no tego poganina! – zagrzmiał. – On chciałby ukraść klejnot Yary! Słuchaj, chłopcze – rzekł zwracając się do przybysza. – Sądzę, że jesteś barbarzyńcą z północy...

– Jestem Cymmerianinem – odparł młodzian niezbyt przyjacielskim tonem.

Ta odpowiedź i jej ton niewiele znaczyły dla Kothianina, który pochodził z królestwa leżącego daleko na południe, u granic Shemu i mało wiedział o ludach północy.

Więc nastaw ucha i naucz się czegoś, chłopcze – powiedział wskazując kuflem na zmieszanego młodzieńca. – Wiedz, że w Zamorze, a szczególnie w tym mieście, jest więcej zuchwałych złodziei niż gdziekolwiek na świecie, nawet w Koth. Gdyby zwykły śmiertelnik mógł ukraść klejnot, bądź pewien, że już dawno ktoś by go zwędził. Chciałbyś przejść przez mur, ale gdybyś to zrobił, natychmiast zapragnąłbyś wrócić z powrotem. Z pewnej istotnej przyczyny w ogrodach nie ma nocnych straży – to znaczy nie pilnują ich ludzie, ale w dolnej części wieży, w wartowni, jest wielu zbrojnych. Nawet gdyby udało ci się ominąć pilnujące ogrodu zwierzęta, musiałbyś jeszcze przedrzeć się przez żołnierzy, bo klejnot znajduje się gdzieś w górnej części wieży.

– Lecz gdyby ktoś zdołał przejść przez ogrody – upierał się Cymmerianin – dlaczego nie miałby dostać się do wieży od góry omijając w ten sposób straże?

Kothianin ponownie rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Słuchajcie no tylko! – krzyknął drwiąco. – Ten barbarzyńca to orzeł, który dofrunie do wysadzanej klejnotami krawędzi wieży, zaledwie sto pięćdziesiąt stóp nad ziemią – a może mucha, która potrafi wspiąć się tam po okrągłej, gładszej niż polerowane szkło ścianie!

Zaambarasowany Cymmerianin spojrzał gniewnie wokół, gdy słuchacze skwitowali ostatnią uwagę wybuchem szyderczego śmiechu. On nie widział w tym nic śmiesznego, a nie był jeszcze na tyle obyty z cywilizacją, by zrozumieć, że stał się przedmiotem drwin. Cywilizowani ludzie są z reguły bardziej nieuprzejmi niż dzicy, ponieważ wiedzą, że mogą być niegrzeczni, nie przypłacając tego rozłupaną czaszką. Zmieszany i dotknięty młodzian niewątpliwie umknąłby chyłkiem, lecz Kothianin najwidoczniej postanowił dalej bawić się jego kosztem.



– No, no! – zakrzyknął. – Powiedz tym niedołęgom, którzy byli złodziejami już w dniu twych narodzin, powiedz im, jak ty ukradłbyś klejnot!

– Zawsze jest jakiś sposób, jeżeli chęć idzie w parze z odwagą – odparł krótko rozdrażniony Cymmerianin.

Kothianin potraktował to jako osobistą zniewagę. Jego twarz poczerwieniała z gniewu.

– Co?! – ryknął. – Ośmielasz się nas pouczać i dawać do zrozumienia, że jesteśmy tchórzami? Zjeżdżaj stąd – zejdź mi z oczu!

To mówiąc gwałtownie popchnął Cymmerianina.

– Będziesz mnie wyśmiewał i popychał? – zgrzytnął zębami barbarzyńca i w nagłym porywie wściekłości wymierzył dręczycielowi silny policzek, powalając go na toporny stół. Piwo trysnęło z kufli, a rozjuszony Kothianin z rykiem chwycił za miecz.

– Pogański psie! – zagrzmiał. – Wyrwę ci za to serce!

Błysnęła stal i zgromadzeni poczęli umykać pospiesznie pod ściany. Uciekający przewrócili jedyną świecę i spelunka pogrążyła się w ciemnościach przeszywanych przez trzask wywracanych ław, tupot nóg, wrzaski i przekleństwa zderzających się ze sobą ludzi. Przeraźliwy krzyk zakończony jękiem agonii przeciął

hałas jak nożem. Kiedy ponownie zapalono świece okazało się, że większość gości umknęła przez wybite okna i drzwi, a pozostali kulili się za rzędami beczułek z winem i pod stołami. Barbarzyńca zniknął; na środku sali został tylko Kothianin. Był martwy – Cymmerianin z niezawodnym wyczuciem zabił go w ciemnościach i zamieszaniu.

Przyćmione światła i pijackie wrzaski pozostały daleko w tyle. Cymmerianin odrzucił rozdartą tunikę i szedł przez nocny mrok nago, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach i rzemiennych sandałów. Szedł cicho, zwinny i groźny jak wielki kot, a żelazne mięśnie grały pod jego brązową od słońca skórą. Dotarł do części miasta, zajmowanej przez świątynie. Nie zwracał na nie uwagi. Ze wszystkich stron przybytki niezliczonych, dziwnych bogów Zamory lśniły bielą marmurowych kolumn, złotem kopuł i srebrem wyniosłych arkad. Wiedział, że religia zamorańska, jak wszystko, co dotyczyło tego starożytnego, osiadłego tu od dawna ludu, była zawiła i zagubiła większość swej pierwotnej istoty w labiryncie formuł i nakazów. Pewnego razu przez długie godziny przysłuchiwał się dyskusji uczonych mężów – teologów i filozofów – aż wreszcie odszedł oszołomiony, święcie przekonany, że wszyscy oni są stuknięci.

Jego religia była prosta i łatwa do zrozumienia – Crom, wódz bogów, zamieszkiwał szczyt ogromnej góry, z której zsyłał zniszczenie i śmierć. Nie miało sensu go wzywać, ponieważ był ponury, dziki i nienawidził słabeuszy. Jednak obdarzał mężczyznę przy narodzinach odwagą, wolą i mocą zabijania wrogów, a w przekonaniu Cymmerianina nie należało więcej wymagać od żadnego boga.

Obute w sandały stopy barbarzyńcy stąpały cicho po bruku. Nie napotkał nocnych straży – nawet zuchwali złodzieje w Maul omijali dzielnicę świątyń, gdzie tajemnicza śmierć spotykała usiłujących splądrować święte przybytki świętokradców. Wreszcie zobaczył przed sobą strzelającą w niebo Wieżę Słonia. Młodzieniec zadumał się przez chwilę na tą dziwaczną nazwą. Nigdy nie widział słonia, ale mętnie wyobrażał sobie, że jest to olbrzymie zwierzę, mające ogon z przodu i z tyłu. Tyle powiedział mu shemicki włóczęga, przysięgając, że widział takie stwory tysiącami w Hyrkanii – ale wszyscy wiedzą jakimi łgarzami są Shemici. W każdym razie w Zamorze nie było słoni.

Lśniąca kolumna wieży wzbijała się w rozgwieżdżone niebo. W świetle dziennym błyszczała wprost oślepiająco i ludzie, mrużąc oczy, mówili, że zbudowano ją ze szczerego srebra. Smukła, idealnie walcowata, wznosiła się na sto pięćdziesiąt stóp w górę, a jej wysadzana klejnotami krawędź iskrzyła się w nikłym świetle gwiazd. U stóp wieży falowały egzotyczne drzewa i krzewy górujące nad miastem ogrodu otoczonego wysokimi murami – zewnętrznym, biegnącym wokół, i wewnętrznym, oddzielającym wieżę i wyżej położone tarasy.

Nigdzie nie dostrzegł światła – wyglądało na to, że budowla jest zupełnie pozbawiona okien, przynajmniej w swojej górnej, nie zasłoniętej przez wysoki mur części. W zimnym blasku gwiazd jej wierzchołek jarzył się łuną tysięcy migoczących kamieni.

Przed zewnętrznym murem rosły gęste krzaki. Cymmerianin podkradł się tam i stojąc przed przeszkodą zmierzył ją spojrzeniem. Mur był wysoki, lecz podskoczywszy zdołałby dosięgnąć palcami krawędzi. Następnie z dziecinną łatwością mógłby podciągnąć się w górę i przeskoczyć na drugą stronę, a nie wątpił, że w ten sam sposób może pokonać mur wewnętrzny. Wahał się jednak, zastanawiając się nad nieznanymi niebezpieczeństwami, oczekującymi go w ogrodach. Wiele słyszał o tajemnicach zachodnich królestw – Brythunii, Nemedii, Aquilonii i Koth, lecz ci należący do zupełnie innej rasy południowcy wydawali mu się jeszcze dziwniejsi i bardziej zagadkowi. Zamoranie byli niezwykle starym i, z tego, co wiedział, hołdującym złu ludem.

Pomyślał o Yarze, arcykapłanie żyjącym samotnie w tej wysadzanej klejnotami wieży i na wspomnienie opowieści pijanego giermka dreszcz przebiegał po plecach barbarzyńcy. Dworzanin opowiadał, jak Yara śmiał się wrogo usposobionemu księciu w twarz, a potem uniósł płonący zimnym światłem kamień, z którego trysnęły oślepiające płomienie, otaczające nieszczęśnika. Książę wrzasnął i upadł, a jego ciało zmieniło się w niewielką, poczerniałą bryłkę, która zamieniła się z kolei w czarnego pająka, biegającego po komnacie dopóki czarownik nie zmiażdżył go obcasem. Arcykapłan rzadko opuszczał swą magiczną wieżę; z reguły tylko po to, by rzucić zły czar na któregoś ze swych wrogów. Król Zamory lękał się go bardziej niż śmierci, a ponieważ na trzeźwo nie mógł znieść strachu, pił bez przerwy, niemal nigdy nie trzeźwiejąc. Yara był bardzo stary – ludzie mówili, że ma setki lat i dodawali, że dzięki swemu magicznemu kamieniowi, zwanemu Sercem Słonia, będzie żył wiecznie. O tym kamieniu nie wiedziano nic pewnego, a nazwę swą otrzymał z tego powodu, że wieżę, w której go arcykapłan przechowywał nazywano Wieżą Słonia.

Pogrążony w tych rozmyślaniach Cymmerianin przywarł nagle do muru. Ktoś przechodził przez ogród, stąpając ciężkim, miarowym krokiem. Młodzieniec posłyszał szczęk żelaza. A jednak straże strzegły ogrodu! Barbarzyńca nasłuchiwał, chcąc ponownie usłyszeć kroki strażnika – daremnie. Za ogrodzeniem zalegała głęboka cisza. W końcu ciekawość przemogła lęk. Młodzian podskoczył lekko, uchwycił krawędź muru ręką i jednym skokiem znalazł się na szczycie. Leżąc płasko na szerokim murze spoglądał na rozległą przestrzeń po drugiej stronie. W pobliżu nie dostrzegł żadnych zarośli, chociaż w oddali dojrzał kilka starannie przystrzyżonych krzewów. W półmroku widział zieloną murawę; gdzieś szemrała fontanna.

Cymmerianin ostrożnie opuścił się do ogrodu i dobył miecza, czujnie rozglądając się wokół. Niczym nie osłonięty, stał przyczajony do skoku jak dzikie zwierzę. Cicho przemknął wzdłuż muru, starając się trzymać w cieniu, aż znalazł się w pobliżu krzewów, które zauważył ze szczytu ogrodzenia. Nisko pochylony, pobiegł do nich i prawie przewrócił się, zawadziwszy nogą o coś, co leżało na skraju zarośli. Rozglądając się szybko na boki nie dostrzegł śladu wroga, więc pochylił się i popatrzył uważnie. Nawet w tym nikłym świetle rozpoznał posrebrzaną zbroję i grzebieniasty hełm zamorańskiej gwardii królewskiej, okrywające zabitego, silnie zbudowanego mężczyznę. Tarcza i włócznia leżały obok. Barbarzyńca pobieżnie obejrzał trupa i stwierdziwszy, że gwardzista został uduszony, z niepokojem popatrzył wokół. Wiedział, że to kroki tego strażnika słyszał uprzednio. Od tej chwili nie upłynęło wiele czasu, a jednak czyjeś ręce wyciągnęły się w ciemnościach i bezszelestnie zabiły silnego mężczyznę.

Wytężając wzrok, Cymmerianin mimo gęstego mroku dojrzał lekko poruszające się liście w zaroślach pod murem. Ściskając obnażony miecz ruszył w tym kierunku. Chociaż nie robił przy



tym więcej hałasu niż polująca pantera, jednak człowiek, do którego się skradał usłyszał go. Młodzieniec zobaczył niewyraźny, krępy kształt przyczajony pod ścianą i poczuł ulgę, widząc, że to człowiek. Ze zduszonym okrzykiem strachu nieznajomy odwrócił się błyskawicznie i zrobił ruch, jakby zamierzał rzucić się barbarzyńcy do gardła, lecz zatrzymał się, zauważywszy matowo lśniące w świetle gwiazd ostrze. Przez krótką, pełną napięcia chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu.

– Nie jesteś żołnierzem – szepnął w końcu obcy. – Jesteś złodziejem, jak ja.

– Kim jesteś? – spytał podejrzliwie Cymmerianin.

– Taurus z Nemedii.

– Młodzieniec opuścił miecz.

– Słyszałem o tobie. Nazywają cię księciem złodziei.

Odpowiedział mu cichy śmiech. Taurus dorównywał młodemu barbarzyńcy wzrostem, lecz mimo potężnej tuszy poruszał się zwinnie i cicho na swych bosych stopach. Na ramieniu dźwigał zwój cienkiej, mocnej liny z zawiązanymi w regularnych odstępach węzłami. Jego błyszczące oczy spoglądały bystro na Cymmerianina.

– A ty kim jesteś? – spytał szeptem.

– Conan, Cymmerianin – odparł zapytany. – Przyszedłem tu by spróbować ukraść klejnot Yary, ten, który ludzie nazywają Sercem Słonia.

Wielki brzuch złodzieja zatrząsł się od tłumionego śmiechu, ale Conan nie wyczuł w nim drwiny.

– Na Bela, boga złodziei! – syknął Taurus. – Myślałem, że tylko ja mam tyle odwagi, by się na to porwać. Ci Zamoranie nazywają siebie złodziejami – phe! – Conanie, podoba mi się twój hart ducha. Nigdy nie wchodziłem w żadne spółki, lecz na Bela! – jeśli masz ochotę, możemy spróbować razem ukraść ten klejnot.

– Więc ty też przyszedłeś tu po kamień Yary?

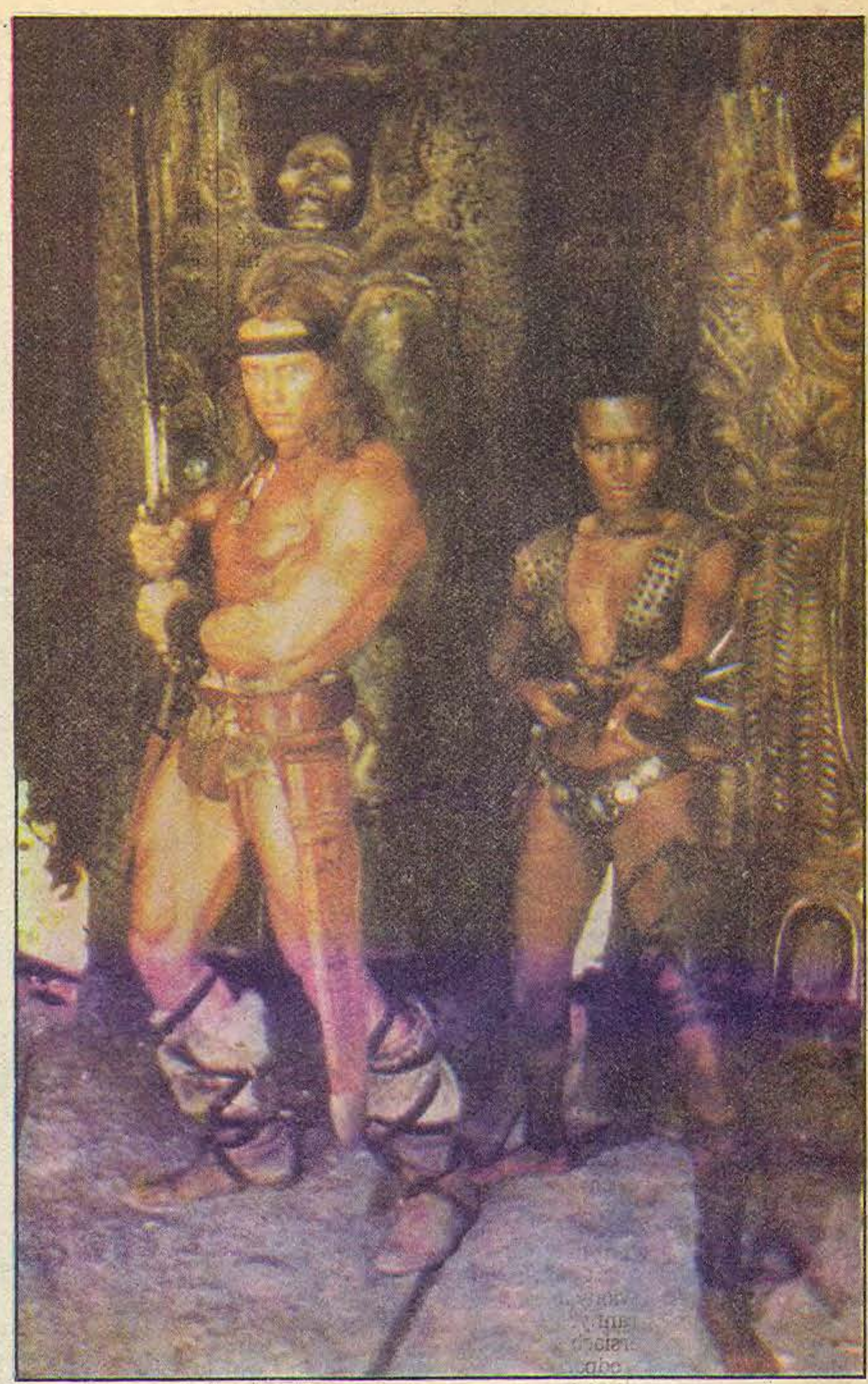
– A jakże! Od miesięcy układałem plany – ty jak widzę działałeś pod wpływem nagłego impulsu, mój przyjacielu.

– To ty zabiłeś żołnierza?

– Oczywiście. Ześliznąłem się z muru, akurat kiedy on był w ogrodzie. Ukryłem się w krzakach, lecz usłyszał mnie albo wydawało mu się, że coś usłyszał. Gdy nadszedł, potykając się w mroku, z łatwością zaszedłem go od tyłu, ścisnąłem za kark i zadusiłem. Jak większość ludzi nic nie widział w ciemnościach. Dobry złodziej musi mieć oczy jak kot.

– Zrobiłeś jeden błąd – rzekł Conan. – Powinieneś wciągnąć ciało w zarośla.

– Powiedział uczeń do mistrza. Nie zmienią wart aż do północy. Jeśli ktoś przyjdzie teraz go szukać i znajdzie zwłoki, to pobiegnie natychmiast z wieścią do Yary i zdążymy uciec. Jeżeli go nie znajdą,





przeszukają ogród i chwycą nas w pułapkę jak szczury.

– Masz rację – zgodził się Cymmerianin.

– Pewnie. Teraz słuchaj uważnie. Tracimy czas na tę przeklętą gadaninę. W wewnętrznym ogrodzie nie ma straży. To znaczy – nie ma tam ludzi, ale są bardziej niebezpieczni strażnicy. To ich obecność powstrzymywała mnie przez tyle miesięcy, lecz w końcu znalazłem sposób, by ich przechytrzyć.

– A co z żołnierzami w dolnej części wieży?

– Stary Yara zamieszkuje wyżej położone komnaty. Mam nadzieję, że uda nam się tam dostać. Nie pytaj jak. Wymyśliłem sposób. Zakradniemy się od góry i udusimy starego nim zdąży rzucić na nas urok. Musimy spróbować – zostaniemy zamienieni w pająki lub żaby, albo zdobędziemy nieprzebrane bogactwa i władzę. Każdy dobry złodziej powinien podjąć takie ryzyko.

– Zrobię to, co każdy by zrobił na moim miejscu – rzekł Conan zdejmując sandały.

– Chodźmy więc.

Taurus odwrócił się, podskoczył i chwyciwszy krawędź muru wciągnął się na górę z zadziwiającą jak na człowieka jego tuszy zwinnością – wydawało się, że niemal wśliznął się na ogrodzenie. Conan ruszył w jego ślady. Leżąc płasko na szczycie rozmawiali cichym szeptem.

– Nie widzę żadnych świateł – mruknął Cymmerianin.

Dolna część wieży wyglądała tak samo jak górna – idealny, lśniący walec, zupełnie pozbawiony otworów.

– Są tam sprytnie zamaskowane okna i drzwi – odparł Taurus – ale teraz są zamknięte. Żołnierze oddychają powietrzem, dochodzącym przez wierzchołek wieży.

Ogród przypominał oblaną mrokiem sadzawkę; cienie pierzastych krzewów i niskich, rozłożystych drzew kołysały się groźnie pod gwiaździstym niebem. Wyczulone zmysły barbarzyńcy ostrzegały go, że wokół czai się niebezpieczeństwo. Czuł na sobie palące spojrzenie niewidzialnych oczu, a słaby zapach dolatujący do jego nozdrzy sprawił, że włosy stanęły mu na głowie, tak jak jeży się sierść na karku psa, wietrzącego odwiecznego wroga.

– Za mną – szepnął Taurus. – Trzymaj się blisko, jeśli ci życie miłe.

Wyjąwszy zza pasa coś, co wyglądało jak mosiężna rurka, Nemedianin opuścił się cicho na murawę po drugiej stronie. Conan poszedł w jego ślady trzymając miecz w pogotowiu, lecz Taurus popchnął go lekko z powrotem i sam zatrzymał się również. Tak jak Conan, książę złodziei wpatrywał się w cienisty gąszcz odległych o kilka jardów zarośli, a cała jego postawa zdradzała napięcie i wyczekiwanie. Krzaki zatrzęsły się nagle, chociaż nawet najlżejsze tchnienie wiatru nie poruszyło gałązkami. W mroku zabłysły dwa wielkie ślepia, a za nim pojawiły się kolejne czerwone ogniki.

– Lwy! – mruknął Cymmerianin.

– Tak. W dzień trzymają je w podziemnych pieczarach pod wieżą. Właśnie dlatego w tym ogrodzie nie ma straży.

Conan pospiesznie przeliczył ślepia.

– Widzę pięć, może ich być więcej. Zaraz zaatakują...

– Cicho! – syknął Taurus i z najwyższą ostrożnością ruszył naprzód, unosząc rurkę. W zaroślach rozległy się niskie pomruki i płonące ślepia zaczęły się przybliżać. Conan prawie dostrzegał wielkie, rozdziawione paszcze i zakończone chwostem ogony, smagające brunatne boki. Napięcie rosło – Cymmerianin ścisnął w garści miecz, spodziewając się ataku olbrzymich bestii. Wtem Taurus przytknął rurkę do warg i dmuchnął potężnie. Z rurki wytrysnął długi strumień żółtego proszku, zamieniając się natychmiast w gęstą, zielonożółtą chmurę, która zasłoniła krzewy i jarzące się w nich ślepia.

Taurus pobiegł z powrotem do muru. Chmura proszku opadła

na zarośla, z których nie dobiegał żaden dźwięk. Conan spoglądał z niedowierzaniem.

– Co to za dym? – zapytał niepewnie.

– To śmierć! – syknął Nemedianin. – Jeśli wiatr się zerwie i powieje w naszą stronę musimy uciekać za mur. Ale nie, nie ma wiatru i chmura opada. Poczekajmy aż opadnie zupełnie. Jeden oddech to śmierć!

Po chwili tylko żółtawe pasma wisiały upiornie w powietrzu, później i one zniknęły. Wtedy Taurus gestem zachęcił kompana do marszu. Podkradli się do zarośli. Conan sapnął widząc pięć olbrzymich, brązowych bestii, rozciągniętych bezwładnie na murawie. W powietrzu unosił się ciężki, słodkawy zapach.

– Zdechły nie wydając dźwięku! – mamrotał barbarzyńca. – Taurusie, co to za proszek?

– To pył z czarnego lotosu, którego kwiaty kwitną tylko w głębokich dżunglach Khitanu, gdzie zamieszkują żółtoskórzy kapłani Yun. Te kwiaty zabijają każdego, kto je powącha.

Conan pochylił się nad martwymi zwierzętami upewniając się, że naprawdę nie są już groźne. Potrząsnął głową; jako barbarzyńca z północy uważał to za niepojęte czary.

– Dlaczego nie zabijesz w ten sposób wszystkich żołnierzy?

– Ponieważ nie mam już więcej proszku. Zdobycie go było wyczynem, który sam w sobie zapewniłby mi sławę wśród złodziei całego świata. Wykradłem go z karawany zmierzającej do Stygii, ze splotów wielkiego węża, gdzie spoczywał w wyszywanej złotem sakwie... lecz chodźmy, na Bela! Nie możemy tracić całej nocy na rozmowy!

Przemknęli do podnóża błyszczącej wieży. Tam Taurus zdjął z ramion sznur z węzłami, zakończony mocnym, stalowym hakiem. Conan pojął jego zamysł i nie zadawał więcej pytań. Nemedianin chwycił linę nieco poniżej końca i zakręcił nią nad głową. W tym czasie barbarzyńca przyłożył ucho do ściany i nasłuchiwał, lecz nie usłyszał niczego. Najwidoczniej żołnierze w środku nie podejrzewali obecności intruzów, robiących nie więcej hałasu niż nocny, wiejący wśród drzew wietrzyk. Jednak Conan czuł dziwny niepokój – być może z powodu górującej nad innymi zapachami woni lwów.

Zręcznym ruchem muskularnego ramienia Taurus rzucił linę. Hak poleciał w górę i w przód znikając za wysadzaną klejnotami krawędzią. Najwyraźniej zaczepił o coś, bo najpierw ostrożne, a później mocne pociągnięcia nie spowodowały opadnięcia liny.

– Mamy fart, już za pierwszym razem – mruknął Taurus. Ja...

Tylko pierwotny instynkt ostrzegł barbarzyńcę i kazał mu odwrócić się gwałtownie – bo śmierć nadciągnęła bezszelestnie. Młodzieniec ujrzał olbrzymi, brunatny kształt szykującej się do morderczego ataku bestii. Żaden cywilizowany człowiek nie zareagowałby nawet w połowie tak szybko jak uczynił to Cymmerianin. Jego miecz błysnął blado w świetle gwiazd i opadł z całą siłą. Człowiek i zwierzę runęli razem.

Klnąc cicho Taurus pochylił się nad nimi i zobaczył, że towarzysz rusza się i usiłuje wydobyć spod olbrzymiego cielska. Zdumiony Nemedianin spostrzegł, że lew jest martwy, a jego czaszka rozcięta potężnym ciosem na dwoje. Pomógł Cymmerianinowi wydostać się spod ścierwa. Conan chwiejnie podniósł się na nogi, wciąż ściskając okrwawiony miecz.

– Człowieku, jesteś ranny? – wykrztusił Taurus, oszołomiony zapierającą dech w piersiach szybkością wydarzeń.

– Na Croma – nie! – odparł barbarzyńca. – Lecz śmierć była bardzo blisko, jak na taki zaciszny zakątek. Dlaczego ta przeklęta bestia nawet nie warknęła?

– W tym ogrodzie wszystko jest dziwne – odrzekł Taurus. – Lwy atakują po cichu – i nie tylko lwy. Chodź! Zabiłeś go bez hałasu, ale żołnierze mogli coś usłyszeć, chyba że śpią lub są pijani. Ten lew musiał być w innej części ogrodu i uniknął śmierci od proszku, ale jestem pewien, że to już ostatni. Musimy się wspiąć po linie – chyba nie ma potrzeby pytać Cymmerianina czy potrafi?

– Jeśli tylko utrzyma mój ciężar – przytaknął Conan, wycierając miecz o trawę.

– Wytrzyma ciężar trzech takich jak ja – odparł książę złodziei. – Spleciono ją z włosów martwych kobiet i wymoczono w straszliwym soku drzewa upas, by dać jej moc. Pójdę pierwszy, ty idź zaraz za mną.

Nemedianin chwycił linę i przełożywszy ją sobie pod kolanem rozpoczął wspinaczkę. Mimo swej potężnej tuszy piął się w górę jak kot. Conan dotrzymywał mu kroku. Lina kręciła się i kołysała, lecz awanturnikom to nie przeszkadzało – obaj wspinali się już w trudniejszych warunkach. Wysoko nad nimi migotała wysadzana klejnotami krawędź, wystająca nieco poza gładką, srebrną powierzchnię ściany tak, że lina zwisała swobodnie, co znacznie ułatwiało wspinaczkę.

Posuwali się szybko, wciąż wyżej i wyżej. W dole rozciągała się nocna panorama miasta, a gwiazdy nad ich głowami blakły, z wolna przyćmiewane blaskiem drogich kamieni na szczycie wieży. Wreszcie Taurus wyciągnął rękę i pochwyciwszy krawędź wdrapał się na blanki. Cymmerianin zatrzymał się na chwilę urzeczony migotliwym światłem klejnotów: diamentów, rubinów, szmaragdów, turkusów, szafirów – tkwiących gęsto w lśniącym srebrze. Z daleka ich różnobarwny blask stapiał się w pulsującą, białą łunę, lecz teraz, z bliska, jarzyły się milionem tęczowych odcieni, fascynując go swym iskrzeniem.

– Tu jest bajeczna fortuna, Taurusie – szepnął, lecz Nemedianin odparł niecierpliwie:

– Chodź! To wszystko będzie nasze, jeżeli zdobędziemy Serce!

Conan wdrapał się na roziskrzoną krawędź. Strop Wieży Słonia znajdował się o parę stóp poniżej inkrustowanego występu. Płaski dach pokryto jakąś ciemnoniebieską substancją i wyłożono złotem, tak że całość wyglądała jak z szafiru obsypanego błyszczącym, żółtym piaskiem. Patrząc na drugi koniec dachu zobaczyli niewielką, prostokątną budowlę. Jej ściany były z tego samego materiału, co mury wieży, tylko zdobiące je klejnoty poutykano rzadziej. Dostrzegli złote drzwi, o powierzchni rzeźbionej w wielkie łuski nabijane lśniącymi mroźnie jak lód klejnotami.

Conan obrzucił spojrzeniem rozciągające się w dole, pulsujące morze świateł i popatrzył na Taurusa. Nemedianin wciągał i zwijał linę. Pokazał Conanowi, gdzie zaczepił się hak – tylko ułamek cala hartowanego ostrza wbił się pod jeden ze zdobiących blanki kamieni.

– Znowu mieliśmy szczęście – mruknął. – Ciężar naszych ciał powinien wyrwać ten klejnot. Chodźmy – prawdziwe niebezpieczeństwa dopiero się zaczną. Jesteśmy w legowisku bestii i nie wiemy, gdzie się ukrywa.

Cicho jak koty podeszli do złotych drzwi. Taurus pchnął je lekko i ostrożnie. Ustąpiły bez trudu i kompani zajrzeli do środka, napięci, przygotowani na wszystko. Cymmerianin spojrzał przez ramię wspólnika i zobaczył komnatę o ścianach wyłożonych od podłogi po sufit sporymi, jasno świecącymi kamieniami, które stanowiły jedyne źródło światła. Pomieszczenie wyglądało na nie zamieszkałe.

– Nim odetniemy sobie drogę ucieczki – syknął Taurus – podejdź jeszcze raz do krawędzi i rozejrzyj się na wszystkie strony. Jeśli zobaczysz żołnierzy, kręcących się po ogrodach lub w ogóle coś podejrzanego, to wróć i powiedz mi. Będę czekał na ciebie w tej komnacie.

Conan nie widział w tym sensu i w jego umyśle zrodziło się słabe podejrzenie, ale posłuchał kompana. Nemedianin wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Conan przez chwilę spoglądał na ogród otaczający Wieżę Słonia, po czym wrócił pod drzwi komnaty, nie zauważywszy w gąszczu liści na dole żadnego podejrzanego ruchu. Gdy zbliżał się do nich, we wnętrzu rozległ się zduszony krzyk. Cymmerianin skoczył naprzód. W tej samej chwili błyszcząca furta otwarła się i stanął w niej Taurus obramowany zimnym światłem komnaty. Zachwiał się, otworzył usta, lecz wydobyło się z nich tylko chrapliwe westchnienie. Czepiając się kurczowo framugi wyszedł na zewnątrz i upadł na twarz, trzymając się za gardło. Drzwi za nim zamknęły się same. Przez tę krótką chwilę przyczajony do skoku Conan nie dostrzegł nikogo w komnacie – chyba że cień, który przesunął się po błyszczącej posadzce nie był złudzeniem. Nikt nie wybiegł za Taurusem na dach. Cymmerianin pochylił się nad wspólnikiem.

Nemedianin wpatrywał się w niebo rozszerzonymi, pustymi oczami, w których widniało straszliwe zdziwienie. Rękami ściskał gardło; nagle piana pojawiła mu się na wargach, zabulgotał i skonał na oczach oszołomionego barbarzyńcy. Conan spojrzał czujnie na złote drzwi. W tej opuszczonej komnacie o migocących, inkrustowanych ścianach śmierć dopadła księcia złodziei tak nagle i bezszelestnie, jak lew atakujący w ogrodzie otaczającym wieżę. Conan czuł, że Taurus zginął nie znając przyczyny swej zguby.

Cymmerianin ostrożnie przesunął rękami po półnagim ciele kompana, szukając rany. Wysoko między łopatkami, prawie u nasady szyi, znalazł ślady przemocy – trzy małe ranki wyglądające tak, jakby ktoś wbił i wyciągnął trzy paznokcie. Brzegi ran poczerniały i dochodził z nich słaby zapach zgnilizny.

– Zatrute strzały? – pomyślał Conan. – Ale w tym wypadku bełty musiałyby nadal tkwić w ciele...

Ostrożnie podszedł do rzeźbionych drzwi, otworzył je pchnięciem i zajrzał do środka. Komnata stała pusta, skąpana w zimnym, pulsującym blasku miriadów klejnotów. Na samym środku sklepienia mimochodem zauważył dziwny ornament – czarny, ośmioboczny znak z osadzonymi w nim czterema kamieniami, płonącymi czerwonym blaskiem, różniącym się od jasnej poświaty ścian i podłogi. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowały się następne drzwi – podobne do pierwszych, ale gładkie, bez wyrytego wzoru łusek. Czy to stamtąd przyszła śmierć i tam się ukryła po powaleniu ofiary?

Conan wszedł do komnaty zamykając za sobą drzwi. Jego bose stopy stąpały bezgłośnie po gładkiej posadzce. W pokoju nie było ław ani stołów, stały tu tylko cztery sofy, pokryte złotogłowiem i ozdobione dziwnymi, wijącymi się deseniami oraz kilka okutych srebrem, mahoniowych kufrów. Niektóre z nich zamknięto na potężne zamki, inne stały otworem, a ich odchylone w tył wieka ukazywały zdumionym oczom barbarzyńcy stosy wspaniałych klejnotów. Conan zaklął w duchu – tej nocy widział już więcej bogactw niż się spodziewał w najśmielszych marzeniach. Na myśl o wartości tych porzuconych niedbale skarbów młody Cymmerianin popadł w oszołomienie.

Właśnie dotarł na środek komnaty, krocząc wolno z pochyloną czujnie głową, gdy śmierć uderzyła ponownie. Tylko przemykający po podłodze cień i instynktowny unik uratowały życie Conana. Kątem oka dojrzał włochatego, czarnego potwora przelatują-

cego nad nim z kłapnięciem pokrytych pianą szczęk i na nagie ramię młodzieńca kapnęło coś, co paliło jak krople płynnego ognia. Odskoczył w tył i unosząc miecz zobaczył, że stwór opada na podłogę, zawraca i pędzi ku niemu ze zdumiewającą szybkością!

Gigantyczny, czarny pająk szarżował jak odyniec na swych ośmiu grubych, włochatych nogach, kapiąc jadem z ohydnej paszczęki, łypiąc złowieszczo czworgiem płonących ślepi, w których czaiła się straszliwa inteligencja. Conan zrozumiał, że piekący ból w ramieniu, na które padło tylko kilka kropel trucizny podczas nieudanego ataku świadczy, że jad potwora niesie gwałtowną śmierć. To ten pająk opuścił się ze swej grzędy pod sufitem na kark Nemedianina i zabił go. Głupcy! - nie podejrzewali, że górne komnaty są również strzeżone!

Wszystkie te myśli przemknęły szybko Cymmerianinowi, gdy pająk nacierał. Conan podskoczył wysoko i potwór przebiegł pod nim, zawrócił i znowu zaatakował. Tym razem młody barbarzyńca błyskawicznie odskoczył w bok i ciął strasznie. Ostrze odrąbało jedną z włochatych nóg i ponownie Conan z trudem uniknął kłapiących szczęk. Stwór przebiegł po kryształowej posadzce i wspiął się pod sufit. Przyczaił się w górze i przez chwilę spoglądał na człowieka chytrymi, czerwonymi ślepiami. Nagle rzucił się w powietrze ciągnąc za sobą pasmo szarawej pajęczyny.

Conan cofnął się i skoczył gwałtownie unikając oplątania. Pojął plan potwora i popędził do drzwi, lecz pająk był szybszy. Lepkie pasmo przeciągnięte przez framugę uwięziło człowieka w komnacie. Cymmerianin nie ośmielił się przeciąć pajęczyny mieczem - wiedział, że ostrze przylgnie do kleistej substancji i nim zdoła je oderwać, bestia zatopi mu kły w plecach.

Rozpoczął się zaciekły pojedynek - inteligencji i zręczności człowieka przeciw sprytowi i szybkości potwora. Pająk nie atakował już bezpośrednio ani po podłodze, ani w powietrzu. Biegał szybko po ścianach i suficie wysnuwając z piekielną zmyślnością długie pętle lepkiej pajęczyny, usiłując pochwycić w nie intruza. Pasma miały grubość sznura i Conan wiedział, że jeśli raz w nie wpadnie, to cała jego siła nie wystarczy, by się wyrwać i odeprzeć atak bestii.

Straszliwe zmagania toczyły się w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie przez szybkie oddechy i szuranie bosych stóp człowieka oraz suche kłapanie szczęk poczwarnego strażnika komnaty. Szare pasma leżały w zwojach na podłodze, zwisały ze ścian i sufitu, długimi festonami opadając na kufry ze skarbami. Bystre oczy i stalowe mięśnie Conana trzymały go przy życiu, ale lepkie pętle otaczały go tak ciasno, że wciąż dotykał ich nagim ciałem. Wiedział, że nie może w nieskończoność unikać zguby; musiał zważać nie tylko na potwora, lecz także na zwisające i leżące wokół pajęczyny. Wcześniej czy później lepkie pasmo owinie go jak wąż i omotany niczym mucha znajdzie się na łasce pająka.

Włochaty stwór pędził po podłodze komnaty ciągnąc za sobą szary sznur. Conan wyskoczył w górę przesadzając sofę, lecz bestia wyczuwając jego zamiar zawróciła gwałtownie i wbiegła na ścianę unosząc z posadzki pajęczynę, która jak żywa istota owinęła się wokół kostki Cymmerianina. Upadł jak długi, szarpiąc się szaleńczo w giętkim, mocnym oplocie. Czarny pająk ruszył w dół, by dokończyć dzieła. Doprowadzony do szału barbarzyńca pochwycił napełniony klejnotami kufer i cisnął nim z całej siły. Potężny pocisk uderzył ze stłumionym, mdlącym chrzęstem w sam środek ohydnego cielska. Trysnęła krew i zielonkawa maź, zmiażdżone ścierwo spadło na posadzkę razem z rozbitym kufrem. Odrażająca bestia leżała wśród sterty drogocennych kamieni, a jej czerwone ślepia gasły szybko.

Conan rozejrzał się wokół i nie dostrzegłszy innego przeciwnika zaczął się oswobadzać z pajęczyny. Kleiste pasma przywierały uporczywie do palców, ale w końcu uwolnił się, podniósł upuszczony przy upadku miecz i klucząc wśród zalegających podłogę zwojów dotarł do drzwi, prowadzących do innych partii wieży. Nie miał pojęcia, jakie niebezpieczeństwa oczekują go za nimi, lecz rozgrzany odniesionym przed chwilą zwycięstwem zadecydował, że skoro dotarł już tak daleko i pokonał tyle przeciwności, to powinien doprowadzić sprawę do końca. Ponadto miał wrażenie, że klejnotu, którego szukał, nie znajdzie wśród nieprzebranych skarbów niedbale porozrzucanych w lśniącej komnacie.

Cymmerianin poodrywał szare pasma zasnuwające drzwi i stwierdził, że te również, tak jak pierwsze, nie były zamknięte. Zastanowił się przelotnie, czy żołnierze w wartowni na dole nadal nie wiedzieli o jego obecności. Znajdował się wysoko nad nimi, a jeżeli wierzyć opowieściom, to niesamowite odgłosy, wrzaski bólu i przerażenia nie dziwiły tu nikogo. Pomyślał o Yarze i ta myśl sprawiła, że otwierając złote drzwi nie czuł się zbyt pewnie. Za nimi zobaczył jednak tylko szereg srebrnych, wiodących w dół stopni, oświetlonych słabym, nie wiadomo skąd padającym światłem. Z obnażonym mieczem w dłoni począł schodzić ostrożnie, pilnie nasłuchując, lecz nie doleciał go żaden dźwięk. W końcu dotarł do drzwi z kości słoniowej, wysadzanej krwawnikami. Zatrzymał się przed nimi. Nawet najlżejszy szmer nie zakłócał panującej w wieży ciszy, jedynie cienkie pasemka dymu sączyły się spod progu niosąc egzotyczny, nieznany Cymmerianinowi zapach. Kręte schody opuszczały się w dół, ginąc w mroku. Conan miał dziwne wrażenie, że jest jedyną żywą istotą w wieży zamieszkałej przez duchy i widma.

Lekko pchnięte podwoje uchyliły się bezszelestnie i barbarzyńca stanął na błyszczącym progu, przyczajony jak wilk i jak ten drapieżnik gotowy natychmiast podjąć walkę lub uciec wobec przewagi przeciwnika. Przed nim rozpościerała się rozległa komnata o kopulastym, złoconym sklepieniu. Ściany wyłożono zielonym nefrytem, a podłogę ze słoniowej kości pokrywały grube dywany. Dym i woń egzotycznego kadzidła unosiły się z zawieszonej na złotym trójnogu kadzielnicy, a za nią, na marmurowym postumencie spoczywał przedziwny bożek. Conan spoglądał ze zdumieniem - ciało stwora, chociaż miało zieloną barwę, przypominało ciało mężczyzny, ale jego szkaradna głowa wyglądała jak wzięta z koszmarnego snu - nieproporcjonalnie duża, pozbawiona cech ludzkich. Cymmerianin zobaczył szeroko rozpostarte uszy i wygiętą trąbę, po obu stronach której sterczały białe kły, zakończone okrągłymi, złotymi kulami. Postać miała zamknięte oczy - jak we śnie.

Więc dlatego siedzibę Yary nazywano Wieżą Słonia! Istotnie, głowa bożka bardzo przypominała opisane przez wędrownego Shemitę zwierzę. Oto bóg Yary; gdzież więc może być klejnot zwany Sercem Słonia, jeśli nie ukryty w tym posągu? Conan ruszył naprzód wpatrzony w posąg. Nagle - stwór otworzył oczy!

Cymmerianin zamarł w pół kroku. To nie posąg - to żywa istota! To pułapka! - przemknęło mu przez głowę.

O tym, jak bardzo się przeraził świadczy fakt, że przez chwilę nie był zdolny do żadnego działania i nie wpadł w morderczy szał. Cywilizowany człowiek na jego miejscu z pewnością zwątpiłby w swoje zdrowe zmysły, ale Conan nie uważał się za szaleńca. Wiedział, że stoi oko w oko z demonem Starego Świata i to przeświadczenie sparaliżowało go na chwilę.

Trąba potwora uniosła się badawczo i zamglone oczy spojrzały pustym spojrzeniem. Barbarzyńca pojął, że stwór jest ślepy i ta myśl przywróciła mu zdolność działania. Zaczął cicho cofać się do drzwi. Jednak stwór usłyszał go, uniósł trąbę i przemówił niepewnym, dziwnie monotonnym głosem. Zmrożony Cymmerianin zrozumiał, że gardło tej istoty nie zostało stworzone do ludzkiej mowy.

- Kto tu? Znowu przyszedłeś mnie męczyć, Yaro? Czy to się nigdy nie skończy? Och, na Yag-kosha, czy nie ma kresu tym mękom?

Z oczu niewidomego popłynęły łzy i Conan uważniej przyjrzał się ciału, spoczywającemu na marmurowym łożu. Dostrzegł ślady tortur i choć szorstki z natury, ulitował się nad tymi wynędzniałymi członkami, które kiedyś musiały być równie sprawne jak jego własne. Nie miał pojęcia, kim jest niewidomy stwór, lecz widok jego cierpienia przejął Conana szczerym współczuciem i dziwnym żalem. Czuł, że patrzy na ofiarę straszliwej tragedii i wstydził się, jakby spoczywały na nim winy całej ludzkości.

- To nie Yara - powiedział. - Jestem tylko złodziejem. Nie zrobię ci krzywdy.

- Podejdź bliżej... chcę cię dotknąć - wyjąkało stworzenie i młodzieniec podszedł bez obawy trzymając w opuszczonej dłoni zapomniany miecz. Trąba wyciągnęła się i delikatnie dotknęła jego twarzy i ramion, tak jak ślepiec bada nieznany przedmiot, a jej dotyk był lekki niczym dłoń dziecka.

- Ty nie należysz do tej diabelskiej rasy - westchnęło stworzenie. - Twoja twarz ma czyste rysy synów pustkowia. Znam twój lud od bardzo, bardzo dawna, kiedy nosił jeszcze inne imię, a pod niebo wznosiły się strzeliste wieże nie istniejącej już cywilizacji. Masz krew na rękach.

- Pająk w komnacie powyżej i lew w ogrodzie - mruknął Conan.

- Tej nocy zabiłeś również człowieka - ciągnął stwór - i na szczycie wieży... też... czuję śmierć - tak!

- Masz rację - wymamrotał Cymmerianin. - Książę złodziei leży tam martwy, zabity przez poczwarę.

- Tak! Tak! - drżący, monotonny głos brzmiał jak dziwny przyśpiew. - Krew w tawernie i krew na dachu - wiem - czuję to! Trzecia ofiara uczyni czar, o jakim nie śniło się Yarze! Och tak - na zielonych bogów Yag - czar uwolnienia!

Łzy ponownie popłynęły z niewidzących oczu, a udręczone ciało zadygotało, targane gwałtownymi emocjami. Conan patrzył oszołomiony. Niewidomy uspokoił się i rzekł do Cymmerianina:

- Słuchaj, człowiecze - powiedział. - Wydaję ci się potwornie brzydki, nieprawdaż? Nie, nie odpowiadaj - wiem. Lecz gdybym cię mógł widzieć, pomyślałbym to samo o tobie. Prócz tej Ziemi istnieje wiele innych światów i życie przybiera różne formy. Nie jestem ani bogiem, ani demonem, tylko istotą z ciała i krwi jak ty, chociaż moje ciało różni się nieco od twojego i jest inaczej ukształtowane. Jestem bardzo stary, o synu pustkowi! Dawno, dawno temu przybyłem na Ziemię z zielonej planety Yag, która krąży przez wieczność na obrzeżu tej galaktyki. Przemknęliśmy przez przestrzeń na potężnych skrzydłach, które przeniosły nas przez kosmos szybciej niż światło, albowiem wojowaliśmy z władcami Yag, przegraliśmy, i zostaliśmy wygnani. Nigdy nie zdołaliśmy powrócić, bo na Ziemi skrzydła odpadły z naszych ramion. Osiedliśmy tutaj, daleko od ojczystej planety. Walczyliśmy z dziwnymi, straszliwymi formami życia, jakie wtedy kwitły na Ziemi, tak że zaczęto się nas lękać i wkrótce nikt nie niepokoił nas w mrocznych dżunglach wschodu, gdzie zamieszkaliśmy. Widzieli-

Dokończenie na str. 45

Statek wisiał teraz nad Biegunem i planeta pod nimi była idealną półkulą. Patrząc w dół, na linię brzasku, Jeserac i Hilvar dostrzegli w pewnym momencie zarówno wschód, jak i zachód słońca po przeciwległych stronach świata. Symbolika tego zjawiska była tak jednoznaczna i tak uderzająca, że tę chwilę mieli zapamiętać na całe życie.

W tym wszechświecie zapadała noc; cienie wydłużały się ku wschodowi, który nie zazna nowego świtu. Ale gdzie indziej gwiazdy były wciąż młode, światło poranka pojawiało się nadal; a drogą, którą niegdyś przebył, Człowiek znowu pewnego dnia pójdzie.

KONIEC

Rozdział 13

Mistrz przybył na Ziemię wśród chaosu Wieków Przejściowych, kiedy waliło się już Imperium Galaktyczne, ale nie zostały jeszcze całkowicie przerwane linie komunikacyjne pomiędzy gwiazdami. Wywodził się z rasy ludzkiej, ale jego domem była planeta okrążająca Siedem Słońc. Będąc jeszcze młodzieńcem, zmuszony został do opuszczenia swego rodzinnego świata i tęsknota za nim prześladowała go przez całe życie. Za swoje wygnanie winił mściwych nieprzyjaciół, ale faktem było, iż cierpiał na nieuleczalną chorobę, która, jak się wydawało, spośród wszystkich inteligentnych ras zamieszkujących wszechświat, atakowała tylko gatunek homo sapiens. Tą chorobą była mania religijna.

We wczesnych stadiach swego rozwoju rasa ludzka wydała na świat nieprzeliczone zastępy wieszczów, proroków i mesjaszy, którzy zapewniali siebie i swych wyznawców, że im tylko dane było poznać tajemnice wszechświata. Niektórym z nich udało się nawet ustanowić religie, które przetrwały wiele pokoleń i wpłynęły na losy miliardów ludzi; o innych zapominano jeszcze przed ich śmiercią.

Rozwój nauki, która z monotonną regularnością obalała kosmologie proroków i tworzyła teorie, do których nigdy one nie pasowały, doprowadził w końcu do zaniku tych wiar. Nie zniszczył czci, ani pokory, którą odczuwały wszystkie istoty rozumne kontemplując ogrom wszechświata, w którym przyszło im żyć, osłabił jednak i w końcu zatarł niezliczone religie, z których każda z niewiarygodną arogancją twierdziła, że ona jest jedyną kopalnią prawdy, a z milionów rywalek i poprzedniczek wszystkie się myliły.

Pomimo że ludzkość osiągnęła wreszcie pewien bardzo elementarny poziom cywilizacji, nadal pojawiały się różne izolowane od wieków kulty. I chociaż głoszone przez nie creda prześcigały się w fantastyczności, zawsze potrafiły przyciągnąć jakąś grupę zwolenników. Rozwijały się one ze szczególną siłą w okresach zamieszania i chaosu i nie było nic dziwnego w tym, że Stulecia Przejściowe stały się areną wielkiego rozkwitu irracjonalizmu. Gdy rzeczywistość stawała się przygnębiająca, ludzie usiłowali znaleźć ucieczkę od niej w mitach.

Mistrz, chociaż wypędzony z ojczystego świata, nie opuścił go nie wyposażony na drogę. Siedem Słońc było centrum władzy i nauki galaktycznej, a on musiał mieć wpływowych przyjaciół. Swoją arką uczynił mały, ale szybki statek, uważany za jeden z najszybszych z do tej pory zbudowanych. Zabrał też ze sobą na tułaczkę inne wspaniałe wytwory nauki i techniki galaktycznej - między innymi robota, który obserwował teraz Alvina i Hilvara.

Nikt nie znał wszystkich funkcji i możliwości tej maszyny. W pewnym sensie stała się ona alter ego Mistrza; bez niej religia Wielkich upadłaby prawdopodobnie w jakiś czas po jego śmierci. Mistrz i robot włóczyli się razem po gwiezdnych szlakach, aby w końcu, i na pewno nie przypadkiem, zawitać z powrotem do świata, z którego pochodzili przodkowie Mistrza.

W swej wędrówce Mistrz zatrzymywał się na wielu planetach i znajdował wyznawców wśród wielu ras. Jego osobowość musiała być nadzwyczaj potężna, skoro inspirowała tak samo ludzi, jak i istoty nie podobne do nich ani fizycznie, ani psychicznie. Nie ulegało wątpliwości, że religia o tak dużej sile oddziaływania musiała nosić w sobie duży ładunek doskonałości i szlachetności. Mistrz musiał być największym, a zarazem ostatnim z wszystkich mesjaszy ludzkości. Żaden z jego poprzedników nie potrafił zgromadzić wokół siebie takiej rzeszy wiernych, ani też ich nauki nie zostały przeniesione przez takie otchłanie czasu i przestrzeni.

Co głosiły te nauki, tego Alvin z Hilvarem nie mogli w żaden sposób pojąć. Wielki polip starał się jak mógł, aby im to wytłumaczyć, ale nie rozumieli wielu używanych przez niego słów, a poza tym miał on nawyk powtarzania całych, zaczerpniętych z kazań sentencji z tak mechaniczną szybkością, że trudno było pojąć, co mówił. Po jakimś czasie udało się Hilvarowi sprowadzić rozmowę z tych nic nie wnoszących bezdroży teologii i skoncentrować ją na faktach.

Mistrz zjawił się na Ziemi z grupką swych najbardziej fanatycznych wyznawców w okresie poprzedzającym upadek miast, kiedy Port Diaspar był jeszcze otwarty na gwiazdy. Musieli przybyć na różnego typu statkach; polipy, na przykład, w pojeździe wypełnionym morską wodą, która stanowiła ich naturalne środowisko. Czy ruch został na Ziemi dobrze przyjęty nie było pewne, ale nie napotkał przynajmniej na żadną gwałtowną opozycję i po długiej wędrówce znalazł wreszcie swą przystań w lasach i górach Lys.

Pod koniec swego długiego życia Mistrz powrócił myślami do domu, z którego go niegdyś wypędzono. Poprosił przyjaciół, aby wynieśli go w kosmos, skąd mógł jeszcze raz spojrzeć na gwiazdy. Opadając z sił czekał aż do kulminacji Siedmiu Słońc i pod sam koniec bełkotał wiele rzeczy, które różnie potem interpretowano. Wspominał wciąż o „Wielkich", którzy opuścili teraz wszechświat tej materii i przestrzeni, ale którzy pewnego dnia powrócą i nakazał swym wyznawcom, aby pozostali i przywitali ich, gdy nadejdą. To były jego ostatnie sensowne słowa. Nie odzyskał już świadomości, ale tuż przed śmiercią wypowiedział frazę, która przetrwała wieki, aby nie dawać spokoju umysłom wszystkich, którzy ją słyszeli: „To cudowne patrzeć na barwne cienie na planetach wiecznego światła".

Zaraz potem wyzionął ducha.

Po śmierci Mistrza wielu jego wyznawców powróciło do swych domów, ale inni pozostali wierni jego naukom i piastowali je przez wieki. Z początku wierzyli, że Wielcy, kimkolwiek byli, powrócą szybko, ale z upływem stuleci nadzieja ta gasła. Tutaj historia gmatwa się coraz bardziej i odnosi się wrażenie, że prawda przeplata się coraz bardziej z legendą. Alvin wyrobił sobie mglisty jedynie obraz pokoleń fanatyków, czekających na jakieś wielkie wydarzenie, którego nie pojmowali i które miało nastąpić w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości.

Wielcy nigdy nie powrócili. W miarę jak śmierć i zniechęcenie zmniejszały liczbę wiernych, siła ruchu malała. Pierwsi odeszli krótko żyjący wyznawcy-ludzie i było coś doskonale ironicznego w tym, że ostatnim stronnikiem proroka-człowieka została istota zupełnie do Człowieka niepodobna.

Wielkiemu polipowi rola ostatniego wyznawcy Mistrza przypadła z prostej przyczyny. Był nieśmiertelny. Miliardy indywidualnych elementów, z których zbudowane było jego ciało umierały, ale przedtem reprodukowały się. Co pewien czas stwór rozpadał się na miliardy komórek, które rozmnażały się przez podział, jeśli natrafiały na sprzyjające temu środowisko. Podczas tej fazy polip nie istniał jako świadoma, inteligentna istota – i to kojarzyło się Alvinowi z okresami, jakie mieszkańcy Diaspar spędzali w bankach pamięci miasta.

W odpowiednim czasie tajemnicza siła biologiczna gromadziła w jednym miejscu rozproszone segmenty i polip rozpoczynał nowy cykl swojej egzystencji. Powracała mu świadomość i przypominał sobie wcześniejsze wcielenia, chociaż często niedokładnie, gdyż czasem któraś z komórek przechowujących delikatną matrycę pamięci ulegała przez przypadek zniszczeniu.

Religię Wielkich, w jej późniejszych stadiach, zaczęto identyfikować z kultem Siedmiu Słońc. Kiedy Wielcy uparcie się nie pojawiali, przystąpiono do prób sygnalizowania im swej obecności. Już dawno temu sygnalizacja ta stała się nic nie znaczącym rytuałem, odprawianym teraz przez istotę, która zapomniała, jak się uczyć i robota, który nie umiał zapomnieć.

Gdy ten niewiarygodnie stary głos zamarł w nieruchomym powietrzu, Alvin uświadomił sobie, że przytłacza go uczucie niewysłowionego współczucia. To niewłaściwie ukierunkowane poświęcenie, ta lojalność, która przetrwała przemijające słońca i rośliny – nigdy nie uwierzyłby w taką opowieść, gdyby nie miał przed sobą naocznego dowodu. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem zasmucały go rozmiary jego niewiedzy. Na chwilę rozjaśnił się maleńki fragmencik przeszłości, ale teraz znowu spowił go mrok.

Historię Wszechświata musiała tworzyć masa takich nie powiązanych ze sobą wątków i nikt nie

Tyle było do zrobienia w nadchodzących latach. Jeserac zdawał sobie sprawę, że przyszło mu żyć na przełomie dwóch epok; wyczuwał wokół przyspieszający znów puls ludzkości. Trzeba było stawić czoła wielkim problemom – ale Diaspar im sprosta. Poprawianie błędów przeszłości potrwa wieki, ale kiedy dobiegnie końca, Człowiek odzyska wszystko, co utracił.

Czy aby na pewno wszystko? Trudno uwierzyć, że znowu podbije Galaktykę, a jeśli nawet, to po co?

Z zadumy wyrwał go Alvin i Jeserac odwrócił wzrok od ekranu.

– Chciałem, żebyście to zobaczyli – powiedział cicho Alvin. – Możecie już nigdy nie mieć po temu okazji.

– Nie opuszczasz chyba Ziemi?

– Nie; nie chcę już latać w Kosmos. Nawet jeśli w Galaktyce przetrwała jakaś cywilizacja, to wątpię, czy warto jej szukać. Tyle jest do zrobienia tutaj; teraz wiem, że to mój dom i nie zamierzam go porzucać.

Spojrzał w dół, na wielkie pustynie, ale zamiast nich widział oczami wyobraźni wody, które istniały na ich miejscu miliony lat temu. Człowiek na nowo odkrył swój świat i jeśli na nim pozostanie, znowu uczyni go pięknym. Potem...

– Nie jesteśmy gotowi, aby wyruszyć ku gwiazdom i upłynie dużo czasu, zanim znowu będziemy mogli podjąć to wyzwanie.

Zastanawiałem się, co powinienem zrobić z tym statkiem; jeśli pozostanie tu, na Ziemi, wciąż będzie mnie kusiło, żeby z niego skorzystać i nigdy nie zaznam spokoju. Nie mogę go jednak zniszczyć. Został mi powierzony w zaufaniu i muszę go wykorzystać z pożytkiem dla świata.

Postanowiłem więc, co następuje. Zamierzam wysłać go poza granice Galaktyki z robotem w charakterze pilota, aby dowiedział się, co się stało z naszymi przodkami – i, jeśli to możliwe, w poszukiwaniu czego opuścili nasz wszechświat. To musiało być dla nich coś cudownego, jeśli porzucili tak wiele, aby za tym podążyć.

Bez względu na długość tej podróży, robot nigdy się nie zmęczy. Pewnego dnia nasi kuzyni odbiorą moje przesłanie i dowiedzą się, że czekamy na nich tu, na Ziemi. Oni wrócą i mam nadzieję, że do tego czasu będziemy ich warci, niezależnie od tego, jak będą wielcy.

Alvin zamilkł patrząc w przyszłość, którą kształtował, ale której mógł nigdy nie oglądać. Podczas gdy Człowiek zajmie się przebudową swego świata, ten statek będzie przemierzał mroczną otchłań dzielącą galaktyki i powróci dopiero za tysiące lat. Może będzie tu jeszcze, żeby go powitać, ale jeśli nawet nie, to i tak był rad.

– Uważam, że mądrze postępujesz – powiedział Jeserac. I nagle, po raz ostatni, nawiedziło go echo dawnego lęku. – Ale przypuśćmy – dodał – że statek nawiąże kontakt z czymś, czego nie chcemy poznać... – urwał w pół zdania rozpoznając źródło swych obaw i uśmiechnął się z przymusem, odpędzając ostatnie widmo Najeźdźców.

– Zapomniałeś – powiedział Alvin, biorąc jego słowa bardziej serio niż się Jeserac spodziewał – że niedługo będziemy mieli do pomocy Vanamonda. Nie wiemy, jakimi możliwościami dysponuje, ale chyba wszyscy w Lys uważają, że są one potencjalnie nieograniczone. Czyż nie tak, Hilvarze?

Hilvar nie odpowiedział od razu. Prawdą było, że Vanamond jest kolejną wielką zagadką, znakiem zapytania, który, jeśli pozostanie na Ziemi, stać będzie zawsze przed przyszłością ludzkości. Było niemal pewne, że ewolucja Vanamonda ku świadomości już została przyspieszona dzięki jego kontaktowi z filozofami Lys. Pokładali oni wielkie nadzieje w przyszłej współpracy z dziecinnym superumysłem wierząc, iż zdołają skrócić te eony, których wymagałby jego naturalny rozwój.

– Nie jestem pewien – przyznał Hilvar. – To tylko intuicja. – Mógł dodać więcej, ale nie zrobił tego. Te sprawy nie nadawały się do dyskusji i chociaż wiedział, że Alvin nie wyśmiałby jego marzeń, to nie odważył się wyjawić ich nawet swemu przyjacielowi.

Pewien był, że jest to coś więcej niż tylko marzenie, i że będzie go to zawsze prześladowało. Ta myśl zakiełkowała w jego mózgu podczas tego nie dającego się opisać, niesamowitego kontaktu, który nawiązał z Vanamondem. Czy Vanamond wiedział, jakie musi być jego samotne przeznaczenie?

Pewnego dnia energia Czarnego Słońca wyczerpie się i uwolni ono swojego więźnia. A wtedy, na granicy Wszechświata, gdzie sam Czas zwalnia swój bieg, aby się wkrótce zatrzymać, pośród trupów gwiazd Vanamond musi się zmierzyć z Szalonym Umysłem.

To starcie może zaciągnąć kurtynę na samo Tworzenie. Będzie to jednak starcie, z którym Człowiek nie będzie miał nic wspólnego i którego wyniku nigdy nie pozna...

– Patrzcie! – wykrzyknął nagle Alvin. – To właśnie chciałem wam pokazać. Rozumiecie, co to oznacza?

schodzili ze wzgórza, kierując się w stronę Airlee, pogrążony w myślach, szedł za przyjaciółmi z tyłu. Czyż wieki, które nadejdą będą jednym długim pasmem rozczarowań?

Odpowiedź spoczywała w jego rękach. Dopełnił swego przeznaczenia; teraz będzie mógł zacząć żyć.

Rozdział 26

W świadomości, że długo pożądany cel został w końcu osiągnięty i że życie zmieni teraz swój kształt w dążeniu do realizacji nowych zamierzeń, tkwi jakiś nieokreślony żal. Alvin czuł ten żal spacerując wśród lasów i pól Lys. Nie towarzyszył mu nawet Hilvar, ponieważ są chwile, kiedy człowiek musi być sam.

Nie włóczył się bez celu, chociaż nie wiedział, która z wsi będzie jego następnym przystankiem. Nie szukał określonego miejsca, ale nastroju, natchnienia na nową drogę życia. Diaspar nie potrzebowało go teraz; ferment, który zasiał w mieście działał szybko i nie mógł już przyspieszyć ani spowolnić zachodzących tam zmian.

Ta spokojna kraina też się zmieni. Ostatnio często się zastanawiał, czy w swej nieprzepartej chęci zaspokojenia własnej ciekawości nie postąpił źle otwierając starożytne drogi pomiędzy obiema kulturami. Jednak dobrze na pewno się stało, że Lys dowiedziało się, iż ono również, tak jak Diaspar, powstało na fundamencie strachu i fałszu.

Czasami zastanawiał się, jaki kształt przybierze nowe społeczeństwo. Wierzył, że Diaspar wydostanie się w końcu z więzienia komórek pamięci i powróci znowu do cyklu życia i śmierci. Hilvar był pewien, że można do tego doprowadzić, jednak jego wyjaśnienia były zbyt skomplikowane, aby Alvin mógł je zrozumieć. Może nadejdą znowu czasy, kiedy do Diaspar powróci miłość.

Czy tego właśnie, zastanawiał się Alvin, zawsze w mieście brakowało? Czy tego właśnie szukał? Wiedział teraz, że chociaż ambicja i ciekawość zostaną już zaspokojone, pozostaje nadal tęsknota za uczuciem. Nikt nie żył prawdziwie, dopóki nie zaznał tej syntezy miłości i pożądania, o której istnieniu nawet nie marzył, zanim nie przybył do Lys.

Jako pierwszy od miliarda lat człowiek spacerował po planetach Siedmiu Słońc. Niewiele to jednak dlań znaczyło; czasami myślał, że oddałby wszystkie swoje dokonania za możność usłyszenia płaczu dziecka, o którym wiedziałby, że jest jego.

W Lys w ciągu jednego dnia mógł znaleźć wszystko, czego mu brakowało; wśród tych ludzi wyczuwał ciepło i zrozumienie, o które trudno było w Diaspar. Ale zanim spocznie, zanim znajdzie spokój, musi podjąć jeszcze jedną decyzję.

W jego rękach spoczywała teraz wielka potęga. Była to odpowiedzialność, której kiedyś szukał i przyjął z ochotą, ale teraz wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki się od niej nie uwolni. Pozbycie się jej byłoby jednak nadużyciem zaufania...

Podjął decyzję wiosce wąziutkich kanałów, leżącej nad brzegiem rozległego jeziora. Kolorowe chatki zdające się kołysać na kotwicy na łagodnych falach, tworzyły scenę niemal nierzeczywistej piękności. Tutaj było życie i ciepło i komfort – wszystko, czego brakowało wśród wyludnionych wspaniałości Siedmiu Słońc.

Pewnego dnia ludzkość znowu będzie gotowa do wyruszenia w kosmos. Jaki nowy rozdział zapisze Człowiek wśród gwiazd? Alvin nie wiedział tego; to nie była jego sprawa – jego przyszłość leżała tu, na Ziemi.

Ale zanim odwróci się plecami do gwiazd, odbędzie jeszcze jeden lot.

Kiedy Alvin sprawdzał ciąg wznoszącego się statku, widoczna już była krzywizna planety, a miasto było zbyt odległe, aby rozpoznać je jako dzieło człowieka. Niebawem zobaczą linię brzasku w jej niekończącym się marszu przez pustynię. Wokół i ponad nimi świeciło tysiące gwiazd, wciąż jasnych pomimo utraconej chwały.

Hilvar i Jeserac milczeli domyślając się, po co Alvin odbywa ten lot i dlaczego poprosił ich, aby mu towarzyszyli, ale nie byli tego całkowicie pewni. Żaden nie miał ochoty rozmawiać w obliczu roztaczającej się pod nimi wyludnionej panoramy. Ta pustka przygnębiała obu i Jeserac poczuł nagłą złość na ludzi przeszłości, którzy przez swe niedbalstwo pozwolili umrzeć pięknu Ziemi.

Żywił nadzieję, iż Alvin nie myli się twierdząc, że wszystko można jeszcze zmienić. Energia i wiedza wciąż istniały – trzeba było tylko chęci i woli, aby zawrócić stulecia i doprowadzić do tego, żeby oceany znowu toczyły swe fale. Głęboko pod ziemią wciąż była woda; jeśli zajdzie tego potrzeba, można również zbudować instalacje do jej sztucznego wytwarzania.

potrafi stwierdzić, które z nich są ważne, a które nieistotne. Fantastyczna opowieść o Mistrzu i Wielkich wydawała się być jeszcze jedną z niezliczonych legend, jakie przetrwały od czasów cywilizacji Zarania. Jednak samo istnienie wielkiego polipa i spozierającego w milczeniu robota przemawiały za prawdziwością całej historii.

Co łączyło te dwie istoty, które choć tak różne pod wszystkimi możliwymi względami, utrzymały swe niezwykłe partnerstwo przez takie eony czasu? Miał przeczucie, że robot jest z nich dwóch o wiele ważniejszy. Był powiernikiem Mistrza, musiał więc znać jego tajemnice.

Alvin spojrzał na tajemniczą maszynę, która wciąż mu się przyglądała. Dlaczego nie przemówi? Jakie myśli przewijają się przez jej skomplikowany i być może obcy mózg? Jeśli jednak została zbudowana, aby służyć Mistrzowi, jej mózg nie mógł być całkowicie obcy i powinna reagować na rozkazy człowieka.

Myśl o tajemnicach, jakie musi znać ta uparcie milcząca maszyna rozbudzała w Alvinie ciekawość graniczącą z żądzą. Wydawało mu się, że ukrywanie takiej wiedzy przed światem to niewybaczalne marnotrawstwo; musiały to być cuda, o których nie wiedział nawet Centralny Komputer z Diaspar.

– Dlaczego twój robot się nie odzywa? – spytał polipa, gdy Hilvarowi zabrakło chwilowo pytań. Padła odpowiedź, której właściwie się spodziewał.

– Mistrz nie życzył sobie, aby robot przemawiał głosem innym niż jego, a jego głos teraz milczy.

– Ale ciebie słucha?

– Tak; Mistrz oddał go pod nasze rozkazy. Widzimy jego oczyma gdziekolwiek się uda. On opiekuje się maszynami, które chronią to jezioro i dbają o czystość wody. Jednak bardziej bliskie prawdy byłoby stwierdzenie, iż jest on naszym partnerem, nie sługą.

Alvin zamyślił się. W jego mózgu zaczął kiełkować jakiś pomysł. Może zainspirowała go zwykła żądza wiedzy i władzy; kiedy później wspominał tę chwile, nigdy nie był pewien, jakie motywy wtedy nim kierowały. Mogły wynikać z pobudek egoistycznych, ale zawierały też jakiś element współczucia. Gdyby potrafił, przerwałby tę kruchą egzystencję i uwolnił te stworzenia od ich fantastycznego obowiązku. Nie wiedział, jak mógłby pomóc polipowi, ale istniała może szansa wyleczenia z szaleństwa robota, co mogłoby się wiązać z wyciągnięciem na światło dzienne jego bezcennych, zazdrośnie strzeżonych wspomnień.

– Jesteś pewien – powiedział powoli zwracając się do polipa, ale kierując swe słowa do robota – że naprawdę wypełniasz wolę Mistrza pozostając tutaj? On pragnął, aby świat poznał jego nauki, ale zapomniano o nich, kiedy ukrywałeś się w Shalmirane. Znaleźliśmy cię tylko przez przypadek, a są być może i inni, którzy chcieliby usłyszeć naukę o Wielkich.

Hilvar zerknął na Alvina z ukosa, najwyraźniej nieświadom jego intencji. Polip sprawiał wrażenie poruszonego i jednostajne pulsowanie jego organów oddychania wypadło na kilka sekund z rytmu. Po chwili odezwał się niezupełnie kontrolowanym głosem:

– Rozważaliśmy ten problem przez wiele lat. Ale nie możemy opuścić Shalmirane i dlatego świat musi przyjść do nas bez względu na to, ile czasu to zajmie.

– Mam lepszy pomysł – powiedział żarliwie Alvin. – To prawda, że ty będziesz chyba musiał zostać tu, w jeziorze, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby twój towarzysz poszedł z nami. Będzie mógł wrócić, kiedy tylko zechce albo kiedy będziesz go potrzebował. Wiele zmian zaszło od śmierci Mistrza. Powinniście zaznajomić się z tymi zmianami, ale nigdy ich nie poznacie, jeśli pozostaniecie tutaj.

Robot nie drgnął nawet, ale polip w męce niezdecydowania zanurzył się całkowicie pod powierzchnię jeziora i pozostał tam przez kilka minut. Być może odbywał bezgłośną naradę z samym sobą; kilka razy zaczynał się wynurzać, zmieniał zamiar i pogrążał się znowu w odmętach. Hilvar skorzystał z okazji, aby zamienić parę słów z Alvinem.

– Chciałbym wiedzieć, do czego zmierzasz – powiedział cicho. – A może sam jeszcze tego nie wiesz?

– Na pewno żal ci tej biednej istoty – odparł Alvin.

– Nie wydaje ci się, że uwalniajc go spełnilibyśmy dobry uczynek?

– Owszem, ale poznałem cię już na tyle, żeby wiedzieć, iż altruizm nie jest twoją dominującą cechą. Musisz mieć w tym jakiś interes.

Alvin uśmiechnął się smutno.

– Twoi ludzie mają zadziwiająco potężne umysły – odparł starając się sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory. – Sądzę, że mogliby coś uczynić jeśli już nie dla tej istoty, to chociaż dla robota. – Mówił bardzo cicho. Ten środek ostrożności mógł się okazać nieskuteczny, ale jeśli nawet robot słyszał jego słowa, to nie dał tego po sobie poznać.

Na szczęście zanim Hilvar zdążył zapytać o cokolwiek więcej, polip wynurzył się jeszcze raz z jeziora. Przez ostatnie kilka minut skurczył się znacznie, a jego ruchy były teraz mniej skoordynowane. Na oczach Alvina segment jego skomplikowanego, przezroczystego cielska oderwał się od głównej masy i rozsypał na mnóstwo mniejszych sekcji, które powoli zanikały. Stwór zaczynał się na ich oczach rozpadać.

Jego głos, gdy przemówił, rwał się i trudno go było zrozumieć.

– Zaczyna się nowy cykl – wyrzucił z siebie urywanym szeptem. – Nie spodziewaliśmy się tego tak szybko... minęło dopiero kilka minut... zbyt silny bodziec... nie możemy utrzymać się już dłużej razem...

Alvin z Hilvarem patrzyli na stwora z trwożną fascynacją. Chociaż proces, którego byli świadkami był naturalny i odwracalny, nie należało do przyjemności nieokreślone poczucie winy; uświadamiali sobie, że tę przedwczesną metamorfozę spowodował niezwykły wysiłek i podniecenie ich obecnością.

Alvin zdał sobie sprawę, że musi działać szybko, bo taka okazja może się już nie nadarzyć.

– Co postanowiłeś? – spytał niecierpliwie. – Czy robot ma pójść z nami?

Zaległa pełna napięcia cisza, podczas której polip starał się zmusić do posłuszeństwa swe rozkładające się ciało. Membrana mowy załopotała, ale nie wydała żadnego słyszalnego dźwięku. Potem, jak gdyby w pełnym rezygnacji geście pożegnania, stwór zamachał niepewnie swymi delikatnymi mackami i opuścił je na wodę, gdzie natychmiast oderwały się od ciała i odpłynęły na środek jeziora. W przeciągu kilku minut transformacja była zakończona. Z polipa nie pozostało nic dłuższego niż cal. Woda wypełniła się malutkimi zielonkawymi drobinkami, z których każda zdawała się być obdarzona życiem i zdolnością poruszania się i które nagle zniknęły pod powierzchnią jeziora.

Zmarszczki na powierzchni wygładziły się i Alvin wiedział, że jednostajne bicie pulsu rozbrzmiewające w głębinach już ucichło. Jezioro znowu było martwe, a przynajmniej tak wyglądało. Jednak pewnego dnia nieznane siły, które nigdy jeszcze nie zaniedbały swojego obowiązku, znowu się uaktywnią i polip odrodzi się.

Alvin patrzył ze smutkiem na jezioro i upłynęło trochę czasu, zanim jego mózg zarejestrował słowa szeptane mu przez Hilvara na ucho.

– Alvinie, wydaje mi się, że dopiąłeś swego.

Alvin odwrócił się na pięcie. Robot, który do tej pory unosił się w powietrzu w pewnej odległości i nie zbliżał do nich bardziej niż na dwadzieścia stóp, ruszył teraz bezgłośnie i zatrzymał się o jard nad głową Alvina. Patrząc na jego szeroko rozstawione oczy nie można było stwierdzić, na czym skupiał się jego wzrok. Prawdopodobnie jego kąt widzenia był bliski stu osiemdziesięciu stopniom, ale Alvin nie wątpił, że uwaga maszyny jest teraz skupiona na nim.

Robot czekał na jego następny ruch. Do pewnego przynajmniej stopnia znajdował się teraz pod jego kontrolą. Może pójść za nim do Lys, może nawet do Diaspar – o ile nie zmieni po drodze swych zamiarów. Do tego czasu Alvin był jego przybranym panem.

Rozdział 14

Podróż powrotna do Airlee trwała bez mała trzy dni – częściowo dlatego, że Alvin, z jemu wiadomych powodów, nie śpieszył się z powrotem. Zwiedzanie Lys zeszło teraz na drugi plan, ustępując miejsca ważniejszemu i bardziej podniecającemu zajęciu; Alvin nawiązywał powoli kontakt z dziwną, opętaną inteligencją, która mu teraz towarzyszyła.

Podejrzewał, że robot próbuje wykorzystać go do swych celów. Jakie one były, Alvin nie wiedział, ponieważ maszyna uparcie nie chciała z nim rozmawiać. Z pewnych, jemu tylko wiadomych względów – być może z obawy, że robot może wyjawić zbyt wiele tajemnic – Mistrz musiał założyć bardzo skuteczne blokady na jego układy mowy i próby przełamania ich kończyły się za każdym razem całkowitym niepowodzeniem. Nie odnosiły nawet skutku bezpośrednio stawiane propozycje w rodzaju: „Jeśli nie będziesz nic mówił, przyjmę, że mówisz „tak"; Robot był zbyt inteligentny, żeby dać się w ten sposób podejść.

Pod innymi względami był on jednak bardziej chętny do współpracy. Wykonywał rozkazy, które nie wymagały odeń mówienia, czy wyjawiania informacji. Po pewnym czasie Alvin stwierdził, że może nim sterować tak, jak robotami z Diaspar, czyli samą myślą. To był wielki krok naprzód i od tej chwili stwór – bo trudno go było uważać za zwykłą maszynę – stawał się coraz bardziej przystępny i nawet pozwalał Alvinowi patrzeć przez swoje oczy. Wyglądało na to, że takie pasywne formy komunikacji nie wzbu-

odcięciem się od Wszechświata. Nie mogliśmy przeciwstawiać się powszechnej woli, pracowaliśmy więc w tajemnicy dokonując modyfikacji, które uznaliśmy za konieczne.

Odmieńcy byli naszym pomysłem. Mieli pojawiać się w długich odstępach czasu i jeśli pozwolą na to okoliczności, badać czy poza Diaspar istnieje coś, z czym warto się skontaktować. Nigdy nie myśleliśmy, że upłynie tyle czasu, zanim jednemu z nich powiedzie się – ani nie spodziewaliśmy się, że ten sukces będzie tak wielki.

Pomimo stłumienia krytycyzmu, charakterystycznego dla marzeń sennych, Jeserac zdziwił się, że Yarlan Zey może rozprawiać z taką swadą o wydarzeniach, które miały rozegrać się za miliard lat. To wszystko było bardzo pogmatwane... nie wiedział, w jakim punkcie czasu i przestrzeni właściwie się znajduje.

Podróż dobiegała końca; ściany tunelu nie umykały już w tył z tak karkołomną szybkością. Yarlan Zey zaczął mówić szybciej i z jego głosu przebijał teraz władczy ton, czego Jeserac wcześniej nie zauważył.

– Przeszłość się skończyła; na lepsze czy gorsze dopięliśmy swego. Kiedy zostałeś stworzony, Jeseracu, obarczono cię strachem przed światem zewnętrznym i w ten sposób zmuszono do pozostania w mieście. Ten strach dzieli z tobą każdy mieszkaniec Diaspar. Teraz wiesz, że lęk ten był bezpodstawny, że został ci sztucznie narzucony. Ja, Yalran Zey, który cię nim obarczyłem, zwalniam cię teraz z jego okowów. Rozumiesz?

Głos Yarlana Zeya przybierał coraz bardziej na sile, aż w końcu zdawał się rozbrzmiewać w całym kosmosie. Podziemny wagon rozmazywał się i drżał wokół Jeseraca, jak gdyby sen zbliżał się do końca. Gdy jednak wizja zblakła i zniknęła, wciąż słyszał ten grzmiący mu w mózgu głos.

– Już się nie boisz, Jeserac. Już się nie boisz.

Piął się z wysiłkiem ku jawie, jak nurek dążący z głębin oceanu z powrotem na powierzchnię. Yarlan Zey znikł, i panowała dziwna pustka. Przemawiały doń głosy, które znał, ale których nie mógł rozpoznać i czuł jak podpierają go ręce przyjaciół. Potem, jak nagły brzask, powróciła falą rzeczywistość.

Otworzył oczy i zobaczył stojących obok Alvina, Hilvara i Gerane. Nie zwracał jednak na nich uwagi; jego umysł zbyt był zaprzątnięty cudem, który roztaczał się teraz przed nim – panoramą lasów i rzek i błękitnego sklepienia otwartego nieba.

Był w Lys i nie bał się.

Nikt mu nie przeszkadzał i ta bezczasowa chwila odciskała na zawsze swe piętno w jego mózgu. Upewniwszy się wreszcie, że to rzeczywistość, zwrócił się do towarzyszy:

– Dziękuję, Gerane – powiedział. – Nie wierzyłem, że się uda.

Psycholog, z malującym się na twarzy wyrazem zadowolenia, dokonywał drobnych regulacji w małej, unoszącej się obok niego maszynie.

– Napędziłeś nam trochę strachu – przyznał. – Raz, czy dwa zaczynałeś zadawać pytania, na które nie można było odpowiedzieć logicznie i bałem się, że będę musiał przerwać sekwencje.

– No a przypuśćmy, że Yarlan Zey by mnie nie przekonał – co byś wtedy zrobił?

– Przetrzymalibyśmy cię w stanie nieświadomości i zabrali z powrotem do Diaspar, gdzie obudziłbyś się, naturalnie nie wiedząc nawet, że byłeś w Lys.

– A ten obraz Yarlana Zeya, który wprowadziliście do mego mózgu – ile z tego, co powiedział, było prawdą?

– Sądzę, że większość. Dużo więcej uwagi przykładałem do tego, aby moja mała saga była przekonywająca, a nie historycznie ścisła, ale Callitrax przejrzał ją i nie wychwycił żadnych błędów. Wchodzi do niej na pewno wszystko, co wiemy o Yarlanie Zeyu i początkach Diaspar.

– A więc teraz możemy naprawdę otworzyć miasto – powiedział Alvin. – To może jeszcze potrwać, ale w końcu będziemy w stanie zneutralizować ten lęk i każdy, kto zechce, będzie mógł opuścić Diaspar.

– To potrwa jeszcze długo – powiedział oschle Gerane. – I nie zapominaj, że Lys nie jest na tyle duże, aby pomieścić miliony dodatkowych ludzi, jeśli wszyscy postanowią tu przybyć. Nie sądzę, aby było to prawdopodobne, ale należy się liczyć z taką ewentualnością.

– Ten problem rozwiąże się sam – odparł Alvin. – Może i Lys jest maleńkie, ale świat jest szeroki. Dlaczego mamy pozostawić go pustyni?

– A więc wciąż marzysz, Alvinie – wtrącił z uśmiechem Jeserac. – Zastanawiałem się właśnie, co ci zostało do roboty.

Alvin nie odpowiedział; to pytanie coraz natarczywiej dręczyło go przez ostatnich kilka tygodni. Gdy

sklepionymi wejściami prowadzącymi do jego wnętrza. Przy jednym z tych wejść czekał na niego jakiś mężczyzna.

Jeserac powinien poczuć się zaskoczony, ale w tej chwili nic go nie mogło zadziwić. Wydawało się naturalne i oczywiste, że powinien teraz stanąć oko w oko z człowiekiem, który zbudował Diaspar.

- Sądzę, że mnie poznajesz - zagadnął Yarlan Zey.

- Oczywiście; tysiące razy widziałem twój pomnik. Jesteś Yarlanem Zeyem, a to jest Diaspar takie, jakim było miliard lat temu. Wiem, że śnię i że żaden z nas nie jest tu naprawdę.

- Nie musisz się więc niczego obawiać. Chodź ze mną i pamiętaj, że nie może ci się tu stać krzywda, ponieważ kiedy tylko będziesz chciał, obudzisz się w Diaspar - w swoim własnym czasie.

Jeserac, z umysłem chłonnym jak gąbka, wszedł posłusznie za Yarlanem Zeyem do wnętrza budynku. Jakieś wspomnienie, czy echo wspomnienia ostrzegało go, że stanie się teraz coś, przed czym kiedyś kulił się ze strachu. Nie odczuwał jednak lęku. Nie tylko czuł się chroniony przez wiedzę, iż nie jest to realne doświadczenie, ale i obecność Yarlana Zeya zdawała się być talizmanem przeciwko wszelkim niebezpieczeństwom, jakie mogą mu zagrażać.

Zatrzymali się w milczeniu przed długim cylindrem, który, jak wiedział Jeserac, może wynieść go z miasta w podróż, która kiedyś tak go przerażała. Ruchomymi drogami zjeżdżało na dół kilkoro ludzi i oprócz nich w pobliżu nie było nikogo. Kiedy jego przewodnik wskazał otwarte drzwi, Jeserac zawahał się nie dłużej niż chwilę na progu, po czym wszedł odważnie do środka.

- Widzisz, jakie to łatwe - powiedział z uśmiechem Yarlan Zey. - Teraz odpręż się i pamiętaj, że jesteś bezpieczny - nic ci się nie może stać.

Jeserac wierzył mu. Leciutki dreszczyk emocji przeszedł mu po plecach tylko wtedy, gdy wlot tunelu ruszył w ciszy w jego kierunku, a maszyna, w której siedział, nabierając szybkości pomknęła przez wnętrze Ziemi. W swym pragnieniu porozmawiania z niemal mityczną postacią z przeszłości, zapomniał o wszystkich lękach, jakie go prześladowały.

- Czy nie wydaje ci się dziwne - zaczął Yarlan Zey - że chociaż przestworza są dla nas otwarte, usiłujemy zagrzebać się w ziemi? To początek choroby, której koniec obserwujesz w swoim stuleciu. Ludzkość próbuje się ukryć; boi się tego, co znajduje się w kosmosie i niedługo zamknie wszystkie drzwi prowadzące do Wszechświata.

- Ale przecież widziałem nad Diaspar statki kosmiczne - powiedział Jeserac.

- Już ich nie zobaczysz. Utraciliśmy kontakt z gwiazdami i niedługo opuścimy nawet planety. Marsz w tamtą stronę zajął nam miliony lat - ale powrót do domu tylko kilka stuleci. A niebawem wycofamy się też z niemal całej powierzchni samej Ziemi.

- Dlaczego to robicie? - spytał Jeserac. Znał odpowiedź, jednak coś skłoniło go do zadania tego pytania.

- Potrzebujemy schronienia, które osłoniłoby nas przed dwoma dręczącymi nas obawami - lękiem Śmierci i lękiem Przestrzeni. Jesteśmy ludźmi chorymi i nie chcemy już udzielać się we Wszechświecie - a więc wmawiamy sobie, że on nie istnieje. Widzieliśmy szalejący wśród gwiazd chaos i pragniemy spokoju i stabilizacji. Diaspar musi więc zostać zamknięte, aby nie mogło doń wtargnąć nic nowego.

Zaprojektowaliśmy miasto, które znasz i sfałszowaliśmy przeszłość, aby ukryć nasze tchórzostwo. Och, nie byliśmy pierwszymi, którzy tak postąpili - byliśmy jednak pierwszymi, którzy zrobili to tak dokładnie. Przeprojektowaliśmy dusze człowieka ograbiając ją z ambicji i gwałtowniejszych namiętności, tak aby był zadowolony ze świata, który teraz posiadł.

Budowa miasta i wszystkich jego maszyn trwała tysiąc lat. Każdy z nas, po wykonaniu wyznaczonego mu zadania, poddany został zabiegowi wymazania wszystkich wspomnień. Do jego mózgu wprowadzono dokładnie zaprojektowaną matrycę fałszywych wspomnień, a jego osobowość zapamiętana została w układach pamięci miasta i przechowywana w niej, dopóki nie nadejdzie czas jej wywołania.

I tak w końcu nadszedł dzień, kiedy w Diaspar nie było ani jednego żywego człowieka; był tylko Centralny Komputer wykonujący wydane mu rozkazy i kontrolujący banki pamięci, w których spaliśmy. Nie było nikogo, kto miałby jakikolwiek kontakt z przeszłością i od tego momentu rozpoczęła się nasza historia.

Potem, jeden po drugim, w z góry ustalonej kolejności, wywoływani byliśmy z układów pamięci i znów obdarzani ciałem.

Jednak niektórzy z nas już od samego początku mieli wątpliwości. Wieczność to długi okres czasu; zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka związanego z niepozostawieniem żadnego wyjścia i całkowitym

dzają w robocie żadnego sprzeciwu, ale wszelkie próby nawiązania z nim bliższego kontaktu napotykały barierę nie do przebycia.

Hilvara robot ignorował całkowicie; nie słuchał żadnych jego rozkazów, a mózg miał zamknięty na jakiekolwiek sondowanie. Z początku martwiło to Alvina, który żywił nadzieję, że zdolności telepatyczne Hilvara umożliwiają mu włamanie się do tej skarbnicy wiedzy, jaką były ukryte wspomnienia robota. Było tak do czasu, gdy zdał sobie sprawę z zalet posiadania sługi, który nie słucha nikogo poza nim.

Gdy łazik wpłynął do Airlee, Seranis już na nich czekała. Alvin pomyślał sobie, że zaskoczenie czymś tych ludzi było chyba niemożliwe. Ich sprzężone umysły utrzymywały stały kontakt ze wszystkim, co działo się w ich krainie. Ciekaw był, jak zareagowali na jego przygody w Shalmirane, o których wiedział już prawdopodobnie każdy w Lys.

Seranis sprawiała wrażenie zmartwionej i bardziej niepewnej niż kiedykolwiek przedtem i Alvin przypomniał sobie o wyborze, jakiego musi teraz dokonać. W gorączce ostatnich kilku dni prawie o tym zapomniał. Teraz nadszedł czas na zdecydowanie się, w którym z tych dwóch światów pragnie żyć.

Głos Seranis, gdy zaczęła mówić, był zatroskany i Alvin odniósł wrażenie, że coś się zmieniło w planach, jakie względem jego osoby miało Lys. Czy coś się wydarzyło podczas jego nieobecności? Czy emisariusze udali się do Diaspar w celu wymazania pamięci Khedrona - i nie udało im się wykonać tego zadania?

- Alvinie - zaczęła Seranis - jest wiele spraw, o których ci wcześniej nie mówiłam, ale o których musisz się teraz dowiedzieć, jeśli masz zrozumieć nasze postępowania.

Znasz jeden powód separacji naszych dwóch kultur. Lęk przed Najeźdźcami, ten mroczny cień na dnie umysłu każdego człowieka, odwrócił twoich ludzi plecami do całego świata i sprawił, że zagubili się we własnych marzeniach. Tutaj, w Lys, ten strach nigdy nie był taki wielki, chociaż to my dźwigaliśmy brzemię ostatniego ataku. Mamy lepsze usprawiedliwienie naszego postępowania i to co robimy, robimy przy podniesionej kurtynie.

Dawno temu, Alvinie, ludzie pragnęli nieśmiertelności i wreszcie ją osiągnęli. Zapomnieli tylko, że świat, który wyrzeka się śmierci, wyrzeka się również narodzin. Możliwość przedłużania w nieskończoność czyjegoś życia mogła dać zadowolenie jednostce, ale spowodowała stagnację rasy. Wieki temu zrezygnowaliśmy dobrowolnie z nieśmiertelności, ale Diaspar wciąż śni ten fałszywy sen. Dlatego właśnie nasze drogi się rozeszły i dlatego nigdy już się nie spotkają.

Chociaż Alvin oczekiwał tych słów, nie złagodziło to w niczym siły ciosu. Nie chciał jednak dopuścić do siebie myśli o rozwianiu się wszystkich marzeń i teraz tylko część jego mózgu słuchała, co mówi Seranis. Rozumiał i rejestrował wszystkie jej słowa, ale świadoma cząstka jego umysłu odtwarzała sobie drogę powrotną do Diaspar, starając się przewidzieć każdą przeszkodę, jaką może na niej napotkać.

Seranis była wyraźnie zasmucona. Mówiła niemal błagalnym głosem i Alvin wiedział, że ta kobieta zwraca się nie tylko do niego, ale i do swego syna. Musiała zdawać sobie sprawę ze zrozumienia i przyjaźni, jakie zrodziły się między nimi podczas spędzonych razem dni. Hilvar obserwował z napięciem matkę i Alvinowi wydawało się, że w jego spojrzeniu dostrzega nie tylko niepokój, ale także coś na kształt potępienia.

- Nie chcemy cię zmuszać do robienia czegokolwiek wbrew twojej woli, ale chyba musisz sobie zdawać sprawę ze skutków ponownego spotkania naszych ludzi. Między naszą a waszą kulturą istnieje przepaść tak wielka, jak ta, która oddzielała kiedyś Ziemię od jej starożytnych kolonii. Pomyśl o jednym tylko fakcie, Alvinie. Ty i Hilvar jesteście niemal rówieśnikami - ale i on i ja nie będziemy już żyli od wieków, gdy ty wciąż będziesz jeszcze młodzieńcem. A jest to dopiero pierwsze z serii twoich wcieleń.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho, tak cicho, że Alvin słyszał dziwne, żałosne porykiwania zwierząt pasących się na łąkach za wsią. W końcu odezwał się niemal szeptem:

- Co chcesz, abym uczynił?

- Sądziliśmy, że możemy dać ci możliwość wyboru pozostania tutaj albo powrotu do Diaspar, ale teraz sytuacja uległa zmianie. Zbyt wiele się wydarzyło, aby pozostawiać tę decyzję tobie. Nawet tak krótki okres twojego pobytu wprowadził w nasze życie wiele zamieszania. Nie, nie potępiam ciebie; pewna jestem, że nie chciałeś nam zaszkodzić. Ale lepiej by było, gdybyś zostawił istoty napotkane w Shalmirane ich własnemu losowi.

A co do Diaspar - tu Seranis pokręciła smutnie głową - to zbyt wielu ludzi wie, dokąd się udałeś; nie zadziałaliśmy w porę. A co najważniejsze, człowiek, który pomógł ci znaleźć drogę do Lys, zniknął. Nie może go odnaleźć ani Rada Diaspar, ani nasi wysłannicy, a więc stanowi on potencjalne zagrożenie naszego bezpieczeństwa. Może dziwisz się, że mówię ci to wszystko, ale czynię tak, ponieważ niczym mi

to nie grozi. Przykro mi, ale pozostało nam tylko jedno wyjście: musimy wysłać cię do Diaspar ze sfałszowanymi wspomnieniami. Wspomnienia te zostały już z wielką pieczołowitością spreparowane i kiedy powrócisz do domu, nie będziesz wiedział o nas nic. Będziesz przekonany, że miałeś raczej nudne i niebezpieczne przygody w ponurych podziemnych grotach, gdzie stropy wciąż waliły ci się na głowę i przeżyłeś tylko dzięki odżywianiu się obrzydliwym zielskiem i piciu wody z przypadkowo napotkanych strumieni. Przez resztę swego życia będziesz przekonany, że to prawda i każdy w Diaspar zaakceptuje twoją opowieść. Nie będzie zatem żadnej tajemnicy, która rozpalałaby wyobraźnię ewentualnych przyszłych badaczy; będą sądzili, że wiedzą o Lys wszystko.

Seranis przerwała i spojrzała na Alvina pełnymi napięcia oczyma.

– Przykro nam, ale to konieczne i póki jeszcze nas pamiętasz prosimy cię o wybaczenie. Możesz jeszcze nie akceptować naszej decyzji, ale wpłynęło na nią wiele innych czynników, o których ci nie wspomniałam. Przynajmniej nie będzie ci żal, bo będziesz myślał, że odkryłeś wszystko, co było do odkrycia.

Alvin zastanawiał się, czy to prawda. Nie był taki pewien, czy zdoła kiedykolwiek przywyknąć do rutyny życia w Diaspar, nawet będąc przeświadczony, że poza jego murami nie istnieje nic wartego zachodu. Co więcej, nie miał zamiaru tego sprawdzać.

– Kiedy chcecie poddać mnie temu... zabiegowi? – spytał.

– Natychmiast. Jesteśmy już gotowi. Otwórz przede mną swój umysł, tak jak robiłeś to wcześniej i nic nie poczujesz do chwili, gdy znajdziesz się z powrotem w Diaspar.

Alvin zamyślił się na chwilę, po czym powiedział cicho:

– Chciałbym pożegnać się z Hilvarem.

Seranis skinęła głową.

– Rozumiem. Zostawię was tu na chwilę i wrócę, kiedy będziesz gotów. – Podeszła do schodów i zeszła do wnętrza domu.

Zostali sami na dachu. Minęła długa chwila, zanim Alvin odezwał się do przyjaciela. Czuł wielki smutek, ale i niezłomną wolę niedopuszczenia do zniweczenia wszystkich swych nadziei. Spojrzał jeszcze raz na wioskę, w której znalazł miarę szczęścia i której mógł już nie zobaczyć, jeśli ci, którzy stali za Seranis, dopną swego. Pod rozłożystym drzewem stał wciąż łazik, a nad nim unosił się cierpliwie robot. Wokół zebrała się gromadka dzieci podziwiających osobliwego przybysza, ale nikt z dorosłych nie przejawiał nim najmniejszego zainteresowania.

– Hilvarze – odezwał się nagle – przykro mi.

– Mnie też – odparł załamującym się głosem Hilvar. – Miałem nadzieję, że będziesz mógł tu pozostać.

– Czy sądzisz, że to, co chce zrobić Seranis jest słuszne?

– Nie wiń za to mojej matki. Robi tylko to, co jej każą – odparł Hilvar. Chociaż nie odpowiedział na postawione pytanie, Alvin nie miał serca go powtarzać.

– Powiedz mi zatem – poprosił – jak mogliby zatrzymać mnie twoi ludzie, gdybym próbował zbiec z nie naruszonymi wspomnieniami?

– To byłoby proste. Gdybyś próbował uciec, przejęlibyśmy kontrolę nad twoim umysłem i zmusili cię do powrotu.

Nie było to dla Alvina żadnym zaskoczeniem. Chciał być szczery z Hilvarem, najwyraźniej poruszonym zbliżającym się rozstaniem, ale bał się ryzykować wyjawienia swego planu. Bardzo dokładnie, rozważając każdy szczegół, obmyślił sposób, w jaki mógłby dostać się z powrotem do Diaspar na akceptowanych przez siebie warunkach.

Musiał jednak liczyć się z jednym niebezpieczeństwem, którego w żaden sposób nie można było uniknąć. Jeśli Seranis złamie swoje przyrzeczenie i wejdzie w jego umysł, wszystkie precyzyjnie obmyślone posunięcia będą z góry skazane na niepowodzenie.

Wyciągnął do Hilvara rękę i ten uścisnął ją mocno, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– Zejdźmy na dół, do Seranis – powiedział Alvin. – Zanim odejdę, chciałbym dowiedzieć się czegoś o ludziach z wioski.

Hilvar szedł za nim w milczeniu po schodach w głąb chłodnego wnętrza budynku, a potem korytarzem na zewnątrz, na soczyście zielony trawnik otaczający posiadłość Seranis. Czekała tam na nich z wyrazem opanowania i stanowczości. Wiedziała, że Alvin stara się coś przed nią ukryć i jeszcze raz pomyślała o środkach ostrożności, jakie przedsięwzięła.

– Czy jesteś już gotów, Alvinie? – spytała.

kobiercy, czyste umysły, osiągną dojrzałość, powróci być może znowu. Ale ten dzień na pewno jest jeszcze odległy.

To jest w najkrótszym i najzwięźlejszym zarysie historia Cywilizacji Galaktycznej. Nasze własne dzieje, które wydają nam się tak ważne, są niczym więcej, jak spóźnionym, zupełnie pospolitym epilogiem, tak jednak zagmatwanym, że nie byliśmy w stanie wyjaśnić wszystkich jego szczegółów. Wygląda na to, że wiele starszych, mniej odważnych ras, nie chciało opuścić swych domów; wśród nich byli nasi bezpośredni przodkowie. Większość z tych ras zdegenerowała się już do tego czasu lub wymarła, chociaż niektóre mogły jeszcze przetrwać. Nasz świat ledwie uniknął tego samego losu. Podczas Wieków Przejściowych – które w rzeczywistości trwały miliony lat – zagubiono wiedzę o przeszłości albo celowo ją zniszczono. To ostatnie, chociaż trudno w to uwierzyć, jest bardziej prawdopodobne. Przez wieki Człowiek pogrążał się w przesądnym, choć wciąż naukowym barbarzyństwie, zniekształcając jednocześnie historię, aby usnąć z niej ślady swej nieudolności i tchórzostwa. Legendy o Najeźdźcach są z gruntu fałszywe, chociaż niewątpliwie wniosły coś do nich zmagania z Szalonym Umysłem. Nic nie zepchnęło naszych przodków z powrotem na Ziemię, z wyjątkiem słabości ich własnego ducha.

Kiedy to odkryliśmy, zastanowił nas szczególnie jeden problem, związany z Lys. Bitwa o Shalmirane nigdy nie miała miejsca – jednak Shalmirane istniało i istnieje po dziś dzień. Co więcej, stanowiło jedną z najpotężniejszych broni zagłady, jaką kiedykolwiek zbudowano.

Rozwiązanie tej zagadki zajęło nam sporo czasu, ale odpowiedź, kiedy ją już znaleźliśmy, okazała się bardzo prosta. Dawno temu nasza Ziemia posiadała jedynego gigantycznego satelitę – Księżyc. Kiedy w wyniku zmagań między siłami przypływów i grawitacji Księżyc zaczął w końcu spadać na Ziemię, wystąpiła konieczność zniszczenia go. W tym celu wzniesiono Shalmirane i właśnie wokół jej wykorzystania osnute są legendy, które znacie wszyscy.

Callitrax uśmiechnął się ze smutkiem do swej ogromnej widowni.

– O naszej przeszłości istnieje wiele takich legend, częściowo prawdziwych, częściowo fałszywych. Dużo też jest w niej paradoksów, które jeszcze nie zostały wyjaśnione. Ten problem jest, jak sądzę, natury bardziej psychologicznej niż historycznej. Nie można bezgranicznie ufać nawet danym zmagazynowanym w pamięci Centralnego Komputera, gdyż noszą one wyraźne znamiona manipulowania nimi w bardzo odległej przeszłości.

Na ziemi tylko Diaspar i Lys przetrwały okres upadku – Diaspar dzięki perfekcji swych maszyn, Lys zawdzięczając to częściowej izolacji i niezwykłemu potencjałowi intelektualnemu swoich mieszkańców. Ale obie kultury, chociaż potrafiły się wspiąć z powrotem na poprzedni szczebel cywilizacji, były zniekształcone przez lęki i mity, jakie przypadły im w spadku po przodkach.

Te lęki nie muszą już was nawiedzać. Moim obowiązkiem, jako historyka, nie jest przepowiadanie przyszłości, a obserwacja i interpretacja przeszłości, ale ta lekcja jest wystarczająco jasna; zbyt długo żyliśmy bez kontaktu z rzeczywistością i teraz nadszedł czas, żeby przebudować nasze życie.

Rozdział 25

Zdumiony Jeserac kroczył w milczeniu ulicami Diaspar, którego dotąd nie widział. Tak różne było ono od miasta, w którym spędził wszystkie swoje wcielenia, że wcale go nie poznawał. Wiedział jednak, że to jest Diaspar, chociaż nie miał pojęcia skąd.

Uliczki były wąskie, budynki niższe i nie było Parku. A raczej jeszcze nie istniał. To było Diaspar przed przebudową, Diaspar otwarte na świat i wszechświat. Niebo nad miastem było bladobłękitne i nakrapiane postrzępionymi kłaczkami chmur popychanych wiatrem wiejącym nad młodszą Ziemią.

Ponad i pod tymi obłokami przelatywali solidniejsi podniebni podróżnicy. Mile nad miastem przemykały statki powietrzne łączące Diaspar z całym światem. Jeserac przyglądał się przez dłuższy czas tajemnicy i cudowi otwartych przestworzy i w pewnej chwili o jego duszę otarł się strach. Czuł się nagi i bezbronny uświadamiając sobie, że ta spokojna niebieska kopuła nad jego głową nie jest już najcieńszą ze skorup – że poza nią leży, ze wszystkimi swymi tajemnicami i zagrożeniami, niezmierzony Kosmos.

Lęk nie był na tyle silny, aby sparaliżować jego wolę. Częścią swego mózgu Jeserac domyślał się, że całe to doświadczenie jest snem, a we śnie nie może mu się przytrafić nic złego. Przejdzie przezeń kosztując wszystkiego, co mu przyniesie, dopóki nie obudzi się znów w mieście, które znał.

Szedł w stronę serca Diaspar, w kierunku miejsca, gdzie w jego czasach stał Grobowiec Yarlana Zeya. W tym starożytnym mieście miejsce grobowca zajmował niski, okrągły budynek z wieloma łukowato

dziwna, sztuczna gwiazda zwana Czarnym Słońcem i tam pozostaje on po dziś dzień. Kiedy Czarne Słońce umrze, będzie znowu wolny. Ile czasu dzieli nas jeszcze od tego dnia, nie sposób przewidzieć.

Callitrax zamilkł, jak gdyby zagubił się we własnych myślach nie pomny faktu, iż patrzą nań oczy całego świata. W ciszy, która zaległa, Alvin rozejrzał się po twarzach stłoczonej wokół niego ciżby, starając się odczytać z nich jak przyjęto tę nową rewelację i wieść o nowym zagrożeniu, które musi teraz zastąpić mit o Najeźdźcach. Twarze mieszkańców Diaspar zastygły, w większości w wyrazie niedowierzania; wciąż nie chcieli odrzucić swej fałszywej przeszłości i nie potrafili zaakceptować jeszcze dziwniejszej rzeczywistości, która miała zająć jej miejsce.

Callitrax zaczął mówić znowu, opisując cichym, opanowanym głosem ostatnie dni Imperium. Słuchając jego słów, Alvin uświadomił sobie nagle, że był to okres, w którym chciałby żyć. Był to czas przygody i wspaniałej, nieposkromionej odwagi – odwagi, która wyrwała zwycięstwo ze szczęk klęski.

– Chociaż Galaktyka spustoszona została przez Szalony Umysł – ciągnął Callitrax – potencjał Imperium był nadal ogromny, a jego duch nie złamany. Z odwagą, którą możemy tylko podziwiać, podjęto na nowo wielki eksperyment i poszukiwano błędu, który doprowadził do katastrofy. Wielu sprzeciwiało się teraz, oczywiście, prowadzeniu tych prac przepowiadając kolejne klęski, ale nie zważano na nich. Przedsięwzięcie postępowało naprzód i dzięki zdobytej w tak przykry sposób wiedzy, tym razem się powiodło.

Nowa rasa, która się narodziła, dysponowała potencjalnym intelektem, którego nie sposób było sobie nawet wyobrazić. Był to jednak intelekt całkowicie infantylny; nie wiemy, czy leżało to w założeniach twórców, ale wydaje się prawdopodobne, iż wiedzieli, że będzie to nieuniknione. Trzeba było milionów lat zanim osiągnie dojrzałość i nie można było zrobić nic, aby przyspieszyć ten proces. Pierwszym z tych umysłów był właśnie Vanamond; gdzieś w Galaktyce muszą istnieć jeszcze inne, ale sądzimy, iż stworzono ich bardzo niewiele, ponieważ Vanamond nigdy nie napotkał żadnego z sobie podobnych.

Stworzenie czystych umysłów było największym osiągnięciem Cywilizacji Galaktycznej; Człowiek odgrywał w tym przedsięwzięciu poważną, być może dominującą rolę. Brak tu jakichkolwiek wzmianek o samej Ziemi, ponieważ jej historia jest cieniutką niteczką w ogromnym gobelinie. Nasza planeta, zawsze cierpiąca na odpływ najbardziej żądnych przygód duchów, stawała się nieuchronnie coraz bardziej konserwatywna i w końcu przeciwstawiła się naukowcom, którzy stworzyli Vanamonda. Nie wpłynęło to na pewno w najmniejszym stopniu na ostatni akt całej historii.

Zadanie, jakie postawiło przed sobą Imperium, zostało wykonane; ludzie tych czasów patrzyli wkoło na gwiazdy, które zdewastowali w swej desperackiej walce o przetrwanie i podjęli decyzję. Pozostawią Wszechświat Vanamondowi.

I tu natykamy się na tajemnicę – tajemnicę, której chyba nigdy nie wyjaśnimy, ponieważ Vanamond nie potrafi nam pomóc. Wiemy tylko, że Imperium nawiązało kontakt z czymś bardzo dziwnym i bardzo wielkim, sygnalizującym swą obecność gdzieś spoza krzywizny Kosmosu, z drugiego końca samej przestrzeni. Co to było, możemy się tylko domyślać, ale wezwanie stamtąd musiało nosić w sobie wielkie ponaglenie i ogromną obietnicę. Niedługo potem przodkowie nasi i sprzymierzone z nimi rasy wyruszyli w podróż, w którą nie możemy za nimi podążyć. Umysł Vanamonda zdaje się być ograniczony do tej Galaktyki, ale obserwowaliśmy za jego pośrednictwem początki tej wielkiej i tajemniczej przygody. Oto obraz, który zrekonstruowaliśmy; obejrzycie się teraz w przeszłość o ponad miliard lat...

„Obracająca się wolno spirala Galaktyki – blade widmo jej minionej chwały – unosiło się w nicości. Przez całą jej długość biegły wielkie, puste bruzdy, które wyorał Szalony Umysł – rany, które z upływem nadchodzących wieków zabliźnią się dryfującymi gwiazdami. Ale gwiazdy te nigdy nie przywrócą jej świetności, która przeminęła.

Człowiek szykował się do opuszczenia swego Wszechświata, tak jak kiedyś opuszczał swój świat. I to nie tylko Człowiek, ale i tysiąc innych ras, które wraz z nim budowały Imperium. Zebrali się razem, tutaj, na skraju Galaktyki.

Zgromadzili flotę, przed którą kapitulowała wyobraźnia. Jej statkami flagowymi były gwiazdy, mniejszymi jednostkami planety. Całe to skupisko globów z wszystkimi jego układami słonecznymi i wszystkimi rojącymi się światami szykowało się do skoku przez nieskończoność.

Długi warkocz ognia smagnął serce Wszechświata, przeskakując od gwiazdy do gwiazdy. W jednej chwili umarło tysiąc słońc, zasilając swą energią monstrualny kształt, który przedarł się przez Galaktykę wzdłuż jej osi i oddalając się zniknął w otchłani...

– I tak Imperium opuściło Wszechświat, ruszając na spotkanie swego przeznaczenia. Kiedy jego spad-

– Tak – odparł Alvin, a w jego głosie zabrzmiała dziwna nuta, która kazała jej spojrzeć nań uważnie.

– Najlepiej zatem będzie, jeśli przestaniesz myśleć o czymkolwiek, tak jak przedtem. Za chwilę stracisz świadomość wszystkiego, co się dookoła dzieje i odzyskasz ją dopiero w Diaspar.

Alvin odwrócił się do Hilvara i powiedział szeptem, żeby nie usłyszała tego Seranis:

– Do widzenia, Hilvarze. Nie martw się – ja wrócę. – Potem znowu odwrócił się twarzą do Seranis.

– Nie mam do ciebie żalu o to, co chcesz zrobić – powiedział głośno. – Nie wątpię, że uważasz to za najlepsze wyjście z sytuacji, ale sądzę, iż się mylisz. Diaspar i Lys nie powinny pozostać odseparowane na zawsze; któregoś dnia mogą rozpaczliwie siebie nawzajem potrzebować. Wracam więc do domu ze wszystkim, czego się tu dowiedziałem – i nie wydaje mi się, abyście potrafili mnie zatrzymać.

Nie zwlekał już dłużej i dobrze zrobił. Seranis nie uczyniła żadnego ruchu, ale poczuł nagle, że ciało wymyka mu się spod kontroli. Siła, która wypierała jego własną wolę była jeszcze większa niż się spodziewał i uświadomił sobie, że Seranis musiało pomagać wiele ukrytych umysłów. Zaczął bezradnie iść z powrotem w kierunku budynku i przez jedną, okropną chwilę pomyślał sobie, że jego plan się nie powiódł.

Nagle błysnęła stal i kryształ i otoczyły go metalowe ramiona. Jego ciało wyrywało się im, czego się spodziewał, ale te wysiłki były bezcelowe. Ziemia uciekała mu spod nóg i kątem oka dostrzegł skamieniałego ze zdumienia Hilvara z głupawym uśmieszkiem na ustach.

Robot niósł go kilkanaście stóp nad ziemią dużo szybciej niż może biec człowiek. Seranis szybko pojęła podstęp i gdy złagodziła swą kontrolę nad ciałem Alvina, ten przestał się szarpać. Ale Seranis jeszcze nie dała za wygraną i teraz nastąpiło to, czego Alvin obawiał się najbardziej i czemu starał się ze wszystkich sił przeciwstawić.

W jego mózgu zmagały się dwie różne istoty i jedna z nich błagała robota, żeby postawił go na ziemi. Prawdziwy Alvin czekał z zapartym tchem, nie opierając się nawet zanadto siłom, których i tak nie potrafiłby przemóc. Ryzykował; trudno było z góry przewidzieć, czy jego niepewny sojusznik będzie wypełniał tak skomplikowane rozkazy, jakie mu wydał. „Pod żadnym pozorem" – powiedział robotowi – „nie możesz słuchać dalszych moich rozkazów, dopóki nie znajdziemy się z powrotem w Diaspar". Teraz wydawał takie właśnie rozkazy i jeśli mimo wszystko robot ich posłucha, to los Alvina zostanie przesądzony.

Nie zawahawszy się ani przez chwilę, maszyna pędziła drogą, którą tak dokładnie jej opisał. Cząstka jego wciąż błagała o uwolnienie, ale wiedział już, że jest bezpieczny. Seranis też to chyba zrozumiała, ponieważ siły we wnętrzu jego mózgu przestały się zwalczać. I znowu odzyskał spokój, jak wieki temu inny wędrowiec, który przywiązany do masztu swego statku słyszał zamierający w dali śpiew Syren.

Rozdział 15

Alvin nie uspokoił się, dopóki nie znalazł się znowu w sali Ruchomych Dróg. Przez cały czas istniało niebezpieczeństwo, że ludzie z Lys zdołają zatrzymać, a nawet zawrócić z drogi wagon, którym podróżował. Ale powrót do Diaspar był nieobfitującym w wydarzenia powtórzeniem drogi na zewnątrz. W czterdzieści minut po opuszczeniu Lys był już w Grobowcu Yarlana Zeya.

Oczekiwali go tam słudzy Rady, odziani w oficjalne, czarne szaty, których nie nosili od wieków. Alvina nie zdziwiła obecność tego komitetu powitalnego. Pokonał już tyle przeszkód, że jedna więcej nie robiła dużej różnicy. Dużo się nauczył od chwili opuszczenia Diaspar i z tą wiedzą przyszła pewność siebie, granicząca niemal z arogancją. Co więcej, miał teraz potężnego, choć kapryśnego sprzymierzeńca. Nie potrafiły pokrzyżować mu planów najlepsze umysły Lys; był przekonany, że Diaspar nie będzie pod tym względem lepsze.

Istniały racjonalne podstawy, aby być o tym przekonanym, ale jednocześnie ta pewność opierała się po części na intuicji – na wierze w przeznaczenie, która powoli rozwijała się w umyśle Alvina. Tajemnica jego pochodzenia, pomyślne zakończenie wyprawy, jakiej nie odbył nigdy żaden człowiek, otwierające się przed nim nowe perspektywy działania – wszystko to składało się na jego rosnącą pewność siebie.

– Alvinie – powiedział dowódca straży miejskiej – mamy rozkaz towarzyszyć ci gdziekolwiek się udasz, dopóki Rada nie wysłucha ciebie i nie wyda stosownego wyroku.

– O co jestem oskarżony? – spytał Alvin.

– Nie zostało jeszcze wysunięte żadne oskarżenie przeciwko tobie – padła odpowiedź. – Jeśli okaże się to konieczne, sformułuje się je po przesłuchaniu.

– A kiedy się ono odbędzie?

– Spodziewam się, że niedługo. – Strażnik był najwyraźniej zakłopotany i nie bardzo wiedział, jak wybrnąć z nieprzyjemnej misji. – Ten robot – powiedział wskazując na towarzysza Alvina – skąd się tu wziął? Czy to jeden z naszych?

– Nie – odparł Alvin. – Znalazłem go w Lys, w kraju, w którym byłem. Sprowadziłem go tutaj, aby go skonfrontować z Centralnym Komputerem.

To spokojne oświadczenie wywołało spore poruszenie wśród strażników. Sam fakt, że poza granicami Diaspar coś istnieje, był trudny do przyjęcia, ale że Alvin sprowadził coś stamtąd i zamierzał przedstawić to mózgowi świata, było w ogóle nie do pomyślenia. Strażnicy spoglądali po sobie z tak bezsilną trwogą, że Alvin z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Gdy szli przez Park, Alvin korzystając z zachowania się swej eskorty, która rozmawiając między sobą przyciszonymi głosami trzymała się dyskretnie o kilka kroków za nim, zastanawiał się nad następnym swoim posunięciem. Najpierw musi się dowiedzieć, co zaszło podczas jego nieobecności. Khedron, jak mówiła mu Seranis, znikł. W Diaspar istniały niezliczone zakamarki, w których można się było ukryć, a ponieważ Błazen znał miasto jak nikt inny, było mało prawdopodobne, że zostanie odnaleziony, dopóki sam nie zdecyduje się ujawnić. Może, myślał Alvin, zostawić dla Khedrona wiadomość tam, gdzie będzie ją musiał zauważyć i umówić się z nim na spotkanie? Jednak stała obecność eskorty mogła to uniemożliwić.

Musiał przyznać, że nadzór był bardzo dyskretny. Kiedy dotarł do swego mieszkania, niemal zapomniał już o istnieniu strażników. Domyślał się, że nie będą się wtrącali do jego poczynań, o ile nie zechce znowu opuścić Diaspar, a na razie nie nosił się z takim zamiarem. Poza tym był niemal pewien, że do tego czasu Seranis i jej ludzie unieruchomili podziemny system komunikacyjny i ta droga wydostania się z miasta została na razie odcięta.

Strażnicy nie weszli za nim do mieszkania; zostali na zewnątrz wiedząc, że istnieje z niego tylko jedno wyjście.

Znalazłszy się z powrotem w domu, Alvin przystąpił do nawiązywania kontaktu z przyjaciółmi. Zaczął od Eristona i Etanii, ale ich komunikatory powiadomiły go, że są na razie nieosiągalni, zostawił więc krótką wiadomość o swoim powrocie. Nie było to konieczne, gdyż teraz całe miasto wiedziało już, że wrócił.

Potem, działając pod wpływem nagłego impulsu, wywołał numer Khedrona, który ten dał mu dawno temu w Wieży Loranne. Nie spodziewał się oczywiście odpowiedzi, ale istniała zawsze możliwość, że Khedron zostawił dla niego jakąś wiadomość.

Jego przewidywania potwierdziły się, ale sama wiadomość spadła nań jak grom z jasnego nieba.

Ściana rozpłynęła się i stanął przed nim Khedron. Błazen wyglądał na znużonego i roztrzęsionego. Nie był już tą pewną siebie osobą, która naprowadziła Alvina na ślad drogi do Lys. W jego spojrzeniu czaił się lęk i mówił szybko, jakby miał bardzo mało czasu:

– Alvinie – zaczął – to jest zapis. Tylko ty możesz go odebrać, ale pozwalam ci nim dysponować według własnego uznania. To nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

Kiedy po twym odjeździe wróciłem do Grobowca Yarlana Zeya, stwierdziłem, że śledziła nas Alystra. Musiała zawiadomić Radę o tym, że opuściłeś miasto i że ja ci w tym pomagałem. Niedługo potem poszukiwali mnie strażnicy i zdecydowałem się ukryć. Jestem do tego przyzwyczajony – robiłem to już wiele razy, gdy któryś z moich żartów nie spotkał się z przychylnym przyjęciem. Nie znaleźliby mnie i za tysiąc lat, ale mało brakowało, aby zrobił to ktoś inny. W Diaspar są obcy, Alvinie; mogli przybyć tylko z Lys i szukają mnie. Nie wiem, co to może znaczyć i nie chcę wiedzieć. Fakt, że niemal mnie dostali, chociaż poruszają się po nieznanym sobie mieście, sugeruje, iż posługują się telepatią. Potrafię przechytrzyć Radę, ale to jest nieznane mi zagrożenie, któremu nie mogę stawić czoła.

Decyduję się więc na krok, który i tak, jak przypuszczam, wymusiłaby na mnie Rada, ponieważ grożono mi już tym przedtem. Udaję się tam, gdzie nikt za mną nie pójdzie i gdzie ucieknę przed wszystkimi zmianami, które zajdą teraz w Diaspar. Może postępuję głupio; tego może dowieść tylko czas. Pewnego dnia poznam odpowiedź.

Domyśliłeś się już chyba, że wracam do Sali Tworzenia, do bezpiecznych Banków Pamięci. Cokolwiek się stanie, pokładam zaufanie w Centralnym Komputerze i siłach, którymi on zarządza na rzecz Diaspar. Jeśli stanie się cokolwiek z Centralnym Komputerem, wszyscy jesteśmy zgubieni. Jeśli nie, nie mam się czego obawiać.

Dla mnie, zanim za pięćdziesiąt, czy sto tysięcy lat wyjdę znowu na ulice Diaspar, upłynie tylko chwila. Ciekaw jestem, jakim je wtedy zastanę? Zdziwię się, jeśli tam będziesz, ale kiedyś na pewno się znowu spotkamy. Nie wiem, czy wyczekiwać tego spotkania z niecierpliwością, czy też lękać się go.

Nigdy cię nie rozumiałem, Alvinie, chociaż były chwile, kiedy w swej próżności tak sądziłem. Tylko

strzeni Galaktyki. Spotkał się jak równy z rasami ze światów, od których się kiedyś odwrócił, i zaczął odgrywać pełną rolę w dziejach Wszechświata.

Dokonał tego. Z tego właśnie okresu, być może najobszerniejszego w historii ludzkości, pochodzą legendy o Imperium. Było to Imperium wielu ras, ale zapomniano o tym w dramacie, w którym znalazło ono swój koniec.

Imperium trwało co najmniej miliard lat. Musiało przeżywać kryzysy, może nawet wojny, ale wszystko to zaginęło w pochodzie wielkich ras zmierzających ku dojrzałości.

– Możemy być dumni – ciągnął Callitrax – z roli, jaką odegrali w tej historii nasi przodkowie. Osiągnąwszy wyżyny kultury nie zaniechali żadnej ze swych inicjatyw. Tutaj mamy raczej do czynienia z domysłami niż udowodnionymi faktami, ale wydaje się pewne, że eksperymenty, które przyczyniły się zarówno do początku końca Imperium, jak i do ukoronowania jego chwały zostały zainspirowane przez Człowieka i prowadzone były pod jego kierunkiem.

– Filozofia leżąca u podstaw tych eksperymentów była przypuszczalnie następująca:

Kontakt z przedstawicielami innych ras wykazał Człowiekowi, jak bardzo obraz świata odbierany przez daną rasę zależny jest od jej postaci fizycznej i organów zmysłowych, w które jest wyposażona. Dowiedziono, że jeśli w ogóle możliwe jest pojmowanie Wszechświata, jakim jest on w rzeczywistości, to dokonać tego może tylko umysł całkowicie uwolniony od wszelkich ograniczeń fizycznych – czysty umysł. Przekonanie to było powszechne wśród wielu starożytnych wierzeń religijnych, jakie rozwinęły się na Ziemi i zadziwiające jest, że idea nie mająca żadnych racjonalnych podstaw, stała się w końcu jednym z największych celów nauki.

W naturalnym wszechświecie nie napotykano nigdy żadnej pozbawionej ciała inteligencji; Imperium postanowiło taką stworzyć. Tak jak wiele innych rzeczy, zapomnieliśmy już wiedzę, która czyniła to możliwym. Naukowcy Imperium ujarzmili wszystkie siły Natury, zgłębili wszystkie tajemnice czasu i przestrzeni. Tak, jak nasze umysły są produktem ubocznym niezwykle skomplikowanego systemu komórek mózgu połączonych ze sobą siecią układu nerwowego, tak oni usiłowali stworzyć mózg, którego elementy nie byłyby materialne, ale stanowiły matrycę nałożoną na samą przestrzeń. Taki mózg, jeśli w ogóle można go nazwać mózgiem, żywiłby się energią pola elektromagnetycznego, czy jeszcze potężniejszymi siłami i byłby całkowicie uwolniony spod tyranii materii. Mógłby funkcjonować z daleko większą szybkością niż jakakolwiek inteligencja na podłożu organicznym; mógłby przetrwać tak długo, jak długo we Wszechświecie pozostanie choć erg energii, a jego możliwości byłyby nieograniczone. Raz stworzony rozwijałby wciąż swą potęgę, której ostatecznych rozmiarów nie byli w stanie przewidzieć nawet jego twórcy.

Człowiek zaproponował stworzenie takich istot, w wielkiej mierze na skutek doświadczeń zebranych podczas własnej regeneracji. Było to największe wyzwanie rzucone kiedykolwiek inteligencji zamieszkującej Wszechświat i po wiekach dyskusji podjęto je. Do realizacji tego zadania przystąpiły wszystkie rasy Galaktyki.

Wcielenie marzeń w rzeczywistość zajęło ponad milion lat. Cywilizacje rodziły się i upadały, kilkakrotnie marnotrawiono wiekowy dorobek światów, ale o tym celu nigdy nie zapomniano. Być może poznamy kiedyś pełną historię tego największego w dziejach, nieprzerwanego wysiłku. Dzisiaj wiemy tylko, że doprowadził on do katastrofy, która omal nie zniszczyła całej Galaktyki.

W ten okres dziejów zmysł Vanamonda wzbrania się wgłębiać. Istnieje wąski przedział czasu, który jest dlań zablokowany; ale wydaje nam się, że tylko na skutek jego własnych lęków. Na początku tego okresu widzimy Imperium u szczytu potęgi i chwały, oczekujące z niecierpliwością zbliżającego się sukcesu. Na końcu, zaledwie kilka tysięcy lat później, Imperium jest już zgruchotane, a gwiazdy świecą słabiej, jakby wyczerpały swą energię. Nad Galaktyką rozsnuty jest całun strachu, strachu, z którym wiąże się nazwa: „Szalony Umysł".

Nietrudno się domyślić, co się wydarzyło w tym krótkim okresie. Stworzona została czysta inteligencja, ale była albo szalona, albo, co wynika z pewnych przesłanek i jest bardziej prawdopodobne, nieubłaganie wroga wobec materii. Pustoszyła przez wieki Wszechświat, dopóki nie dostała się pod kontrolę sił, których istoty nie potrafimy odgadnąć. Jakiejkolwiek broni użyło Imperium w tej krytycznej sytuacji, wyczerpało ono zasoby energii gwiazd; ze wspomnień o tym konflikcie wykluły się niektóre, chociaż nie wszystkie z legend o Najeźdźcach. Ale o tym jeszcze powiem.

Szalonego Umysłu nie można było zniszczyć, bo był nieśmiertelny. Wyparto go na skraj Galaktyki i uwięziono tam uciekając się do sposobu, którego nie jesteśmy w stanie pojąć. Jego więzieniem stała się

Rozpoznawał większość twarzy wokół siebie. Ponad milę od niego, tysiąc stóp w dole ustawione było małe podium, na którym skupiała się teraz uwaga całego świata. Trudno było uwierzyć, że można coś zobaczyć z takiej odległości, ale Alvin był przekonany, że kiedy rozpocznie się przemówienie, będzie widział i słyszał wszystko tak wyraźnie, jak każdy w Diaspar.

Podium zasnute było mgłą. Mgła przybrała postać Callitraxa, przewodniczącego grupy, której zadaniem było zrekonstruowanie przeszłości z informacji dostarczonych na Ziemię przez Vanamonda. Było to przedsięwzięcie ogromne i prawie niewykonalne i to nie tylko z uwagi na wchodzący w grę okres czasu. Tylko raz, z pomocą Hilvara, wejrzał Alvin w umysł dziwnej istoty, którą wspólnie odkryli - lub która odkryła ich. Myśli Vanamonda były dla Alvina tak niezrozumiałe, jak tysiąc głosów krzyczących jednocześnie w jakiejś wielkiej jaskini, zniekształcanych do tego odbijającym się od jej ścian echem. Ludzie z Lys potrafili je jednak rozwikłać, potrafili je zarejestrować i zinterpretować. To, co odkryli, głosiła plotka, której Hilvar ani nie zaprzeczał, ani jej nie potwierdzał, było tak dziwne, że niewiele przypominało historię, jaką cała rasa ludzka uważała od miliardów lat za swoją.

Callitrax zaczął mówić. Streścił pokrótce akceptowane dotąd dzieje ludzkości. Mówił o nieznanych ludziach Cywilizacji Zarania, po których nie pozostało nic, prócz sławnych nazw i spłowiałych legend o Imperium. Od samego początku Człowiek pożądał gwiazd - i w końcu ich dosięgnął. Przez miliony lat penetrował Galaktykę obejmując we władanie układ po układzie. Potem, z ciemności, spoza krawędzi wszechświata, uderzyli Najeźdźcy i wydarli mu wszystko, co zdobył.

Odwrót do Układu Słonecznego musiał być gorzki i trwał na pewno wiele wieków. Z legendarnych bitew szalejących wokół Shalmirane, ledwo ocalała sama Ziemia. Kiedy się skończyły, Człowiek pozostał tylko ze swymi wspomnieniami i światem, na którym się narodził.

Od tej chwili wszystko było długim pasmem upadku. Jak na ironię, rasa, która chciała władać Wszechświatem, rozdzieliła się na dwie izolowane kultury Lys i Diaspar - oazy życia wśród pustyni, która dzieliła je tak samo, jak międzygwiezdna otchłań.

Callitrax przerwał; Alvinowi, tak jak każdemu obecnemu na Wielkim Zgromadzeniu, wydawało się, że historyk patrzy właśnie na niego oczyma widzącymi rzeczy, którym jeszcze teraz niezupełnie dawał wiarę.

- I to tyle - powiedział Callitrax - jeśli chodzi o opowieści, w które wierzono dotychczas. Muszę wam teraz powiedzieć, że są one nieprawdziwe - nieprawdziwe w każdym szczególe - tak nieprawdziwe, że nawet teraz nie w pełni pogodziliśmy się z prawdą.

Odczekał, aż zebrani pojmą w pełni znaczenie jego słów. Potem, mówiąc wolno i wyraźnie, przekazał Lys i Diaspar wiedzę zaczerpniętą z umysłu Vanamonda.

Nie było prawdą, że Człowiek sięgnął do gwiazd. Całe jego małe imperium ograniczało się do orbit Plutona i Persefony, ponieważ przestrzeń międzygwiezdna stanowiła dlań barierę nie do przebycia. Cała cywilizacja ludzka kłębiła się wciąż wokół Słońca i była jeszcze bardzo młoda, kiedy dosięgnęły jej gwiazdy.

Szok musiał być wstrząsający. Pomimo ciągłych niepowodzeń, Człowiek nigdy nie wątpił, że pewnego dnia podbije otchłanie kosmosu. Wierzył też, że jeśli nawet Wszechświat zamieszkują równi jemu, to nie ma w nim ras przewyższających go pod jakimkolwiek względem. I nagle dowiedział się, że oba przekonania były mylne i że wśród gwiazd istnieją umysły daleko bardziej rozwinięte niż jego. Przez wiele wieków, najpierw w statkach innych ras, potem w maszynach zbudowanych na podstawie zapożyczonej wiedzy, Człowiek badał Galaktykę. Wszędzie natykał się na kultury, które potrafił zrozumieć, ale nie potrafił się do nich dostosować, a czasami spotykał umysły, których w ogóle nie potrafił pojąć.

Szok był straszliwy, ale przyczynił się do rozwoju rasy. Smutniejszy, ale nieskończenie mądrzejszy, powrócił Człowiek do Układu Słonecznego, aby rozwinąć wiedzę, którą uzyskał. Przyjął wyzwanie i powoli realizował swój plan, który dawał nadzieję na przyszłość.

Dawniej największym zainteresowaniem darzył Człowiek nauki fizyczne. Teraz, z jeszcze większym zapałem zwrócił się ku genetyce i badaniom umysłu. Nie licząc się z kosztami wzniósł się do granic ewolucji.

Ten wielki eksperyment pochłaniał przez miliony lat całą energię rasy. Wszystkie te wysiłki, wszystkie poświęcenia stały się tylko garścią słów w narracji Callitraxa. Przyniosły Człowiekowi największe zwycięstwa: zwalczył dzięki nim choroby; jeśli chciał, mógł żyć wiecznie, a opanowując telepatię, nagiął do swej woli najpotężniejszą z sił.

Zależny tylko od siebie samego, był gotów do ponownego wyruszenia na podbój ogromnych prze-

Centralny Komputer zna całą prawdę o tobie i o innych Odmieńcach, którzy pojawiali się od czasu do czasu w minionych wiekach i potem ślad po nich ginął. Czy dowiedziałeś się, co się z nimi stało?

Wydaje mi się, że jedną z przyczyn, dla których uciekam w przyszłość, jest moja niecierpliwość. Chcę ujrzeć rezultaty tego, co zapoczątkowałeś, ale jednocześnie pragnę przeskoczyć etapy pośrednie, które jak podejrzewam, nie będą przyjemne. Ciekaw jestem, czy w tym świecie, który ujrzę za kilka minut czasu subiektywnego, pamiętany będziesz jako twórca, czy jako niszczyciel - lub też, czy w ogóle będziesz pamiętany.

Do zobaczenia, Alvinie. Myślałem o udzieleniu ci jakiejś rady, ale nie przypuszczam, abyś z niej skorzystał. Pójdziesz własną drogą, jak to zawsze robiłeś, a twoi przyjaciele będą ci służyli za narzędzia, które, zależnie od okoliczności, porzucisz lub wykorzystasz.

To wszystko. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Przez chwilę Khedron - ten Khedron, który istniał już tylko jako matryca ładunków elektrycznych w komórkach pamięci miasta - patrzył z rezygnacją i chyba ze smutkiem na Alvina. Potem ekran zgasł.

Alvin przez dłuższy czas siedział bez ruchu. Nigdy nie przepadał za Khedronem; specyficzna osobowość Błazna nie dopuszczała jakiegokolwiek bliższego związku, nawet gdyby Alvin go pragnął. Ale teraz, rozważając pożegnalne słowa Khedrona, był wstrząśnięty do głębi. To z jego powodu Błazen czmychnął z tego wieku w bliżej nieokreśloną przyszłość. Nie mógł się jednak za to winić. Dowodziło to tylko tchórzostwa Khedrona.

Kogo jeszcze w Diaspar dotknął, czy skrzywdził? Pomyślał o Jeseracu, swoim nauczycielu, który przejawiał tyle cierpliwości dla swego najbardziej kłopotliwego wychowanka. I pomyślał o Alystrze. Kochała go, a on przyjmował albo ignorował jej miłość, zależnie od nastroju. A cóż miał począć? Czy byłaby szczęśliwsza, gdyby zupełnie ją odtrącił?

Rozumiał teraz, dlaczego nie kochał ani Alystry, ani żadnej innej kobiety z Diaspar. To była kolejna lekcja, jakiej udzieliło mu Lys. Diaspar zapomniało o wielu rzeczach, a wśród nich o prawdziwym znaczeniu miłości. Widział w Airlee matki kołyszące na kolanach swe dzieci i sam czuł opiekuńczą czułość dla wszystkich małych i bezbronnych stworzeń. A w Diaspar nie było teraz kobiety, która zdawałaby sobie sprawę, albo którą obchodziłby ten ostateczny cel miłości.

W tej chwili Alvin uświadomił sobie swe przeznaczenie. Do tej pory był nieświadomym wykonawcą własnych impulsów.

Z zadumy wyrwało go brzęczenie ściany-ekranu. Po rodzaju dźwięku zorientował się od razu, że to nie zdalne połączenie, ale że ktoś przybył, aby się z nim zobaczyć. Dał sygnał potwierdzenia i w chwilę później znalazł się oko w oko z Jeseracem.

Nauczyciel miał ponurą minę, ale nie zachowywał się nieprzyjaźnie.

- Proszono mnie, abym przyprowadził cię przed oblicze Rady, Alvinie - powiedział. - Czeka, aby cię wysłuchać. - Nagle Jeserac dostrzegł robota i utkwił w nim zaciekawione spojrzenie. - A więc to jest ten towarzysz, którego przywiozłeś ze swoich podróży. Myślę, że lepiej będzie, jeśli uda się z nami.

Ta propozycja bardzo odpowiadała Alvinowi. Robot wyciągnął go już z jednej opresji i być może znowu będzie musiał zdać się na niego. Zastanawiał się, co ta maszyna sądzi o przygodach, w które ją uwikłał i po raz tysięczny zapragnął zrozumieć, co dzieje się w zakamarkach jej szczelnie izolowanego mózgu. Alvin odnosił wrażenie, że robot postanowił przez jakiś czas obserwować, analizować i wyciągać własne wnioski, nie robiąc nic ze swej strony, aby się z nim porozumieć, dopóki nie osądzi, że nadszedł na to czas. Może potem, zupełnie niespodziewanie, zdecyduje się na działanie; a to co będzie wtedy chciał zrobić, może nie pasować do planów Alvina. Jedyny sprzymierzeniec, jakiego posiadał, związany był z nim węzłami własnego interesu i w każdej chwili mógł go opuścić.

Przy rampie prowadzącej na ulicę oczekiwała ich Alystra. Nawet gdyby Alvin chciał ją obwiniać za wyjawienie jego tajemnicy, to nie miał serca tego uczynić. Jej smutek był aż nadto oczywisty, a z oczu płynęły jej łzy, gdy podbiegła, aby go powitać.

- Och, Alvinie! - zaszlochała. - Co oni chcą z tobą zrobić? - Alvin ujął jej dłonie z czułością, która zdumiała ich oboje.

- Nie martw się, Alystro - powiedział. - Wszystko będzie dobrze. Przecież w najgorszym przypadku Rada może mnie wysłać z powrotem do Banków Pamięci - ale nie spodziewam się jakoś, żeby do tego doszło. - Uwolnił się delikatnie z jej ramion i odwrócił, aby podążyć za Jeseracem w kierunku Gmachu Rady.

Ledwie dostrzegał zaciekawione i przestraszone spojrzenia, jakimi mieszkańcy Diaspar obrzucali jego i towarzyszącą mu świtę. Obmyślał argumenty, jakimi będzie się może musiał posłużyć i układał w głowie najodpowiedniejszą historię, jaką opowie Radzie. Od czasu do czasu uświadamiał sobie, że nie jest w najmniejszym stopniu przestraszony i czuje się panem sytuacji.

Czekali w holu tylko kilka minut, ale to wystarczyło, aby Alvin zauważył, że chociaż nie odczuwa lęku, to nogi ma jak z waty. Pomyślał sobie, co też teraz porabia Hilvar i czy spotkają się kiedyś znowu. To spotkanie stało się dlań nagle bardzo ważną sprawą.

Rozsunęły się wielkie drzwi i wszedł za Jeseracem do Sali Rady. Wokół stołu w kształcie półksiężyca siedziało już jej dwudziestu członków i Alvin poczuł miłe zaskoczenie, nie widząc pustych miejsc. Chyba po raz pierwszy od wielu wieków Rada zebrała się w komplecie. Rzadkie jej spotkania były zwykle formalnością, gdyż wszystkie zwykłe sprawy załatwiano za pośrednictwem rozmów wizjofonowych i, jeśli zachodziła tego konieczność, poprzez spotkania Przewodniczącego z Centralnym Komputerem.

Alvin znał z widzenia większość członków Rady. Podobnie jak Jeserac nie sprawiali wrażenia wrogo doń nastawionych, tylko zaciekawionych. Mimo wszystko byli światłymi ludźmi. Mogło ich irytować, iż ktoś dowiódł [illegible], że się mylą, ale Alvin nie przypuszczał, aby odnosili się doń z uprzedzeniem. Wysłuchają go spokojnie, a co sobie pomyślą, nie było ważne. Jego sędzią nie będzie teraz Rada. Będzie nim Centralny Komputer.

Rozdział 16

Nie było żadnych formalności. Przewodniczący ogłosił otwarcie posiedzenia i zwrócił się do Alvina:

– Alvinie – powiedział uprzejmie – chcielibyśmy usłyszeć, co się wydarzyło od chwili twojego zniknięcia dziesięć dni temu.

Użycie przez Przewodniczącego słowa „zniknięcie" było bardzo znaczące. Nawet teraz Rada nie przyjmowała do wiadomości, że Alvin naprawdę wydostał się poza mury Diaspar. Alvin był ciekaw, czy wiedzą, że w mieście są obcy, ale raczej w to wątpił. Okazywaliby wtedy większe zaniepokojenie.

Ze szczegółami i bez żadnego dramatyzowania opowiedział swoją historię; i tak była na tyle dziwna i niewiarygodna dla ich uszu, że nie potrzebowała upiększeń. Pominął milczeniem tylko jeden epizod; nie wyjawił sposobu, w jaki uciekł z Lys. Było więcej niż prawdopodobne, że znowu będzie musiał skorzystać z tej samej metody.

Fascynująca była zmiana, jaka podczas jego narracji zachodziła w nastawieniu Rady. Z początku byli sceptyczni, nieskorzy do odrzucenia wszystkiego, w co do tej pory wierzyli. Kiedy Alvin mówił o swej pasji poznania świata leżącego poza miastem i o swej pewności, że taki świat istnieje, patrzyli nań jak na jakąś obcą i niepojętą istotę. Był nią zresztą w ich mniemaniu. Ale w końcu zmuszeni byli przyznać mu rację i uznać swoją omyłkę. W miarę jak Alvin ciągnął swą opowieść, wszelkie wątpliwości, jakie dotąd żywili, powoli znikały. To, co mówił, mogło im się nie podobać, ale nie mogli zaprzeczać oczywistej prawdzie. Jeśli mieliby ku temu skłonność, wystarczyło spojrzeć na milczącego towarzysza Alvina.

Tylko jeden aspekt jego opowieści wywołał wśród nich oburzenie – ale nie było ono skierowane przeciwko niemu. Pomruk niezadowolenia rozszedł się po sali, gdy Alvin wspomniał o niechęci Lys do nawiązania kontaktu z Diaspar, o jej przyczynach i o krokach, jakie podejmowała Seranis, aby takim kontaktom zapobiec. Miasto było dumne ze swej kultury i zdrowego rozsądku. To, że ktokolwiek śmiał uważać ich za coś gorszego, wykraczało poza granice tolerancji Rady.

Do perswazji przystąpił Alvin dopiero wtedy, gdy skończył opowiadać swoje przygody. Musiał jakoś przekonać tych ludzi do prawd, których nauczył się w Lys, ale jak mógł wytłumaczyć im coś, czego nigdy nie widzieli, ani nie potrafili sobie wyobrazić?

– To chyba wielka tragedia – powiedział – że dwa ocalałe odłamy rasy ludzkiej pozostawały w separacji przez tak ogromny okres czasu. Może pewnego dnia dowiemy się, jak do tego doszło, ale teraz najważniejsze to naprawić błąd i nie dopuścić, aby doszło do niego ponownie. Kiedy przebywałem w Lys, protestowałem przeciw ich poglądom, jakoby byli lepsi od nas: mogą nas dużo nauczyć, ale my również możemy dużo ich nauczyć. Jeśli będziemy tkwić we wzajemnym przekonaniu, że nie możemy nic skorzystać na takim kontakcie, to czyż nie jest oczywiste, że się mylimy?

Spojrzał wyczekująco po twarzach członków Rady i malujące się na nich skupienie zachęciło go do kontynuowania mowy.

Nasi przodkowie – ciągnął – zbudowali imperium, które sięgnęło gwiazd. Ludzie podróżowali między wszystkimi tymi światami bez żadnych ograniczeń, a teraz ich potomkowie boją się wychylić nosa poza bramy swego miasta. Mam wam powiedzieć dlaczego? – przerwał; w wielkiej sali nikt nawet nie drgnął.

– Dlatego, że się boimy – boimy czegoś, co wydarzyło się u zarania dziejów. W Lys powiedziano mi prawdę, chociaż domyślałem się jej już wcześniej. Czy zawsze musimy ukrywać się w Diaspar, jak tchórze, wmawiając sobie, że nic poza nim nie istnieje, bo miliardy lat temu Najeźdźcy zepchnęli nas z powrotem na Ziemię?

– Oddziaływuje na nas poprzez Sagi. Wyreżyserował ich wiele i bada nasze reakcje, gdy je przeżywamy. Nigdy nie myślałem, że w moim wieku wrócę znowu do zabaw dziecińśtwa.

– Co to są Sagi? – spytał Hilvar.

– Wyimaginowane światy marzeń – wyjaśnił Alvin. – Przynajmniej większość z nich jest wyimaginowana, chociaż niektóre opierają się prawdopodobnie na faktach historycznych. W komórkach pamięci miasta zarejestrowane są ich miliony; możesz sobie wybrać jakikolwiek rodzaj przygody czy doświadczenia i po wprowadzeniu do twego umysłu odpowiednich impulsów będzie ci się wydawało, że przeżywasz je naprawdę. – Zwrócił się do Jeseraca:

– Jakie Sagi wprowadził wam Gerane?

– Większość z nich wiąże się, jak się pewnie domyślasz, z opuszczeniem Diaspar. Niektóre przenoszą nas z powrotem do naszych najwcześniejszych wcieleń, tak blisko czasów założenia miasta, jak to tylko możliwe. Gerane sądzi, że im bardziej zbliży się do chwili wprowadzenia tego bodźca, tym łatwiej będzie mu go usunąć.

Ta wiadomość dodała Alvinowi pewności siebie i ucieszyła go. Jego sukces byłby połowiczny, gdyby otworzył bramy miasta – po to tylko, aby stwierdzić, że nikt przez nie nie przejdzie...

– Naprawdę chcecie pozbyć się lęku przed opuszczeniem Diaspar? – spytał przenikliwie Hilvar.

– Nie – odparł bez wahania Jeserac. – Jestem przerażony tym pomysłem, ale zdaję sobie sprawę, że myliliśmy się całkowicie uważając, że Diaspar jest pępkiem świata i logika mówi mi, że trzeba coś zrobić dla naprawienia tego błędu. Emocjonalnie wciąż nie jestem zdolny do opuszczenia miasta; może już na zawsze taki pozostanę. Gerane chce zabrać niektórych z nas do Lys i pragnę mu pomóc w tym eksperymencie – chociaż z drugiej strony mam nadzieję, że się nie powiedzie.

Alvin spojrzał na swego starego nauczyciela z nowym uznaniem. Ciekaw był, jak całkowite przełamanie tej bariery wpłynie na Lys i na Diaspar. Trzeba było w jakiś sposób zachować najlepsze elementy obu ośrodków i spoić je w nową, zdrowszą kulturę. To było straszliwe zadanie i do jego wykonania potrzebna będzie cała mądrość i cierpliwość, na jakie potrafi się zdobyć ludzkość.

Hilvar z kolei ciekaw był, co stanie się z Diaspar, gdy skończy się jego długa izolacja. Najlepszym wyjściem, na jakie mogłoby się zdobyć miasto, było zniszczenie banków pamięci, które utrzymywały je w niezmienionym stanie przez tyle wieków. Chociaż były takie cudowne – stanowiąc być może największy tryumf nauki, która je stworzyła, były jednak wytworem chorej kultury, prześladowanej wieloma lękami. Niektóre z tych lęków znajdowały uzasadnienie w rzeczywistości, ale inne, jak się teraz wydawało, opierały się wyłącznie na imaginacji. Hilvar znał już zarysy historii wyłaniającej się z umysłu Vanamonda. Za kilka dni pozna je i Diaspar – i dowie się, jak wiele z przeszłości było tylko mitem.

Gdyby jednak zniszczono banki pamięci, za tysiąc lat miasto byłoby martwe, ponieważ jego mieszkańcy straciliby możność odtwarzania się. Był to dylemat, z którym należało się liczyć, ale Hilvar miał już jedno możliwe do przyjęcia rozwiązanie. Na każdy problem natury technicznej istniała odpowiedź, a jego ludzie byli mistrzami nauk biologicznych.

Najpierw jednak miasto musiałoby się nauczyć tego, co zapomniało. Edukacja taka zajęłaby wiele lat – może nawet wiele wieków. Ale to był dopiero początek; niebawem szok pierwszej lekcji wstrząśnie Diaspar tak głęboko, jak obecny kontakt z Lys.

Wstrząśnie on również Lys. Pomimo wszystkich różnic dzielących obie kultury, wyrosły one z jednego pnia – i dzieliły te same złudzenia. Wyjdzie im na zdrowie, jeśli jeszcze raz spojrzą w zapomnianą przeszłość.

Rozdział 24

Amfiteatr, który wzniesiono specjalnie na tę okazję, mieścił całą populację Diaspar i wypełniony był do ostatniego ze swych dziesięciu milionów miejsc. Patrząc na wygiętą w kształcie łuku widownię ze swego miejsca na szczycie trybun, Alvin przypomniał sobie Shalmirane. Te dwa kratery miały podobny kształt i były niemal tej samej wielkości.

Była jednak między nimi zasadnicza różnica. Wielka niecka Shalmirane istniała naprawdę; ten amfiteatr był tylko fantomem, matrycą ładunków elektrycznych, przechowywaną do tej pory w pamięci Centralnego Komputera. Alvin wiedział, że w rzeczywistości znajduje się wciąż w swoim pokoju i że ludzie, którzy zdawali się go otaczać, również pozostawali w swoich domach.

Rzadziej niż raz na tysiąc lat życie miasta zamierało, aby jego mieszkańcy mogli spotkać się na Wielkim Zgromadzeniu. Również w Lys, Alvin wiedział o tym, odbywało się coś równoważnego z tym zebraniem. Tam było to spotkanie umysłów.

w Diaspar czymś niezwykłym. Mieszała się z nią obawa, a tu i ówdzie niezaprzeczalne oznaki strachu. Alvin pomyślał ze smutkiem, że nikt nie wydaje się być zadowolony z jego powrotu.

Mimo to Rada przyjęła go pozytywnie. Chociaż to właśnie on był sprawcą obecnego kryzysu, to tylko on mógł podać fakty, na których opierać się będzie przyszła linia postępowania. Z głęboką uwagą wysłuchano jego relacji z lotu do Siedmiu Słońc i spotkania z Vanamondem. Potem odpowiadał na liczne pytania, okazując cierpliwość, która dziwiła wielce pytających. Jak się szybko zorientował, ich umysły opanowane były strachem przed Najeźdźcami, chociaż nie wymienili ani razu tej nazwy i nie byli zbytnio zachwyceni, gdy bezpośrednio poruszył ten temat.

– Gdyby Najeźdźcy istnieli jeszcze we wszechświecie – mówił Alvin – to na pewno spotkałbym ich w samym jego środku. Ale wśród Siedmiu Słońc nie ma inteligentnego życia; domyśliliśmy się tego sami, zanim Vanamond potwierdził nasze przypuszczenia. Sądzę, że Najeźdźcy odeszli wieki temu; przynajmniej Vanamond, który wydaje się być równie stary jak Diaspar, nic o nich nie wie.

– Chciałem zauważyć – wtrącił nagle jeden z radców – że Vanamond w jakimś stopniu, którego jeszcze sobie nie uświadamiamy, może być potomkiem Najeźdźców. Nie pamięta swego pochodzenia, ale nie oznacza to, że pewnego dnia nie może znów stać się dla nas niebezpieczny.

Hilvar, który brał udział w zebraniu w charakterze widza, nie czekał na udzielenie mu głosu. Alvin po raz pierwszy widział przyjaciela tak wzburzonego.

– Vanamond wszedł w mój umysł – powiedział – a i ja wejrzałem na krótko w jego. Moi ludzie dużo już o nim wiedzą, chociaż nie odkryli jeszcze, kim jest. Ale jedno jest pewne – Vanamond jest nam przyjazny i bardzo się ucieszył ze spotkania z nami. Z jego strony nie mamy się czego obawiać.

Po tym wybuchu zapadła krótka chwila milczenia, a Hilvar zmieszał się i na jego twarzy odmalował się wyraz zakłopotania. Dało się zauważyć, że od tej chwili napięcie panujące dotąd w Sali Rady zaczęło powoli opadać, jakby z dusz obecnych uniosła się jakaś chmura. Przewodniczący nie upomniał nawet Hilvara za zabranie głosu bez przyzwolenia.

Przysłuchując się debacie, Alvin wyróżniał wyraźnie trzy szkoły myślenia reprezentowane w łonie Rady. Konserwatyści, stanowiący mniejszość, wciąż żywili nadzieję, że uda się jeszcze cofnąć wskazówki zegara i przywrócić stary porządek. Wbrew zdrowemu rozsądkowi trzymali się kurczowo tezy, że Diaspar i Lys można skłonić do ponownego zapomnienia o sobie.

Postępowcy stanowili również mniejszość; fakt, że w ogóle znaleźli się tacy w Radzie, mile zdziwił Alvina. Prawdę mówiąc, nie przyjęli oni z radością inwazji świata zewnętrznego, ale byli zdecydowani jak najwłaściwiej ją wykorzystać. Niektórzy z nich posuwali się aż do sugestii, że może istnieć sposób przełamania barier psychologicznych, które tak długo, jeszcze skuteczniej od barier fizycznych, odcinały Diaspar od świata.

Większość członków Rady, odbijająca dokładnie nastroje panujące w mieście, przyjęła postawę czujnej ostrożności w oczekiwaniu na zarysowanie się kształtu przyszłości. Zdawali sobie sprawę, że póki nie ucichnie burza, póty nie ma sensu snuć żadnych planów, ani starać się wprowadzać określonej linii postępowania.

Po zakończeniu sesji, Jeserac podszedł do Alvina i Hilvara. Zdawał się zmieniony od czasu ostatniego spotkania z Alvinem – i ostatniego rozstania – w Wieży Loranne, w bezpośredniej bliskości roztaczającej się w dole pustyni. Zmiana nie była taka, jakiej spodziewał się Alvin, ale z podobną metamorfozą postaw miał się spotykać w nadchodzących dniach coraz częściej.

Jeserac zdawał się odmłodnieć, jakby ognie życia znalazły w jego żyłach świeże paliwo i płonęły teraz jaśniej. Pomimo podeszłego wieku należał do tych, którzy mogą podjąć wyzwanie rzucone Diaspar przez Alvina.

– Mam dla ciebie wieści, Alvinie – powiedział. – Znasz chyba senatora Gerane?

– Oczywiście – był jednym z pierwszych ludzi, jakich spotkałem w Lys. Czy wchodzi w skład ich delegacji?

– Tak; poznaliśmy się dosyć dobrze. Jest bardzo inteligentnym człowiekiem i rozumie psychikę ludzką lepiej niż kiedykolwiek sądziłem, że jest to możliwe – chociaż mówił mi, że jak na warunki panujące w Lys, jest bardzo początkującym. Podczas swego tutaj pobytu zainicjował coś, co będzie bardzo bliskie twemu sercu. Ma nadzieję zanalizować bodziec, który nie pozwala nam opuszczać miasta i wierzy, że kiedy odkryje jak został wprowadzony, będzie w stanie go usunąć. Dwudziestu z nas już z nim współpracuje.

– I ty jesteś jednym z nich?

– Tak – odparł Jeserac rumieniąc się lekko. – To nie jest łatwe i na pewno nie sprawia przyjemności – ale cel jest kuszący.

– A co właściwie robi Gerane?

Zarzucił im skrywany skrzętnie strach – strach, którego nigdy nie podzielał, którego siły nigdy nie mógł w pełni pojąć. Teraz niech robią z nim co chcą: przedstawił im prawdę, taką jak ją widział.

Przewodniczący spojrzał nań ponuro.

– Czy masz coś jeszcze do dodania, zanim naradzimy się, co czynić? – spytał.

– Tylko jedną rzecz. Chciałbym zabrać tego robota do Centralnego Komputera.

– Ale po co? Wiesz przecież, że Komputer orientuje się już w tym, co zaszło w tej sali.

– Ale mimo to chcę do niego pójść – odparł grzecznie, ale stanowczo Alvin. – Proszę o pozwolenie zarówno Rady jak i Komputera.

Zanim Przewodniczący zdążył odpowiedzieć, salę wypełnił czysty, spokojny głos. Alvin nigdy go przedtem nie słyszał, ale wiedział, do kogo należy. Maszyny informacyjne, będące niczym innym, jak zewnętrznymi urządzeniami tej ogromnej inteligencji, również potrafiły przemawiać do człowieka, nie posiadały jednak tego bezbłędnego akcentu mądrości i autorytetu.

– Niech przyjdzie do mnie – powiedział Centralny Komputer.

Alvin spojrzał na Przewodniczącego.

– Czy mogę odejść?

Przewodniczący rozejrzał się po sali i nie dostrzegając żadnej oznaki sprzeciwu ze strony zebranych odpowiedział trochę bezradnie:

– Dobrze. Będą ci towarzyszyli strażnicy, którzy przywiodą cię tu z powrotem, kiedy skończymy naradę.

Alvin skłonił się lekko. Odwrócił się i wyszedł wolnym krokiem z sali. Towarzyszył mu Jeserac i kiedy drzwi zasunęły się za nim, Alvin zwrócił się do swego nauczyciela:

– Jak myślisz, co zrobi teraz Rada? – spytał niespokojnie.

Jeserac uśmiechnął się.

– Jak zawsze niecierpliwy, prawda? – powiedział. – Nie wiem, co warte są moje domysły, ale wydaje mi się, że postanowią opieczętować Grobowiec Yarlana Zeya, tak żeby nikt już nie mógł powtórzyć twojej podróży. Potem życie w Diaspar potoczy się po staremu i miasto będzie trwało tak, jak przedtem, nie niepokojone przez świat zewnętrzny.

– Tego właśnie się obawiam – powiedział gorzko Alvin.

– I wciąż masz nadzieję temu zapobiec?

Alvin nie odpowiedział od razu; wiedział, że Jeserac odgadł jego zamiary, ale nie mógł przewidzieć przecież jego planów, gdyż Alvin nie miał jeszcze żadnego. Doszedł do etapu, na którym mógł tylko improwizować i radzić sobie na bieżąco z każdą nową sytuacją.

– Winisz mnie za to? – odezwał się wreszcie i Jeserac zaskoczyła nowa nuta w jego głosie. Był to cień rezygnacji, ledwo uchwytna oznaka tego, że po raz pierwszy Alvin szukał poparcia u swych znajomych. Jeserac zauważył to, ale był zbyt doświadczony, aby brać to poważnie. Alvin znajdował się teraz pod wpływem znacznego stresu i nierozsądna byłaby nadzieja na jakąś trwałą oznakę poprawy jego charakteru.

– Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie – powiedział wolno Jeserac. – Korci mnie, żeby powiedzieć, iż każda wiedza jest cenna, a nie da się zaprzeczyć, że dużo wniosłeś do naszej wiedzy o świecie. Ale przyczyniłeś się też znacznie do zmniejszenia naszego bezpieczeństwa, a co jest w końcu na dłuższą metę ważniejsze? Jak często zatrzymywałeś się, aby o tym pomyśleć?

Przez chwilę nauczyciel i uczeń patrzyli w milczeniu na siebie, potem wiedzeni nagłym impulsem ruszyli długim korytarzem oddalając się od Sali Rady, a za nimi podążyła eskorta.

Ten świat nie był przeznaczony dla człowieka. W blasku jaskrawo niebieskiego światła rażącego do bólu oczy, długie, szerokie korytarze zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Korytarzami tymi musiały się poruszać nieśmiertelne roboty Diaspar, jednak nigdy przez wieki nie rozbrzmiewało tu echo kroków człowieka.

Było to podziemne miasto – miasto maszyn, bez których Diaspar nie mogłoby istnieć. Kilkaset jardów dalej krytarz kończył się przechodząc w okrągłą salę o średnicy około mili i o stropie podpartym potężnymi filarami, które musiały również dźwigać niewyobrażalny ciężar Centrum Energetycznego. Tutaj, zgodnie z tym, co mówiły mapy, Centralny Komputer wiecznie czuwał nad losem Diaspar.

Sala przerastała ogromem wszelkie wyobrażenia Alvina – ale gdzie był Komputer? Spodziewał się ujrzeć pojedynczą, wielką maszynę, chociaż wiedział, że było to naiwne. Kolosalna, ale niezrozumiała panorama, jaka się pod nim roztoczyła, sprawiła, iż zatrzymał się w zachwycie i niepewności.

Korytarz, którym tu dotarli kończył się wysoko w ścianie sali – prawdopodobnie największej groty ze zbudowanych kiedykolwiek przez człowieka – a do odległej podłogi prowadziły opadające na obie strony, długie rampy. Całą tę jaskrawo oświetloną przestrzeń wypełniły setki białych budowli, tak niewiele

przypominających maszyny, że Alvin miał przez chwilę wrażenie, że patrzy na podziemne miasto. Nigdzie nie dostrzegał tego, czego się spodziewał – znajomego, metalicznego połysku, który od zarania dziejów Człowiek nauczył się kojarzyć sobie ze swymi sługami.

Było to ostatnie stadium ewolucji niemal tak długiej, jak ewolucja Człowieka. Jej początki zagubiły się w pomroce Wieków Zarania, kiedy to ludzkość po raz pierwszy nauczyła się wykorzystywać energię i rozsyłała po świecie swe hałaśliwe silniki. Para, woda, wiatr – wszystko to użytkowano przez krótką chwilę, a potem zarzucono. Przez wieki napędzała świat energia materii, aż wreszcie i ona została wyparta, a z każdą zmianą zapominano o starych maszynach, a ich miejsce zajmowały nowe. Bardzo powoli, przez tysiące lat, dążono do maszyny doskonałej – ideału, który był niegdyś marzeniem, potem odległym projektem i w końcu stał się rzeczywistością.

Idealna maszyna nie mogła zawierać części ruchomych.

Mieli przed sobą skrajny przykład tego ideału. Jego zbudowanie zajęło Człowiekowi ponad sto milionów lat i kiedy wreszcie go zbudował, odwrócił się od niego na zawsze plecami. Maszyna osiągnęła ostateczność i od tej chwili mogła służąc mu, trwać wiecznie.

Alvin nie próbował już dojść, który z tych kopulastych białych tworów jest Centralnym Komputerem. Wiedział, że stanowią go wszystkie – i że rozciąga się on daleko poza tę salę, włączając w to inne, niezliczone maszyny w Diaspar czy to ruchome, czy nieruchome. Chociaż jego mózg stanowiło wiele miliardów komórek upakowanych w przestrzeni o średnicy nie przekraczającej kilku cali, to fizyczne elementy Centralnego Komputera rozsiane były po całym Diaspar. W tej sali mógł się znajdować sam system przełączający, za pośrednictwem którego wszystkie rozproszone jednostki mogły utrzymywać ze sobą stały kontakt.

Niepewny, w którą stronę się zwrócić, Alvin zszedł łagodnie opadającą rampą, a później ruszył cichą areną. Centralny Komputer musiał wiedzieć o jego obecności, tak jak wiedział o wszystkim, co działo się w Diaspar. Pozostawało mu tylko czekać na jego instrukcje.

Znajomy już, ale wciąż wzbudzający uczucie czci głos był tak cichy i rozległ się tak blisko jego ucha, że nie przypuszczał nawet, że słyszy go jego eskorta.

– Zejdź na dół rampą po twojej lewej ręce – powiedział. – Stamtąd pokieruję twoimi krokami.

Alvin ruszył wolno pochyłością, a robot, unosząc się nad ziemią podążył za nim. Jeserac i strażnicy pozostali z tyłu. Alvin zastanawiał się czy odebrali rozkaz pozostania tutaj, czy też sami zdecydowali, że mogą go obserwować z miejsca, w którym stali i nie trudzić się schodzeniem na dół. A może doszli już tak blisko centralnej świątyni Diaspar, że dalej nie ważyli się pójść...?

U stóp rampy cichy głos kazał Alvinowi zmienić kierunek marszu i skierował go w aleję śpiących, tytanicznych tworów. Zanim dotarł do celu, głos przemówił doń jeszcze trzy razy.

Maszyna, przed którą stanął była mniejsza od większości jej towarzyszek, ale i tak czuł się przy niej jak karzełek. Pięć rozciągających się w poziomie kondygnacji sprawiało wrażenie jakiegoś przycupniętego zwierzęcia i patrząc to na nią, to na swojego robota Alvin stwierdził, o dziwo, że oboje byli tworami tej samej ewolucji i oboje można było opisać tymi samymi słowami.

Na wysokości trzech stóp nad posadzką, przez całą długość maszyny, biegła płyta z przezroczystego materiału. Alvin przycisnął czoło do gładkiej, dziwnie ciepłej tafli i zajrzał do wnętrza. Z początku nie widział nic, potem, osłaniając dłonią oczy, zaczął rozróżniać tysiące blado świecących punkcików zawieszonych w nicości. Układały się w trójwymiarową kratownicę tak dlań obcą i niezrozumiałą, jak obce i niezrozumiałe musiały być gwiazdy dla starożytnego człowieka. Chociaż, zapominając o upływie czasu, patrzył na nie przez wiele minut, barwne światełka ani drgnęły ze swych miejsc i nie zmieniły swej jasności.

Alvin uświadomił sobie, że gdyby mógł zajrzeć w swój mózg, to to, co by tam zobaczył, byłoby dla niego równie niezrozumiałe. Maszyna wydała mu się bezwładna i nieruchoma, ponieważ nie mógł widzieć jej myśli.

Po raz pierwszy zaczął sobie mgliście zdawać sprawę z potęgi sił utrzymujących miasto. Dotąd akceptował bez żadnych pytań cud syntetyzerów, które wiek po wieku dostarczały Diaspar wszystkiego, czego potrzebowało. Tysiące razy obserwował ten akt tworzenia, rzadko zastanawiając się nad tym, że gdzieś musi istnieć prototyp tego, co na jego oczach przychodziło na świat.

Świat przeszedł długą drogę od czasu, kiedy pierwsi jaskiniowcy, godzina po godzinie, wyciosywali cierpliwie groty do swych strzał z opornego kamienia...

Alvin, nie śmiąc się odezwać, czekał na jakiś znak. Zastanawiał się, w jaki sposób Centralny Komputer uświadamia sobie jego obecność i jak może go widzieć i słyszeć. Nie dostrzegał nigdzie śladu organów czujnikowych, siatek detekcyjnych, ekranów czy kryształowych oczu, za pośrednictwem których roboty zwykle zdobywały wiedzę o otaczającym je świecie.

Alvin patrzył na nią w osłupieniu. Potem zrozumiał; nietrudno było sobie wyobrazić, jakim szokiem dla tych ludzi o sprzężonych umysłach i wyostrzonej percepcji zmysłowej, było pojawienie się Vanamonda. Zareagowali z zadziwiającą szybkością i nagle wyobraził sobie Vanamonda, może trochę przestraszonego, otoczonego najbystrzejszymi w Lys umysłami.

– Czy wiecie już, czym on jest? – spytał.

– Tak. To było proste, choć nadal nie wiemy, skąd pochodzi. Jest on czystym umysłem, a wiedza, jaką dysponuje, wydaje się być nieograniczona. Ale jest dziecinny w dosłownym tego słowa znaczeniu.

– Naturalnie! – wykrzyknął Hilvar. – Powinienem się tego domyślić.

Alvin wyglądał na zaintrygowanego i Seranis zrobiło się go żal.

– Chodzi mi o to, że chociaż Vanamond dysponuje kolosalnym, być może nieograniczonym umysłem, to jest on jeszcze niedojrzały i nierozwinięty. Jego faktyczna inteligencja jest w tej chwili mniejsza od ludzkiej – uśmiechnęła się z przymusem – chociaż jego procesy myślowe przebiegają dużo szybciej i bardzo łatwo przyswaja sobie wiedzę. Dysponuje on także innymi możliwościami, których nie jesteśmy jeszcze w stanie zrozumieć. W sposób trudny do opisania wydaje się być otwarta przed jego umysłem cała przeszłość. Tę zdolność mógł właśnie wykorzystać przybywając po waszych śladach na Ziemię.

Alvin milczał. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak słusznie postąpił Hilvar sprowadzając Vanamonda do Lys i jakie miał kiedyś szczęście on sam wywodząc w pole Seranis; ten podstęp nie udałby mu się po raz drugi.

– Twierdzisz zatem, że Vanamond niedawno się narodził? – spytał.

– Posługując się jego standardami, tak. W rzeczywistości istnieje on już bardzo długo, chociaż na pewno krócej niż rasa ludzka. Najbardziej zaskakujące jest to, iż on z uporem twierdzi, że to my go powołaliśmy do istnienia i nie ulega wątpliwości, że z jego pochodzeniem wiążą się wszystkie największe tajemnice przeszłości.

– Gdzie jest teraz Vanamond? – spytał Hilvar.

– Wypytują go historycy z Grevarn. Starają się ustalić ogólne zarysy przeszłości, ale ta praca zajmie im całe lata. Vanamond może opisać przeszłość ze wszystkimi szczegółami, ale nie rozumie tego, co widzi; bardzo trudno z nim współpracować.

Chodziło tu o coś, czego Alvin nigdy nie był w stanie w pełni pojąć: bezpośredni kontakt, nawet między ludzkimi umysłami, był dlań taką samą tajemnicą, jak muzyka dla głuchego, czy barwa dla ślepego. Jednak ludzie z Lys wymieniali teraz myśli z tą niewyobrażalnie obcą istotą, którą sprowadził na Ziemię, ale której nigdy by sam nie wykrył żadnym z posiadanych zmysłów.

Nie tu było jego miejsce: po zakończeniu przesłuchania dowie się o jego wynikach. Otworzył bramy nieskończoności i przestraszył się teraz tego, co uczynił. Dla spokoju sumienia musi wrócić do maleńkiego, znajomego światka Diaspar, które szukało schronienia, podczas gdy on brał się za bary ze swymi marzeniami i ambicjami. Jakaż tkwiła w tym ironia; ten, który porzucił miasto, aby ryzykować życiem wśród gwiazd, wraca teraz do domu, jak przestraszone dziecko uciekające w popłochu pod opiekę matki.

Rozdział 23

Diaspar nie było zbyt zadowolone z powrotu Alvina. W mieście wrzało, jak w mrowisku, w które nagle wsadzono kij. Mieszkańcy wciąż nie chcieli pogodzić się z rzeczywistością, ale ci, którzy wzbraniali się przed uznaniem istnienia Lys i świata zewnętrznego nie mieli się już gdzie ukryć. Banki Pamięci przestały ich przyjmować. Nie skutkowały żadne apele do Centralnego Komputera, który nie wyjaśniał motywów swojego postępowania. Niedoszli uciekinierzy musieli wracać do miasta i stawiać czoła problemom swego stulecia.

Alvin wylądował na skraju Parku, niedaleko Gmachu Rady. Aż do ostatniej chwili nie był pewien, czy potrafi wprowadzić statek do miasta przez ekrany, które oddzielały je prawdopodobnie od świata zewnętrznego. Niebo Diaspar, tak samo zresztą jak wszystko w tym mieście, było tworem sztucznym lub przynajmniej częściowo sztucznym. Noc z gwiezdnymi pozostałościami wszystkiego, co utracił Człowiek nie była do miasta dopuszczana; ekrany chroniły je też przed burzami, które szalały czasami nad pustynią, zakrywając niebo ruchomymi ścianami piasku.

Niewidoczni strażnicy przepuścili jednak Alvina i gdy zobaczył w dole Diaspar, wiedział, że jest w domu. Niezależnie od tego, jak by go wzywał wszechświat i jego tajemnice, tu się urodził i do tego miejsca należał. Nigdy go nie satysfakcjonowało, ale zawsze by tu powrócił.

Zanim jeszcze statek wylądował, w Parku zebrały się tłumy i Alvin zastanawiał się z niepokojem, jak przyjmą go mieszkańcy miasta. Dość łatwo czytał w ich twarzach oglądając na ekranie otoczenie przed otworzeniem śluzy powietrznej. Dominującą emocją zdawała się być ciekawość – sama w sobie będąca

ale zrobił jeszcze coś, czego według mnie na pewno nie zawierał pierwotny projekt. Czy Centralny Komputer może to potwierdzić?

Bezosobowy głos odpowiedział od razu.

– Radny orientuje się, iż nie wolno mi komentować instrukcji, które otrzymałem od konstruktorów.

Jeserac przyjął ze spokojem tę łagodną naganę.

– Z jakiejś bliżej nie określonej przyczyny nie możemy rozważyć tych faktów. Alvin odleciał w kosmos. Gdy powróci, możecie mu uniemożliwić następne podobne wyprawy, chociaż osobiście wątpię, czy wam się to uda, bo do tego czasu na pewno dużo się nauczy. A jeśli dojdzie w końcu do tego, czego tak się wszyscy obawiacie, to nikt z nas nic na to nie może poradzić. Ziemia jest całkowicie bezbronna – taka, jaką była przez miliony wieków.

Jeserac przerwał i popatrzył na twarze zebranych. Jego słowa nie zostały przyjęte z zadowoleniem, ale też nie oczekiwał tego.

– Nie widzę jednak powodu do niepokoju – ciągnął dalej. – Ziemia nie znajduje się teraz w większym niż kiedy indziej niebezpieczeństwie. Dlaczego dwaj ludzie w jednym, małym statku mieliby ściągać na nas znowu gniew Najeźdźców? Bądźmy szczerzy i przyznajmy, że Najeźdźcy, gdyby tylko chcieli, mogli zniszczyć nasz świat już wieki temu.

Przewodniczący przerwał mu marszcząc brwi.

– Czyż legenda nie mówi, że Najeźdźcy oszczędzili Ziemię tylko pod warunkiem, że Człowiek nigdy więcej nie wyruszy w Kosmos? A czyż nie złamaliśmy teraz tego warunku?

– Owszem, tak mówi legenda – powiedział Jeserac. – Akceptujemy bezkrytycznie wiele legend i ta jest jedną z nich. Nie ma jednak dowodu, że akurat ta jest prawdziwa. Trudno mi uwierzyć, aby coś o takim znaczeniu nie zostało zarejestrowane w pamięci Centralnego Komputera, bo on przecież nie wie nic o tym pakcie. Pytałem go, chociaż tylko za pośrednictwem maszyn informacyjnych. Rada może zapytać go o to bezpośrednio.

Jeserac skończył i czekał na odpowiedź Przewodniczącego. I nie doczekał się, gdyż właśnie w tym momencie goście z Lys zastygli nagle w swych fotelach, a ich twarze ściągnęły się w jednoczesnym grymasie niedowierzania i zaniepokojenia. Zdawali się nasłuchiwać jakiegoś odległego głosu, wlewającego w ich uszy niezwykłe wiadomości.

Radcy czekali na koniec tej bezgłośnej konwersacji z rosnącym z minuty na minutę niepokojem. Lider delegacji otrząsnął się wreszcie z transu i zwrócił przepraszająco do Przewodniczącego:

– Odebraliśmy właśnie jakieś dziwne i niepokojące wieści z Lys – powiedział.

– Czy Alvin wrócił na Ziemię? – spytał Przewodniczący Rady.

– Nie, to nie Alvin. To coś innego.

* * *

Lądując na polanie w Airlee, Alvin zastanawiał się, czy kiedykolwiek w dziejach ludzkości jakiś inny, powracający z kosmosu statek przywiózł na Ziemię równie niezwykły ładunek – o ile w ogóle Vanamond znajdował się w fizycznej przestrzeni maszyny. Podczas podróży nie dawał znaku istnienia; Hilvar twierdził, a czerpał swą wiedzę z bardziej bezpośrednich stosunków z tą fantastyczną istotą, że tylko o sferze percepcji Vanamonda powiedzieć można, iż zajmuje jakieś określone położenie w przestrzeni. Sam Vanamond nie znajdował się nigdzie – może nawet nigdy go nie było.

Gdy wynurzyli się ze śluzy powietrznej statku, czekała już na nich Seranis z pięcioma senatorami. Jednego z senatorów Alvin poznał podczas ostatniej wizyty; dwaj inni, uczestniczący w tamtym spotkaniu, przebywali teraz, jak się domyślał, w Diaspar. Ciekaw był, jak idzie delegacji i jak zareagowało miasto na pojawienie się pierwszych od tylu milionów lat intruzów.

– Wygląda na to, Alvinie – powiedziała oziębłe Seranis przywitawszy się z synem – że masz szczególny dar odkrywania niezwykłych istot. Myślę jednak, że upłynie sporo czasu, zanim zdystansujesz swoje ostatnie osiągnięcie na tym polu.

– A więc Vanamond przybył?

– Tak, jest tu od wielu godzin. Zdołał wytropić jakoś trasę, którą przemierzyliście lecąc w tamtą stronę – wyczyn sam w sobie zdumiewający i wywołujący wiele problemów natury filozoficznej. Istnieje pewien dowód na to, iż dotarł on do Lys w tym samym momencie, kiedy go odkryliście, a więc potrafi przemieszczać się w przestrzeni z nieskończoną szybkością. Ale to nie wszystko. Przez ostatnie kilka godzin dowiedzieliśmy się od niego o takich faktach z naszej historii, których istnienia nawet nie podejrzewaliśmy.

– Z czym przychodzisz? – rozległ się w jego uchu cichy głos.

Trudno było rozmawiać z czymś, co wypełniało całą przestrzeń wokół niego. Słowa Alvina zdawały się zamierać natychmiast po ich wypowiedzeniu.

– Kim jestem? – spytał.

Wiedział, jaką otrzymałby odpowiedź, gdyby zadał to pytanie jednej z maszyn informacyjnych w mieście. Często przecież to robił i zawsze odpowiadały mu „Jesteś człowiekiem". Ale teraz stał przed inteligencją zupełnie innego rzędu i precyzja formułowania pytań nie miała tutaj sensu. Centralny Komputer będzie i tak wiedział, o co mu chodzi, ale nie oznacza to, że mu odpowie.

Odpowiedź była właśnie taka, jakiej Alvin się obawiał.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Gdybym to uczynił, wyjawiłbym cel, do którego dążyli moi konstruktorzy, a tym samym unieważnił go.

– A zatem moja rola została zaplanowana gdy budowano miasto?

– Można tak powiedzieć o wszystkich ludziach.

Alvin zawahał się słysząc tę odpowiedź. Było w niej dużo racji; mieszkańców Diaspar zaprojektowano tak samo dokładnie, jak maszyny. Fakt, że był odmieńcem, czynił z Alvina osobę w mieście niepospolitą, ale niekoniecznie musiała to być zaleta.

Zdał sobie już sprawę, że nie dowie się niczego więcej, jeśli chodzi o tajemnicę swego pochodzenia. Bezcelowe byłoby usiłowanie przechytrzenia tej ogromnej inteligencji, czy żywienie nadziei, że wyjawi ona informację, którą rozkazano jej ukrywać. Nie był to zresztą główny powód jego tutaj wizyty.

Zastanawiając się nad następnym pytaniem spojrzał na robota, którego przywiózł z Lys. Robot, dowiedziawszy się, do czego zmierza Alvin, mógłby zareagować gwałtownie, nie można więc było dopuścić do tego, aby usłyszał on prośbę, z jaką Alvin chciał się zwrócić do Centralnego Komputera.

– Czy możesz roztoczyć strefę ciszy? – spytał Alvin.

W jednej chwili poczuł wytłumienie wszystkich dźwięków, jakie następuje po znalezieniu się w takiej strefie. Głos Komputera, gdy ten przemówił, był teraz dziwnie głuchy i przytłumiony.

– Teraz nikt nas nie słyszy. Możesz mówić co chcesz.

Alvin zerknął na robota; nie ruszył się z miejsca. Być może niczego nie podejrzewał i błędem było posądzanie go o snucie jakichś własnych planów? Może przyszedł za nim z Lys jako wierny, ufny sługa, a w tym przypadku, to co zamierzał właśnie uczynić wydało się Alvinowi szczególnie podłym podstępem.

– Musiałeś już słyszeć, jak znalazłem tego robota – zaczął Alvin. – Wszystko wskazuje na to, że dysponuje on zasobem bezcennej wiedzy o przeszłości, sięgającej dni poprzedzających założenie miasta. Może zdołalibyśmy też dowiedzieć się od niego o światach innych niż Ziemia, ponieważ towarzyszył Mistrzowi w jego wędrówkach. Problem w tym, że jego układy mowy zostały zablokowane. Nie wiem, jak skuteczna jest ta blokada, ale proszę cię, abyś ją usunął.

Jego głos brzmiał głucho i pusto, gdyż strefa ciszy pochłaniała każde słowo, zanim wywołało ono echo. Czekał w tej niewidzialnej próżni na odrzucenie lub spełnienie swej prośby.

– Twój rozkaz łączy w sobie dwa problemy – odparł Komputer. – Moralny i techniczny. Ten robot skonstruowany został do wypełniania poleceń określonego człowieka. Jakie mam prawo usuwać założoną przez niego blokadę, jeśli nawet potrafię to uczynić?

Alvin spodziewał się tego pytania i miał na nie przygotowanych kilka odpowiedzi.

– Nie wiemy, jaką dokładnie formę przyjął zakaz Mistrza – odparł. – Jeśli potrafisz nawiązać kontakt z robotem, może zdołasz go przekonać, że okoliczności, w których założono blokadę, uległy teraz zmianie.

– To zależy całkowicie od rodzaju blokady – padła odpowiedź. – Możliwe jest założenie blokady, która spowoduje, że w przypadku próby jej usunięcia, zawartość komórek pamięci zostanie automatycznie wymazana. Nie wydaje mi się jednak prawdopodobne, żeby Mistrz dysponował wystarczającymi umiejętnościami do jej założenia. Operacja ta wymaga zastosowania specjalistycznych metod. Zapytam twojej maszyny, czy w jej jednostkach pamięci założone zostały układy kasujące.

– Przypuśćmy jednak – wtrącił zaniepokojony Alvin – że samo pytanie o istnienie układów kasujących spowoduje wymazanie pamięci?

– Istnieje standardowa procedura stosowana w takich przypadkach i według niej będę postępował. Wydam maszynie instrukcje pomocnicze, nakazujące jej zignorowanie mego pytania, jeśli odpowiedź na nie brzmi twierdząco. Służą one do wprowadzania maszyny w stan paradoksu logicznego, polegającego na tym, że niezależnie od tego, czy odpowie na moje pytanie, czy pominie je milczeniem, będzie zmuszona do nieusłuchania swych instrukcji wewnętrznych. W ten sposób, dla ochrony siebie samych,

działają wszystkie roboty. Kasują po prostu swoje układy wejściowe i zachowują się tak, jakby nie zostało zadane żadne pytanie.

Alvin powstydził się swego pytania, ale teraz miał przynajmniej pewność, że Centralny Komputer jest w pełni przygotowany na radzenie sobie z wszelkimi pułapkami, które mogły się kryć w jednostkach pamięci robota. Alvin nie chciał oglądać swej maszyny zredukowanej do poziomu kupy złomu; wolałby raczej odstawić ją z powrotem do Shalmirane z nietkniętymi jej tajemnicami.

Czekał cierpliwie na rezultat milczącego dialogu tych dwóch intelektów, dwóch umysłów, z których każdy stworzony został przez geniusz ludzki w dawno przebrzmiałym, złotym wieku jego największych osiągnięć. I obydwa znajdowały się teraz poza zakresem pojmowania jakiegokolwiek żyjącego człowieka.

Wiele minut później znowu rozległ się głuchy, bezbarwny głos Centralnego Komputera:

– Nawiązałem częściowy kontakt – powiedział. – Rozpoznałem rodzaj blokady i wydaje mi się, iż wiem, dlaczego została założona. Tylko w jeden sposób można ją usunąć. Ten robot nie przemówi, dopóki na Ziemię nie przybędą Wielcy.

– Ależ to nonsens! – zaprotestował Alvin. – Ten drugi wyznawca Mistrza również w nich wierzył i starał się nam wyjaśnić kim oni są. Był to przeważnie bełkot. Wielcy nigdy nie istnieli i nigdy nie będą istnieć.

To był chyba zupełny impas i Alvin poczuł bezsilne zniechęcenie. Drogę do prawdy zagradzało mu życzenie człowieka, który był szalony i który umarł ponad sto milionów lat temu.

– Być może masz rację twierdząc, że oni nigdy nie istnieli – powiedział Centralny Koputer – ale to nie znaczy, że Wielcy nigdy nie będą istnieć.

Zapadła długa chwila ciszy. Alvin rozważał znaczenie tej ostatniej uwagi, a umysły dwóch maszyn weszły znowu w delikatny kontakt. I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znalazł się znowu w Shalmirane.

Rozdział 17

Było takie, jakim je widział ostatnio: wielka ebonitowa niecka spijająca słoneczne światło i nie odbijająca żadnych promieni. Stał wśród ruin fortecy patrząc na jezioro, którego nieruchoma tafla wskazywała, że gigantyczny polip nie jest już zorganizowaną istotą rozumną, a tylko rozproszoną ławicą drobnoustrojów.

Obok niego unosił się wciąż robot, ale po Hilvarze nie było śladu. Nie miał czasu zastanawiać się, co to znaczy, ani martwić się nieobecnością przyjaciela, ponieważ niemal od razu wydarzyło się coś tak fantastycznego, że wyparło z jego mózgu wszystkie inne myśli.

Niebo zaczęło pękać na dwoje. Wąski zrazu, sięgający od horyzontu po zenit, klin ciemności rozszerzał się powoli, jak gdyby do wszechświata włamywały się noc i chaos.

Klin rozszerzał się nieubłaganie, dopóki nie pokrył ćwierci nieba. Pomimo swej znajomości astronomii, Alvin nie mógł się oprzeć przytłaczającemu wrażeniu, że on i jego świat znajdują się pod przezroczystą kopułą – i że teraz coś przez nią przebija się od zewnątrz.

Klin nocy przestał rosnąć. Siły, które go wytworzyły, zaglądały teraz do odkrytego świata-zabawki naradzając się może między sobą, czy jest ona warta ich uwagi. Alvin nie odczuwał ani niepokoju, ani przerażenia pod tą kosmiczną obserwacją. Wiedział, że stoi oko w oko z potęgą i mądrością, przed którą człowiek może odczuwać cześć, ale nigdy strach.

I nagle zdecydowali się – strącą trochę ze swej wieczności na Ziemię i jej ludzi. Przybywali przez okno, które wybili w niebie.

Niczym iskry z jakiejś niebieskiej kuźni sypali się w dół. Przybywali coraz to tłumniej i tłumniej, aż w końcu z niebios walił wodospad ognia i docierając do powierzchni Ziemi rozpryskiwał się w kałużach płynnego światła. Alvin nie potrzebował słów, które brzmiały w jego uszach jak błogosławieństwo, żeby wiedzieć.

– „Wielcy przybyli".

Ogień dosięgnął go, ale nie sparzył. Był wszędzie, wypełniając złotym blaskiem wielką misę Shalmirane. Patrząc z zachwytem na rozgrywającą się na jego oczach scenę, Alvin zauważył, że nie był to bezpostaciowy potop światła. Ten blask posiadał kształt i strukturę. Zaczął rozkładać się na rozróżnialne formy, które zbierały się, aby utworzyć oddzielne ogniste wiry. Wiry te obracały się coraz szybciej wokół swoich osi, a ich środki wznosiły się w górę tworząc kolumny, w których Alvin dostrzegał tajemnicze, efemeryczne kształty. Z tych jarzących się totemowych słupów dochodziły cichutkie tony muzyki, nieskończenie odległej i hipnotycznie słodkiej.

przed sobą, że umysł Hilvara był w jakiś sposób o wiele chłonniejszy niż jego. Mógł tylko czekać zdumiony i na wpół oszołomiony strumieniem myśli przekraczających zdolność jego pojmowania.

Nagle Hilvar, pobladły na twarzy i spięty, przerwał kontakt i zwrócił się do przyjaciela.

– Alvinie – powiedział znużonym głosem. – Dzieje się tu coś dziwnego. Nic z tego nie rozumiem.

To oświadczenie niewiele się przyczyniło do przywrócenia Alvinowi jego dawnej pewności siebie. Odczytując to z jego twarzy Hilvar uśmiechnął się.

– Nie potrafię odkryć, czym jest ten... Vanamond – ciągnął. – Jest istotą, która dysponuje olbrzymią wiedzą, a jednocześnie wydaje się być obdarzony bardzo małą inteligencją. Oczywiście – dodał – jego umysł może być tak różny od naszego, że nie potrafimy go zrozumieć – jednak nie wierzę jakoś, że to prawdziwe wyjaśnienie.

– No, a czego się dowiedziałeś? – spytał niecierpliwie Alvin. – Czy on wie coś o Siedmiu Słońcach?

Umysł Hilvara zdawał się wciąż być rozkojarzony.

– Zostały zbudowane przez wiele ras, włączając w to i naszą – powiedział nieobecnym głosem. – On może podawać mi takie jak ten fakty, ale zdaje się nie rozumieć ich znaczenia. Sądzę, że posiada świadomość przeszłości, ale nie potrafi jej interpretować. Wszystko, co się kiedyś wydarzyło, zdaje się być przemieszane w jego umyśle.

Przerwał na chwilę i zamyślił się, potem twarz mu pojaśniała.

– Pozostaje tylko jedno; tak czy inaczej musimy zabrać Vanamonda na Ziemię, aby skonfrontować go z naszymi filozofami.

– Czy to będzie bezpieczne? – spytał Alvin.

– Tak – odparł Hilvar, zauważając, jak nietypowa dla przyjaciela była ta uwaga. – Vanamond jest nam przyjazny. Co więcej, wydaje mi się, że jest do nas przywiązany.

Rozdział 22

Jakże całkowicie nie do pomyślenia, zastanawiał się Jeserac, byłaby ta konferencja jeszcze kilka krótkich dni temu. W Sali Rady przy stole ustawionym w poprzek otwartego końca podkowy siedziało sześciu gości z Lys. Jeserac przypomniał sobie z rozbawieniem, że nie tak dawno, stojąc w tym samym miejscu, Alvin słuchał orzeczenia Rady postanawiającego, że Diaspar musi znowu zostać zamknięte przed światem. Teraz świat wdarł się do miasta nie na żarty i to nie tylko świat – cały wszechświat.

Skład Rady uległ od tamtego czasu zmianie. Brakowało ponad pięciu jej dawnych członków. Nie byli w stanie sprostać stającym teraz przed nimi problemom i odpowiedzialnością i poszli w ślady Khedrona. To, że tak wielu jego mieszkańców nie potrafiło stawić czoła pierwszemu od milionów lat, realnemu wyzwaniu, myślał Jeserac, było dowodem, iż Diaspar przegrało. Wiele tysięcy jego mieszkańców schroniło się w bankach pamięci w nadziei, że kiedy się obudzą, kryzys już będzie zażegnany i zastaną Diaspar takim, jakim znali je dawniej.

O zajęcie jednego z wakujących w Radzie miejsc poproszono Jeseraca. Siedział teraz na jednym z końców stołu na miejscu, które miało kilka zalet. Mógł stąd nie tylko obserwować profile gości, ale również widzieć oblicze radców – z ich twarzy można było dużo wywnioskować.

Nie ulegało już wątpliwości, że Alvin miał rację i Rada uświadamiała sobie z wolna tę niemiłą prawdę. Delegaci Lys potrafili myśleć o wiele szybciej od najświetniejszych umysłów z Diaspar. A nie była to ich jedyna przewaga, ponieważ w ich zachowaniu dostrzegało się niebywały stopień koordynacji, zawdzięczany, jak się domyślał Jeserac, ich zdolnościom telepatycznym. Ciekaw był czy czytali myśli radców, po chwili jednak odrzucił to podejrzenie. Nie złamaliby przecież solennego przyrzeczenia, bez którego nie doszłoby do tego spotkania.

Jeserac zdawał sobie sprawę, że jak dotąd nie poczyniono żadnych postępów i nie spodziewał się, aby obrady doprowadziły do jakiegoś pozytywnego rezultatu. Rada, która ledwie przyjmowała do wiadomości fakt istnienia Lys, zdawała się nie uświadamiać sobie wagi tego, co się stało. Poza tym była wyraźnie przestraszona – i tak samo, jak się domyślał, przestraszeni byli goście, chociaż lepiej potrafili to ukryć.

Sam Jeserac nie bał się tak, jak się tego spodziewał; lęk wciąż go prześladował, ale potrafił teraz stawić mu czoła. Coś z lekkomyślności Alvina (a może była to odwaga?) zaczęło zmieniać jego pogląd na świat. Nie wierzył, aby kiedykolwiek był zdolny do ruszenia się na krok poza mury miasta, ale teraz rozumiał pobudki, jakie popchnęły do tego Alvina.

Pytanie Przewodniczącego zaskoczyło go, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– Sądzę – powiedział – że tylko przypadek sprawił, iż obecna sytuacja nie zaistniała wcześniej. Wiemy wszyscy, że Odmieńców było czternastu, a za ich tworzeniem musiał kryć się określony plan. Jego celem, jak przypuszczam, było niedopuszczenie do wiecznej separacji Lys i Diaspar. Alvin to rozumiał

zwiększając swą potęgę. Kiedyś marzył o odnalezieniu tych, którym zawdzięczał swoje narodziny i chociaż marzenia te zblakły już teraz, to nie umarły całkowicie.

Na niezliczonych światach znajdował szczątki, jakie pozostawiło po sobie życie, ale inteligencję odkrył tylko raz – i w przerażeniu czmychnął z Czarnego Słońca. Jednak Wszechświat był bardzo wielki, a poszukiwania dopiero się zaczynały.

Chociaż było to daleko w czasie i w przestrzeni, wielki wybuch energii dotarł do Vanamonda przez lata świetlne z serca Galaktyki. Był zupełnie niepodobny do promieniowania gwiazd i pojawił się w jego polu świadomości tak nagle, jak smuga pozostawiona przez meteor na bezchmurnym niebie. Pognał w tamtym kierunku przez kosmos i czas, zrzucając z siebie martwy, nie zmieniający się model przeszłości.

Długiego, metalowego kształtu z jego nieskończoną złożonością budowy nie mógł pojąć, gdyż był on tak mu obcy, jak niemal wszystkie wytwory świata fizycznego. Wokół tego kształtu unosiła się wciąż aureola energii, która ściągnęła go tu z krańców wszechświata, ale nie ona go teraz interesowała. Ostrożnie, z płochą nerwowością dzikiego zwierzęcia, gotowego w każdej chwili czmychnąć, sięgnął w kierunku dwóch umysłów, które odkrył.

I wiedział już, że jego długie poszukiwania dobiegły końca.

Alvin chwycił Hilvara za ramiona i potrząsnął nim gwałtownie, starając się przywołać przyjaciela do rzeczywistości.

– Powiedz mi, co się dzieje? – błagał. – Co mam robić?

Z oczu Hilvara spełzła ekstaza.

– Wciąż tego nie pojmuję, ale nie ma powodu do obaw. Jestem tego pewien. Cokolwiek to jest, nie wyrządzi nam krzywdy. To coś wydaje się po prostu... zainteresowane.

Alvin miał właśnie o coś spytać, gdy nagle owładnęło nim uczucie, jakiego do tej pory nie zaznał. Zdawało mu się, że po jego ciele rozchodzi się przyjemny, ciepły dreszcz; trwało to kilka sekund, ale kiedy ustało, nie był już tylko Alvinem. Coś dzieliło z nim jego mózg nakładając się nań, jak jedno koło może częściowo pokrywać inne. Był również świadomy, że oddalony na wyciągnięcie ręki umysł Hilvara jest tak samo sprzęgnięty ze świadomością istoty, która się tu pojawiła. Uczucie było raczej dziwne niż nieprzyjemne i dzięki niemu Alvin po raz pierwszy uświadomił sobie, co to jest telepatia – zdolność, która tak zdegenerowała się w Diaspar, że teraz, przy jej pomocy można było tylko sterować maszynami.

Alvin zbuntował się od razu, kiedy jego umysłem próbowała zawładnąć Seranis, ale z tą ingerencją nie potrafił walczyć. Opór był beznadziejny, a zresztą wiedział, że ta istota nie żywi względem niego nieprzyjaznych zamiarów. Odprężył się akceptując bez sprzeciwu fakt, że jego umysł bada nieskończenie większa inteligencja.

Vanamond zorientował się od razu, że jeden z tych umysłów jest bardziej przystępny. Stwierdził, że obydwa są zaskoczone jego obecnością. Trudno było mu uwierzyć, że mogły zapomnieć; zła pamięć, podobnie jak śmiertelność, wykraczały poza zdolność pojmowania Vanamonda.

Nawiązanie kontaktu było bardzo trudne; wiele obrazów, jakie znalazł w tych umysłach było tak dziwnych, że z ledwością je rozpoznawał. Był zaintrygowany i z lekka przestraszony przewijającym się w nich wciąż strachem przed Najeźdźcami; przypominało mu to jego własne odczucia, kiedy po raz pierwszy w jego polu postrzegania znalazło się Czarne Słońce.

Ale te umysły nie wiedziały nic o Czarnym Słońcu i teraz zaczęły się w nich formować pierwsze pytania.

– Kim jesteś?

Udzielił jedynej odpowiedzi, jakiej mógł udzielić.

– Jestem Vanamond.

Nastąpiła przerwa (jakże długo formułują się ich myśli), a potem pytanie zostało powtórzone. Nie zrozumieli; dziwne, przecież to na pewno ich rodzaj nadał mu to imię. Pamiętał ten fakt od dnia narodzin. Wspomnień miał mało i wszystkie zaczynały się od jednego punktu w czasie, ale były kryształowo wyraźne.

W jego świadomość wdarły się znowu ich maleńkie myśli.

– Gdzie są ludzie, którzy zbudowali Siedem Słońc? Co się z nimi stało?

Nie wiedział. Nie dowierzali mu i ich rozczarowanie dotarło doń ostro i wyraźnie poprzez otchłań dzielącą ich umysły od jego. Ale byli cierpliwi i chciał im pomóc, ponieważ szukali tego samego, co on i przy nich po raz pierwszy nie czuł się samotny.

Alvin nie wierzył, że kiedykolwiek przeżyje jeszcze takie doświadczenie, jak ta bezgłośna rozmowa. Trudno było uwierzyć, że może być czymś więcej niż widzem, ponieważ nie chciał przyznać, nawet

– „Wielcy przybyli".

Tym razem Alvin usłyszał odpowiedź:

– Słudzy Mistrza witają Was. Czekaliśmy na Wasze przybycie.

Słysząc te słowa Alvin pojął, że blokada została przełamana. I w tym samym momencie zniknęło Shalmirane i jego dziwni goście i stał znowu przed Centralnym Komputerem w podziemiach Diaspar.

To wszystko była iluzja, iluzja nie bardziej realna, niż fantastyczny świat Sag, w którym w młodości spędził tyle godzin. Ale jak została stworzona? Skąd brały się te dziwne obrazy, które oglądał?

– To nie był zwyczajny problem – rozległ się cichy głos Centralnego Komputera. – Wiedziałem, że robot musi mieć w swym mózgu zakodowaną jakoś koncepcję Wielkich. Gdybym mógł doprowadzić do tego, że wrażenia zmysłowe, które odbierze, pokryją się z tym obrazem, reszta byłaby sprawą prostą.

– I jak tego dokonałeś?

– Przede wszystkim pytając robota, jak wyglądają Wielcy, a potem korzystając ze wzoru utrwalonego w jego pamięci. Był on bardzo niekompletny i sporo musiałem improwizować. Raz, czy dwa obraz, który stworzyłem sporo odbiegał od koncepcji robota, ale kiedy do tego dochodziło, czułem rosnące zakłopotanie maszyny i dokonywałem modyfikacji, zanim zaczęła coś podejrzewać. W tej chwili mogę już nawiązać pełny kontakt z jego mózgiem. Nie jest już szalony; odpowie na każde twoje pytanie.

Alvin był wciąż oszołomiony i nie starał się nawet zrozumieć wyjaśnień Centralnego Komputera. Nieważne; cud terapii dobiegł końca i drzwi prowadzące do wiedzy stały przed nim otworem.

Nagle przypomniał sobie ostrzeżenie Centralnego Komputera i spytał z niepokojem:

– A co z obiekcjami natury moralnej, jakie miałeś w związku z odwołaniem rozkazów Mistrza?

– Odkryłem, dlaczego zostały wydane. Kiedy zapoznasz się szczegółowo z historią życia tego człowieka, co możesz uczynić zaraz, przekonasz się, że twierdził on jakoby dokonał wielu cudów. Jego wyznawcy wierzyli w to i ich wiara dodawała mu sił. Ale, oczywiście, wszystkie te cuda miały jakieś proste wyjaśnienie, o ile w ogóle miały miejsce. Dziwi mnie, że skądinąd inteligentne istoty dawały się w ten sposób oszukiwać.

– A więc Mistrz był oszustem?

– Nie; to nie jest takie proste. Gdyby był zwykłym szarlatanem, nie osiągnąłby nigdy takiego sukcesu, a jego ruch nie przetrwałby tak długo. On był uczciwym człowiekiem i wiele z tego, czego nauczał było prawdziwe i mądre. Na koniec sam uwierzył w dokonywane przez siebie cuda, ale wiedział, że istnieje jeden świadek, który może dowieść błędności jego twierdzeń. Robot znał wszystkie jego tajemnice; był jego rzecznikiem i przyjacielem, gdyby jednak zbytnio przyciśnięto go do muru, mógł zniszczyć fundament, na którym opierała się potęga Mistrza. Rozkazał mu więc pod żadnym pozorem nie wyjawiać swoich wspomnień, aż do ostatniego dnia wszechświata, kiedy to przybędą Wielcy. Trudno uwierzyć, że w jednym człowieku mogła istnieć taka mieszanina fałszu i szczerości, ale tak właśnie było.

Alvin był ciekaw, co czuje robot po ucieczce ze swej trwającej od niepamiętnych czasów niewoli. Była to chyba wystarczająco skomplikowana maszyna, aby rozumieć takie emocje, jak uraza. Może był teraz zły na Mistrza, że ten uczynił go niewolnikiem, a równie dobrze zły na Alvina i Centralny Komputer za podstępne przywrócenie mu wolności.

Strefa ciszy zniknęła. Nadeszła wreszcie chwila, na którą tak czekał Alvin. Zwrócił się do robota i zadał mu pytanie, które prześladowało go od czasu wysłuchania opowieści o dziejach Mistrza.

I robot odpowiedział.

Jeserac i strażnicy czekali cierpliwie u szczytu rampy, kiedy Alvin tam wreszcie dotarł.

Chociaż w drodze powrotnej do Sali Rady Jeserac próbował wypytywać Alvina, nie dowiedział się niczego o jego rozmowie z Centralnym Komputerem. Ze strony Alvina nie była to jedynie dyskrecja; był jeszcze zbyt oczarowany tym, co widział, zbyt oszołomiony sukcesem, aby nawiązać rozmowę na jakikolwiek temat. Jeserac zebrał całą swoją cierpliwość i miał nadzieję, że Alvin ostrząśnie się niedługo z tego transu.

Alvin był całkowicie zatopiony w myślach i nie zwracał uwagi na otoczenie. Jakie to dziwne, myślał, że wszystko, co mu się do tej pory przytrafiało, prowadziło właśnie do tej chwili. Od kiedy spotkał Khedrona, wypadki zdawały się toczyć automatycznie ku z góry określonemu celowi. Monitory, Lys, Shalmirane... Na każdym z tych etapów mógł zawrócić lub czegoś nie zauważyć, jednak coś popychało go naprzód. Czy był panem swego losu, czy też to Los wybrał właśnie jego? Może chodziło tu po prostu o kwestię prawdopodobieństwa, o działanie praw przypadku. Ścieżkę, po której kroczył, mógł odnaleźć każdy człowiek i w przyszłości jego poprzednicy musieli dojść do niej niemal tak samo daleko. Na przykład ci wcześniejsi Odmieńcy... co się z nimi stało? Być może to on pierwszy miał szczęście.

Przez całą drogę powrotną do Sali Rady, Alvin nawiązywał coraz bliższy kontakt z maszyną, którą uwolnił z wiekowej niewoli. Zawsze odbierała jego myśli, ale przedtem nigdy nie był pewien, czy posłucha rozkazów, które jej wydawał. Teraz nie dręczyła go już ta niepewność; mógł z nią rozmawiać jak z człowiekiem, ale ponieważ nie byli sami, poinstruował robota, aby nie odzywał się głośno, a po prostu przesyłał mu obrazy myślowe, które potrafi zrozumieć.

Rzut oka na twarze członków Rady powiedział Alvinowi, co postanowili. Słuchając werdyktu wygłaszanego przez Przewodniczącego nie był ani zdziwiony, ani rozczarowany i nie okazywał żadnych emocji.

– Alvinie – zaczął Przewodniczący – rozważyliśmy z wielką uwagą sytuację, jaka powstała w następstwie twojego odkrycia i podjęliśmy jednomyślnie następującą decyzję. Ponieważ nikt nie życzy sobie wprowadzania żadnych zmian w naszym stylu życia i ponieważ tylko raz na wiele milionów lat przychodzi na świat ktoś, kto jest zdolny od opuszczenia Diaspar, nawet jeśli istnieją ku temu możliwości, system tuneli do Lys jest niepotrzebny i może stanowić dla nas zagrożenie. Wejście do Sali Ruchomych Dróg zostało zatem zamknięte i opieczętowane.

Co więcej, że względu na możliwość istnienia innych dróg wydostania się z miasta, podjęte zostanie przeszukiwanie jednostek pamięci Monitorów. To przeszukiwanie już się rozpoczęło.

Zastanawialiśmy się też, jakie działania należy podjąć względem twojej osoby. Z uwagi na twój młody wiek i szczególne okoliczności twojego pochodzenia, panuje ogólne odczucie, że nie można cię potępiać za to, czego się dopuściłeś. Poza tym, ujawniając potencjalne niebezpieczeństwo zagrażające naszemu porządkowi publicznemu oddałeś miastu przysługę i odnotowujemy nasze zadowolenie z tego faktu.

Po sali rozszedł się pomruk aplauzu i na twarzach Radnych odmalował się wyraz zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku. Szybko zażegnali trudną sytuację, uniknęli konieczności ukarania Alvina i teraz mogli spokojnie rozejść się do domów.

Przewodniczący spojrzał na Alvina; być może spodziewał się, że Alvin okaże wdzięczność i wyrazi Radzie swe uznanie za tak łagodne potraktowanie go.

Rozczarował się.

– Czy mogę zadać jedno pytanie? – spytał uprzejmie Alvin.

– Oczywiście.

– Zakładam, że Centralny Komputer poparł wasze postanowienia?

Pytanie wywołało pewne zaskoczenie i odpowiedź nie padła od razu.

– Naturalnie, że konsultowaliśmy się z Centralnym Komputerem. Powiedział nam, żebyśmy kierowali się własnym sądem.

Alvin spodziewał się tego. Centralny Komputer konferował z Radą w tej samej chwili, kiedy rozmawiał z nim – w tej samej zresztą chwili zajmował się milionami innych spraw w Diaspar. Wiedział przecież, tak samo jak Alvin, że jakakolwiek będzie decyzja Rady, nie będzie ona miała żadnego znaczenia. Przyszłość wymknęła się Radzie spod kontroli w tym samym momencie, gdy w beztroskiej ignorancji zadecydowała, iż kryzys został pomyślnie zażegnany.

Alvin nie odczuwał wyższości spoglądając na tych zadufanych starców, uważających się za władców Diaspar. Widział rzeczywistego władcę miasta i rozmawiał z nim w grobowej ciszy jego jasnego podziemnego świata.

Wychodząc z Sali Rady zastanawiał się, czy zdziwiło ich jego ciche pogodzenie się z losem, brak z jego strony oburzenia na wieść o zamknięciu drogi do Lys. Strażnicy już mu nie towarzyszyli; nie był już pod obserwacją, przynajmniej jawną. Z Sali Rady wyszedł za nim tylko Jeserac.

– No cóż, Alvinie – powiedział, gdy znaleźli się na korytarzu. – Dobrze się zachowałeś. Co teraz zamierzasz?

Alvin uśmiechnął się.

– Wiem, że coś podejrzewasz; jeśli pójdziesz ze mną, pokażę ci, dlaczego podziemna droga do Lys nie ma już znaczenia. Chcę zrobić pewien eksperyment; niczym ci to nie grozi, ale może ci się nie spodobać.

– Dobrze. Wciąż jestem uważany za twego nauczyciela, ale wygląda na to, że role się teraz odwróciły. Dokąd mnie zabierasz?

– Idziemy do Wieży Loranne, skąd zamierzam ci pokazać świat poza murami Diaspar.

Jeserac zbladł, ale nic nie powiedział. Jakby nie ufając swoim słowom skinął sztywno głową i wszedł za Alvinem na gładką, błyszczącą nawierzchnię ruchomego chodnika.

Gdy podążali tunelem, którym wiecznie wiał do Diaspar zimny wiatr, Jeserac nie okazywał strachu. Tunel zmienił się teraz; kamiennej kraty, która zagradzała drogę do świata zewnętrznego nie było. Nie służyła żadnym celom konstrukcyjnym i na żądanie Alvina Centralny Komputer usunął ją bez żadnych

nie wysokość lotu i gdy krążyli nad tym, co dostrzegł Hilvar, w ich umysłach zaczęło kiełkować fantastyczne przypuszczenie, chociaż z początku żaden z nich nie ważył się wspomnieć o tym drugiemu.

Dwie z kolumn były ułamane tuż przy podstawach i leżały na skałach, tam gdzie upadły. Ale nie było to wszystko; dwie kolumny sąsiadujące ze szczeliną zostały odgięte na zewnątrz przez jakąś potężną siłę.

Nie było ucieczki przed wzbudzającym grozę wnioskiem. Alvin wiedział już, nad czym lecieli; widywał to często w Lys, ale aż do tej pory szokująca różnica skali uniemożliwiała rozpoznanie.

– Hilvarze – powiedział ociągając się wciąż z ubraniem w słowa swych przypuszczeń – czy wiesz, co to jest?

– Trudno w to uwierzyć, ale wydaje mi się, że latamy wokół zagrody. Ten rząd kolumn to płot – płot, który nie był wystarczająco mocny.

– Ludzie, którzy hodują zwierzęta – powiedział Alvin chichocząc nerwowo – powinni wiedzieć, jak utrzymać je w ryzach.

Hilvar nie zareagował na jego słowa. Patrzył na wyłamane ogrodzenie marszcząc w zadumie brwi.

– Nie rozumiem – odezwał się w końcu – czym się żywiło na takiej jak ta planecie? I dlaczego uciekło z zagrody? Dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, co to było za stworzenie.

– Może pozostawiono je własnemu losowi i wyłamało płot, bo było głodne – snuł przypuszczenia Alvin. – Albo może coś je rozdrażniło.

– Zejdźmy niżej – powiedział Hilvar. – Chcę przyjrzeć się powierzchni.

Opuścili się tak, że statek dotykał niemal nagiej skały i dopiero wtedy zauważyli, iż równina zryta była niezliczonymi małymi dziurkami o średnicy nie większej niż cal lub dwa. Jednak na zewnątrz ogrodzenia nie było tych tajemniczych śladów; zatrzymali się nad linią płotu.

– Miałeś rację – powiedział Hilvar. – Było głodne. Ale to nie było zwierzę; dokładniej byłoby nazwać to rośliną. Wyczerpało glebę wewnątrz ogrodzenia i musiało poszukać pożywienia gdzie indziej; porusza się prawdopodobnie stosunkowo wolno; przewrócenie tych kolum zabrało jej pewnie całe lata.

Wyobraźnia Alvina szybko wypełniała luki. Nie wątpił, że dedukcje Hilvara są w zasadzie słuszne i że jakiś botaniczny potwór, poruszający się być może zbyt wolno, aby mogło to dostrzec oko, stoczył ospałą, ale zaciętą walkę z ogrodzeniem, które go otaczało.

Pomimo wieków, jakie minęły od tamtej pory, mógł jeszcze żyć i włóczyć się po całej powierzchni planety. Szukanie go było jednak zadaniem beznadziejnym, ponieważ oznaczało przeczesanie powierzchni całego globu. Przeszukali dla spokoju teren w promieniu kilku mil od wyłomu i znaleźli wielką, okrągłą łatę o średnicy jakichś pięciuset stóp, podziobaną mnóstwem małych otworków. Tu zapewne zatrzymał się potwór, aby się pożywić – jeśli można było użyć tego słowa dla organizmu, który czerpał pożywienie z litej skały.

Gdy wznieśli się znowu w kosmos, Alvin poczuł ogarniające go dziwne znużenie. Odwiedzanie innych światów układu Siedmiu Słońc było bezcelowe, ale nawet jeśli gdzieś indziej we wszechświecie istniała jeszcze inteligencja, to gdzie jej szukać? Spojrzał na gwiazdy rozsiane jak pył po ekranie i wiedział, że na zbadanie ich wszystkich nie wystarczy czasu.

Zwrócił się po wsparcie do Hilvara, ale ten stał nieruchomo z zaciśniętymi pięściami i szklanymi oczyma. Głowę przechylił na bok; zdawał się nasłuchiwać, wytężać wszystkie zmysły na otaczającą ich pustkę.

– Co się stało? – spytał ponaglająco Alvin. Musiał powtórzyć to pytanie, zanim Hilvar dał po sobie poznać, że je słyszy. Odpowiedział, patrząc wciąż w nicość.

– Coś nadchodzi – powiedział wolno. – Coś, czego nie pojmuję.

Alvinowi wydało się, że w kabinie powiało chłodem i w całej swej grozie powrócił, aby stanąć mu przed oczami pradawny koszmar Najeźdźców. Wysiłkiem woli, który wyczerpał go z sił, opanował ogarniającą go panikę.

– Czy przybywa w pokojowych zamiarach? – spytał. – Czy powinniśmy uciekać na Ziemię?

Hilvar odpowiedział tylko na drugie pytanie, pierwsze pomijając milczeniem. Głos miał cichy, ale nie było w nim niepokoju czy strachu. Wyczuwało się w nim raczej ogromne zdumienie i ciekawość, jak gdyby chłopiec spotkał się z czymś tak zaskakującym, że nie chciał zawracać sobie głowy odpowiadaniem na trwożne pytanie Alvina.

– Spóźniłeś się – powiedział. – Już jest tutaj.

Galaktyka obróciła się już wiele razy wokół swej osi, od chwili, kiedy w Vanamondzie zbudziła się świadomość. Niewiele sobie przypominał z tych pierwszych eonów i niewiele pamiętał istot, które się nim wtedy opiekowały – ale pamiętał wciąż swój nieutulony żal, kiedy odeszły i zostawiły go samego pośród gwiazd. Od tego czasu wędrował wiek po wieku, od słońca do słońca rozwijając się powoli i

Hilvar ledwie słyszał słowa wyszeptane przez Alvina w drodze powrotnej na statek:
– Mam nadzieję, że dotarli do domu.
– I dokąd teraz? – spytał Hilvar, gdy znowu znaleźli się w kosmosie.
Alvin popatrzył w zamyśleniu na ekran, zanim odpowiedział.
– Uważasz, że powinniśmy wracać? – spytał.
– To byłoby rozsądne. Szczęście może nas opuścić, a kto wie, jakie jeszcze niespodzianki gotują nam inne planety.

Był to głos rozsądku i ostrożności i Alvin był teraz gotów dać mu większy posłuch, niż by to uczynił kilka dni temu. Ale przebył daleką drogę i całe życie czekał na tę chwilę; nie zawróci, kiedy tyle jeszcze jest do obejrzenia.

– Od tej chwili nie będziemy opuszczać statku – powiedział – i nigdzie nie będziemy lądować. To powinno zapewnić nam bezpieczeństwo.

Hilvar wzruszył ramionami, jak gdyby nie chciał brać odpowiedzialności za to, co się może wydarzyć. Teraz, kiedy Alvin przejawiał pewną ostrożność, uważał, że nierozsądnie by było przyznawać, że również obstaje za dalszymi badaniami, chociaż dawno już stracił nadzieję na spotkanie na tych planetach inteligentnego życia.

Przed sobą mieli podwójny świat: wielka planeta z obiegającym ją mniejszym satelitą. Kiedyś mogła to być bliźniaczka świata, który odwiedzili jako drugi; pokryta była tym samym kobiercem zjadliwej zieleni. Lądowanie na niej nie miało sensu.

Alvin wprowadził statek na orbitę satelity; nie potrzebował ostrzeżeń złożonych mechanizmów, które go chroniły, żeby domyślić się, iż nie posiada on atmosfery. Wszystkie cienie miały wyraźne, ostre krawędzie, a dzień przechodził gwałtownie w noc bez żadnych stanów pośrednich. Był to pierwszy świat, na którym zobaczył coś zbliżonego do nocy, ponieważ w rejonie, nad którym teraz wylądowali nad horyzontem wisiało tylko jedno z odległych słońc. Krajobraz skąpany był w jego mdłym czerwonym świetle i wyglądał jak unurzany we krwi.

Przez wiele mil lecieli nad górami tak samo poszarpanymi i ostrymi, jak wiele wieków temu, w dniu ich narodzin. Był to świat, który nigdy nie zaznał zmian, ani rozkładu, nigdy nie nawiedzały go wiatry i deszcze. Nie było tu trzeba żadnych układów wieczności, żeby zachować wszystko w pierwotnym stanie. Ale jeśli nie było tu powietrza, to nie mogło być też i życia... a może?

– Oczywiście – powiedział Hilvar, kiedy Alvin zwrócił się doń z tym pytaniem. – W twoim przypuszczeniu nie ma żadnego biologicznego absurdu. Życie może powstać w środowisku pozbawionym powietrza, ale może wtedy rozwinąć tylko takie formy, jakie w nim przetrwają.

Co do planety, nad którą przelatywali, pomyślał sobie Alvin, spekulacje Hilvara miały charakter czysto teoretyczny. Nigdzie nie było widać jakichkolwiek dowodów na to, że zrodziła ona jakieś życie – czy to inteligentne, czy nie. Ale w takim przypadku, czemu miał służyć ten świat? Alvin był już pewien, że cały układ Siedmiu Słońc jest tworem sztucznym, a ten glob stanowić musiał część jego imponującej konstrukcji.

Niewykluczone, że miał służyć tylko jako ozdoba – jako księżyc swej gigantycznej towarzyszki. Jednak nawet w takim przypadku wykorzystano by go chyba w jakiś sposób.

– Popatrz – powiedział Hilvar wskazując na ekran. – Tam, po prawej.

Alvin zmienił kurs statku i krajobraz na ekranie przechylił się. Przy prędkości, z jaką lecieli, oświetlone na czerwono skały rozmazywały się w purpurowe smugi. Nagle obraz ustabilizował się i w dole zobaczyli niezaprzeczalny dowód życia.

Niezaprzeczalny, ale również niweczący wszystkie nadzieje. Przybrał formę rzędu wysmukłych kolumn rozstawionych w odstępach po sto stóp i dwa razy tak wysokich. Biegły w dal kurcząc się coraz bardziej w hipnotyzującej perspektywie, aż wreszcie połykał je odległy horyzont.

Alvin wykonał skręt w prawo i poprowadził statek wzdłuż rzędu kolumn zastanawiając się, jakiemu celowi mogły kiedyś służyć. Absolutnie jednakowe, wchodziły jedna za drugą na wzgórza i schodziły w doliny. Nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek coś podpierały; były gładkie, niczym się nie wyróżniające i zwężały się nieco ku górze. Zupełnie nagle rząd kolumn zmienił kierunek skręcając pod kątem prostym. Alvin przeleciał jeszcze kilka mil, zanim zdążył na to zareagować i zmienić odpowiednio kurs statku.

Kolumny biegły wciąż przez martwą krainę nieprzerwanym szeregiem, zachowując idealnie regularne odstępy. Potem, pięćdziesiąt mil od ostatniej zmiany kierunku, skręciły znowu pod kątem prostym. W tym tempie, pomyślał sobie Alvin, wrócimy niebawem do punktu wyjścia.

Niekończący się ciąg kolumn tak ich zahipnotyzował, że omal nie przeoczyli miejsca, gdzie się przerywał. Byli już kilka mil dalej zanim Hilvar krzyknął do Alvina, żeby zawrócił statek. Zmniejszyli łagod-

komentarzy. Później może wydać Monitorom instrukcje, aby odtworzyły kratę z powrotem, ale w tej chwili tunel kończący się na pionowym, zewnętrznym murze miasta stał otworem nie zagrodzony i nie strzeżony.

Jeserac, dopóki nie doszedł do końca szybu wentylacyjnego, nie zdawał sobie sprawy, że przed nim rozciąga się świat zewnętrzny. Wpatrywał się w rosnący krąg nieba i jego kroki stawały się coraz bardziej niepewne i wolne, aż wreszcie zatrzymał się. Alvin pamiętał, że w tym samym miejscu zatrzymała się, a potem uciekła Alystra i był ciekaw, czy zdoła nakłonić Jeseraca, aby ten poszedł dalej.

– Proszę cię tylko, abyś popatrzył – błagał – a nie opuszczał miasta. Na pewno potrafisz to zrobić!

Jeserac, w odróżnieniu od Khedrona, nie był tchórzem. Alvin przygotował się na zwalczenie jego oporu, ale były to wysiłki rozpaczliwe. Był niemal tak samo wyczerpany, jak starzec, kiedy wreszcie udało mu się dociągnąć Jeseraca do miejsca, z którego mógł widzieć całą połać pustyni.

Gdy się tam znaleźli, zainteresowanie i dziwne piękno widoku tak obcego w porównaniu ze wszystkim, co Jeserac znał z tej, czy z którejkolwiek ze swoich poprzednich egzystencji, zdało się przełamywać jego obawę. Był wprost zafascynowany ogromną perspektywą falistych piaskowych wydm i odległych, starożytnych wzgórz. Było późne popołudnie i za chwilę całą krainę miała okryć swym płaszczem noc, która nigdy nie nawiedzała Diaspar.

– Prosiłem cię, żebyś tu przyszedł – powiedział szybko Alvin, z trudem opanowując niecierpliwość – ponieważ uważam, że zasłużyłeś sobie bardziej niż ktokolwiek na zobaczenie, do czego doprowadziły mnie moje podróże. Chciałem, żebyś zobaczył pustynię i chcę, żebyś był naocznym świadkiem, przez którego Rada dowie się, co uczyniłem.

Jak już mówiłem Radzie, przywiozłem tego robota z Lys w nadziei, że Centralny Komputer zdoła usunąć blokadę nałożoną na jego pamięć przez człowieka zwanego Mistrzem. Dzięki podstępowi, którego nadal nie w pełni rozumiem, Komputer dokonał tego. Mam teraz dostęp do wszystkiego, co w swej pamięci przechowuje ta maszyna, jak również mogę korzystać z jej specjalnych funkcji, do spełniania których ją zaprogramowano. Teraz zamierzam wykorzystać jedną z tych funkcji. Patrz.

Na bezdźwięczny rozkaz, którego treści Jeserac mógł się tylko domyślać, robot wyleciał z tunelu, nabrał szybkości i po kilku sekundach był tylko odległą iskierką, połyskującą w promieniach zachodzącego słońca. Leciał nisko nad pustynią, nad krzyżującymi się jak zastygłe fale piaskowymi wydmami. Jeserac odniósł wrażenie, że robot czegoś szuka – chociaż czego, nie miał pojęcia.

Nagle błyszczący punkcik wzbił się w górę i zawisł tysiąc stóp nad ziemią. W tym samym momencie Alvin westchnął z ulgą. Zerknął na Jeseraca, jakby chciał powiedzieć: „To jest to!".

Z początku, nie wiedząc, czego się spodziewać, Jeserac nie dostrzegał żadnej zmiany. Potem, nie wierząc własnym oczom zauważył, że z powierzchni pustyni unosi się z wolna obłok pyłu.

Nie ma nic bardziej przerażającego, niż ruch tam, gdzie nie powinno być żadnego ruchu, ale gdy piaskowe wydmy zaczęły się rozsuwać, Jeserac nie odczuwał ani strachu, ani zdziwienia. Pod powierzchnią pustyni coś się szamotało, jak olbrzym zbudzony ze snu i nagle do uszu Jeseraca dotarł huk rozstępującej się ziemi i zgrzyt rozrywanych niewiarygodnymi siłami skał. Raptem w niebo wystrzelił gejzer piasku sięgający stu stóp i ziemia zniknęła z oczu.

Pył powoli osiadał na ranie wydartej w powierzchni pustyni, ale Jeserac z Alvinem ani na chwilę nie odrywali oczu od nieba, na tle którego jeszcze przed chwilą unosił się tylko nieruchomy robot. Jeserac zrozumiał, dlaczego decyzja Rady nie wywarła na Alvinie żadnego wrażenia, dlaczego nie okazał po sobie żadnych wzruszeń, dowiedziawszy się o zamknięciu podziemnej drogi do Lys.

Pokrywa ziemi i skał zamazywała kształty, nie mogła jednak ukryć całkowicie dumnych linii statku unoszącego się wciąż z wyrwy w pustyni. Na oczach Jeseraca statek zaczął się obracać dziobem ku nim, aż w końcu jego zarys stał się kołem, potem, bardzo powoli to koło zaczęło rosnąć.

Alvin zaczął mówić bardzo szybko, jakby miał mało czasu.

– Ten robot skonstruowany został do towarzyszenia i służenia Mistrzowi, ale przede wszystkim do pilotowania tego statku. Mistrz, zanim przybył do Lys, wylądował w Porcie Diaspar, który leży teraz pogrzebany pod tymi piaskami. Już wtedy musiał być mało wykorzystywany; przypuszczam, że statek Mistrza był jednym z ostatnich, jakie dotarły do Ziemi. Przed wyruszeniem do Shalmirane, Mistrz mieszkał przez jakiś czas w Diaspar; miasto musiało jeszcze w tamtych czasach stać otworem. Ale nigdy już nie potrzebował swego statku i ten przez całe wieki czekał tam, pod piaskami. Podobnie, jak samo Diaspar, jak ten robot – jak wszystko, co dawno konstruktorzy uznali za rzeczywiście ważne – był chroniony przez własne układy wieczności. Dopóki miał źródło zasilania, nie mógł się zużyć, ani zostać zniszczony; obraz przechowywany w jego komórkach pamięci nigdy nie zblaknie, a ten obraz kontroluje jego strukturę fizyczną.

Statek, pilotowany przez robota, był już bardzo blisko wieży. Miał około stu stóp długości, a dziób i

rufa były ostro zakończone. Wyglądało na to, że nie posiada żadnych iluminatorów, czy otworów wejściowych, chociaż mogła je zakrywać gruba warstwa ziemi oblepiająca wciąż kadłub.

Fragment burty odchylił się nagle na bok i obaj obsypani zostali pyłem. Jeserac dostrzegł przez mgnienie oka małe, puste pomieszczenie, a w jego przeciwległej ścianie drugie drzwi. Statek unosił się teraz o stopę od wylotu szybu wentylacyjnego, do którego zbliżał się ostrożnie, jak czujna, żywa istota.

– Do zobaczenia – powiedział Alvin. – Nie mogę wrócić do Diaspar, żeby pożegnać się z przyjaciółmi; zrób to, proszę, w moim imieniu. Powiedz Eristonowi i Etanii, że chyba niedługo wrócę; a jeśli nie, to jestem im wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobili. I jestem też wdzięczny tobie, chociaż może nie pochwalasz sposobu, w jaki wykorzystuję uzyskane od ciebie informacje.

A co do Rady – powiedz jej, że drogi raz otwartej nie można, ot, tak po prostu, zamknąć ogłoszeniem zakazu.

Statek był teraz tylko ciemną plamą na tle nieba i nagle Jeserac stracił go zupełnie z oczu. Nie widział nawet jak odlatuje, ale wtem z nieba doleciało echo najbardziej wprawiającego w podziw dźwięku kiedykolwiek spowodowanego przez Człowieka – długotrwały grzmot powietrza wdzierającego się mila za milą do tunelu próżni wydrążonego nagle w niebie.

Chociaż na pustyni zamarły już ostatnie echa, Jeserac nie poruszył się. Myślał o chłopcu, który odszedł – bo dla Jeseraca Alvin na zawsze pozostanie dzieckiem, tym jedynym dzieckiem, jakie pojawiło się w Diaspar od czasu przerwania cyklu narodzin i śmierci. Alvin nigdy nie dorośnie; dla niego cały wszechświat był zabawką, zagadką, którą rozwiązuje się dla własnej przyjemności. Bawiąc się tak znalazł teraz groźne, niebezpieczne cacko, które może doprowadzić do zagłady tego, co pozostało po cywilizacji ludzkiej. Ale bez względu na skutki, dla niego będzie to nadal gra.

Słońce stało już nisko nad horyzontem i od pustyni wiał chłodny wiatr. Jeserac wciąż czekał, przezwyciężając swój lęk; i nagle, po raz pierwszy w życiu zobaczył gwiazdy.

Rozdział 18

Nawet w Diaspar Alvin rzadko oglądał taki luksus jak ten, który roztaczał się przed nim po rozsunięciu się wewnętrznych drzwi śluzy powietrznej. Kimkolwiek Mistrz był, z pewnością nie był ascetą. Dopiero po pewnym czasie Alvin uświadomił sobie, że cały ten komfort mógł nie być jedynie próżną ekstrawagancją; ten mały światek musiał Mistrzowi zastępować dom w jego licznych i długotrwałych podróżach międzygwiezdnych.

Nie dostrzegał żadnych urządzeń sterowniczych, ale wielki owalny ekran zajmujący całą ścianę na wprost wejścia świadczył, że nie jest to zwyczajna kabina. Przed ekranem ustawione były półkolem trzy fotele; resztę umeblowania kabiny stanowiły dwa małe stoliki i liczne wyściełane siedzenia, z których niektóre, sądząc po ich kształtach, nie były przeznaczone dla ludzi.

Usadowiwszy się wygodnie przed ekranem, Alvin rozejrzał się za robotem. Ku jego zdziwieniu robot zniknął; dostrzegł go po paru chwilach wciśniętego w niszę pod półokrągłym sufitem. To on przywiózł Mistrza z kosmosu na Ziemię, a potem, jako jego wierny sługa, poszedł za nim do Lys. Teraz był gotów do podjęcia swoich dawnych obowiązków, jakby nie istniały te eony czasu, od kiedy wykonywał je po raz ostatni.

Alvin rzucił mu eksperymentalny rozkaz i wielki ekran zamigotał budząc się do życia. Ujrzał przed sobą Wieżę Loranne, dziwnie skróconą i leżącą na boku. Dalsze próby pokazały mu niebo i wielkie połacie pustyni. Ostrość obrazu była świetna, niemal nienaturalna. Alvin poeksperymentował jeszcze trochę, dopóki nie uzyskał żądanego obrazu; teraz był gotowy do startu.

– Zawieź mnie do Lys – rozkaz był prosty, ale jak statek mógł go wykonać, skoro on sam nie miał pojęcia co do kierunku? Nie zastanawiał się nad tym, ale kiedy uświadomił sobie brak precyzji wydanego polecenia, maszyna pędziła już z ogromną prędkością nad pustynią. Wzruszył ramionami, przyjmując do wiadomości fakt, iż ma teraz służących mądrzejszych od siebie.

Trudno było ocenić skalę obrazu przemykającego po ekranie, ale musieli pokonywać wiele mil na minutę. Niedaleko od miasta teren przybrał nagle matowoszarą barwę i Alvin domyślił się, że lecą nad wyschniętym dnem jednego z dawnych oceanów. Kiedyś Diaspar musiało leżeć blisko morza, chociaż nawet w najstarszych dokumentach nie pozostała o tym żadna wzmianka.

Setki mil dalej teren podnosił się stromo i znowu znaleźli się nad pustynią. Raz Alvin zatrzymał statek nad dziwną mozaiką przecinających się linii, prześwitującą nieśmiało spod warstwy piasku. Przez chwilę nie mógł się zorientować, co to jest; potem rozpoznał zarysy ruin jakiegoś zapomnianego miasta. Nie pozostał nad nim długo; myśl, że miliardy ludzi nie pozostawiły po sobie żadnego innego śladu istnienia poza tymi bruzdami w piasku, rozdzierała mu serce.

trudu. Może spodziewali się, że kiedyś powrócą i chcieli, aby wszystko było na ten powrót przygotowane?

– Ale nigdy nie wrócili – a odeszli dawno temu.

– Mogli zmienić zamiary.

To dziwne, pomyślał Alvin, jak wraz z Hilvarem zaczęli nieświadomie używać słowa „oni". Kimkolwiek, czy czymkolwiek byli ci „oni", ich obecność na pierwszej planecie nie ulegała wątpliwość i jeszcze widoczniejsza była tutaj. Ten świat został pieczołowicie zapakowany i odłożony do czasu, kiedy może być znowu potrzebny...

– Wracamy na statek – powiedział zdyszanym głosem Alvin. – Trudno mi tu oddychać.

Gdy zamknęła się za nimi śluza powietrzna i znowu poczuli się lepiej, przedyskutowali swoje następne posunięcia. Aby badania były dokładne, powinni sprawdzić dużą liczbę kopuł w nadziei, że znajdą taką, która nie będzie ich ostrzegała i do której będą się mogli dostać. Jeśli się to nie uda... ale Alvin nie dopuszczał do siebie takiej możliwości, dopóki nie zostanie do tego zmuszony.

Został do tego zmuszony w niespełna godzinę później i to w daleko dramatyczniejszych okolicznościach niż mógłby sobie wcześniej wyobrazić. Sunąc nad krajobrazem bardzo nie pasującym do tego uporządkowanego, ładnie opakowanego świata, jeszcze sześciokrotnie wysyłali robota do wybranych przypadkowo kopuł – zawsze z tym samym skutkiem.

Pod nimi leżała szeroka dolina, usiana z rzadka prowokującymi, nieprzeniknionymi półkulami. Na jej środku widniała łatwa do rozpoznania blizna po wielkiej eksplozji, która wypaliła płytki krater w podłożu i rozrzuciła na wiele mil wkoło odłamki skał.

Obok krateru spoczywał wrak statku kosmicznego.

Rozdział 21

Wylądowali w pobliżu miejsca tej starożytnej tragedii i poszli, oddychając oszczędnie, w kierunku ogromnego, przełamanego kadłuba. Ocalał tylko krótki fragment statku – czy to dziób, czy rufa; reszta uległa prawdopodobnie zniszczeniu podczas eksplozji. Gdy zbliżali się do wraka, w umyśle Alvina zaczęło kiełkować pewne przypuszczenie; rozwijało się i nabierało siły, aż wreszcie uzyskało status pewności.

– Hilvarze – powiedział, po raz któryś z rzędu stwierdzając, że trudno mu jednocześnie iść i oddychać – wydaje mi się, że ten statek wylądował przed tym na planecie, którą odwiedziliśmy jako pierwszą.

Hilvar skinął głową, woląc nie marnować powietrza. Pomyślał już o tym samym. To była dobra nauczka dla nieostrożnych gości. Miał nadzieję, że i Alvin z niej skorzysta.

Dotarli do kadłuba i zadarłszy głowy patrzyli na odsłonięte wnętrze statku. Przypominał ogromny gmach rozłupany z grubsza na dwoje. Pokłady, ściany i sufity pękły w miejscu eksplozji tworząc zniekształcony zarys przekroju kolosa. Alvin zastanawiał się, jakie obce, tajemnicze istoty spoczywają wciąż we wraku swego pojazdu, tam gdzie zastała je śmierć?

– Nie rozumiem tego – odezwał się nagle Hilvar. – Ta część statku uległa znacznemu zniszczeniu, a ta jest niemal nietknięta. Gdzie jest jego reszta? Czyżby przełamał się na dwoje w kosmosie i ten fragment roztrzaskał się dopiero tutaj?

Nie poznali odpowiedzi, dopóki znowu nie wysłali na rozpoznanie robota i sami nie zbadali terenu wokół statku. Nie było cienia wątpliwości; wszystko wyjaśniło się, gdy na małym wzgórku w pobliżu wraka Alvin znalazł rząd niskich kopczyków, każdy o długości dziesięciu stóp.

– A więc wylądowali tutaj – powiedział w zadumie Hilvar – i zlekceważyli ostrzeżenie. Byli tak samo wścibscy jak ty. Próbowali otworzyć kopułę.

Wskazał na drugą stronę krateru, na gładką, wciąż nie noszącą żadnych śladów uszkodzenia skorupę, we wnętrzu której władcy tego świata zabezpieczyli, odchodząc, swoje skarby. Ale to już nie była kopuła; mieli przed sobą niemal pełną kulę, bo grunt, w którym dawniej tkwiła został wysadzony w powietrze siłą wybuchu.

– Rozbili swój statek i wielu z nich zginęło. Jednak pomimo tego zdołali dokonać napraw i odlecieć odcinając najbardziej uszkodzoną część kadłuba i zabierając z niej wszystko, co stanowiło dla nich jakąś wartość. Co to musiało być za zadanie!

Alvin ledwie go słyszał. Patrzył na tajemniczy znak, który przyciągnął go do tego miejsca – smukły pręt, otoczony na dwóch trzecich wysokości poziomym kołem. Alvin widział go po raz pierwszy, rozumiał jednak niemy przekaz przeniesiony przez ten symbol przez wieki.

Pod tymi głazami, gdyby ważył się je odwalić, leżała odpowiedź na co najmniej jedno z nurtujących go pytań. Mogło pozostać bez odpowiedzi; kimkolwiek były te istoty, zasłużyły sobie na prawo do odpoczynku.

go, bezpośredniego dowodu istnienia życia. Ale był tam dowód pośredni. Niskie wzgórza i płytkie doliny usiane były kropkami idealnie uformowanych półkul. Niektóre z nich tworzyły skomplikowane, symetryczne wzory.

Poprzednia planeta nauczyła ich ostrożności i po dokładnym rozważeniu wszystkich możliwości pozostali wysoko w atmosferze, a na rekonesans wysłali robota. Poprzez jego oczy widzieli, jak zbliża się do jednej z półkul i zatrzymuje w odległości pięciu stóp od jej idealnie gładkiej powierzchni.

Nie dostrzegali na niej niczego, co mogło służyć jako wyjście, albo wyjaśnić przeznaczenie budowli. Półkula, przed którą unosił się robot, była dosyć spora i mierzyła sobie sto stóp wysokości, ale w zasięgu wzroku wznosiły się półkule jeszcze większe. Jeśli był to budynek mieszkalny, to nie posiadał ani okien, ani drzwi.

Po chwili wahania Alvin wydał robotowi rozkaz zbliżenia się do kopuły i dotknięcia jej. Ku jego zupełnemu zaskoczeniu, robot nie wykonał polecenia. To był bunt – lub tak to na pierwszy rzut oka wyglądało.

– Dlaczego nie robisz, co ci każę? – spytał Alvin, gdy otrząsnął się ze zdumienia.

– To jest zabronione – padła odpowiedź.

– Przez kogo?

– Nie wiem.

– Skąd zatem... nie, skasuj to. Czy jest to twój wewnętrzny zakaz?

– Nie.

To eliminowało jedną z ewentualności. Budowniczowie tych kopuł mogli być przecież rasą, która stworzyła robota włączając to tabu do oryginalnego zestawu instrukcji maszyny.

– Kiedy odebrałeś ten rozkaz? – spytał Alvin.

– Odebrałem go po wylądowaniu.

Alvin spojrzał na Hilvara. W jego oczach zapaliła się iskierka nowej nadziei.

– Tu jest inteligencja! Nie wyczuwasz jej obecności?

– Nie – odparł Hilvar. – To miejsce wydaje mi się tak samo martwe, jak świat, który odwiedziliśmy na samym początku.

– Wychodzę na zewnątrz i idę do robota. Cokolwiek przemawiało do niego, może też przemówić do mnie.

Hilvar nie stawiał sprzeciwów, chociaż nie wyglądał na uszczęśliwionego decyzją przyjaciela. Wylądowali sto stóp od kopuły, niedaleko czekającego robota i otworzyli śluzę powietrzną.

Alvin wiedział, że śluza nie otworzyłaby się, gdyby mózg statku nie uznał, iż atmosfera planety nadaje się do oddychania. Po wyjściu na zewnątrz wydawało mu się przez chwilę, że komputer popełnił omyłkę – tak rzadkie było powietrze i tak mało tlenu dawało jego płucom. Potem, oddychając głęboko, stwierdził, że może wychwycić wystarczająco dużo tlenu, aby przeżyć, czuł jednak, że nie wytrzyma tu dłużej niż kilka minut.

Dysząc ciężko podeszli do robota i obłej ściany zagadkowej kopuły. Postąpili jeszcze jeden krok i – stanęli jak wryci, porażeni tym samym impulsem. W ich mózgach, niczym dźwięk potężnego dzwonu, zadudniło ostrzeżenie:

NIEBEZPIECZEŃSTWO. NIE ZBLIŻAĆ SIĘ.

I to wszystko. Było to ostrzeżenie wyrażone nie słowami, ale czystą myślą. Alvin był pewien, że każda istota, bez względu na poziom jej inteligencji, odebrałaby ten zakaz w ten sam, zupełnie jednoznaczny sposób – głęboko w swoim mózgu.

To było ostrzeżenie, nie groźba. Czuli instynktownie, że nie jest skierowane przeciw nim; miało służyć ich własnemu bezpieczeństwu. Znajduje się tu coś niebezpiecznego, zdawało się przestrzegać, i my, budowniczowie, dokładamy starań, aby nikt nie ucierpiał natykając się na to przypadkiem i nieświadomie.

Alvin z Hilvarem cofnęli się o kilka kroków i spojrzeli po sobie. Pierwszy podsumował sytuację Hilvar.

– Miałem rację, Alvinie – powiedział. – Tutaj nie ma żadnej inteligencji. To ostrzeżenie wysyłane jest automatycznie – jest wyzwalane naszą obecnością, gdy się zanadto zbliżamy.

Alvin skinął głową na znak, że zgadza się z opinią przyjaciela.

– Ciekaw jestem, co starali się w ten sposób ochronić – powiedział. – Pod tymi kopułami mogą znajdować się budynki – no, cokolwiek.

– Nie potrafimy tego w żaden sposób stwierdzić, jeśli wszystkie kopuły będą nas ostrzegały, aby trzymać się od nich z dala. To zastanawiające – te różnice między planetami, które odwiedziliśmy. Zabrali wszystko z pierwszej – drugą porzucili nie zawracając nią sobie głowy – ale tutaj zadali sobie wiele

Gładka krzywizna horyzontu postrzępiła się w końcu, marszcząc w zarysy gór. Znalazł się nad nimi w chwilę po ich zauważeniu. Maszyna zwalniała teraz, zwalniała i opadała ku ziemi wielkim łukiem o promieniu setek mil. I nagle w dole rozpoznał Lys – jej lasy i rzeki tworzące krajobraz o nieporównywalnej piękności. Na wschodzie kraina pogrążona była w cieniu i pokrywające ją jeziora wyglądały jak ciemne plamy nocy. Ale tuż przed wschodem słońca ich wody roztańczyły się i roziskrzyły światłem, mieniąc się barwami, jakich sobie dotąd nawet nie wyobrażał.

Poeksperymentowawszy trochę, Alvin posadził statek na zboczu wzgórza. Sterowanie maszyną było bardzo proste; musiał tylko sygnalizować swoje ogólne polecenia, a szczegółami zajmował się robot, który, jak się domyślał, zignorowałby wszelkie rozkazy niebezpieczne lub niemożliwe do wykonania. Alvin był pewien, że nikt nie spostrzegł jego przybycia. Przywiązywał do tego dużą wagę, gdyż nie miał zamiaru wdawać się znowu w wojnę umysłów z Seranis. Nie miał jeszcze skonkretyzowanych planów, ale wolał nie ryzykować, dopóki nie nawiąże przyjaznych stosunków z mieszkańcami Lys. W roli jego ambasadora mógł przecież wystąpić robot, podczas gdy on sam pozostawać będzie pod bezpieczną osłoną statku.

Na drodze do Airlee nie było nikogo. Dziwne było siedzieć we wnętrzu statku kosmicznego, podczas gdy w polu widzenia przesuwała się znajoma trasa, a w uszach rozbrzmiewał szum lasu. Nie potrafił jednak jeszcze całkowicie identyfikować się z robotem i wysiłek wkładany w sterowanie nim był wciąż dosyć znaczny.

Kiedy robot dotarł do Airlee było już niemal ciemno i małe domki pływały w sadzawkach padającego z ich okien światła. Maszyna przedostała się niezauważona aż pod dom Seranis i tam dopiero dostrzegł ją wychodzący od matki Hilvar. Widząc robota zatrzymał się zaskoczony, ale po chwili jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Witaj, Alvinie – powiedział. – Cieszę się, że wróciłeś. A może wciąż jesteś w Diaspar?

Nie po raz pierwszy Alvin pozazdrościł Hilvarowi szybkości i precyzji myślenia.

– Nie – odpowiedział, dziwiąc się jednocześnie, jak wiernie robot naśladuje jego głos – jestem niedaleko stąd, w pobliżu Airlee, ale na razie wolę tu pozostać.

Hilvar roześmiał się.

– Tak też bym ci radził. Co prawda Seranis ci wybaczyła, ale Zgromadzenie... no cóż, to inna sprawa. Trwa tu teraz konferencja – pierwsza, jaką mamy w Airlee.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że wasi senatorowie przybyli tu osobiście? – spytał Alvin. – Myślałem, że przy waszych zdolnościach telepatycznych takie spotkania są niepotrzebne.

– Rzadko się je zwołuje, ale czasami wymaga tego sytuacja. Nie znam dokładnej natury kryzysu, ale trzech senatorów już tu jest, a reszty spodziewamy się niebawem.

Alvin nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl, jak niedawne wypadki z Diaspar znajdują tu swoje odbicie. Gdziekolwiek się ruszył, zdawał się pozostawiać za sobą ślad konsternacji i zaniepokojenia.

– Sądzę, że dobrze by było – powiedział – gdybym mógł porozmawiać z waszym Zgromadzeniem... o ile niczym mi to nie będzie groziło.

– Zjawiając się tu osobiście byłbyś bezpieczny tylko wtedy, gdyby Zgromadzenie obiecało, że nie będzie znowu usiłowało wymazać twoich wspomnień o Lys – powiedział Hilvar. – W przeciwnym przypadku powinieneś raczej pozostać tam, gdzie jesteś. Zaprowadzę do senatorów twojego robota – zdziwią się na jego widok.

Alvin wchodził za Hilvarem do domu z mieszanymi uczuciami rozbawienia i podniecenia. Spotykał się teraz z władcami Lys na równiejszych prawach i chociaż nie miał do nich urazy, przyjemnie było pomyśleć, iż jest teraz panem sytuacji i dysponuje siłami, których sam jeszcze w pełni nie poznał.

Drzwi sali konferencyjnej były zamknięte i upłynęło trochę czasu, zanim zwrócono uwagę na pukanie Hilvara. Umysły senatorów były widocznie tak bardzo zaabsorbowane, że nie reagowali na to, co się wokół działo. Wreszcie ściana rozsunęła się i Alvin szybko wprowadził swego robota do pomieszczenia.

Trzej senatorowie skamienieli na swych krzesłach, gdy maszyna podpłynęła do nich, ale przez twarz Seranis przemknął tylko krótkotrwały wyraz zaskoczenia. Być może Hilvar już ją uprzedził, albo wcześniej czy później spodziewała się powrotu Alvina.

– Dobry wieczór – powiedział Alvin, jak gdyby jego pojawienie się pod postacią zastępcy było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. – Zdecydowałem się wrócić.

Ich zaskoczenie na pewno przeszło jego oczekiwania. Pierwszy odzyskał panowanie nad sobą młody senator z siwiejącymi na skroniach włosami.

– Jak się tu dostałeś? – wykrztusił.

Przyczyna tego zdziwienia była oczywista. Lys, tak samo jak Diaspar, musiało zamknąć podziemną drogę.

– No cóż, przybyłem tu w taki sam sposób, jak poprzednio – powiedział Alvin rozbawiony ich zaskoczeniem.

Dwaj senatorowie spojrzeli zdziwieni na trzeciego, a ten rozłożył bezradnie ręce. Potem młodszy senator, który zwracał się doń przedtem, przemówił znowu:

– Czy nie napotkałeś na żadne... trudności? – spytał.

– Na żadne – odparł Alvin, zdecydowany spotęgować ich zmieszanie. Dostrzegł, że mu się to udało.

– Wróciłem – ciągnął – z własnej, nieprzymuszonej woli, gdyż mam dla was pewne ważne wiadomości. Jednak z uwagi na nasze niedawne nieporozumienia pozostaję na razie w ukryciu. Czy obiecacie, że nie będziecie próbowali ponownie ograniczać mojej swobody, jeśli stanę przed wami we własnej osobie?

Przez chwilę panowało milczenie i Alvin dużo by dał, żeby się dowiedzieć, jakie myśli są w tej ciszy wymieniane. Potem głos w imieniu wszystkich zabrała Seranis:

– Nie będziemy już próbowali przejąć nad tobą kontroli – chociaż nie sądzę, aby nam się to udało lepiej niż poprzednio.

– Zatem dobrze – powiedział Alvin. – Zjawię się w Airlee tak szybko, jak potrafię.

Zaczekał na powrót robota, wydał maszynie dokładne instrukcje i kazał je sobie powtórzyć. Był całkowicie pewien, że Seranis nie złamie danego słowa, wolał jednak zapewnić sobie drogę odwrotu.

Wyszedł ze statku i śluza powietrzna zamknęła się za nim cicho. W chwilę później rozległ się syk powietrza rozstępującego się przed startującym statkiem. Przez chwilę jeszcze jego czarny cień przesłaniał gwiazdy, potem statek znikł.

Dopiero po jego odlocie Alvin uświadomił sobie, że przeliczył się nieco i to tak, że jego najlepsze plany mogły się nie powieść. Zapomniał, że zmysły robota były dużo czulsze niż jego i noc była ciemniejsza niż sądził. Kilka razy zgubił drogę i tylko cudem unikał zderzeń z drzewami. W lesie panowały nieprzeniknione ciemności. W pewnej chwili usłyszał trzask łamanych gałązek, jak gdyby coś dużego przedzierało się przez zarośla w jego kierunku. Nagle, na wysokości pasa, ujrzał dwoje wlepionych weń szmaragdowych ślepi. Zawołał cicho i po dłoni przejechał mu niewiarygodnie długi jęzor. Zaraz potem potężne cielsko otarło się czule o jego nogi i oddaliło bezgłośnie. Nie miał pojęcia, co to mogło być.

Między drzewami połyskiwały już światła wioski, ale nie musiał się teraz nimi kierować, bo ścieżka, którą szedł stała się rzeką niebieskiego ognia. Mech, po którym stąpał, jarzył się i jego stopy pozostawiały ciemne, powoli zanikające ślady. Był to czarowny widok. Alvin zatrzymał się i wyrwał kępkę dziwnego mchu. Jarzyła się przez kilka minut w jego dłoniach, zanim promieniowanie zamarło.

I znowu przed domem powitał go Hilvar, aby po raz drugi zaprowadzić go do Seranis i senatorów. Przywitali go z mieszaniną czujności i niechętnego respektu. Jeśli ciekawi byli, co się stało z robotem, to nie spytali o to.

– Bardzo mi przykro – zaczął Alvin – że musiałem opuścić waszą krainę w tak niegodny sposób. W moim interesie jest, abyście wiedzieli, iż niemal z takim samym trudem uciekłem teraz z Diaspar... Powiedziałem naszej Radzie wszystko o Lys i zrobiłem co mogłem, żeby ta informacja wywarła na nich korzystne wrażenie. Ale Diaspar nie chce mieć z wami nic wspólnego. Pomimo wszystkiego, co o was opowiedziałem, nie chce nawiązywać stosunków z niższą kulturą.

Najbardziej satysfakcjonująca była obserwacja reakcji senatorów i nawet opanowana zwykle Seranis zarumieniła się lekko po tych słowach. Alvin pomyślał sobie, że gdyby chciał ostatecznie poróżnić Lys z Diaspar, zadanie byłoby już na wpół wykonane.

– Dlaczego wróciłeś do Lys? – spytała Seranis.

– Ponieważ chcę udowodnić wam i Diaspar, że popełniacie błąd. – Nie wspomniał o drugiej przyczynie; w Lys żył jego jedyny, prawdziwy przyjaciel, którego mógł być pewien i którego pomocy teraz potrzebował.

Senatorowie wciąż milczeli czekając na jego dalsze słowa i Alvin wiedział, że przez ich oczy i uszy patrzy na niego i słucha go wiele innych niewidocznych inteligencji. Był przedstawicielem Diaspar i całe Lys z jego słów wyrabiało sobie obraz jego rodzinnego świata. To była wielka odpowiedzialność. Zebrał myśli i zaczął mówić.

Wysłuchali go do końca nie przerywając i nie zadając pytań. Kiedy skończył, było już bardzo późno i czuł się bardziej wyczerpany niż kiedykolwiek przedtem. Napięcie i podniecenie tego długiego dnia dało wreszcie o sobie znać i zupełnie niespodziewanie Alvin zasnął.

Obudziwszy się stwierdził, że znajduje się w nieznanym pokoju i minęła dłuższa chwila zanim uświadomił sobie, iż nie jest już w Diaspar. Cała świadomość powróciła z zimnymi promieniami słońca

Z westchnieniem ulgi Alvin odrzucił pomysł, że robot mógł zacząć działać na własną rękę i że mogą mieć do czynienia z mechanicznym buntem.

– To dlaczego ekran jest wygaszony? – spytał.

– Zasłonięte zostały receptory wizyjne.

– Nie rozumiem – powiedział Alvin, zapominając przez chwilę, że robot może reagować tylko na jasno sprecyzowane rozkazy i pytania. Poprawił się szybko.

– Co zasłania receptory?

– Nie wiem.

Skłonność robotów do małomówności mogła być czasami tak irytująca, jak gadatliwość ludzi. Zanim Alvin zadał następne pytanie, wtrącił się Hilvar.

– Powiedz mu, żeby uniósł statek powoli – powiedział i w jego głosie był ton ponaglenia.

Alvin powtórzył rozkaz. Nie nastąpiło uczucie ruchu, bo go nie było. Potem, powoli, na ekran powrócił obraz, ale był jeszcze przez chwilę zamglony i nieostry. Pokazywał jednak wystarczająco dużo, aby zakończyć spór o lądowanie.

Płaska równina nie była już płaska. Bezpośrednio pod nimi uformowało się wielkie wybrzuszenie – wybrzuszenie rozdarte z wierzchu, tam skąd statek wyrwał się na wolność. Nad szczeliną falowały niemrawo ogromne pseudomacki, jak gdyby usiłując pochwycić ofiarę, która przed chwilą ulotniła się z ich objęć. Gdy patrzyli z przerażeniem na tę scenę, Alvin zobaczył przez moment szkarłatny otwór otoczony nibyfrędzlami bijącymi zgodnie jak bicze macek, porywającymi wszystko, co znalazło się w ich zasięgu w dół w rozdziawioną szeroko paszczę.

Nie pochwyciwszy ponownie swej niedoszłej ofiary, potwór zapadł się powoli pod ziemię – i wtedy dopiero Alvin zdał sobie sprawę, że ta równina była w rzeczywistości cienką warstwą piany unoszącej się na powierzchni nieruchomego morza.

– Co to było? – wykrztusił.

– Żeby ci odpowiedzieć, musiałbym zejść na dół i przyjrzeć się temu dokładniej – odparł zgodnie z prawdą Hilvar. To mogła być jakaś forma prymitywnego zwierzęcia – może nawet spokrewnionego z naszym przyjacielem z Shalmirane. Na pewno nie była to istota inteligentna, bo inaczej nie usiłowałaby pożerać statku kosmicznego.

Chociaż nic im już nie groziło, Alvin nadal nie mógł przyjść do siebie. Zastanawiał się, co jeszcze kryje się pod tą niewinnie wyglądającą murawą, która zdawała się zapraszać do pobiegania po jej [illegible] powierzchni.

– Mógłbym tu spędzić wiele czasu – powiedział Hilvar wyraźnie zafascynowany tym, co widział – W tych warunkach ewolucja musiała dojść do bardzo interesujących rezultatów. Nie tylko ewolucja, ale i degeneracja, ponieważ wyższe formy uległy zwyrodnieniu, kiedy ta planeta została pozostawiona własnemu losowi. Do tej pory ustaliła się już chyba równowaga – chyba nie masz jeszcze zamiaru odlecieć? – krajobraz w dole zaczął maleć i głos Hilvara brzmiał niemal żałośnie.

– Odlatujemy – powiedział Alvin. – Widziałem już świat bez życia i świat aż za żywy i nie wiem, który bardziej mi się podobał.

Na wysokości pięciu tysięcy stóp nad równiną planeta uraczyła ich ostatnią niespodzianką. Napotkali flotyllę ogromnych sflaczałych balonów dryfujących z wiatrem. Z każdej półprzezroczystej powłoki zwisały w dół pęki wici tworząc coś, co przypominało las odwrócony do góry nogami. Wyglądało na to, że niektóre rośliny starając się uciec od toczącego się na powierzchni okrutnego konfliktu, nauczyły się wzbijać w powietrze. Dzięki cudowi adaptacji zdołały zgromadzić i przechować w pęcherzach ilość powietrza wystarczającą na wzniesienie się we względnie spokojne warstwy atmosfery.

Nie było jednak pewne, że tutaj wreszcie znalazły bezpieczeństwo. W ich zwisających w dół łodygach i liściach roiło się od pająkowatych stworzeń, które spędzając życie wysoko nad powierzchnią globu kontynuowały na swych samotnych napowietrznych wyspach wszechobecną bitwę o przetrwanie. Rośliny te musiały prawdopodobnie kontaktować się od czasu do czasu z powierzchnią planety; Alvin dostrzegł nagle jak jeden z wielkich balonów pęka i wali się w dół, rozwijając jak spadochron swoją rozdartą powłokę. Ciekawe, czy był to wypadek, czy część cyklu życiowego tych zadziwiających istot.

Podczas przelotu do następnej planety Hilvar przespał się trochę. Z jakiegoś powodu, którego robot nie potrafił im wyjaśnić, statek, w porównaniu do szybkości, jaką rozwinął w drodze z Ziemi do formacji Siedmiu Słońc, leciał teraz wolno. Dotarcie do świata, który Alvin wybrał na trzeci przystanek, zajęło im niemal dwie godziny i Alvin zdziwił się, że zwykła podróż międzyplanetarna może trwać tak długo.

Obudził Hilvara, kiedy weszli w atmosferę planety.

– Co o tym myślisz? – spytał wskazując na ekran.

Pod nimi roztaczał się ponury krajobraz czerni i szarości, nie wykazujący śladu roślinności, czy inne-

– Co więc proponujesz?

– Powinniśmy rzucić okiem na parę innych rejonów tej planety i zobaczyć czy są takie same – a spodziewam się, że tak. Potem należałoby dokonać podobnego, szybkiego przeglądu innych planet tego układu i lądować tylko wtedy, gdy wydadzą się nam zupełnie odmienne lub gdy na ich powierzchni zauważymy coś niezwykłego. To wszystko, co zdążymy zrobić, o ile nie chcemy tu strawić reszty życia.

Hilvar miał rację. Starali się przecież nawiązać kontakt z inteligencją, a nie prowadzić badania archeologiczne. To pierwsze zadanie można wykonać w ciągu kilku dni, jeśli w ogóle jest ono wykonalne. To drugie zajęłoby wieki pracy armiom ludzi i robotów.

Dwie godziny później opuścili planetę i zrobili to z ulgą. Alvin miał wrażenie, że nawet gdyby kipiała życiem, to ten świat niekończących się budynków byłby bardzo przytłaczający. Nie znaleźli śladu parków, żadnych otwartych przestrzeni, gdzie mogłaby istnieć wegetacja. Był to zupełnie sterylny świat i trudno było sobie wyobrazić psychikę zamieszkujących go niegdyś istot. Alvin zadecydował, że jeśli kolejna planeta będzie pod tym względem identyczna, w ogóle zaniecha jej przeszukiwania.

Nie była identyczna, w istocie trudno byłoby sobie wyobrazić większy kontrast.

Planeta znajdowała się bliżej słońca i nawet z kosmosu wyglądała na gorącą. Była częściowo przesłonięta nisko płynącymi chmurami, co świadczyło, że obfituje w wodę, nie dostrzegli jednak oceanów. Nie dostrzegli też śladów inteligencji; okrążywszy planetę dwukrotnie nie dostrzegli na jej powierzchni jakiegokolwiek sztucznego tworu. Cały glob, od biegunów po równik, pokrywał kobierzec zjadliwej zieleni.

– Sądzę, że powinniśmy tu zachować ostrożność – powiedział Hilvar. – Ten świat żyje – i nie podoba mi się kolor roślinności. Najlepiej będzie, jeśli pozostaniemy na pokładzie statku i nie będziemy w ogóle otwierać śluzy.

– Nawet po to, żeby wysłać robota?

– Nawet po to. Zapomniałeś, co to choroba, a chociaż moi ludzie wiedzą, jak sobie z nią radzić, jesteśmy daleko od domu, a tu mogą czyhać niebezpieczeństwa, których nie potrafimy przewidzieć. Wydaje mi się, że jest to świat, który oszalał. Kiedyś był, być może, jednym wielkim ogrodem, czy parkiem, ale kiedy został zaniedbany, władzę nad nim przejęła znowu Natura. Gdy układ był zamieszkały, mogło tu wyglądać zupełnie inaczej.

Alvin nie wątpił w słuszność słów Hilvara. W tej biologicznej anarchii było coś diabelskiego, coś wrogo usposobionego do porządku i regularności, na których opierały się zarówno Lys jak i Diaspar. Od miliardów lat szalała tu nieustanna bitwa; lepiej było wystrzegać się tego, co ją przetrwało.

Opuścili się ostrożnie nad rozległą, płaską równinę, tak jednorodną, że od razu wydała się podejrzana. Równina graniczyła z wyżej położonym terenem, całkowicie porośniętym drzewami, których wysokości można się było tylko domyślać, ponieważ rosły tak blisko siebie i były tak oplecione poszyciem, że praktycznie nie było widać ich pni. Między górnymi konarami tych drzew fruwało wiele skrzydlatych istot, które poruszały się tak szybko, że trudno było stwierdzić, czy to ptaki, czy owady – czy też ani jedno, ani drugie.

Gdzieniegdzie jakiś leśny gigant zdołał wspiąć się o parę stóp ponad swych walczących sąsiadów, którzy jednak szybko zawiązywali sojusz, aby ściągnąć go w dół i zniszczyć przewagę, którą nad nimi uzyskał. Pomimo, że była to wojna cicha, prowadzona w zbyt wolnym tempie, aby mogło ją zaobserwować oko, wrażenie bezlitosnego, nieubłaganego konfliktu przytłaczało swoim okrucieństwem.

W porównaniu z tym, co działo się między drzewami, równina wyglądała spokojnie i łagodnie. Była niemal idealnie płaska, porośnięta cienką, krótką trawą i rozciągała się aż po horyzont. Chociaż opuścili się już na wysokość pięćdziesięciu stóp, nie dostrzegali na niej jakiegokolwiek śladu życia zwierzęcego, co bardzo dziwiło Hilvara. Być może zamieszkujące je zwierzęta, przestraszone ich widokiem, skryły się pod ziemię?

Unosili się tuż nad powierzchnią równiny i Alvin starał się przekonać Hilvara, że otwarcie śluzy nie grozi żadnym niebezpieczeństwem, a Hilvar wyjaśniał mu cierpliwie takie pojęcia, jak bakterie, grzyby, wirusy i mikroby. Spór trwał już parę dobrych minut, gdy nagle zauważyli osobliwy fakt. Ekran, który jeszcze przed chwilą pokazywał las, pociemniał.

– Wyłączyłeś go? – spytał Hilvar, jak zwykle wyprzedzając o ułamek sekundy takie samo pytanie Alvina.

– Nie – odparł Alvin i po plecach przeszedł mu zimny dreszcz, gdy pomyślał o jedynym wyjaśnieniu.

– Wyłączyłeś go? – spytał robota.

– Nie – padła odpowiedź.

przenikającymi przez przezroczyste teraz ściany. Leżał na wpół przebudzony przypominając sobie wypadki poprzedniego dnia i zastanawiając się, jakie siły uruchomił swoim postępowaniem.

Z cichym, melodyjnym dźwiękiem ściany poczęły składać się w górę w sposób tak skomplikowany, że wymykał się oku. Przez powstały w ten sposób otwór wkroczył do pokoju Hilvar patrząc na Alvina z wyrazem pół rozbawienia, pół powagi na twarzy.

– Teraz, kiedy się już obudziłeś, Alvinie – powiedział – może powiesz mi przynajmniej, co dalej zamierzasz i jak udało ci się tu powrócić. Senatorzy wyszli właśnie, aby obejrzeć podziemną kolej; nie mogą zrozumieć, jak udało ci się nią wrócić. Tamtędy wróciłeś?

Alvin wyskoczył z łóżka i przeciągnął się.

– Może lepiej zawróćmy ich z drogi – powiedział. – Szkoda ich czasu. A co do pytania, które mi zadałeś, to niedługo pokażę ci odpowiedź.

Dogonili senatorów nad jeziorem. Obie grupki przywitały się sztywno. Komitet Śledczy domyślił się, że Alvin wie, dokąd idą i zmieszało ich nieco to niespodziewane spotkanie.

– Przepraszam, że wprowadziłem was w błąd poprzedniego wieczora – powiedział Alvin. – Nie przybyłem do Lys dawną drogą, a więc zamknięcie jej z waszej strony było zupełnie niepotrzebne. Prawdę mówiąc Rada Diaspar również zamknęła ją po naszej stronie z równym brakiem powodzenia.

Twarze senatorów stanowiły przykład zakłopotania, a przez ich mózgi przewijały się, jedno po drugim, możliwe rozwiązania zagadki.

– Jak więc się tu dostałeś? – spytał najstarszy. W jego oczach pojawiła się iskierka zrozumienia i Alvin był niemal pewien, że ten człowiek domyśla się prawdy. Ciekaw był, czy odebrał on rozkaz, który jego umysł wysłał właśnie w góry. Nie powiedział jednak nic i w milczeniu wskazał na północne niebo.

Igła srebrzystego światła poruszająca się z nieprawdopodobną prędkością zatoczyła nad górami łuk, pozostawiając za sobą długi na milę ślad. Zatrzymała się dwadzieścia tysięcy stóp nad Lys. Uczyniła to bez zwalniania, bez stopniowego wyhamowywania kolosalnej prędkości. Zatrzymała się tak nagle, że oko śledziło jeszcze jej ruch przez ćwierć nieboskłonu, zanim mózg zarejestrował ten fakt. Z przestworzy dobiegł potężny grzmot – protest powietrza miażdżonego gwałtownością przelotu statku. W chwilę później sam statek, błyszcząc wspaniale w promieniach słońca, spoczął na zboczu wzgórza odległego o sto jardów.

Trudno było ocenić, kto był bardziej zaskoczony, ale pierwszy przyszedł do siebie Alvin. Gdy szli – niemal biegli – w kierunku statku kosmicznego, Alvin zastanawiał się, czy on zawsze pędzi jak meteoryt. Ta myśl nie dawała mu spokoju, chociaż podczas pierwszej podróży nie odczuwał w ogóle wrażenia ruchu.

Z Hilvarem u boku Alvin stanął w otwartych drzwiach i obejrzał się przez ramię na milczących senatorów. Ciekaw był, co myślą – co myśli całe Lys. Z wyrazów ich twarzy wynikało, że nie są zdolni do jakiegokolwiek myślenia.

– Udaję się do Shalmirane – powiedział Alvin – i za jakąś godzinę wrócę do Airlee. Ale to dopiero początek. To nie jest zwykła maszyna latająca z rodzaju tych, na których ludzie podróżowali nad Ziemią. To jest statek kosmiczny, jeden z najszybszych, jaki kiedykolwiek zbudowano. Jeśli chcecie wiedzieć, gdzie go znalazłem, odpowiedź znajdziecie w Diaspar. Ale będziecie musieli tam pójść, bo Diaspar nigdy nie przyjdzie do was.

Odwrócił się do Hilvara i wskazał gestem drzwi. Hilvar wahał się tylko przez chwilę. Obejrzał się jeszcze raz, aby spojrzeć na znajomy krajobraz i wszedł do wnętrza.

Senatorowie odprowadzili wzrokiem statek, który, poruszając się teraz zupełnie wolno, zniknął na południu. Wtedy siwowłosy, młody człowiek, który prowadził grupę, wzruszył filozoficznie ramionami i zwrócił się do jednego z towarzyszy:

– Ty zawsze sprzeciwiałeś się zmianom, jakie chcieliśmy wprowadzać – powiedział – i jak dotąd stawało na twoim. Ale nie sądzę, aby przyszłość należała do któregokolwiek z naszych społeczeństw. Lys i Diaspar dotarły do końca pewnej ery i musimy zrobić co w naszej mocy, aby zapoczątkować nową.

– Niestety, masz rację. To jest kryzys i Alvin wiedział, co mówi, kiedy kazał nam udać się do Diaspar. Wiedzą tam teraz o nas, nie ma więc powodu, aby nadal się ukrywać. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pierwsi skontaktujemy się z naszymi kuzynami – być może będą teraz bardziej chętni do współpracy.

– Ale droga podziemna jest zamknięta z obu stron!

– Możemy ją otworzyć z naszej; nie potrwa długo, zanim Diaspar zrobi to samo.

Umysły senatorów – tych w Airlee i tych rozsianych po całym Lys – rozważyły tę propozycję i bardzo im się ona nie spodobała. Nie widzieli jednak alternatywy.

Ziarno, które posiał Alvin, zaczynało kiełkować szybciej niż się spodziewał.

Gdy dotarli do Shalmirane, góry pławiły się jeszcze w cieniu. Z ich wysokości, wielka niecka fortecy wyglądała na bardzo małą i wydawało się niemożliwe, że od tego małego ebonitowego kółeczka zależał kiedyś los całej Ziemi.

Alvin posadził statek wśród ruin, przy brzegu jeziora i ogarnął go niewysłowiony, przejmujący do głębi żal. Otworzył śluzę powietrzną i do statku wpełzła cisza tego miejsca. Hilvar, który podczas całego przelotu prawie się nie odzywał, spytał cicho:

– Po co tu wróciliśmy?

Alvin nie odpowiedział, dopóki nie znaleźli się nad brzegiem jeziora. Tam odezwał się:

– Chciałem ci pokazać, jaki jest ten statek. Miałem również nadzieję, że polip już się odrodził. Czuję, że jestem mu coś winien i chciałem mu pokazać, co odkryłem.

– W takim razie będziesz musiał zaczekać. Za szybko wróciłeś.

Alvin spodziewał się tego; nikła to była szansa i niepowodzenie nie zniechęciło go. Wody jeziora były idealnie gładkie i nie wstrząsał już nimi ten jednostajny rytm, który tak ich zafrapował podczas pierwszej wizyty. Ukląkł na brzegu jeziora i zajrzał w mroczną, zimną toń.

Tu i tam, pod powierzchnią, pływały maleńkie, przezroczyste dzwoneczki, ciągnące za sobą warkocze niewidocznych niemal macek. Alvin zanurzył dłoń i wyłowił jeden z nich. Odrzucił go od razu z cichym okrzykiem. Stworzonko użądliło go.

Pewnego dnia – może za lata, może za wieki – te bezrozumne meduzy zbiorą się z powrotem w jedną istotę i wielki polip odrodzi się, gdy powrócą mu wspomnienia i świadomość. Alvin ciekaw był, jak ta istota zareagowałaby na odkrycia, których dokonał; prawda o Mistrzu mogłaby nie być dla niej przyjemna. Poza tym, nie chciałaby może uznać wszystkich tych lat cierpliwego wyczekiwania za czas stracony na próżno.

Czy aby na pewno stracony na próżno? Chociaż stworzenia te oszukano, ich długie czuwanie zostało wreszcie wynagrodzone. Cudem uchroniły przed zapomnieniem wiedzę, która inaczej mogłaby zostać stracona. Teraz mogą wreszcie odpocząć, a ich wiara pójść w ślady milionów innych wyznań, które niegdyś uważały się za wieczne.

Rozdział 19

Alvin z Hilvarem wrócili zamyśleni do statku i teraz forteca była znowu ciemną plamką pośród wzgórz. Kurczyła się szybko, aż w końcu stała się czarnym, pozbawionym powieki okiem, wpatrzonym na zawsze w kosmos i wkrótce zniknęła, wtapiając się w rozległą panoramę Lys.

Alvin nie starał się nawet sterować maszyną. Wznosili się wciąż, aż wreszcie całe Lys leżało pod nimi, jak zielona wyspa pośród brunatno-żółtego morza. Nigdy przedtem Alvin nie był tak wysoko; kiedy wznoszenie się ustało, zobaczyli w dole całą półkulę Ziemi. Lys było teraz małą, szmaragdową plamką na tle rdzawej pustyni – ale daleko, na krzywiźnie horyzontu, błyszczało coś jak wielobarwny klejnot. I tak, po raz pierwszy, Hilvar ujrzał Diaspar.

Długo patrzyli na obracającą się pod nimi Ziemię. Ze wszystkich starożytnych możliwości Człowieka była to na pewno ta, na której utracenie najmniej mógł sobie pozwolić. Alvin pragnąłby pokazać świat, jakim go teraz widział władcom Lys i Diaspar.

– Hilvarze – odezwał się w końcu – czy uważasz, że to, co robię jest słuszne?

To pytanie zaskoczyło Hilvara nie podejrzewającego przypływu wątpliwości, które ogarnęły przyjaciela. Nie wiedział przecież nic o spotkaniu Alvina z Centralnym Komputerem i o wpływie, jaki ono nań wywarło.

Trudno było odpowiedzieć na to pytanie od niechcenia; podobnie jak Khedron, choć z mniejszym niż jego niepokojem, Hilvar odnosił wrażenie, że się pogrąża. Wsysał go nieubłaganie wir, jaki idąc przez życie zostawiał za sobą Alvin.

– Uważam, że masz rację – odparł powoli. – Nasi ludzie wystarczająco długo byli rozdzieleni. – To była prawda, ale nastrój przygnębienia wciąż nie opuszczał Alvina.

– Martwi mnie jeden problem – podjął Alvin zatroskanym głosem – różnica w długości naszego życia.

Nie powiedział więcej, ale obaj wiedzieli, o czym myśli drugi.

– Ja też się tym martwię – przyznał Hilvar – ale sądzę, że ten problem z czasem się rozwiąże, gdy nasi ludzie poznają się nawzajem. Nie możemy obaj mieć racji – nasze życie może być za krótkie, a wasze z pewnością jest za długie. W końcu znajdzie się jakiś kompromis.

Alvin zamyślił się. To była jedyna nadzieja, ale wieki przejściowe będą trudne. Znowu przypomniał sobie słowa Seranis: „...i ja i on nie będziemy już żyli od wieków, gdy tymczasem ty wciąż będziesz

Aż do tej chwili Alvin miał jeszcze nadzieję znaleźć na tej planecie życie. Nadzieja ta rozwiała się ostatecznie, gdy otworzył śluzę powietrzną. Nigdy przedtem, nawet w ruinach Shalmirane, nie doświadczył tak doskonałej ciszy. Na Ziemi wciąż rozlega się gwar głosów, trwa krzątanina żywych istot lub chociaż słychać poszum wiatru. Tu nie było i nigdy już nie będzie tych odgłosów.

– Dlaczego nas tu przywiozłeś? – spytał robota Alvin.

– Stąd wyruszył Mistrz – padła odpowiedź.

– Czy nie dostrzegasz w tym jakiejś ironii losu? – powiedział Hilvar. – Odleciał z tego świata w niełasce, a popatrz na ten pomnik, który wznieśli na jego cześć!

Wielka kamienna kolumna miała wysokość jakichś stu ludzi i ustawiona była na metalowym kręgu wystającym nieco ponad powierzchnię terenu. Nie miała żadnych ozdób, nie nosiła żadnych inskrypcji. Alvin zastanawiał się, przez ile tysięcy, czy milionów lat musieli się tu zbierać wyznawcy Mistrza, aby złożyć mu hołd? I czy dowiedzieli się kiedykolwiek, że umarł on w zapomnieniu na odległej Ziemi?

Nie robiło to teraz żadnej różnicy. Mistrz i jego wierni pogrzebani zostali w mrokach zapomnienia.

– Pójdźmy tam – powiedział Hilvar, starając się wyrwać Alvina z nastroju przygnębienia. – Przebyliśmy pół wszechświata, żeby zobaczyć to miejsce. Możesz przynajmniej zdobyć się na mały wysiłek i wyjść na zewnątrz.

Alvin uśmiechnął się z przymusem i wyszedł za Hilvarem ze śluzy. Nawet jeśli ten świat jest martwy, musi się na nim znajdować wiele ciekawych rzeczy, które pomogą im może wyjaśnić niektóre z tajemnic przeszłości.

Powietrze miało woń pleśni, ale nadawało się do oddychania. Pomimo wielu słońc na niebie, temperatura nie była wysoka. Ciepła dostarczała właściwie tylko biała tarcza Centralnego Słońca.

Po kilku minutach oględzin wiedzieli już, że obelisk nic im nie powie. Materiał, z którego został wykuty, wykazywał wyraźne oznaki starości; krawędzie zaokrągliły się już, a metalowa płyta, na której był ustawiony, starta była przez stopy pokoleń wiernych i gości. Nasunęła im się myśl, że są być może ostatnimi z miliardów istot ludzkich, które odwiedziły to miejsce.

Hilvar miał właśnie zaproponować powrót na statek i przelot do najbliższego z okolicznych budynków, kiedy Alvin zauważył długą, wąską szczelinę w marmurowej posadzce amfiteatru. Poszli wzdłuż niej. Szczelina rozszerzała się bez przerwy i wkrótce była już tak szeroka, że z trudem tylko udałoby się ją przeskoczyć.

W chwilę później znaleźli miejsce, z którego brała swój początek. Powierzchnia areny była tu zmiażdżona i rozłupana, a dalej ciągnęła się długa na milę, głęboka bruzda. Nie trzeba było inteligencji, ani wyobraźni, aby domyśleć się, w jaki sposób powstała. Wieki temu – chociaż na pewno długo po opuszczeniu tego świata – spoczął tutaj wielki cylindryczny kształt, a potem wzniósł się znowu w kosmos i pozostawił planetę sam na sam z jej wspomnieniami.

Kim byli? Skąd przybyli? Nie wiadomo. Jeśli przegapili tych wcześniejszych gości o tysiąc, czy milion lat, nigdy się tego nie dowiedzą.

Wrócili w milczeniu na swój statek (jakże maleńki się wydawał obok kolosa, który tu kiedyś spoczywał!) i przelecieli wolno nad areną, kierując się ku najokazalszemu z otaczających ją budynków. Gdy wylądowali przed jego wejściem, Hilvar wskazał na coś, co w tej samej chwili zauważył Alvin.

– Te budynki nie wyglądają bezpiecznie. Spójrz na leżące tu kamienie – to cud, że jeszcze stoją. Jeśli na tej planecie szalałyby jakieś burze, rozpadłyby się już dawno temu. Wydaje mi się, że wchodzenie do środka nie byłoby rozsądnym posunięciem.

– Nie zamierzam tam wchodzić; wyślę robota – potrafi poruszać się szybciej od nas i nie spowoduje żadnego wstrząsu, od którego mógłby runąć dach.

Hilvar pochwalił tę ostrożność i doradził, aby Alvin, przed wysłaniem robota na rekonesans, przeniósł jego zestaw instrukcji do niemal równie inteligentnego mózgu statku, tak żeby mogli przynajmniej powrócić na Ziemię, gdyby coś przytrafiło się ich pilotowi.

Po niedługim czasie przekonali się, że ten świat nie ma im nic do zaoferowania. Oczami robota przemierzającego puste labirynty oglądali mile pokrytych kurzem korytarzy i przejść. Wyglądało na to, że te budynki spełniały funkcje mieszkalne i że istoty, które je zamieszkiwały były mniej więcej wzrostu człowieka. Właściwie mogły być nawet ludźmi, chociaż często natykali się na pomieszczenia, do których dostać się mogły tylko istoty potrafiące latać, ale nie oznaczało to, że budowniczowie miasta byli skrzydlaci. Mogli posługiwać się osobistymi aparatami antygrawitacyjnymi, które znajdowały się kiedyś w powszechnym zastosowaniu, a po których nie pozostało już w Diaspar ani śladu.

– Alvinie – powiedział Hilvar – na zwiedzaniu tych budynków możemy spędzić i milion lat. To przecież oczywiste, że nie opuszczono ich tak po prostu. One zostały dokładnie ogołocone ze wszystkiego, co było w nich cenne. Tracimy tylko czas.

kie iskierki krążących planet, światów, które musiały być ogromne, skoro widać je było z takiej odległości.

Przyczyna perłowej poświaty wysyłanej przez Słońce Centralne była teraz jasna. Ta wielka gwiazda spowita była powłoką gazu, która tłumiła jej promieniowanie i nadawała światu charakterystyczną barwę. Otaczającą gwiazdę mgławicę widać było tylko z niewielkiej odległości i była poskręcana w dziwaczne, umykające oku kształty. Ale była tam i im dłużej się patrzyło, tym wydawała się większa.

– No i co, Alvinie? – powiedział Hilvar. – Mamy tu tyle światów, że będzie w czym wybierać. A może masz nadzieję zbadać je wszystkie?

– Nie będzie to, na szczęście, konieczne – przyznał Alvin. – Jeśli gdziekolwiek uda nam się nawiązać kontakt, to tam zdobędziemy informację, których nam potrzeba. Logicznie byłoby zacząć od największej planety Centralnego Słońca.

– O ile nie jest za duża. Słyszałem, że istnieją planety tak wielkie, że nie może na nich żyć człowiek – zostałby zmiażdżony pod własnym ciężarem.

– Wątpię, że spotkamy się z tym tutaj, bo jestem pewien, że ten układ jest tworem całkowicie sztucznym. Zresztą będziemy widzieli z kosmosu, czy są tam jakieś miasta, czy budynki.

Hilvar wskazał na robota.

– Nasz problem został rozwiązany bez naszego udziału – powiedział. – Nie zapominaj, że nasz przewodnik już tu kiedyś był. Prowadzi nas do swego domu... i ciekaw jestem, co on o tym wszystkim myśli.

Alvin też był tego ciekaw. Ale czy można było – czy miało w ogóle jakiś sens wyobrażać sobie, że robot powracając po tylu eonach do starożytnego domu Mistrza odczuwa coś na kształt ludzkich emocji?

Wracał teraz za swymi nieśmiertelnymi wspomnieniami do miejsca, z którego pochodził. Prawie niewidoczna w blasku Centralnego Słońca skrzyła się blada iskra światła z otaczającymi ją jeszcze bledszymi iskierkami, jeszcze mniejszych światów. Ich wielka podróż dobiegała końca; za chwilę dowiedzą się, czy nie była daremna.

Rozdział 20

Planeta, w kierunku której lecieli, odległa była teraz zaledwie o kilka milionów mil. Cała powierzchnia tej wielobarwnej kuli skąpana była w blasku wiecznego dnia, gdyż oświetlały ją z jednej strony Centralne Słońce, z drugiej zaś, przemaszerowujące, jedna za drugą przez nieboskłon, pozostałe gwiazdy tej formacji. Alvin pojął nareszcie znaczenie słów umierającego Mistrza: „To cudowne obserwować barwne cienie na planetach wiecznego światła".

Byli już tak blisko, że przez leciutką mgiełkę atmosfery rozróżniali zarysy lądów i oceanów. W konturach tych było coś niezwykłego i dopiero po chwili uświadomili sobie, skąd się brało to wrażenie: linie odgraniczające ląd od wody były dziwnie regularne. Kontynenty tej planety nie były tworem Natury – ale ukształtowanie tego świata nie musiało być zbyt wielkim problemem dla tych, którzy zbudowali jego słońca!

– To nie są wcale oceany! – wykrzyknął nagle Hilvar. – Spójrz, widać tam jakieś ślady!

Dopiero gdy jeszcze bardziej zbliżyli się do planety, Alvin dostrzegł to, co pokazywał mu Hilvar. Zauważył wtedy ledwo widoczne pasma i linie, ciągnące się wzdłuż brzegów po powierzchni tego, co brał z początku za morze. Widok ten spowodował nagły napływ wątpliwości, ponieważ Alvin dobrze wiedział, co oznaczają te linie. Widział je już na pustyni pod Diaspar, a teraz powiedziały mu, że daremnie odbył tę podróż.

– Ta planeta jest tak samo sucha, jak Ziemia – powiedział posępnie. – Te ślady, to pokłady soli w miejscach, skąd wyparowało morze.

– Nigdy by do tego nie dopuścili – odparł Hilvar. – Wydaje mi się, że się mimo wszystko spóźniliśmy.

Rozczarowanie było tak przygnębiające, że Alvin wolał się nie odzywać i patrzył tylko w milczeniu na ten wielki świat. Planeta obracała się w dole z majestatyczną powolnością, a jej powierzchnia wybiegała im na spotkanie. Widzieli już budynki – maleńkie, białe skorupki rozsiane po całej planecie.

Kiedyś było to centrum Wszechświata. Teraz panowała tu cisza, powietrze było puste, a na powierzchni nie widać było roju uwijających się punkcików, które przemawiałyby za istnieniem życia.

Nagle statek zatrzymał się, jakby robot znalazł wreszcie źródło, z którego wypływały jego wspomnienia. Pod nimi, ze środka ogromnego marmurowego amfiteatru, strzelała w niebo kolumna ze śnieżnobiałego kamienia. Alvin odczekał chwilę i gdy maszyna nadal pozostawała w bezruchu, wydał jej rozkaz lądowania u stóp kolumny.

młodzieńcem". Bardzo dobrze, przyjmie te warunki. Nawet w Diaspar na wszystkie przyjaźnie kładł się ten sam cień; to, czy był on odległy o setki czy o miliony lat, robiło w końcu małą różnicę.

Alvin wiedział z pewnością, która mijała się z wszelką logiką, że przyszłość rasy zależy od zmieszania się tych dwóch kultur. W takim przypadku szczęście jednostki było nieważne. Przez chwilę zobaczył ludzkość, jako coś więcej niż tylko żywe tło swej egzystencji i bez sprzeciwu przyjął poświęcenie, jakiego wymagał jego wybór.

Pod nimi bez przerwy obracał się świat. Wyczuwając nastrój przyjaciela, Hilvar nie odzywał się, dopóki Alvin sam nie przerwał milczenia.

– Kiedy po raz pierwszy opuszczałem Diaspar – powiedział – nie wiedziałem, co znajdę za jego murami. Lys usatysfakcjonowało mnie od razu, więcej niż usatysfakcjonowało, a jednak teraz wszystko na Ziemi wydaje się takie małe i nieważne. Każde odkrycie, jakiego dokonałem, stwarzało nowe pytania i poszerzało horyzonty. Zastanawiam się, gdzie jest tego kres...

Hilvar nigdy nie widział Alvina tak pogrążonego w zadumie i nie chciał mu przerywać tego monologu. Wiele się dowiedział o przyjacielu przez ostatnie kilka minut.

– Robot powiedział mi – ciągnął dalej Alvin – że ten statek może dotrzeć do Siedmiu Słońc w niecały dzień. Sądzisz, że powinienem tam polecieć?

– A czy sądzisz, że mógłbym cię powstrzymać? – odparł spokojnie Hilvar.

Alvin uśmiechnął się.

– To żadna odpowiedź – powiedział. – Kto wie, co znajduje się tam, w kosmosie? Nawet gdyby Najeźdźcy opuścili Wszechświat, to mogą tam istnieć inne inteligencje nieprzyjazne Człowiekowi.

– A dlaczego miałyby tam być? – spytał Hilvar. – To jedno z pytań, nad którymi nasi filozofowie rozprawiają od wieków. To nieprawdopodobne, aby prawdziwie inteligentna rasa była nieprzyjazna.

– Ale Najeźdźcy...?

– Oni są zagadką, przyznaję. Jeśli naprawdę byli źli, to do tej pory sami musieli się zniszczyć. A jeśli nawet tego nie uczynili... – Hilvar wskazał na rozciągającą się w dole bezkresną pustynię. – Kiedyś mieliśmy Imperium. Czy mamy teraz coś, czego mogliby pożądać?

Alvin zdziwił się, że ktoś może podzielać jego punkt widzenia.

– Czy tak myślą wszyscy twoi ludzie? – spytał.

– Tylko mniejszość. Przeciętna osoba nie zaprząta tym sobie głowy, ale spytana odpowie prawdopodobnie, że jeśli Najeźdźcy naprawdę chcieliby zniszczyć Ziemię, zrobiliby to już wieki temu. Nie przypuszczam, aby ktoś naprawdę się ich obawiał.

– W Diaspar sprawy wyglądają inaczej – powiedział Alvin. – Moi ludzie są wielkimi tchórzami. Boją się wytknąć nosa poza granice swego miasta i nie wiem, co się stanie, gdy dowiedzą się, iż znalazłem ten statek kosmiczny. Jeserac powiedział już o tym Radzie i ciekaw jestem, jak na to zareagowała.

– Mogę ci to powiedzieć. Przygotowuje się do przyjęcia pierwszej delegacji z Lys. Seranis właśnie mnie o tym poinformowała.

Alvin spojrzał znowu na ekran. Jednym spojrzeniem mógł ogarnąć odległość dzielącą Lys od Diaspar; chociaż dopiął jednego ze swych celów, to nie wydawało mu się to w tej chwili takie ważne. Był jednak zadowolony. Teraz na pewno skończą się długie wieki sterylnej izolacji.

Wiadomość, że udało się coś, co do niedawna było jego główną misją, odpędziła ostatnie wątpliwości dręczące Alvina. Spełnił swoje zadanie tu, na Ziemi, i to szybciej i lepiej niż mógł się spodziewać. Stała przed nim otworem droga do przygody, która mogła być jego ostatnią i na pewno będzie największą.

– Czy polecisz ze mną, Hilvarze? – spytał aż za bardzo świadomy, o co prosi.

Hilvar rzucił mu twarde spojrzenie.

– Nie ma o czym mówić – powiedział. – Już dobrą godzinę temu poinformowałem Seranis i wszystkich moich przyjaciół, że odlatuję z tobą.

Byli już bardzo wysoko, gdy Alvin wydał robotowi ostatnie instrukcje. Statek zatrzymał się. Ziemia leżała z tysiąc mil pod nimi wypełniając sobą całe niebo. Wyglądała bardzo niegościnnie; Alvin pomyślał sobie, ile statków zatrzymywało się tak na chwilę w przeszłości, by następnie podjąć dalszą podróż.

Nastąpiła dłuższa przerwa, jakby robot sprawdzał urządzenia sterownicze i nie wykorzystywane od wieków układy. Potem rozległ się cichutki dźwięk, pierwszy wydany przez maszynę, od kiedy znajdowała się ona w posiadaniu Alvina. Było to ledwie słyszalne brzęczenie, które zwiększało, oktawa po oktawie, swoją częstotliwość, aż wreszcie ścichło za granicą słyszalności. Nie nastąpiło żadne uczucie zmiany położenia, czy przyśpieszenia, ale Alvin zauważył nagle, że po ekranie przesuwają się gwiazdy. Znowu pojawiła się nad nim i przepłynęła Ziemia – po chwili pojawiła się ponownie, ale już w innym miejscu. Statek naprowadzał się na kurs obracając w kosmosie, jak igła kompasu szukająca północy.

Przez kilka minut niebo obracało się wokół nich, aż w końcu statek znieruchomiał – wielki pocisk wycelowany w gwiazdy.

Pośrodku ekranu widniał tęczowo barwny, wielki pierścień Siedmiu Słońc. Malutka Ziemia była wciąż widoczna jako ciemna plamka granicząca odcieniem ze złotem i purpurą zachodzącego słońca. Działo się teraz coś, co przekraczało wiedzę i doświadczenie Alvina. Czekał zaciskając dłonie na poręczy swego fotela i wpatrując się w Siedem Słońc błyszczących na ekranie. Mijały sekundy.

Nastąpiło szarpnięcie, któremu nie towarzyszył żaden dźwięk i pod wpływem którego wzrok zdawał się tracić ostrość – Ziemia zniknęła, jak gdyby starta gigantyczną dłonią. Byli sam na sam z kosmosem, sam na sam z gwiazdami i dziwnie zmalałym słońcem. Ziemi nie było, tak jakby nie było jej nigdy.

Nastąpiło drugie szarpnięcie i tym razem towarzyszył mu cichy pomruk, jak gdyby dopiero teraz wykorzystywany był pokaźniejszy ułamek mocy generatorów. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie dzieje; potem Alvin dostrzegł, że zniknęło nawet słońce, a gwiazdy pełzną powoli ku rufie statku. Zerknął za siebie i nie zobaczył nic. Zatarte przez półkulę nocy zniknęło zupełnie całe niebo za nimi. Patrząc tak przez chwilę zobaczył nurkujące w tę noc gwiazdy, które gasły zaraz, jak iskry wpadające do wody. Statek gnał z szybkością większą niż prędkość światła i Alvin zdał sobie sprawę z tego, że nie znajdują się już w znajomej przestrzeni Ziemi i Słońca.

Kiedy ten nagły, przyprawiający o zawrót głowy wstrząs nastąpił po raz trzeci, serce Alvina niemal przestało bić. Dziwne zamglenie wzroku było teraz niewątpliwe; przez chwilę otoczenie wydawało się zniekształcone nie do poznania. Znaczenie tego zniekształcenia dotarło doń w przebłysku intuicji, którego nie potrafił wyjaśnić: „To nie było złudzenie wzrokowe, to była rzeczywistość". Przechodząc przez cienką warstewkę Teraźniejszości dostrzegł na mgnienie oka zmiany zachodzące w otaczającej go przestrzeni.

W tej samej chwili pomruk generatorów narósł do ryku, który wstrząsnął całym stakiem – dźwięku tym bardziej poruszającego, że był on pierwszym okrzykiem protestu, jaki Alvin słyszał od tej maszyny. Potem wszystko się urwało i zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Potężne generatory wykonały swe zadanie; nie będą już potrzebne aż do końca podróży. Gwiazdy rozbłyskiwały przed dziobem statku niebiesko-białym światłem, aby po chwili zniknąć w ultrafiolecie. Jednak za sprawą jakiejś magii Nauki lub Natury, Siedem Słońc było nadal widocznych, chociaż teraz ich położenie i barwy uległy nieznacznej zmianie. Statek gnał w ich kierunku tunelem ciemności, poza granicą czasu i przestrzeni, z szybkością zbyt olbrzymią, by można ją było objąć umysłem.

Trudno było uwierzyć, że opuszczali teraz Układ Słoneczny z szybkością, która, jeśli nie ulegnie zmianie, wyniesie ich niebawem przez jądro galaktyki w jeszcze większą pustkę poza jej granicami. Ani Alvin, ani Hilvar nie mogli pojąć prawdziwego bezmiaru swej podróży; wielkie sagi o eksploracji kosmosu całkowicie zmieniły spojrzenie Człowieka na wszechświat i nawet teraz, miliony wieków później, starożytne tradycje nie wygasły całkowicie. Istniał kiedyś statek, szeptała legenda, który okrążał kosmos między wschodem a zachodem słońca. Przy takich prędkościach nic nie znaczyły miliardy mil między gwiazdami. Dla Alvina obecna podróż była niewiele dłuższa, a może i mniej niebezpieczna niż jego pierwszy przelot z Diaspar do Lys.

Hilvar pierwszy wyraził głośno ich myśli.

– Alvinie – zauważył – to niemożliwe, aby ta formacja powstała w sposób naturalny.

Alvin skinął głową.

– Ten system nie został być może zbudowany przez Człowieka – powiedział Hilvar – ale musiała go stworzyć inteligencja. Natura nigdy nie uformowałaby tak idealnego koła z gwiazd, które są w dodatku równej jasności. Poza tym w widzialnym kosmosie nie ma nic, co przypominałoby Słońce Centralne.

– Jakiż cel mógł przyświecać budowniczym tych gwiazd?

– Och, przychodzi mi do głowy wiele powodów. Może jest to sygnał dla obcego statku przybywającego do naszego wszechświata, wskazówka, gdzie ma szukać życia. Może oznacza to centrum administracji galaktycznej. Albo może – i wydaje mi się, że jest to prawdziwe wyjaśnienie – jest to po prostu największe z dzieł sztuki. Ale spekulowanie na ten temat mija się z celem. Za kilka godzin poznamy prawdę.

„Poznamy prawdę. Może" - pomyślał Alvin, ale ile tej prawdy kiedykolwiek poznamy? Dziwne, że teraz, kiedy opuścił Diaspar, a nawet z niewyobrażalną prędkością samą Ziemię, znowu wracał myślami do tajemnicy swego pochodzenia. Może nie było to jednak takie dziwne. Od chwili, kiedy po raz pierwszy przybył do Lys, nauczył się wielu rzeczy, ale do tej pory nie miał czasu na refleksje.

Teraz mógł tylko siedzieć i czekać; jego bezpośrednia przyszłość leżała w rękach cudownej maszyny – na pewno jednego z czołowych osiągnięć technicznych wszystkich czasów – która niosła go teraz do serca wszechświata. Czy chciał tego, czy nie, przyszła pora na rozmyślania i refleksje. Ale najpierw

opowie Hilvarowi o wszystkim, co się z nim działo od chwili ich pośpiesznego rozstania dwa dni temu.

Hilvar wysłuchał opowieści bez komentarzy; nie prosił o wyjaśnienia i zdawał się rozumieć w lot wszystko, o czym mówił Alvin i nie okazywał żadnych oznak zdumienia nawet wtedy, gdy usłyszał o spotkaniu z Centralnym Komputerem i operacji, jaką ten przeprowadził na mózgu robota.

– To oczywiste – powiedział, gdy Alvin skończył swą opowieść – że Centralny Komputer musiał podczas programowania otrzymać specjalne instrukcje dotyczące ciebie. Musiałeś się już chyba domyśleć dlaczego.

– Chyba tak. Części odpowiedzi udzielił mi Khedron wyjaśniając, jakie kroki, mające na celu zapobieżenie zbliżającemu się upadkowi, podejmowali projektanci Diaspar.

– Czy sądzisz, że ty – i inni Odmieńcy przed tobą – jesteście cząstką mechanizmu socjalnego, który zapobiega całkowitej stagnacji? Że tam, gdzie Błaźni są krótkotrwałymi czynnikami korygującymi, ty i tobie podobni jesteście czynnikami długoterminowymi?

Hilvar ujął to lepiej niż potrafiłby Alvin, ale niezupełnie to miał Alvin na myśli.

– Sądzę, że prawda jest bardziej skomplikowana. Wygląda mi na to, że kiedy budowano miasto istniała różnica zdań między tymi, którzy chcieli odciąć się całkowicie od świata zewnętrznego, a tymi, którzy chcieli utrzymać pewne kontakty. Pierwsza frakcja zwyciężyła, ale druga nigdy nie uznała swej porażki. Wydaje mi się, że Yarlan Zey musiał być jednym z jej przywódców, ale nie był wystarczająco potężny, aby działać otwarcie. Zrobił co mógł, pozostawiając drogę podziemną i zapewniając, że w długich odstępach czasu z Sali Tworzenia będzie wychodził ktoś nie obciążony lękiem dręczącym wszystkich mieszkańców Diaspar. Zastanawiam się, czy... – Alvin urwał i popadł w taką zadumę, że zapomniał o całym świecie.

– O czym tak rozmyślasz? – spytał Hilvar.

– Przyszło mi właśnie na myśl... może to ja jestem Yarlanem Zeyem? To bardzo możliwe. Mógł wprowadzić swoją osobowość do Banku Pamięci w nadziei, że skruszy ona skorupę Diaspar, zanim ta zasklepi się na dobre. Muszę kiedyś zbadać, co się stało z poprzednimi Odmieńcami. Może rzuci to jakieś światło na całą sprawę.

– I Yarlan Zey – czy ktokolwiek to był – poinstruował również Centralny Komputer, żeby ten służył specjalną pomocą Odmieńcom, kiedy tylko się pojawią. – Hilvar zamyślił się idąc za tokiem rozumowania Alvina.

– Właśnie. Cała ironia w tym, że mogłem wszystkie informacje uzyskać bezpośrednio od Centralnego Komputera, nie uciekając się do pomocy biednego Khedrona. Powiedziałby mi więcej niż kiedykolwiek powiedział jemu. Ale nie ulega wątpliwości, że dzięki Khedronowi zaoszczędziłem wiele czasu. Nauczył mnie tego, czego nigdy nie nauczyłbym się sam.

– Wydaje mi się, że twoja teoria pokrywa się z wszystkimi znanymi faktami – powiedział ostrożnie Hilvar. – Niestety, najważniejszy problem pozostaje nadal bez odpowiedzi – pierwotne przeznaczenie Diaspar. Dlaczego twoi ludzie usiłowali nie przyjmować do wiadomości istnienia świata zewnętrznego? Chciałbym to wiedzieć.

– Właśnie zamierzam to wyjaśnić – odparł Alvin. – Nie wiem jednak kiedy, ani jak to zrobię.

Spierali się tak i marzyli, a tymczasem, godzina po godzinie, Siedem Słońc oddalało się od siebie, aby w końcu wypełnić ten dziwny tunel nocy, którym pędził statek. Potem, jedno po drugim sześć słońc zewnętrznych znikło poza skrajem ciemności i na ekranie pozostało tylko Słońce Centralne. Chociaż nie mogło istnieć w przestrzeni, w której się teraz poruszali, świeciło jednak wciąż perłowym blaskiem odróżniającym je od innych gwiazd. Jego jasność rosła z każdą minutą. Nie było już punkcikiem, a maleńką tarczką. I teraz ta tarczka zaczęła rosnąć...

Nastąpiło najkrótsze z ostrzeżeń: przez chwilę w kabinie wibrowała głęboka nuta przypominająca dźwięk dzwonu. Alvin zacisnął palce na poręczach fotela, chociaż był to dosyć daremny gest.

W huku eksplozji ożyły potężne generatory i z niemal oślepiającą gwałtownością pojawiły się gwiazdy. Statek wpadł z powrotem w kosmos, z powrotem do wszechświata gwiazd i planet, naturalnego świata, w którym nic nie może poruszać się szybciej niż światło.

Znajdowali się już w układzie Siedmiu Słońc, sądząc z dominującego na niebie wielkiego pierścienia barwnych globów. A co to było za niebo! Zniknęły z niego wszystkie gwiazdy, które znali, wszystkie znajome konstelacje. Droga Mleczna nie była już pasemkiem mgły, daleko z boku nieboskłonu; znajdowali się teraz w centrum, a jej wielkie koło dzieliło wszechświat na dwoje.

Statek pędził wciąż z wielką szybkością w kierunku Centralnego Słońca, a sześć pozostałych gwiazd wyglądało jak barwne boje rozstawione naokoło nieba. Niedaleko najbliższej z nich widać było malen-

WIEŻA SŁONIA

dokończenie ze strony 20

śmy jak człowiek powstaje z małpy i wznosi wspaniałe miasta Valuzji, Kamelii, Commorii. Widzieliśmy jak te królestwa chwieją się pod naporem Atlantydów, Piktów i Lemurian. Byliśmy tu wtedy, gdy ocean podniósł się i zatopił ich państwa, kładąc kres starej cywilizacji. Ocaleli Piktowie i Atlantydzi zbudowali swoje imperium epoki kamiennej, które rozpadło się w krwawych wojnach. Później Piktowie pogrążyli się w otchłań dzikości, a Atlantydzi stoczyli się z powrotem do poziomu małp. Z zimnej krainy lodu nowe rasy napłynęły na południe i stworzyły nową cywilizację, królestwa takie jak Koth, Nemedia, Aquilonia. Wszystko to widzieliśmy. Patrzyliśmy jak twój lud jednoczy się pod nowym imieniem na ziemiach, które kiedyś należały do Atlantydy, jak potomkowie tych Lemurian, którzy przeżyli kataklizm tworzą na zachodzie swoje państwo – Hyrkanię. Widzieliśmy też, jak ta przeklęta rasa potomków starożytnej, istniejącej już przed Atlantydą cywilizacji jeszcze raz rośnie w potęgę i buduje królestwo Zamory. Obserwowaliśmy ludzkość przez wieki, nie pomagając i nie przeszkadzając niewzruszonemu prawu kosmosu i umieraliśmy jeden po drugim; bowiem my z Yag nie jesteśmy nieśmiertelni, choć nasze życie trwa tak długo jak gwiazdy i konstelacje. W końcu pozostałem sam pośród zrujnowanych świątyń zagubionego w dżunglach Khitanu, śniąc o dawnych czasach, czczony jako bóg przez prastarą rasę żółtoskórych. Wtedy przybył Yara, wprawiony w magicznej sztuce, przekazywanej z pokolenia na pokolenie od dni barbarzyństwa przed zatopieniem Atlantydy. Z początku siedział u mych stóp i pobierał nauki. Jednak czysta wiedza, jaką mu przekazywałem nie zadowalała go, bowiem on pragnął poznać ponure tajemnice czarnej magii, by stać się potężniejszym od królów i zaspokoić rozpierającą go pychę. Nie zdradziłem mu żadnego z sekretów mrocznej wiedzy, jakie przez wieki mimowolnie poznałem. Lecz jego żądza władzy była silniejsza niż sądziłem. Podstępem wyuczonym w kryptach Stygii wydobył ze mnie tajemnicę, jakiej nie zamierzałem wyjawić i uwięził mnie, wykorzystując swoją władzę. Ach, na bogów Yag, jakże gorzko popłynęły odtąd moje dni! Zabrał mnie z dżungli, gdzie szare małpy tańczyły przy piszczałkach żółtoskórych kapłanów, a ofiary z wina i owoców stertami składano na mych zrujnowanych ołtarzach. Już nie byłem bogiem miłego mi ludu – zostałem niewolnikiem demona w ludzkim ciele.

Z oślepłych oczu ponownie popłynęły łzy.

– Uwięził mnie w tej wieży, którą na jego rozkaz zbudowałem przez jedną noc. Złamał moją wolę ogniem i żelazem oraz straszliwymi torturami ducha, których byś nie zrozumiał. W męce już dawno odebrałbym sobie życie, gdybym mógł. Trzymał mnie tu – udręczonego, oślepionego, załamanego – bym spełniał jego życzenia. I przez trzysta lat spełniałem je siedząc na tym marmurowym łożu, plamiąc mą duszę zbrodniami i kalając mą wiedzę złem, bo nie miałem innego wyboru. Mimo to nie wydarł mi wszystkich tajemnic, a teraz nauczę go Magii Krwi i Klejnotu. Czuję, że mój czas dobiega końca. Ty jesteś ręką Losu. Proszę, weź klejnot, który znajdziesz na tamtym ołtarzu.

Conan odwrócił się i podszedł do wskazanego mu ołtarza ze złota i kości słoniowej. Wziął w ręce wielki, owalny kamień i patrząc na ten przejrzysty, purpurowy kryształ zrozumiał, że to jest właśnie Serce Słonia.

– Już czas na wielki czar, taki, jakiego Ziemia nie widziała i nie ujrzy po raz drugi przez miliony lat. Na mą krew zaklinam, na ciało zrodzone na zielonej piersi Yag, krążącej sennie przez rozległy kosmos, daleko stąd... Weź swój miecz, człowieku i wytnij me serce. Później ściśnij je tak, by krew spłynęła na czerwony kamień. Zejdź po schodach i wejdź do hebanowej komnaty, w której siedzi Yara, pogrążony w ponurych snach wywołanych oparami lotosu. Wymów jego imię, a zbudzi się. Wtedy połóż ten klejnot przed nim i powiedz: „Yag-kosha przesyła ci ostatni dar i ostatni czar". Później szybko opuść wieżę. Nie obawiaj się – droga będzie wolna. Yag żyje i umiera inaczej niż ludzie. Pozwól mi wyzwolić się z klatki zniszczonego, ślepego ciała, a znów stanę się Yogahem z Yag, ze wspaniałymi skrzydłami do lotu i nogami do tańca, z oczami zdolnymi widzieć i rękami mogącymi miażdżyć!

Conan podszedł z wahaniem i Yag-kosha, czy też Yogah, czując jego niepewność pokazał mu, gdzie uderzyć. Cymmerianin zacisnął zęby i głęboko wbił miecz. Krew trysnęła na ostrze i rękę młodzieńca, stwór drgnął gwałtownie i legł nieruchomo. Upewniwszy się, że życie uszło z ciała, Conan przystąpił do ponurego dzieła i szybko wydobył coś, co musiało być sercem dziwnej istoty, chociaż zupełnie nie przypominało ludzkiego. Jeszcze biło, gdy barbarzyńca ścisnął je obiema rękami, trzymając nad jarzącym się klejnotem. Deszcz krwi spadł na kamień. Ku zdziwieniu młodzieńca krew nie spłynęła, lecz wsiąkła w kryształ jak w gąbkę.

Troskliwie trzymając klejnot Conan odwrócił się i ruszył do wyjścia. Nie oglądał się za siebie, miał tylko wrażenie, że ciało na marmurowym łożu uległo jakiejś niezwykłej przemianie, nie przeznaczonej dla ludzkich oczu. Zamknął za sobą wysadzane krwawnikami drzwi i nie zwlekając zszedł po srebrnych schodach. Nawet nie przyszło mu do głowy, by zlekceważyć prośby Yogaha. Wkrótce stanął przed furtą z mahoniu, na której wyrzeźbiono szczerzącą się w upiornym uśmiechu trupią czaszkę. Uchylił drzwi ostrożnie i zajrzał do środka. W komnacie o hebanowych ścianach, na czarnym, pokrytym jedwabiem posłaniu spoczywała wychudła postać, otoczona żółtymi oparami lotosu. Miał przed sobą Yarę – kapłana i czarownika. Mag leżał, wpatrując się otwartymi oczami w dal, w jakieś bezdenne otchłanie niedostępne ludzkiej wiedzy.

– Yaro! – rzekł Conan jak sędzia wydający wyrok śmierci. – Zbudź się!

Natychmiast oczy leżącego nabrały wyrazu, stały się zimne i okrutne niczym ślepia sępa. Wysoki, odziany w jedwabne szaty kapłan podniósł się, górując o głowę nad Cymmerianinem.

– Psie! – syknął jak rozzłoszczona żmija. – Co tu robisz?

Conan złożył klejnot na wielkim, hebanowym stole.

– Ten, kto przysłał ten kamień kazał mi rzec: „Yag-kosha przesyła ci ostatni dar i ostatni czar".

Yara cofnął się, a jego twarz przybrała barwę popiołu. Klejnot stracił swą przejrzystość, teraz jego mroczne głębie pulsowały drżącym światłem, a po powierzchni przepływały dziwne, mętne fale zmiennych kolorów. Jakby przyciągany magnetyczną siłą Yara pochylił się nad stołem i ścisnął kamień w dłoniach wpatrując się weń hipnotycznym spojrzeniem.

Przyglądający się temu Conan pomyślał, że wzrok płata mu figle. Kiedy Yara wstał wydawał się olbrzymem, teraz zaś głową ledwie sięgał do ramienia młodzieńca. Conan zamrugał oczami i po raz pierwszy tej nocy zwątpił w swoje zdrowe zmysły. Nagle uświadomił sobie, że czarownik kurczy się w oczach, z każdą chwilą staje się coraz mniejszy.

Cymmerianin przyglądał się widowisku nie wierząc własnym oczom; nie był już pewny niczego, wiedział tylko, że jest świadkiem działania nadnaturalnych sił bezgranicznego kosmosu, przekraczających jego zdolność pojmowania.

Yara był już nie większy od dziecka. Leżał na stole jak niemowlę, wciąż ściskając klejnot. Wreszcie mag zrozumiał, co go czeka i zerwał się na nogi, puszczając kamień. Mimo to wciąż malał i już po chwili tylko miniaturowa, wymachująca rękami figurka miotała się wściekle po hebanowym stole, wrzeszcząc głosem, który brzmiał jak brzęczenie owada. Skurczył się tak, że Serce Słonia wznosiło się nad nim niczym wzgórze. Conan zobaczył, że kapłan zasłania sobie oczy dłońmi jakby chciał osłonić je przed blaskiem i zatacza się jak pijany. Zdawało się, że niewidzialna siła przyciąga Yarę do klejnotu. Trzykrotnie próbował wyrwać się z jego mocy i uciec po stole, ale zdołał tylko obiec go coraz węższym kręgiem, po czym z ledwie dosłyszalnym wrzaskiem przerażenia wyrzucił ręce w górę i pobiegł wprost do kryształowej kuli.

Pochylając się nisko Conan ujrzał Yarę z trudem gramolącego się po gładkiej powierzchni, jak człowiek wspinający się na szklaną górę. W końcu mag stanął na wierzchołku i wyciągnął ręce, wzywając sobie tylko znane, tajemnicze moce. Wtem, jak wciągnięty przez wodne odmęty zapadł się do wnętrza klejnotu i pochłonęły go fale zmiennych barw. Kamień znów stał się kryształowo przejrzysty i Conan zobaczył czarownika w samym sercu purpurowej kuli. Patrząc na to Cymmerianin miał uczucie, że obserwuje wydarzenie dziejące się gdzieś daleko, w innym wymiarze.

We wnętrzu kryształu pojawiła się zielona postać z głową słonia i wspaniałymi skrzydłami u ramion. Yara uciekał jak szalony, a mściciel deptał mu po piętach. Nagle wielki klejnot rozprysnął się jak mydlana bańka na tysiąc tęczowych iskier. Blat hebanowego stołu pozostał nagi i pusty tak samo – pomyślał Conan – jak marmurowe łoże, na którym spoczywało przedtem ciało dziwnej, kosmicznej istoty zwanej Yag-kosha lub Yogah.

Cymmerianin odwrócił się, wypadł z komnaty i zbiegł po schodach. Wstrząśniętemu barbarzyńcy nawet nie przyszło na myśl, by uciekać drogą, którą tu przybył. Kręte, srebrne stopnie doprowadziły go do obszernej komnaty na dole wieży. Zatrzymał się na moment – znajdował się w wartowni. Płomienie pochodni odbijały się w polerowanych pancerzach żołnierzy, lśniły na inkrustowanych rękojeściach ich mieczy. Jedni siedzieli za biesiadnym stołem, opuściwszy na piersi okryte grzebieniastymi hełmami głowy, inni leżeli bezładnie na posadzce z lapis-lazuli wśród półmisków i przewróconych bukłaków z winem. Wiedział, że wszyscy są martwi. Yogah obiecał i dotrzymał słowa – straże posnęły na zawsze, muśnięte cieniem wielkich, zielonych skrzydeł. Conan nie zastanawiał się, jakie czary utorowały mu drogę ucieczki – srebrzyste drzwi stały otworem, ukazując szary świt.

Cymmerianin zagłębił się w gąszcz ogrodu, a gdy poranny wiatr przyniósł mu rześki zapach świeżej ziemi ruszył żwawo jak człowiek zbudzony ze snu. Odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na strzelistą wieżę. Czy naprawdę była zaczarowana? Czy też może wszystko to mu się przyśniło? Nagle zobaczył, że lśniąca budowla chwieje się na tle purpurowego, porannego nieba, a jej wysadzany klejnotami wierzchołek drży migotliwie we wstającym słońcu. Z przeraźliwym trzaskiem Wieża Słonia rozsypała się w proch.

Przełożył Zbigniew A. Królicki

Uczucie było przykre, chociaż niezupełnie określone. Powieki stały się tak ciężkie, że ich uniesienie wydawało się niemożliwe, całkowicie niewykonalne. A jednak! Wysiłek woli i pierwsze odczucia przekazywane przez podświadomość zaczęły docierać do mózgu, który budził się powoli z hipnotycznego odrętwienia. Sen prysnął jak mydlana bańka, rozbił się na drobne kawałki jak wielka szklana kula rzucona o beton. Posklejanie kawałków kuli okazało się niewykonalne, zaś pogodzenie się z rzeczywistością było nieuniknioną koniecznością. Tak, sen był długi, ale za to jaki wspaniały! Zrozumienie, dobroć, tolerancja – świat marzeń sennych wciąż dopływał do mózgu, ale był stopniowo eliminowany i wypierany przez obraz rzeczywistości. Narządy zmysłów funkcjonowały już normalnie, lecz uczucie przygnębienia i zawodu przeżerało wciąż duszę. Mimo zastosowania supernowoczesnych filtrów i klimatyzacji, powietrze było zatęchłe, wionęło piwniczną zgnilizną.

Denis podniósł się powoli, najwyższym wysiłkiem woli starał się opanować drżenie mięśni. Usiadł z trudem w otwartym wnętrzu komory hibernacyjnej, rozglądając się przy tym bezradnie. W momencie, gdy dotknął stopą puszystej wykładziny podłogowej, włączył się automatyczny system informacyjny.

– Witamy w roku 2385. Program 150-letniej hibernacji uważamy za zakończony. Wszystkie systemy pomiarowe działają sprawnie. Prosimy przystąpić do realizacji programu zawartego w instrukcjach i potwierdzonego kontraktem – holofoniczny głośnik odczytał zapis kasetowy liczący 150 lat.

Denis przetarł oczy i jeszcze raz ziewnął szeroko, wyrażając w ten sposób swoją dezaprobatę wobec poleceń płynących z głośnika.

– Cholerny świat – mruknął i poczłapał w stronę kabiny telekomunikacyjnej.

Palce wprawnymi ruchami przywracały do życia poszczególne bloki połączeń. Ożyły wskaźniki, zamigotały trójwymiarowe ekrany video-systemu BX.

– Pilot systemu. Uruchomić wywoływanie na wszystkich kanałach – Denis zachrypłym głosem rozkazał do miokrofonu.

– Tu pilot. Wszyscy abonenci zgłaszają gotowość odbioru. Można nadawać.

– O. K. – Denis chrząknął, zakaszlał i nieco mocniej niż nakazywała to potrzeba wcisnął przycisk mikrofonu.

– Uwaga! Wszyscy uczestnicy programu! Mówi do was komandor Denis Norton. Przystępujemy do realizacji powierzonych nam zadań, zgodnie z wymogami programu. Osoby cywilne proszone są o zachowanie dyscypliny wojskowej. Zarządzam zebranie w kwaterze głównej. Wszystkie bloki komunikacyjne działają sprawnie. Proszę o zajęcie miejsc w komorach przerzutowych. To wszystko. Wszelkie uwagi proszę zgłaszać do mojego komputera informacyjnego. – Norton wyłączył mikrofon. – Przygotować główną śluzę do przyjęcia pojazdów załogowych – rzucił w stronę głównego komputera systemu.

Kątem oka skontrolował jeszcze raz wskaźniki bloku połączeń, zwracając przy tym baczną uwagę na licznik Geigera, po czym wstał z niewygodnego plastykowego fotela i wyszedł z kabiny telekomunikacyjnej. Znajdował się w swojej małej salce hibernacyjnej, wyposażonej we wszystkie zdobycze techniki sprzed przeszło 150 lat. Salka przypominała wyglądem dobrze wyposażony schron bojowy. Obok znajdował się duży gabinet kwatery głównej (zwany też salą obrad) mogący pomieścić około 100 osób. Do gabinetu tego prowadziły 4 korytarze, na końcu których znajdowały się śluzy przejmujące komory przerzutowe. Całość zwana „Systemem Jordana" składała się z 35 pokoi hibernacyjnych połączonych z kwaterą główną szybami i korytarzami. „System Jordana" znajdujący się 10 km pod powierzchnią gruntu i rozciągający się na obszarze 18 km² zapewniał całkowite bezpieczeństwo osobom znajdującym się w pokojach hibernacyjnych. Magazyn żywności zabezpieczał wyżywienie załogi na okres 70 lat.

Denis Norton – głównodowodzący programem miał dokładnie 31 lat, gdy wchodził do komory hibernacyjnej. Według wszystkich praw logiki, a może wbrew tym prawom, miał dzisiaj lat 181. Nie martwił się jednak tym wcale, bowiem wśród uczestników programu 200-latkowie nie byli rzadkością. 150 lat temu ryzykował. Nigdy nie ufał zbytnio technicznym nowinkom, nawet gdy były opatentowane przez najlepsze światowe firmy. Tu stawką było życie. Gdy zamykało się nad nim wieko kabiny hibernacyjnej pomyślał sobie: „Cóż za komfortowa śmierć!". Obudził się jednak. Obudził się, chociaż sam w to nie wierzył. Może to dalszy ciąg snu? Ale nie! Już słyszał łoskot dochodzący ze śluz komunikacyjnych, odgłos kroków na korytarzach, gwar toczonych rozmów. Rzeczywistość, cholerna rzeczywistość. Dopiął mundur, poprawił pas, tak, goście mogli nadchodzić.

– Wszystkie załogi zameldowały przybycie – ogłosił komputer zespołu informacyjnego.

– W porządku – mruknął Denis, poprawił jeszcze raz mundur, stuknął obcasami dla dodania sobie odwagi i skierował się w stronę gabinetu kwatery głównej.

Automatyczne drzwi otworzyły się bezszelestnie. Komandor Norton prężnym krokiem wmaszerował do sali obrad, w której zgromadzili się już wszyscy uczestnicy programu. Panował wzorowy porządek, mężczyźni i kobiety siedzieli na wyznaczonych miejscach, rozmawiali półgłosem. Komandor zajął swoje miejsce przy pulpicie sterowniczym i lekkim skinieniem głowy powitał zebranych. Rozmowy ucichły. 35 par oczu śledziło teraz bacznie każdy ruch Nortona, a tyleż samo uszu wsłuchiwało się w tok jego mowy.

– Tak więc, szanowni zebrani, miło mi jest zakomunikować, że pierwsza część programu powiodła się znakomicie. – Norton otarł sobie czoło kraciastą chusteczką. – Wszystkie systemy programu działają bez zarzutu. Szyby wind są nienaruszone. Czujniki nie wykazują promieniowania lub obecności substancji toksycznych zagrażających życiu. Jednakże, co było zresztą do przewidzenia, kamery zainstalowane na zewnątrz uległy najprawdopodobniej zniszczeniu.

system Jordana

Leszek Kraskowski

– Panie prezydencie – Norton zwrócił się do starszego siwiejącego pana – wszystko jest przygotowane. Możemy w każdej chwili wyjść na powierzchnię.

– Tak, to bardzo dobrze – starszy pan uśmiechnął się. – Dziękuję panu, panie... – zmarszczył brwi, co oznaczało niewątpliwie ogromny wysiłek pamięciowy.

– Norton – komandor skinął lekko głową.

– A więc twierdzi pan, panie Norton, że promieniowanie nie zagraża życiu?

– Oczywiście. W ogóle nie wykryłem żadnego promieniowania.

– To znaczy, że nasze rachuby były słuszne. Promieniowanie miało zupełnie zaniknąć po 150 latach – starszy pan podrapał się nerwowo za uchem. – A więc możemy już wyjść na powierzchnię?

– W każdej chwili, panie prezydencie. Wolałbym jednak wysłać najpierw patrol, który przeprowadzi rozpoznanie.

– W porządku, Norton. W końcu pan tutaj dowodzi – starszy pan uśmiechnął się tajemniczo i opadł w głąb fotela.

– Uwaga! Wszystkie osoby cywilne proszone są o nałożenie kombinezonów i przygotowanie się do opuszczenia pomieszczeń – komandor zwrócił się do reszty zgromadzonych – Czy są jakieś pytania?

– Owszem. Kiedy wreszcie opuścimy to kretowisko? – Z fotela uniósł się młody mężczyzna wyglądający na dociekliwego dziennikarza.

– Najprawdopodobniej za 3 godziny, po moim powrocie z rozpoznania. Na ten czas dowództwo powierzam porucznikowi Wilkinsowi. To nie jest kretowisko – Norton zniżył głos – to najdroższy w świecie system ratowniczy firmy Jordana!

Norton wbił przenikliwy wzrok w niecierpliwego młodego człowieka i zdawało się, że tym wzrokiem usadził go z powrotem w fotelu.

– Odprawę uważam za zakończoną – Norton podniósł się zza pulpitu sterowniczego i skierował się do swego pokoju.

Jeszcze raz przeanalizował wszystkie dane komputerowe dotyczące skażenia środowiska, po czym ubrał się w kombinezon stalowego koloru, który miał tę zaletę, że był ognioodporny, nie przepuszczał promieni lasera, poza tym chronił przed skutkami promieniowania wszelkiego rodzaju. Przywołał do siebie dwóch ludzi z załogi, którzy ubrani już w stalowe kombinezony oczekiwali na rozkazy.

– Jedziemy na górę. Zabrać ze sobą żelazne racje żywnościowe, hełmy i odpowiednią ilość amunicji.

Polecenie Nortona zostało zrealizowane w ciągu 30 sekund. Dotarcie do głównego szybu windy zabrało 5 minut. Wszystkie ruchy trójki mężczyzn były dokładnie wyćwiczone, opanowane do perfekcji. Poszczególne fazy operacji powtarzano przecież dziesiątki razy. Zachowania członków załogi były niekiedy dyktowane przez podświadomość, funkcjonowały na zasadzie odruchów warunkowych. Do tego zmierzały przecież kilkuletnie przygotowania.

Drzwi windy zatrzasnęły się z hukiem. Narastał świst powietrza, silnik brzęczał rytmicznie, jednostajnie. W bladym świetle

akumulatorowej lampki mógł Denis przyjrzeć się dokładnie towarzyszom windzianej podróży. Wzrok komandora zatrzymał się na wysokim blondynie. Ciemne okulary zabezpieczające przed porażeniem zakrywały mu górną część twarzy. Gdy uśmiechał się, można było dostrzec przez chwilę dwa szeregi śnieżnobiałych zębów. Usta wąskie, wargi trochę popękane.

Jack Stevens – Denis przypominał sobie dane personalne. Lat 27, żonaty, dwoje dzieci. Od 6 lat w Służbach Specjalnych USA. Kampania na Krecie, odznaczenia, awans na kapitana.

Komandor zmrużył oczy, przeniósł wzrok na drugiego mężczyznę. Niższy trochę od Stevensa, brunet z charakterystycznym nosem zawodowego boksera.

Jim Andrews – pamięć Denisa działała z niezawodną precyzją. Lat 32, były bokser. Wykształcenie podstawowe. Kawaler. Od 8 lat w Służbach Specjalnych USA. Odznaczenia, udział w kampaniach wojennych.

Tak, to doświadczeni ludzie – myśli komandora wirowały w jakimś rozhisteryzowanym kręgu. „Co zastaniemy na górze?" – to pytanie powtarzało się wciąż, nie dawało spokoju, dręczyło mózg zmuszając do nadludzkich wysiłków. Myśli wciąż wracały do wydarzeń sprzed 150 lat. Sygnały alarmów, histeryczne krzyki, tłumy ogarnięte paniką, strach, komunikaty potwierdzające wystrzelenie rakiet, syreny, działa przeciwlotnicze, rwące się kordony żołnierzy usiłujących powstrzymać ludzkie morze zalewające ulice, próbujące wtłoczyć rozhisteryzowane tłumy do wąskich gardzieli schronów przeciwatomowych. Strach, panika, zezwierzęcenie. Denis otworzył oczy. Nie mógł znieść już dłużej obrazów podsuwanych przez podświadomość. Zapomnieć, zapomnieć. Znów wraca natrętna myśl: „Co na górze?". Spalona ziemia pokryta popiołem, czy też zielone lasy i kwitnące sady, wielkie cmentarzysko, czy tętniąca życiem nowojorska aglomeracja? Krew burzyła się w tętnicach, łomotała w skroniach.

Czy jesteśmy jedyni, czy też stanowimy zapomnianą cząstkę wielomilionowego społeczeństwa? Zamigotała lampka wskazująca na samoczynne włączenie układu hamowania. Szmer elektrycznych silników cichnął. Po chwili przeciągły gwizd obwieścił koniec podróży.

Drzwi otworzyły się z niesamowitym zgrzytem i piskiem. Trójka ludzi w stalowych kombinezonach opuściła kabinę windy. Znajdowali się teraz w niewielkiej niszy o ponurych popielatych ścianach i spękanych sklepieniach. Automatyczne drzwi zamknęły się z przeraźliwym hałasem. Zapanowała ciemność. Norton włączył halogenowy reflektor. Snop światła padł na bure ściany. Sączyła się po nich woda o rdzawym zabarwieniu. Z sufitu spadały ciężko duże krople wody, pod nogami chrzęścił tynk wymieszany z błotem. Denis dał znak latarką. Po chwili wspinali się w górę po śliskich, zmurszałych schodach, zbudowanych w kształcie serpentyny. Wąski snop jaskrawego światła oświetlił oślizłe ściany, które były pokryte jakimiś rdzawymi naleciałościami. Ciężkie buty dudniły głucho na betonowych schodach. Stalowe hełmy zahaczały o nierówny strop. Wtem nagły pisk wdarł się do uczu. Postacie znieruchomiały, twarze zamarły.

– To tylko szczur – mruknął Jim kierując wątły snop światła kieszonkowej latarki w kierunku małego stworzenia zbiegającego po schodach.

– To tylko szczur? – pytające spojrzenie Jacka padło przez moment na komandora.

Oczy Nortona zabłysnęły radością.

– Pierwsze żywe stworzenie – krzyknął poklepując po łopatce osłupiałego Jima.

Wiwaty na cześć szczura trwały jeszcze przez kilka minut, po czym cała trójka z weselszymi już minami poczęła kontynuować wspinaczkę. Po 20 minutach ciągłego marszu natknęli się wreszcie na wielkie stalowe drzwi poplamione nieco rdzą. Elektroniczny zamek nie reagował na impulsy. Drzwi otworzyły się dopiero wówczas, gdy zadziałało otwieranie awaryjne.

– Półtora metra grubości – rzucił od niechcenia Jim. – Palnikiem byłoby dosyć trudno...

– Jesteśmy we właściwym schronie – przerwał te rozważania Norton.

– 245 m i 17 cm pod powierzchnią gruntu – wyrecytował Jack uśmiechając się przy tym ironicznie.

Schron był średnich rozmiarów – na ok. 300 osób. Gumowe obicia foteli rozpadły się dawno pod wpływem wilgoci. Ściany były pokryte grzybami i pleśnią, pełzały po nich różnobarwne pająki.

– Ohyda – skonstatował Jim.

Światło halogenowego reflektora ślizgało się po ropiejących ścianach. Winda okazała się nieubłagana. Nie reagowała na wezwania elektroniczne, mechaniczne, ręczne, radiowe, awaryjne, ani też na wściekłe wołania Jima gęsto przeplatane ciężkimi przekleństwami. Komandor bez specjalnego entuzjazmu przyglądał się awaryjnemu szybowi. Był to długi komin o wymiarach 2x2 m, w jedną ze ścian wbite były potężne stalowe klamry.

Norton szarpał się przez chwilę ze swoim kaskiem, wreszcie zdjął go i zamocował na nim reflektor.

– Idziemy – rozkazał krótko nakładając kask.

Wspinaczka była mozolna. Pot ściekał z czoła, zalewał oczy, sączył się po plecach. Każdy metr, każda klamra kosztowała masę wysiłku. Odgłosy stąpania były coraz głośniejsze, oddech rwał się, dławiło w gardle, zatykało w piersiach.

– Odpoczynek – rzucił krótko Norton.

Woda sączyła się po chropowatych ścianach, parowała, dostawała się pod skafandry, zalewała twarze. Grube rękawice pokryły się rdzą.

– Idziemy. Już niedaleko.

Głuchy łoskot. Spory kawał gruzu rozbił się o kask Nortona. Zawirował pył, drobne odłamki gruzu odbijały się od ścian. Zrobiło się ciemno.

– Wszystko w porządku? – głos Jima wyrażał zaniepokojenie.

– Szlag trafił reflektor – krztusząc się odparł Denis.

Wylot komina był już blisko. Jeszcze kilkanaście metrów, jeszcze kilka, już. Norton wypełznął z szybu, podał rękę Jimowi, następnie razem wyciągnęli Jacka. Znajdowali się teraz w niewielkim żelbetonowym pomieszczeniu. Denis oparł się ciężko o drzwi nieczynnej windy.

– Włączcie latarki. Oświetlcie ten właz – wskazał ręką na otwór w suficie zamknięty wielką klapą. – Jeszcze 15 m betonu – jęknął.

Słaby snop światła oświetlił klapę.

– Podsadź mnie – Norton położył rękę na potężnym ramieniu Jima.

Po chwili mocował się już z klapą. Otworzyła się z hukiem. Na głowy spadł deszcz gruzu. Gdy kurz nieco opadł, trzy pary oczu zasłoniętych ciemnymi okularami wpatrywały się w otwór pod klapą.

Szyb miał zaledwie metr długości. Wyżej znajdował się lity beton.

– Zabetonowane! Co to ma znaczyć? – krzyknął Jim.

– Zaraz to wyjaśnię – odparł spokojnie Denis wyciągając zza pasa pistolet laserowy. – Odsuńcie się.

– Ależ panie komandorze – zaprotestował Jack. – Instrukcja zabrania niszczenia instalacji...

Wiązka promieni trafiła w sam środek szybu. Posypały się odłamki betonu. Jeszcze jeden wystrzał. Potężne grudy gorącego betonu zmieszane z kawałkami żelastwa spadały na podłogę. W górze zamajaczyło światło.

– Droga wolna – z niemałą satysfakcją skomentował Norton.

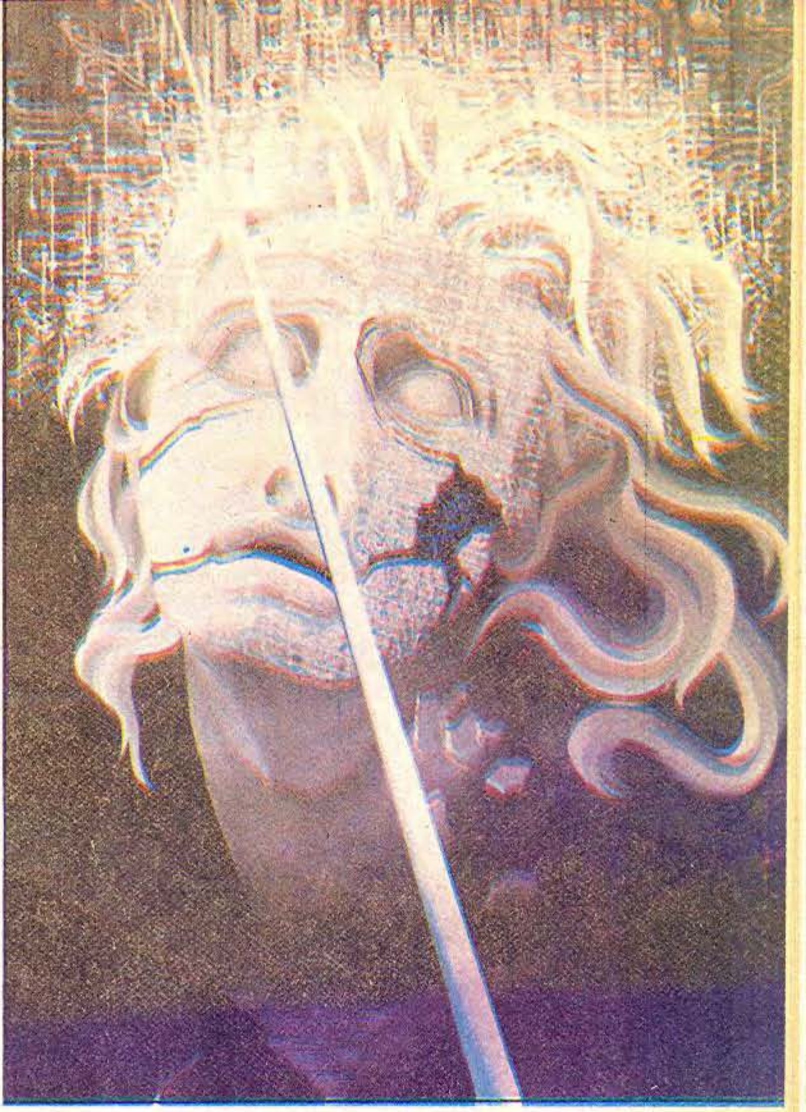
– Załóżcie przyssawki na rękawice i obuwie. Wychodzimy.

Te dziesięć metrów szybu było już igraszką. Wypełzli z szybu jeden po drugim. Znajdowali się w olbrzymiej hali, przypominającej wyglądem magazyn. Czuć było trochę spalenizną. Wnętrze magazynu było wypełnione po brzegi plastykowymi i kartonowymi pudłami. Kilka pojemników było rozbitych, kilkadziesiąt dalszych uległo poważnemu uszkodzeniu – były to skutki rozbijania podłogi laserem.

– Nieźle narozrabialiśmy – mruknął Jim.

Komandor schylił się. Podniósł kilka puszek.

– Szynka, piwo, desery. To chyba jakiś ogromny skład konserwowanej żywności.



Magda Żwikiewicz

W hali panował półmrok. Oświetlenie zapewniały dwie małe lampki umieszczone pod sufitem, okien nie było wcale.

– Czy my nigdy nie wydostaniemy się z tych cholernych zamkniętych pomieszczeń? – rozeźlił się Jim.

Norton chciał mu na to coś odpowiedzieć, ale w tym momencie rozległ się zagłuszający wszystko przeraźliwy hałas. Do hali wpadło słoneczne światło.

– Chyba otworzono drzwi – Jack miał dosyć niepewną minę.

– Stać, nie ruszać się! – do hali wjechało nagle kilkanaście robotów, wyposażonych we wszelkie rodzaje podręcznej broni.

Zaskoczenie trójki „włamywaczy" było tak kompletne, że policyjne roboty nie miały żadnych trudności z obezwładnieniem, a następnie „zaobrączkowaniem" ludzi Nortona.

– Ciekawe, że przez 150 lat nie wymyślono niczego nowego – mruknął Jim wpatrując się wściekle w krępujące mu dłonie kajdanki.

Roboty postępowały brutalnie, ale niezwykle sprawnie. Po 15 minutach ekipa Nortona znajdowała się już w pokoju przesłuchań Głównego Komisariatu Policji Nowojorskiej.

– Tak, sprawa jest całkowicie jasna. Sabotaż, ewentualnie próba kradzieży. Odchylenia psychiczne mogą być, co prawda, elementem łagodzącym, ale to już rozstrzygnie sąd komputerowy.

– Przepraszam, jaki sąd? – Komandorowi twarz się nieco wydłużyła.

– Komputerowy, zagwarantowany ustawodawstwem. – Łysawy pan w czarnym uniformie uśmiechnął się złośliwie.

– Wyjaśniłem już przecież panu całą zasadę działania „Systemu Jordana". Wybudowanie magazynu na wylocie głównego szybu było jakimś karygodnym niedopatrzeniem. – Norton był wyraźnie zdenerwowany.

– Za kogo pan mnie bierze? – Mężczyzna w czarnym uniformie uśmiechnął się pobłażliwie. – Za wariata, maniaka, kretyna czy naiwniaka. Może mi jeszcze opowiecie bajkę o śpiącej królewnie lub zaklętych rycerzykach? Dość już tego – policjant zmienił ton. – Zabrać ich. – Gestem dłoni przywołał roboty.

– Chwileczkę – Norton zerwał się gwałtownie z fotela. – Mam tu coś, co pana niewątpliwie zainteresuje. – Komandor wyjął z kieszeni złożony arkusz zadrukowanego papieru i położył go na biurku.

Łysawy policjant leniwym gestem powstrzymał roboty. Wypielęgnowane palce delikatnie rozkładały zadrukowany papier.

– Ależ to niemożliwe – wykrzyknął. – „New York Times" z 2235 roku! – Pytające i zdumione spojrzenie policjanta zatrzymało się na twarzy Nortona.

– Owszem, możliwe. Na pierwszej stronie znajduje się proklamacja o przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do nieograniczonej wojny atomowej – poinformował usłużnie Norton.

Osłupienie policjanta stało się jeszcze potężniejsze.

– Jakiej wojny? Atomowej? – Brwi policjanta zmarszczyły się gwałtownie. Jednak po chwili na twarzy pojawił się znowu błogi uśmiech.

– Atomowej... – zachichotał. – Nie było przecież żadnej wojny atomowej. Ten szmatławiec jest podrobiony. – Wskazał palcem na gazetę spoczywającą na biurku.

Tym razem osłupienie pojawiło się na twarzach ludzi Nortona.

– Pan może nie pamiętać. To przecież było 150 lat temu. – Komandor sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Mogę nie pamiętać – policjant był szczerze ubawiony. – Nie wydaje mi się, żeby wojna atomowa była takim drobiazgiem, że pominięto by ją w podręcznikach uniwersyteckich. Magister historii Adam Brockstone – przedstawił się policjant, wybuchając przy tym głośnym śmiechem.

W ekipie Nortona zapanowała konsternacja.

– Usiłuje mi pan wmówić, że nie było III wojny światowej? – Norton rzucał wściekłe spojrzenia w stronę policjanta.

– Oczywiście, że nie było. – Brockstone śmiał się tak zapamiętale, że aż łzy spływały mu po tłustych policzkach.

– Proszę sobie nie kpić. – Norton był coraz bardziej wściekły. – Możliwe, że studiował pan historię na jakimś podupadłym uniwersytecie. Możliwe, że przespał pan wykład o III wojnie światowej. Natomiast ja widziałem ją na własne oczy. Nigdy nie zapomnę tej paniki na ulicach, tych krzyków...

– Zabawna historia – przerwał mu Brockstone. – A może obserwował pan wybuch bomby atomowej? – Policjant uśmiechnął się szyderczo.

– Nie miałem tej okazji. Wtedy już byłem głęboko pod ziemią.

– Ach tak? Może razem z prezydentem Thompsonem i jego świtą?

– Zgadł pan. – Norton zmrużył powieki.

– Czy oni żyją?

– Ależ oczywiście.

– A więc jest pan jeszcze jednym naiwniakiem, jeszcze jedną ofiarą słynnej afery Clarka. – Policjant pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Czy mógłby pan wreszcie przestać zabawiać się naszym kosztem? – Jim zacisnął wściekle pięści.

– Spokojnie, panowie, spokojnie. Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Tylko, że wciąż nie mogę uwierzyć w wasze istnienie. – Brockstone podrapał się po łysinie. – Około 50 lat temu zostały ujawnione dokumenty dotyczące słynnej paniki w Nowym Jorku, spowodowanej fałszywym alarmem przeciwatomowym. Słynna afera Clarka. Tak, to była fachowa robota. – Brockstone zrobił tajemniczą minę. – Zamach stanu w gangsterskim stylu.

– Pan wybaczy, ale ja nadal nic nie rozumiem. – Norton wygodniej rozsiadł się w fotelu.

– Przez sto lat też nikt z tego nic nie rozumiał, poza wąskim kręgiem wtajemniczonych. Wersja oficjalna brzmiała następująco: Rząd Thompsona doprowadził do kryzysu atomowego i do wybuchu wojny. Wtedy kilku oficerów z generałem Clarkiem na czele zbuntowało się, dokonało przewrotu i doprowadziło do zawieszenia broni. Stary skompromitowany rząd rozpadł się, a sam Thompson popełnił samobójstwo. Odbył się nawet uroczysty pogrzeb.

– Nie do wiary. – Jim złapał się za głowę.

– Ta wersja utrzymywała się ponad 100 lat. Dopiero ujawnienie dokumentacji wyjaśniło całą sprawę. Nikt z historyków nie przypuszczał jednak, że prezydent został umieszczony w podziemnym systemie schronów, przypuszczano raczej, że został podstępnie zamordowany. Hipoteza ta nie wyjaśniała jednak tajemniczego faktu zniknięcia całego gabinetu. Niestety, nie zachowały się żadne plany domniemanych schronów, toteż poszukiwania okazały się daremne i bezowocne.

– A ofiary paniki? – zagadnął Jack.

– Kilkaset osób zabitych, kilkanaście tysięcy rannych. Cóż, polityka nie ma nic wspólnego z moralnością. – Brockstone wzruszył bezradnie ramionami. – Czy macie jakieś połączenie z ludźmi na dole? – zwrócił się do Nortona.

– Oczywiście – komandor wyciągnął zza pasa miniaturową krótkofalówkę i podał ją policjantowi.

– Wydam odpowiednie dyspozycje. – Brockstone odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Zainteresowanie towarzyszące wyjściu rządu Thompsona z podziemnego labiryntu było olbrzymie. Mimo iż władze starały się zachować sprawę w tajemnicy, to już następnego dnia wszystkie dzienniki nowojorskie wielkimi nagłówkami obwieszczały światową sensację. Sytuacja międzynarodowa była napięta, toteż z osobą prezydenta Thompsona wiązano określone nadzieje.

Prace mające na celu powiększenie otworu trwały 2 dni i 2 noce. Zastosowano najnowocześniejszy sprzęt, zgromadzono najznakomitszych specjalistów. Trzeciego dnia pod wieczór wydobyto kabinę z 3 osobami. Wśród nich znajdował się oczywiście oczekiwany przez wszystkich prezydent Thompson.

– Jak się pan czuje? – jakiś bezczelny reporter dopadł do prezydenta.

– Jak zwierzę w ogrodzie zoologicznym, w dodatku ekshumowane i zrobione na szaro. – Prezydent mrużył oczy i ciekawie rozglądał się dookoła.

– Czy orientuje się pan w obecnych stosunkach międzynarodowych? Wybuch wojny jest chyba nieunikniony... – Dociekliwy dziennikarz nie opuszczał ani na krok prezydenta.

– Stary kawał. Już drugi raz na to samo nabrać się nie dam. – Thompson zdecydowanym ruchem odsunął reportera.

Ceremonie powitalne trwały kilka godzin. Zorganizowano uroczystą paradę wojskową, prezydent Thompson zajmował oczywiście eksponowane miejsce na trybunie. Spokój zakłócił jednak generał Barth – dowódca nowojorskiego okręgu wojskowego. Tłumaczył coś zawile gubernatorowi i zgromadzonym senatorom i głośno domagał się widzenia z Thompsonem.

– Wskutek awarii klap komory transportowej, jeden ze statków kosmicznych 3 flotylli operującej nad rejonem nowojorskim, zgubił ładunek 4 bomb atomowych – generałowi Barthowi kroplisty pot wystąpił na czoło. – Sytuacja jest poważna. Z chwilą wykrycia bomb w górnych granicach atmosfery zarządzony zostanie alarm przeciwatomowy. Musi pan natychmiast zejść do schronu.

Prezydent Thompson uśmiechnął się szeroko.

– Dobry żart. – Poklepał przyjaźnie Bartha po ramieniu.

W tym momencie rozległ się przeraźliwy ryk syren. Parada została przerwana. Zgromadzona ludność dzikim pędem udała się w kierunku najbliższych schronów.

– Że też im się chciało zainscenizować tak ogromne przedstawienie. – Thompson mrugnął okiem w kierunku Nortona.

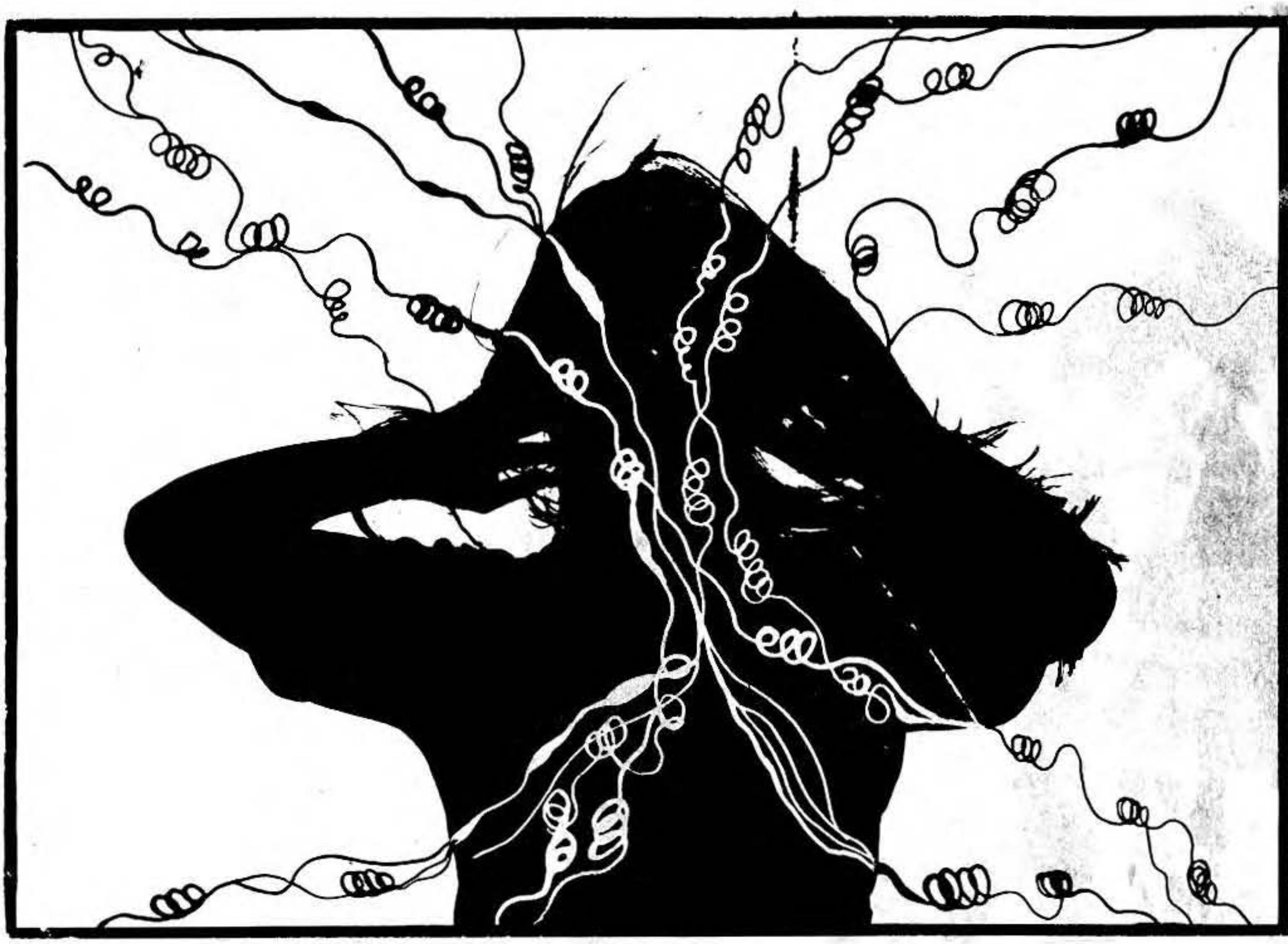
Twarz Nortona wyrażała jednak zaniepokojenie. Z uwagą obserwował niebo przez panoramiczną lornetkę.

– Panie prezydencie, tam! – Norton oderwał lornetkę od oczu, a twarz wykrzywiła mu się w bolesnym grymasie.

– Co? – Thompson uśmiechnął się dobrotliwie.

Potężny huk zagłuszył słowa Nortona. Huk powtórzył się jeszcze raz, jeszcze dwa razy. Ziemia uniosła się do góry, jakby przyciągana magiczną siłą. Olbrzymie wieżowce Manhattanu wygięły się nagle, zadrgały konwulsyjnie i zginęły w kłębach dymu. Ogromny słup ognia i czarnego dymu wzbił się w powietrze. Nad Nowym Jorkiem zajaśniały cztery ogniste słońca.

Leszek Kraskowski



telefon wigilijny

Konrad Fiałkowski

Opowiadanie napisane specjalnie dla „Fantastyki"

Zanim wrzucił monetę do automatu zawahał się. Tutaj był dzień i pełnia lata, jak zawsze w grudniu. Poprzez koszulę czuł słońce i lekki wiatr, który nadchodził ze wzgórz o tej innej zieleni aż tu, gdzie z czerwonej gleby wyrastały drzewa o fioletowych kwiatach zamiast liści. Pola golfowe były niżej rozciągnięte łąką w dolinę. Automat telefoniczny wbudowano w ścianę pawilonu klubu i gdy wrzucał monety pomyślał, że tam zapłonęła już chyba pierwsza gwiazda. Sygnał był krótki i zaraz usłyszał jej głos:

– To ty. Jak miło, że dzwonisz.

– Wiedziałaś przecież, że zadzwonię...

– Tak. Postanowiłam, że świeczki na choince zapalę po twoim telefonie.

– Jest już ciemno?

– Tak, ale gwiazd nie widać...

– Wiesz, czego ci chcę życzyć?

– ...żebyśmy byli razem.

– Tak.

– Pewnie kiedyś przyjedziesz.

– Przyjadę.

– ...znowu miałam ten telefon.

– I co? Odłożyłaś słuchawkę, jak prosiłem?

– Tak... a właściwie nie zaraz. Myślałam, że to ty.

– I co mówił?

– To samo. Że mnie nie ma.

– Coś jeszcze?

– ...że domu, miasta też nie ma.

– Tak cię prosiłem...

– Muszę odbierać. To możesz być ty. Wiesz, jest śnieg, dużo śniegu. Spadł rano, odgrzebują samochody i gałęzie są jeszcze białe...

Usłyszał sygnał, sięgnął po nową monetę i nie znalazł jej.

– Zaraz znowu zadzwonię – powiedział. – Poczekaj...

Nie wiedział, czy zrozumiała. W uchu słyszał bliską ciszę przerwanego połączenia. Sięgnął do portfela, tam, gdzie miał banknoty i wtedy wyczuł jeszcze jedną monetę, taką na całe życzenia wigilijne. Włożył ją w otwór i znowu wycisnął dwanaście cyfr. Linia chwilę milczała, a potem głos automatu powiedział:

– ...w tym mieście nie było takiego numeru...

Włożył słuchawkę w uchwyt i moneta wypadła. Za trzecim razem, gdy usłyszał to samo, wolno i wyraźnie zażądał operatora.

– Nie mogę dostać połączenia – powiedział, gdy tamten się odezwał.

– Widocznie nie było tego numeru.

– Przed chwilą właśnie rozmawiałem. To autentyczny numer.

– Jest pan pewien? Pan wie, my nie zakładamy numerów, których nie było. To nasza zasada.

– Wiem. Ale może pan sprawdzić... – podał mu swój numer i adres swego domu.

– Chwileczkę – powiedział operator – sprawdzę w tych starych książkach, nie w komputerze. Tak będzie pewniej.

Czekał i patrzył w dolinę, w którą nasuwał się cień wzgórz.

– Przepraszam – powiedział po chwili operator – ale obsługujemy tyle byłych miast, że naprawdę trudno tu coś znaleźć. Rzeczywiście, ma pan rację. Pana numer jest niewątpliwy. Adres też się zgadza. Widocznie awaria naszego sytemu. Oczywiście odliczymy ten dzień od rachunku.

– A jutro?

– Jutro awarię usuniemy. Ma pan oczywiście próbkę głosu?

– Mam – powiedział i pomyślał o taśmie, którą dla niego nagrała wtedy, gdy wyjeżdżał.

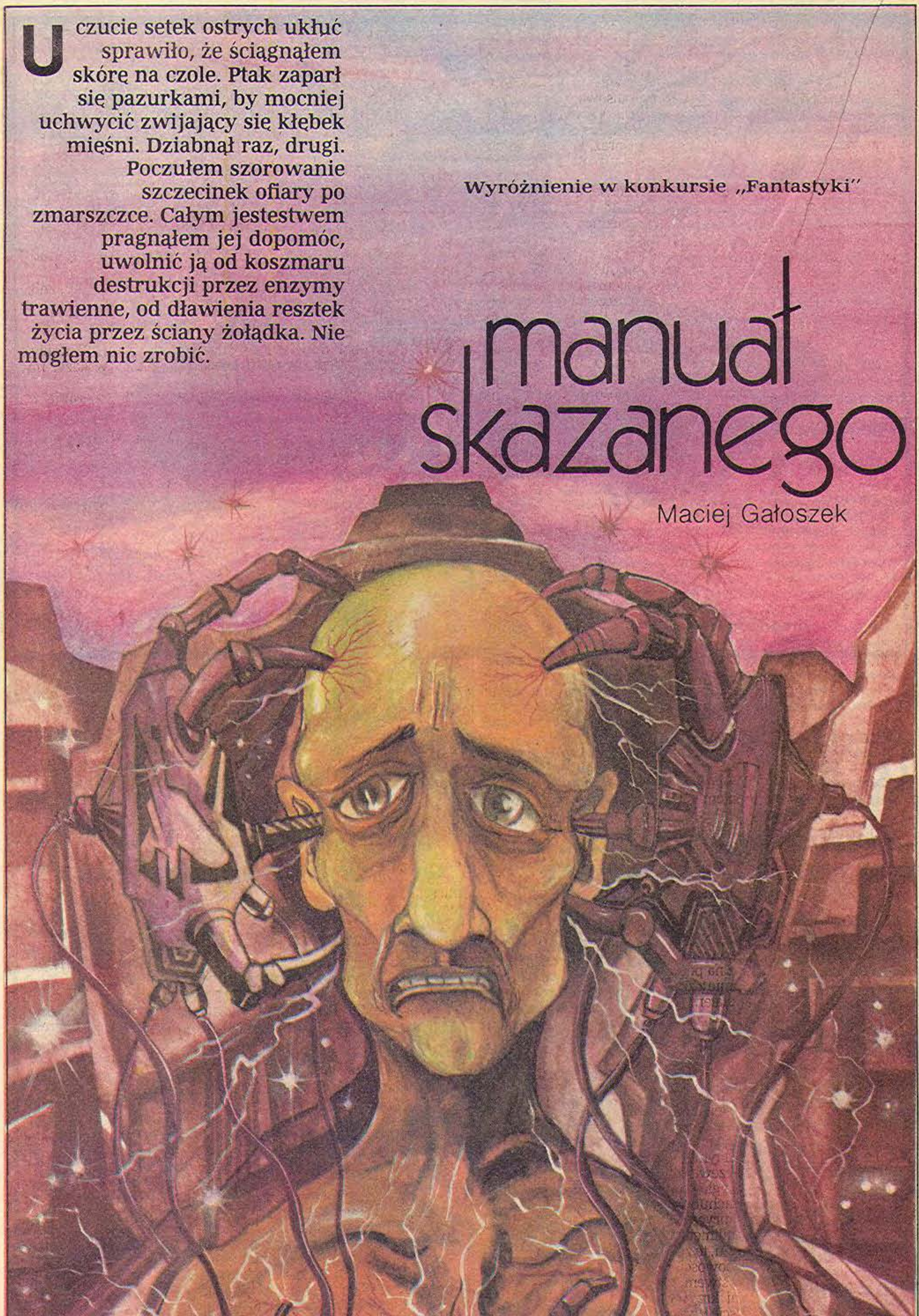
– To świetnie. W ostateczności z tego odtworzymy. Oczywiście żadnych dodatkowych kosztów. Na pewno będzie pan mógł zadzwonić do domu przed Nowym Rokiem. A dzisiaj, Wesołych Świąt! ■

Uczucie setek ostrych ukłuć sprawiło, że ściągnąłem skórę na czole. Ptak zaparł się pazurkami, by mocniej uchwycić zwijający się kłębek mięśni. Dziabnął raz, drugi. Poczułem szorowanie szczecinek ofiary po zmarszczce. Całym jestestwem pragnąłem jej dopomóc, uwolnić ją od koszmaru destrukcji przez enzymy trawienne, od dławienia resztek życia przez ściany żołądka. Nie mogłem nic zrobić.

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"

manuał skazanego

Maciej Gałoszek



Maciej Krzywicki

Rozlewające się płyny ustrojowe i wylazłe ekskrementy przejęły mnie dreszczem. Ostatnim tchnieniem życia któryś z metamerycznych członów dżdżownicy wbił się siłą swych wiotczejących mięśni w zagłębienie porów mojej umęczonej skóry. Stygło na niej pobojowisko, krzepła krew, podrygiwała przedśmiertnymi skurczami jakaś szczecinka, na której pulsował skrawek materii nie budzący już pożądania w zimnych oczkach kosa. Ptak drżał i to mąciło moją świadomość budzącą się ze spłyconego snu. Rozchylałem powieki. Ukazał mi się obraz, którego nie potrafiłem zidentyfikować. Świadomość zarejestrowała jedno słowo – „odłącz".

Zauważyłem wtedy rozdwojenie niebieskawej przestrzeni. Jakaś chropawa siła zmiotła z mego czoła resztki dżdżownicy i jęła wyciągać zaciśnięte na skórze pazury kosa. Jedna z białych plam na niebieskim tle podrygiwała obok mojego policzka.

Po którymś z podskoków poczułem, że to nie plama, lecz moja głowa odskakuje. Rozszerzyłem szparę powiek. Wyciągnięta ręka rzeczywistości potrząsnęła mną. Zacząłem dostrzegać dosyć wyraźne kontury obrazu. Rozpoznawane szczegóły dopomogły mi w uświadomieniu sobie tego, co zaszło. Pochylone twarze, wiszące kable, delikatny warkot aparatury.

– Dobra, możesz z nim jechać.

Ten po prawej wypchnął wózek na korytarz. Długi, szary ze zbiegającymi się w dali ścianami. Spojrzał na pierścień z numerem identyfikacyjnym, który mi pierwszego dnia wtłoczyli na mały palec lewej dłoni. Błysk zrozumienia zamigotał w wodnistych oczach.

– Cela 108.

Pchnął wózek dalej. Przyciemnione światła na suficie przesuwały się miarowo. Szemranie ogumionych kółek wózka ukoiło mnie na chwilę. Uśmiech na szczęce strażnika mówił, że jesteśmy na miejscu. Osłabiony i bezwolny zsunąłem się z wózka. Ciężkie grube drzwi zamknęły się za mną, klamka zapadła. Zwinąłem się w kłębek tam gdzie stałem. Obnażone i drżące myśli bały się dotknąć czegokolwiek. Chciałem spać. Obudziłem się czując czyjąś obecność. Uniosłem się na łokciu. Mokrą od potu dłonią przejechałem po włosach.

– Jedzenie.

Nade mną stał strażnik dzierżący w dłoni miskę. Postawił ją na stoliku przy ścianie, rzucił okiem po celi, po czym odszedł. W momencie zamknięcia drzwi ustały wszelkie odgłosy z zewnątrz. Nie mogłem się zebrać, było ciepło i duszno. Pulsujące fale ciepła zmieniały się w głuche dudnienie krwi w skroniach. Zroszony potem, chciwym wzrokiem patrzyłem za kawałkiem cienia. Nie było cienia ni słońca tylko ta przerażająca kwadratura celi i to ciepło. Nachodzące mnie fale niepokoju przechodziły w rozgoryczenie, a potem w apatię. Zrzuciłem z siebie ubranie i sięgnąłem po miskę. Wyrzuciłem zawartość pod drzwi, a samą miską zacząłem się wachlować.

Resztki sosu pozostałego w misce rozpryskiwane spływały mi po twarzy mieszając się z potem. Któraś z kropel kapnęła na wargę. Zlizałem ją koniuszkiem języka. Poczułem cierpki smak sosu doprawiony goryczą potu. Nadeszło rozgoryczenie. Rozpacz oślepiła mnie na chwilę. W nagłej determinacji odsłoniłem swoje uczucia spluwając na ścianę ze wszystkich sił. W tym samym momencie jakby cały świat zareagował świętym oburzeniem. Przeraźliwy gwizd wypełnił wszystko, co było moje i nie moje. Odruchowo zatykając uszy i ja zacząłem wrzeszczeć. Krztusiłem się wymiocinami tak, jakby mój organizm próbował się pozbyć rozrywającego mnie dźwięku. Nie trwało to długo. Po chwili równie przeraźliwa cisza przerywana była tylko urywanym szlochem histerii i kapaniem łez na podłogę. Byłem cały rozbity, każda cząstka ciała drgała we mnie z zaskoczenia. Wczepiony w podłogę, poniżony, skulony czekałem na następny atak. Oczyma zapaćkanymi łzami i żółcią błagałem martwe sprzęty o chwilę spokoju. Gdy szok minął, otarłem usta i oczy, ale nie mogłem się pozbyć zastygłego na twarzy grymasu przerażenia. Masując sobie policzki zastanawiałem się, co to mogło być? Kropla śliny spływająca po ścianie zatrzymała mój wzrok.

– Ach! To tak – powiedziałem na głos ochryple.

Poczułem się trochę pewniej, domyślając się już przyczyn ataku. Delikatnie i trwożnie usiadłem na skraju pryczy. Moja sytuacja nie była doba. Terapia elektryczna, ściany dźwiękoszczelne z systemem alarmowym. Poza tym ta nieznośna temperatura, która zniewala umysł i ciało. Przeważnie w takich sytuacjach pozostaje jeszcze możliwość bicia głową w mur. W moim przypadku nawet to nie wchodziło w rachubę.

Położyłem się na twardej pryczy. Igrając z samym sobą, przesuwałem palcami o parę milimetrów od ściany. Jeżeli się poddam, myślałem sobie w duchu, to zginę. Wypuszczą mnie stąd za parę lat, pozbawionego osobowości, wodzącego nieprzytomnym wzrokiem za niebezpieczeństwem, z płaczem proszącego przechodniów, by nie robili mi krzywdy. Przez chwilę mój dziki wzrok zatrzymał się na tekście wyskrobanym na ścianie. Powoli go przeczytałem, sens dotarł dopiero później.

Widzę cienie za mną sunące
Pianą złości ociekające,
Zdyszane od biegu,
wilgotne od potu,
przyspieszyłem kroku,
by od cieni łopotu,
by od cieni
uciec na wieki

– Ktoś to napisał – zrobiłem genialne odkrycie.

– Na ścianie – dodałem.

Czyżby system alarmowy nie działał stale? Bo przecież nikt nie jest w stanie czegokolwiek napisać, gdy organizm wprost rozpada się pod naporem wszechobecnego gwizdu automatów. Chyba tylko jedna chwila blokady systemu alarmowego może być brana pod uwagę. Chwilą tą jest wejście strażnika. Czekałem na strażnika. Zamyślony nie spostrzegłem, gdy uchylił drzwi. Zauważyłem go kątem oka. Kręcił z niezadowoleniem głową widząc wymiociny i rozrzucone jedzenie. Przyniósł kubek wody. Nagle, przez uchylone drzwi, dosłyszałem odległy histeryczny śmiech. Pora rozdawania wody, strażnicy zostawiają niedomknięte drzwi za sobą – zdążyłem pomyśleć, kiedy odezwał się.

– Jutro będzie z panem rozmawiał Meneniusz. – Podał mi kubek wody.

– Nie chce mi się pić – powiedziałem spokojnie i jednym pewnym gestem wylałem wodę na ścianę.

Nic nie przerwało ciszy. Rozluźniłem napięte mięśnie. Strażnik z pustym kubkiem opuścił bezszelestnie celę.

Pan Meneniusz czeka na Pana.

Ktoś pchnął mnie z tyłu. Przestąpiłem próg. Szczupły, wysoki, gestem zapracowanego sklepikarza wskazał mi krzesło.

– Pan się nazywa...? – Spytał nie przerywając szperania w papierach

– Tak.

– Pytam jak się pan nazywa. – Ściągnął brwi jak gdyby zniecierpliwiony moim niezdecydowaniem.

– Ach tak.

Spojrzałem w okratowane okno.

– Pan się nazywa Werumnus! – Brzmiało to jak oskarżenie.

– Tak.

Długo nie widziałem słońca, pomyślałem.

– Co pan robił do tej pory? – Spojrzał za moim wzrokiem.

– Wypatrywałem słońca.

– Urodził pan się pośladkami i ...

– Przepraszam.

– I przebywał pan jakiś czas pod obserwacją, czy wszystko jest u pana w porządku. Następnie notowany był pan w obozie pracy, kiedy odpracowywał pan uszkodzony automat. Dlaczego pan go uszkodził?

Skrawek słońca wychynął przez kraty tworząc cienie i półcienie na twarzy Meneniusza. Ten wziął moje personalia i osłonił sobie oczy. Prześwitujący papier z krótkim życiorysem nie stanowił dostatecznej osłony przed zachodzącym acz silnym jeszcze słońcem. Meneniusz przesunął się wraz ze swym krzesłem do tyłu, do cienia.

– Dlaczego pan uszkodził automat?! – podniósł głos rozdrażniony. – Dlaczego? – głos mu się załamał.

– Dlaczego? – powtórzyłem.

Dlaczego słońce nie jest już okrągłe – pomyślałem. Tylko składa się z małych kwadratów scalonych smugami metalu?

– Obserwowano pana – kontynuował Meneniusz. – I dostrzeżono skłonności do agresji. Dlatego jest pan u nas. Miał pan kategorię A. To dziwne, że zdrowy, dobrze zbudowany, z inteligencją mieszczącą się w przedziale A ... Od dzisiaj ma pan kategorię B. Stąd do kasacji niedaleka droga. Musi pan nad sobą popracować. Dla... społeczeństwa. Pan nie docenia swego istnienia! – Nagle się uniósł. – 40% noworodków nie ulega kasacji z czego 15% ma kategorię A. Nieczęsto się zdarza by ktoś, oczywiście nie uszkodzony fizycznie, świadomie pozbywał się swej pozycji.

– Ja się nie pozbywam, wy mnie pozbawiacie – odparłem obserwując wyschłego owada na parapecie.

– Dla dobra społeczeństwa, dla dobra społeczeństwa! – wyśpiewał tonem wielkiego oratora, po czym z miną natchnionego Judasza obrzucił mnie bezsennymi oczyma.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Pobędzie pan u nas jakiś czas – powrócił do urzędowego tonu. – Potem zobaczymy. Może pan iść. Do widzenia.

Nie odpowiedziałem.

W drodze do celi mimo asysty strażnika spostrzegłem pewien szczegół. Framuga. Zwykła framuga. Zamykające się za mną drzwi cicho szczęknęły o tę framugę. Położyłem się na twardym wyrze. Coś we mnie dojrzewało. Jakaś myśl narastała, a młode pędy tego narostu kłuły mi umysł. Byle nie krzyczeć. Byle oczy nie zdradziły strachu. Tym razem nie przeoczyłem wejścia strażnika. Przyniósł jedzenie.

Uniosłem głowę, by drętwymi oczyma spojrzeć na strażnika.

– Chciałbym do ubikacji.

Strażnik kiwnął zezwalająco głową. Podniosłem się na spiętych nogach. Wychodząc spojrzałem na framugę. Ciągnący się wzrok z trudem skierowałem przed siebie.

Oblizałem nagle wyschnięte wargi. Rozluźniłem mięśnie, starając się nie myśleć o niczym. Ciężki oddech strażnika owionął mi szyję. Nakładające się wędrujące cienie za niedługo się rozłączą. Oby. Starannie opróżniłem pęcherz. Długo celebrowałem spuszczanie wody. Z namaszczeniem opłukałem ręce. Gdy wytarłem o spodnie, kształt dłoni odbił się na udzie. Poczułem gwałtowny atak lęku, że mój plan zawiedzie, lecz mimo to szybko wyszedłem na korytarz.

Strażnik czekał. Nie zwlekając puściłem się biegiem licząc na

moment zaskoczenia. Już po jakichś dwudziestu metrach zauważyłem podrygujący cień pod nogami. To niedaleko, żeby tylko nie złapał, nie dogoni, nie może! Prędzej, prędzej!
Jak ja miałem za złe powietrzu, że musiałem je popychać. Nogom, że ociążałe. Sercu, że nie wystukuje swej melodii życia z szybkością obłędnego pianisty.
Powiększająca się framuga zapaliła światełko nadziei. Odbiłem się na prawej nodze, obracając się w powietrzu. Nim strażnik zdążył mnie dopaść, mój kręgosłup z detonującym w organizmie trzaskiem uderzył w kant framugi. Opadając na nieczułe już nogi, uśmiechnąłem się do strażnika. Gdy ten mnie obłapiał straciłem przytomność.

Kiedy odzyskałem świadomość pierwsze co powiedziano to to, że już nigdy nie będę chodził. Paraliż nóg. Ktoś spojrzał ze współczuciem – jestem przeznaczony do kasacji. Nie leżałem już w szpitalu. Tam zrobili swoje. Popatrzyli, doszli do wniosku, że nic nie da się zrobić, spojrzeli na siebie, pokiwali głowami. Odesłali do kostnicy.
Do kostnicy jeszcze żywych. Nikt nie mógł mnie stąd wziąć lub ukryć. UKRYWANIE I ŻYWIENIE NIEPEŁNOSPRAWNEGO CZŁONKA SPOŁECZEŃSTWA GROZI KARĄ TRZECH LAT CIĘŻKICH ROBÓT – takie napisy wisiały nad drzwiami kostnic, szpitali i innych instytucji. No cóż. W starej cywilizacji panuje prawo silniejszego. Ktoś musi odejść, by inni mogli żyć.
Odchodzili chorzy umysłowo, trwale uszkodzeni fizycznie, ciężko zachorzali. O postępie medycyny nie słyszano od lat. Twardy harmonogram dnia ułożony był tak, by nie trwonić na darmo ni grama kalorii. A wszystko dlatego, że pierwotne instynkty ludzkie wzięły górę nad zmysłami twórczymi. Człowiek chciał jeść i mieć skrawek swojej przestrzeni, w której mógłby egzystować. Tego od dawna brakowało.
Jakiś jęk przerwał moje rozmyślania na stalowym łożu. Spojrzałem w bok. Młody chłopak ze zmiażdżonymi palcami. On też... Tak... Teraz już nie jestem panem Werumnus. Nazywam się 17 łamane przez numer kostnicy, a jest ich wiele. A przecież sam tego chciałem! – przerwałem użalanie się nad sobą. Za cenę niesprawności nóg mam nie naruszoną jeszcze osobowość i względne zdrowie psychiczne. W każdym razie do Zakładu już nie wrócę. W moim skutecznym planie opuszczania Zakładu nawet na moment nie dopuszczałem do siebie myśli o kasacji. Zadrżałem. Co dalej? Plan prowadzi teraz na salę preparatów. Tak. Człowiek wszystko robi, żeby żyć. Gdzieś na neurologii na pewno potrzebują świeżego preparatu z paraliżem nóg. Należy przecież pokazać studentom, że nic się nie da zrobić. Preparat dużo nie potrzebuje.
I tak po paru miesiącach odsyłają go stamtąd do wieczności. A przez te parę miesięcy człowiek żyje, ba, myśli nawet i póki ma głowę na karku nie objętym jeszcze nekrozą, póki ciężar poniżenia nie przykuje go do łoża, póki widok „bezzębnych" młodych ludzi nie zagrzebie w nim wiary w życie, póty można z tym życiem coś jeszcze zrobić.
Do kostnicy wszedł dobrze odżywiony starszy jegomość. Miał na sobie biały fartuch. Za to go polubiłem. Bo właściwe według przepisów nikt z nas nie potrzebował już antyseptyki. Po jakimś czasie starszy pan podszedł do mnie. Podniósł metkę uwieszoną na palcu u nogi. Coś na niej dopisał. Czyjeś silne dłonie ujęły rączki mojego wózka i wypchnęły go na zewnątrz, po czym załadowały do ciężarówki. Odetchnąłem z ulgą. Było nas kilku. Twarze nijakie, nie zdradzały ulgi ani przerażenia. Raczej spokój ducha nakarmionych chwilową złudą uczestniczenia w życiu.
Kierowca ciężarówki chybotającej się na wszystkie strony nie przejmował się nami. Nie zabezpieczone wózki obijały się o ściany grożąc uszkodzeniem pomocy naukowych. Także noszowy nie traktował poważnie ani nas, ani swego zajęcia. Puściwszy powoli turlający się wózek podszedł na chwilę do kiwającej nań kobiety. Wózek przyturlał się do zsypu na śmieci. Jak kiedyś clochardzi, i ja nie omieszkałem wyciągnąć z niego czegoś dla siebie. Wybrałem sobie dwie metalowe rurki i kawałek zgiętej blachy. Spokojnie, nie spiesząc się wsunąłem owe akcesoria pod siebie. Wózek drgnął. Uciekającą pod kołami samochodu przestrzeń będę musiał kiedyś pokonać. Mam nadzieję, że uda mi się to zrobić jeszcze za życia. Zawieziono mnie od razu na salę preparatów.
W tej samej sali leżał jeszcze ktoś, ale na razie nie wydawał głosu. Po chwili uraczono mnie wodą i ubogą strawą. Raz jeszcze obrzuciwszy wzrokiem salę zalaną niebieskawą poświatą zasnąłem.

Obudził mnie mężczyzna w średnim wieku o nieczułej twarzy. Poinformował mnie o moich obowiązkach, to znaczy delikatnie mi wyjawił co mam robić, żeby nie znaleźć się tam, skąd mnie zabrano. Hm... w sumie to nic nie musiałem robić. Byle tylko kogoś nie ugryźć.
Po jakimś czasie weszli studenci ze znanym mi już starszym jegomościem.
– O, tutaj macie państwo przypadek paraliżu nóg na skutek uszkodzenia kręgosłupa. W ... Odwróćcie go! W tym oto miejscu.
Usłyszałem szemranie zaciekawionego tłumu.
–Tak, możecie go odwrócić z powrotem. Sparaliżowana część ciała, w tym przypadku nogi, nie reagują na żadne bodźce wewnętrzne. O proszę. – Wyciągnął igłę i zanurzył ją w moim udzie.
Na chwilę nasz wzrok się skrzyżował.
– Jak widzicie nie reaguje. Przy okazji możecie obserwować reakcję mięśni na ból.
Błysk igły w okolicach brzucha.
– O proszę jak mu się ładnie ściągnęły usta i zmrużyły oczy. Dobrze, idziemy dalej.
Odłosy dochodzące znad drugiego ... preparatu przemieniły się w mojej głowie w jęk sprężyny. Coś się zdeformowało. Jakby ta igła wsunięta w zegarowy mechanizm ciała spowodowała, że jego godne tykanie przerodziło się w płaczliwe rzężenie scentrowanych trybów. Spodziewałem się takiej sytuacji, lecz nie mogłem się pozbyć pogłębiającego się odczucia fatalności. Czułem się jak aktor, którego mają zasztyletować – a on widząc, że z budki suflera zieje pustka, z powodu tremy zapomniawszy co ma robić – wodzi błędnym wzrokiem po dekoracjach, a potem po publiczności, która oklaskuje tę scenę.

Gdy się ocknąłem, w sali panowała cisza. Potarłem dłonią o skroń. Szukałem. Szukałem jakiejś myśli, dzięki której zbolały umysł nie przyjmowałby podobnych sytuacji w ten sposób. Muszę być silny. Jeszcze jakiś czas, po którym zobaczę przestrzeń nie objętą zakazem zatrzymywania się.
Tego samego dnia przyszła nowa grupa studentów. Gdy już po wszystkim odwracali się, by przejść do następnego preparatu uczepiłem się rękawa fartucha jednej ze studentek. Mój niespodziewany gest wymalował na jej obliczu wyraz zaskoczenia.
– Jestem głodny – wyszeptałem.
Zachowała się w tym momencie jak dziewczynka, której lalka nagle wymierzyłaby policzek. Powoli wyswobodziła rękaw i z grymasem zamyślonej dezorientacji dołączyła do grupy.

Po paru dniach miałem dość. Nadeszła chwila mojego exodusu z tego przybytku humanitaryzmu i wiedzy.
Przez cały czas ignorując zarówno wnikliwość studentów, jak i wścibskość igły obmyślałem plan wydostania się stąd. Najgorsze, że nic nie wymyśliłem. Przejęty byłem wewnętrznym niepokojem, który nie pozwalał mi się skupić. I słowo „obmyślałem" znaczyło raczej tylko postanowienie obmyślania planu, na którym to zresztą postanowieniu się skończyło. Moje myśli stapiając się w ostateczną decyzję przechodziły jakby przez miliony pryzmatów, czego wynikiem był różnobarwny chaos dźwięczący furią setek tonów. Mieszane były barwy nastrojów, mieszane uczucia.
Me nerwy szarpane palcami zdenerwowanego kontrabasisty, nie pozwoliły mi już tu więcej przebywać. Została tylko improwizacja. Musiałem za wszelką cenę wydostać się z zamknięcia.
Schowane pod wózkiem rurki przyłożyłem do nóg wiążąc je z nimi pasami rozdartego uprzednio płótna zakrywającego podbrzusze. Usztywnione w ten sposób nogi nie powinny przynajmniej przez jakiś czas giąć się pod ciężarem ciała lub wzruszenia. Powoli osunąłem je na podłogę. Trzymając się wózka utrzymywałem jak na razie prawidłową postawę. Wzruszyłem się. Lecz nogi pozostały sztywne. Wziąłem to za dobrą monetę. Z pokoju przy sali, w której leżałem, pożyczyłem sobie fartuch. Założyłem go na gołe ciało. Teraz pachniałem jak wszyscy tutaj. Portiera powinienem zwieść. Byle nie widział gołych nóg i nie obutych stóp. A na mój specyficzny suw mam nadzieję, że nie będzie zważał. Jakiż preparat by chodził. Powoli popychając wózek przed sobą chwytałem raz lewą, raz prawą połę fartucha. Powoli przesuwałem się do przodu, bacząc by nie zapomnieć o tej czynności i nie stracić równowagi.
Przed wejściem do windy wymontowałem jedno kółko i rzuciłem nim w ciemność korytarza...

Jakoś nie chce mi się już dalej pisać. Siedzę teraz w poczekalni Przedsiębiorstwa Umierania. Zdrętwiałymi palcami kreślę ołówkiem kółka bez wyobraźni. Póki z chęcią pisałem, póty chciało mi się przedłużać życie, by niknące za mną minuty przeszłości utrwalać na skrawku papieru. Teraz jednak powoli wypływa ze mnie strumyczek chęci życia. Zbliża się ostateczny brzeg. Trzeba mi jeszcze być pierwszym w kolejce i obarczonym dwudniowym prowiantem z bezboleśnie działającą trucizną wystukać laskami ślad za bramą.
Boję się postawić kropkę, jestem trzeci w kolejce, a ci z Przedsiębiorstwa nieźle na mnie zarobili, miałem szczęście, że się tu dostałem, niewielu to osiąga, by się spokojnie skończyć, nie za darmo, różni są tu ludzie, dużo młodych, ktoś mnie ze zniecierpliwieniem szturchnął, żebym przysunął się bliżej bramy, dwa razy stuknąłem laskami, ten brodadaty cały czas się uśmiecha, tak, hm, chyba zaraz kolej na mnie, idę brama zgrzytnęła, wiatr targa mi włosy, słońce, słońce świeci, takie duże, jasne, laski zapadają się w piasku, nogi się rozjeżdżają, tyle piasku, hm, taka przestrzeń, uśmiechnąłem się, ach.

Maciej Gałoszek

■

Twierdzenie, że Stanisław Lem należy do najpopularniejszych autorów SF w angielskim obszarze językowym byłoby znaczną przesadą, z pewnością jednak jest on jednym z tych, którzy zwracają na siebie uwagę krytyki literackiej.



STANISŁAW LEM W USA

Franz Rottensteiner

W recenzjach można nawet przeczytać, że zasługuje na Nagrodę Nobla – tak twierdzi autor artykułu we wpływowym „New York Times Book Review". Wprawdzie „Solaris", pierwszy przekład Lema w Ameryce (1970), został przyjęty przychylnie, ale niemal wyłącznie przez zwolenników SF, np. przez autora Jamesa Blisha (w „Magazine of Fantasty and Science Fiction") i Petera Nichollsa (ówczesnego wydawcę angielskiego czasopisma krytycznego SF „Foundation"). Przełom w krytyce nastąpił dopiero w 1976 roku, kiedy Theodor Solotaroff, uznany wydawca „New American Review" opublikował 29 sierpnia obszerny artykuł w „New York Times Review", w którym omówił sześć książek Lema. Był to pierwszy wypadek, kiedy autorowi SF poświęcono całą stronę tytułową tego czasopisma. Solotaroff nazwał Lema geniuszem, polihistorem, wirtuozem narracji i stylu, zakończył zaś swój entuzjastyczny wprost esej słowami: *„He is a major writer and one of the deep spirits of our age"*. Od tego momentu nowe książki Lema omawiano regularnie w „New York Times", „New York Times Book Review", w magazynach informacyjnych „Time" i „Newsweek" oraz w innych publikacjach, głównie bardzo pozytywnie. Do grupy autorów, recenzujących ostatnio Lema, należą John Updike (dwie recenzje w „New Yorker"), Joyce Carol Oates, Kurt Vonnegut Jr. i Peter S. Beagle, autor wspaniałych fantasy („The Last Unicorn" i „A Fine and Private Place"). Z dużym uznaniem spotkała się „Próżnia doskonała".

Również krytyka akademicka zwróciła uwagę na Lema, zwłaszcza na jego „Solaris". Mark Rose poświęcił mu wiele miejsca w książce „Alien Encounters. Anatomy of Science Fiction" (Harvard University Press 1981), monografię Richarda E. Ziegfelda zapowiedział już Frederick Ungar, kolejna ukaże się w wydawnictwie Stramount House, a Taplinger wydaje zbiór esejów w opracowaniu Martina H. Greenberga i Josepha D. Olandera. Cykl ten firmują swoimi nazwiskami tacy autorzy jak Philip K. Dick, Ursula K. Le Guin, Isaac Asimov, Robert A. Heinlein i A. C. Clarke.

Jednak autorzy science fiction (a również czytelnicy), nie licząc kilku młodszych jak Michael Bishop i Christopher Priest oraz pisarzy polskiego pochodzenia jak George Zebrowski i Ursula K. Le Guin, nie lubią Lema – ani jako pisarza, ani – tym bardziej – jako zawziętego krytyka science fiction. Kiedy w 1975 roku udostępniono w USA szerokiemu ogółowi kilka niepochlebnych uwag o amerykańskiej SF opublikowanych w RFN-owskiej Fankfurter Allgemeine Zeitung, Lema pozbawiono natychmiast honorowego członkostwa w SFWA (Amerykański Związek Pisarzy SF), przyznanego mu przed kilku laty. Ten niegodny krok został uzasadniony wymogami statutowymi Związku (ponieważ Lem jako członek rzeczywisty nie mógł być jednocześnie członkiem honorowym Związku), ale w rzeczywistości był to oczywiście akt zemsty za złe zdanie Lema o amerykańskiej science fiction. Dokładną dokumentację całej afery można znaleźć w ukazującym się w Kanadzie krytycznym czasopiśmie SF „Science Fiction Studies" (zeszyty 11–14, 1977–1978), w którym wyraźnie jest widoczna prowincjonalność wielu amerykańskich autorów SF.

Zasłużonym policzkiem dla SFWA stał się fakt opublikowania w tym samym czasie przez najbardziej prestiżowe czasopismo USA, „New Yorker", kilku utworów Lema. Najpierw były to trzy teksty z „Próżni doskonałej", a potem cztery z „Dzienników gwiazdowych". 30 stycznia 1984 r. ukazał się autobiograficzny esej Lema, zatytułowany „Chance and Order", napisany początkowo przez autora dla nowej serii wydawniczej Contemporary Authors' Autobiographical Series (tekst ten sprawił m.in., że amerykański literaturoznawca, który zamierzał przeprowadzić z Lemem wywiad, otrzymał natychmiast stypendium), a 2 kwietnia 1984 r. fragment „Wielkości urojonej". Artykuły Lema zamieszczane są również w innych magazynach: „Omni", „Penthouse", „Antäus", „The Yale Literary Magazine" oraz w „Missourii Review".

Z książek Lema największym sukcesem poszczycić się może bez wątpienia „Solaris". Wprawdzie wydanie oprawne z 1970 roku (wyd. Walker and Co.) jest już dawno wyczerpane, ale wydanie kieszonkowe (wyd. Berkley Books) jest ustawicznie wznawiane i osiągnęło już łączny nakład 170.000 egzemplarzy. Książki Lema ukazywały się początkowo w małym wydawnictwie The Seabury Press (jako „kieszonkowce" w Avon Books): „Niezwyciężony" („The Invincible", 1973), „Pamiętnik znaleziony w wannie" („Memoirs Found in a Bathtub", 1973), „Śledztwo" ("The Investigation", 1974), „Cyberiada" („The Cyberiad", 1974), „Kongres futurologiczny" („The Futurological Congress", 1974), „Dzienniki gwiazdowe" („The Star Diaries", 1976), „Bajki robotów" oraz „Maska", „Polowanie" i „Zakład Doktora Vliperdiusa" („Mortal Engines", 1977). W późniejszym okresie Lem zdecydował się na znaną serię „Helen and Kurt Wolff Books" w dużym wydawnictwie Harcourt Brace Jovanovich (HBJ) – amerykańskim wydawcy Italo Calvina, Georges'a Simenona, Güntera Grassa i Maxa Frischa.

Współpracę z HBJ Lem rozpoczął od „Kataru" („The Chain of Chance", 1978), po którym przyszła kolej na „Próżnię doskonałą" („A Perfect Vacuum", 1979), „Opowieści o pilocie Pirxie" („Tales of Pirx, the Pilot", 1979 i „More Tales of Prix, the Pilot", 1982), „Powrót z gwiazd" („Return from the Stars", 1980), pozostałe części „Dzienników gwiazdowych" („Memoirs of a Space Traveler", 1982), „Głos Pana" („His Master's Voice", 1983), „Wielkość urojona" wraz z „Golemem XIV" („Imaginary Magnitude", 1984; uznane ostatnio za wielkie osiągnięcie Lema przez czołowy tygodnik USA „Time"). W styczniu 1985 r. ukaże się „Microworlds"– opracowany przez mnie zbiór esejów na temat science fiction, zawierający kilka artykułów, które Lem napisał w języku niemieckim i do których brakuje polskiej wersji, np. autobiograficzny esej opublikowany w „New Yorker". W wydawnictwie Harcourt Brace Jovanovich przygotowuje się obecnie „Eden" i trzy eseje, z których w Polsce ukazała się dotychczas tylko „Jedna minuta" (w tomie „Prowokacja"), a „Weapon Systems of the 21st Century" i „The World as Holocaust" ukażą się wkrótce nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

Inna książka, „The Cosmic Carval of Stanisław Lem", opracowana przez Michaela Kandela i opublikowane w 1981 r. w wyd. Continuum Books, zawiera oprócz opowiadań również fragmenty powieści. Michael Kandel jest najlepszym z amerykańskich tłumaczy Lema. Jego przekłady „Kongresu futurologiczengo, „Cyberiady", „Głosu Pana" i „Próżni doskonałej" są wspaniałe, dwa z nich otrzymały zasłużoną nominację do nagrody „National Book Award". Jednak Kandel zajął się obecnie własną twórczością literacką, co absorbuje go niestety tak bardzo, że nie może już tłumaczyć.

Większość z wymienionych amerykańskich wydań Lema ukazała się również w Anglii nakładem Secker and Warburg, a jako kieszonkowce – w wydawnictwie Penguin. Nakłady, zarówno w Ameryce, jak i w Anglii, są na razie niskie: kilka tysięcy egzemplarzy dla wydań oprawnych i kilkadziesiąt tysięcy dla kieszonkowych. Bez wątpienia jednak Lem może poszczycić się wierną rzeszą czytelników. Problemem numer jeden jest w dalszym ciągu nie tyle brak zainteresowania czytelników lub wydawców, ile tłumaczenie. Dla typowych czytelników SF książki Lema są zbyt zawiłe i przełom na angielskojęzycznym rynku księgarskim nastąpi dla niego dopiero w przyszłości.

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz

Od astronomii fantastycznej do scjentycznej

Nowa pozycja poczytnej serii ceramowskiej PIW-u jest nadzwyczaj ciekawa i to z kilku powodów. Przede wszystkim jest odmienna od wszystkich tych (pomijając „Z powrotem na Ziemię"), które ukazały się dotąd w serii poświęconej dziejom ludzkości i jej cywilizacji. Inny powód to data wydania oryginału – książka Willy'ego Leya „Watchers of the Sky" została opublikowana w 1963 r., a uzupełniona w 1966, czyli prawie dwadzieścia lat temu, a w ciągu tego czasu wiele się w astronomii zmieniło. Wydawać by się mogło, że przekład polski jest mocno spóźniony, ale pierwsze wrażenie okazuje się fałszywe. W istocie rzeczy dzieje astronomii, pasjonująco przedstawione przez autora, są ważną częścią dziejów cywilizacji ludzkiej i zamieszczenie ich w serii ceramowskiej jest nadzwyczaj trafne. Pozostałe wątpliwości rozwiewają się po zaznajomieniu ze wstępem oraz... spisem treści, oprócz bowiem zasadniczego tekstu książki znalazło się w niej cenne „Uzupełnienie" pióra Andrzeja Kajetana Wróblewskiego, który zarazem był konsultantem naukowym wydania polskiego, a także dokonał wyboru ilustracji na wkładkach – w tym, przekazanych ze stacji kosmicznych, barwnych obrazów planet. Redakcja zaopatrzyła książkę w wymowny podtytuł: „Nieoficjalna historia astronomii od Babilonu do ery kosmicznej".

Willy Ley studiował najpierw astronomię i paleontologię, później zajął się teorią badań rakietowych i kosmicznych. Został członkiem Brytyjskiego Towarzystwa Międzyplanetarnego oraz redaktorem naukowym pisma „Galaxy". Książka „W niebo wpatrzeni" jest podzielona na trzy części. Do nich autor dołączył epilog oraz załącznik (a właściwie kilka załączników, w tym dwie istotne notatki).

Część I – „Narastanie wiedzy" – demonstruje, w jaki sposób astronomia (łączona nieraz w dawnych wiekach z astrologią) przekształcała się z fantastycznych w gruncie rzeczy wyobrażeń o niebie w ścisłą dyscyplinę naukową o zjawiskach i ciałach kosmicznych. Nieoficjalny charakter historii astronomii usprawiedliwa nazwanie jej początków „astronomią fantastyczną", w której ścisłe (na owe czasy) wyniki obserwacji były traktowane na równi z najbardziej nieprawdopodobnymi wyobrażeniami o budowie i istocie wszechświata. Autor przestrzega przed braniem na serio najdawniejszych zapisków o treści astronomicznej wykazując, że kryły one w sobie zupełnie inne pojęcia. Ponadto zwraca uwagę, że w gruncie rzeczy niewiele wiemy o poczynaniach starożytnych filozofów i uczonych – znamy je z drugiej ręki, z urywkowych cytatów, przypisujemy znaczenie całkiem odmienne od rzeczywistego. Trzy pierwsze rozdziały powinni koniecznie przestudiować zwolennicy paleoastronautyki i fantastycznej archeologii, a zwłaszcza ich twórcy. Przekonaliby się wtedy, jak bezpodstawne są ich koncepcje oraz interpretacje starożytnych przekazów, do których się odwołują nie zadając sobie trudu przestudiowania oryginalnych źródeł! Paleoastronautyka, czyli wiara w przybyszów z Kosmosu (odwiedzających Ziemię w zamierzchłej przeszłości), jest to science fiction najgorszego rodzaju – skłamana do początku do końca. Prawdziwa SF przestrzega bowiem pewnych reguł gry nie pretendując do rzekomo ścisłej naukowości.

Tyle impresji, jakie nasunęły mi się w trakcie lektury początkowych rozdziałów książki. Nawiasem mówiąc, autor zwracając uwagę na błędy sam nie jest od nich wolny. Jego pomyłki prostują tłumacze oraz redakcja. Wypada również zauważyć, że W. Ley zagalopował się nieco w kwestionowaniu dawnych przekazów – niektóre rekonstrukcje wiedzy starożytnych okazują się zadziwiająco trafne, co dokumentują nowo odkryte źródła. Dotyczy to zwłaszcza prac Hipparcha i Ptolemeusza. I już zupełnie arbitralnie autor przesunął początki astronomii na około 800 rok p.n.e. Zarzucając innym autorom historii astronomii „romantyczną przesadę" w datowaniu powstania astronomii, Willy Ley popadł w drugą skrajność – zapomniał, że wciąż są odkrywane nowe materiały historyczne, co więcej – nie zwrócił uwagi na powstającą w czasie pisania książki archeoastronomię, której zadaniem jest wyjaśnienie najdawniejszych dziejów astronomii („praastronomii praktycznej").

Elementy „astronomii fantastycznej" starożytności stały się treścią astrologii, podczas gdy astronomia we właściwym tego słowa rozumieniu stawała się z upływem czasu dyscypliną ściśle naukową posługującą się metodami matematycznymi, a później – fizycznymi. Jednak największy przełom w astonomii wiąże się z nazwiskami Kopernika, a potem Galileusza, Keplera i Newtona. W ciągu stu pięćdziesięciu lat, które dzielą wydanie „De Revolutionibus" Kopernika od „Philosophiae Naturalis Principia Mathematica" Newtona dokonał się zasadniczy zwrot w rozumieniu wszechświata, który przestał być niewielkim układem siedmiu ciał niebieskich zbudowanych z „piątej substancji" (quinta essentia), obiegających nieruchomą Ziemię i zamkniętych sferą gwiazd stałych, a okazał się znacznie bardziej skomplikowany, chociaż zarazem prostszy, bo rządzony jednakowymi prawami. Wynalazek lunety pozwolił stwierdzić, że planety to ciała podobne do Ziemi, a także domyślić się, że gwiazdy to odległe słońca, chociaż ich natura długo jeszcze pozostawała nieznana. Odkrycie krajobrazów księżycowych skłoniło Keplera do napisania pracy „Somnium", która jest zarazem dziełem popularno-naukowym, jak też jednym z pierwszych utworów fantastyczno-naukowych. Książkę tę Kepler napisał w Żaganiu, gdzie spędził ostatnie lata życia. A jeszcze wcześniej, po zaznajomieniu się z „Wysłannikiem gwiazd" Galileusza, Kepler napisał: *„Zbudujcie statki i żagle, zdatne do użycia w powietrzu niebios. Znajdziecie wówczas także mężów do obsadzenia ich załogą, mężów, którzy nie ulękną się bezmiernej pustki przestrzeni kosmicznej"*. Tymi zdaniami Kepler wyprzedził wszystkich późniejszych twórców SF wspominających o podróżach międzyplanetarnych.

Pisząc o Galileuszu, Willy Ley rozprawił się z jeszcze jedną fantastyczną opowieścią o straszliwym prześladowaniu tego astronoma przez Kościół. Otóż w istocie rzeczy ojcowie Kościoła byli do Galileusza przychylnie nastawieni, z wyjątkiem kilku duchownych, którym Galileusz z racji swoich niewybrednych ataków naraził się osobiście. Słynny proces okazał się właściwie parodią i był nad wyraz kłopotliwy dla Inkwizycji, która wolałaby go w ogóle uniknąć – stąd przedziwne sformułowanie sentencji wyroku, który nie był egzekwowany (oprócz wymogu wypowiedzenia formuły wyrzeczenia się poglądów). W dodatku trzej kardynałowie, spośród dziesięciu sędziów, nie podpisali wspomnianego wyroku. Na wolnej od emocji relacji Leya wielu autorów może się uczyć tolerancji oraz uczciwości pisarskiej.

Część II książki – „Nasz Układ Słoneczny" – należałoby czytać razem z „Uzupełnieniem", ponieważ stanowi już tylko historię odkryć w naszym układzie planetarnym. Jest to zarazem historia niezwykle pasjonująca. Ukazuje wielki wysiłek astronomów, którzy dysponując jedynie wynikami naziemnych obserwacji odsuwali krok po kroku granice niewiedzy i odkrywali fascynujące światy zaziemskie, może nie tak fantastyczne, jak pierwotne wyobrażenia o naturze planet, ale przecież zdumiewające różnorodnością i zarazem odznaczające się regularnością w budowie. Okazało się, iż każda planeta jest na swój sposób wyjątkowa, chociaż wszystkie razem mają pewne cechy wspólne.

Najwięcej miejsca autor poświęcił Ziemi i jej sąsiedztwu, a następnie Marsowi i Jowiszowi. W związku z poszukiwaniem drugiego księżyca naszej planety przypomniał dwie powieści fantastyczno-naukowe Juliusza Verne'a przeprowadzając ich krytyczną analiznę. Omówił także zapomnianą już dziś tzw. mistyfikację księżycową, związaną z nazwiskiem innego sławnego twórcy SF – Edgara Allana Poego, który komentował wydarzenie z roku 1835 (na łamach nowojorskiego „The Sun" ukazał się wtedy reportaż donoszący o odkryciu przez Johna Herschela życia i cywilizacji na Księżycu). Chociaż Edgar Allan Poe sam pisał fantastyczne opowieści, najbardziej zdumiało go to, jak bezkrytycznie została owa mistyfikacja przyjęta przez poważne skądinąd osoby. Ten przyczynek do historii badań astronomicznych ukazuje, jak ludzkość jest złaknioną niezwykłości oraz kontaktu z pozaziemską cywilizacją. Odnosi się wrażenie, iż w przekonaniu wielu ludzi głównym zadaniem astronomii powinno być odkrycie cywilizacji lub przynajmniej życia na innych planetach. Obszerniej Willy Ley pisze na ten temat w rozdziale 12., poświęconym Marsowi, a także w rozdziale 22. – „Życie we Wszechświecie a koncepcja ekosfery" – oraz w epilogu noszącym tytuł „Poszukiwanie pozaziemskich cywilizacji". Autor uważa, iż wiara w wyjątkowość naszego układu planetarnego staje się ostatnią linią obronną antropocentryzmu.

Rozdział 22. jest ostatnim w części III, zatytułowanej „Przybliżona nieskończoność". Wbrew górnolotnej nazwie jest to najkrótsza i najsłabsza część książki. Autor najwyraźniej stracił impet twórczy, czy może inwencję, skoro w trzech niezbyt długich rozdziałach postanowił zawrzeć pozostałą wiedzę astronomiczną, obejmującą cały prawie Wszechświat. Jeśli ma to być przybliżeniem nieskończoności, to nienaturalnie skróconym...

Natomiast w załączniku godna uwagi jest „Notatka o radioastronomii", chociaż autor wykazał w niej zadziwiająco słabą przenikliwość odnośnie możliwych sukcesów radioastronomii, której rozwój był tak szybki, że już obecnie pod pewnymi względami prześcignęła ona osiągnięcia astronomii optycznej (odkrycie kwazarów, pulsarów, promieniowania tła).

W książce W. Leya, a zwłaszcza w jej drugiej części oraz w rozdziale 22. i epilogu, miłośnik fantastyki odkryje źródła inspiracji wielu pomysłów spotykanych w utworach scence fiction. O niektórych pisze autor, wspominając takich twórców SF jak wymieniony już Verne czy Poe, a także Isaac Asimov i Aleksander Kazancew. Jednak uważna lektura pozwoli stwierdzić, że sam proces poznawania zaziemskich światów jest wspaniałą, fantastyczną przygodą i nadal może stanowić materiał wyjściowy dla nowych utworów SF.

Na zakończenie warto wymienić astronomów polskich, którym autor poświęca nieco miejsca w swej książce. Oprócz omówienia życia i dzieła Mikołaja Kopernika, W. Ley wspomina Wojciecha z Brudzewa, Michała Kamińskiego, Mariana Kowalskiego, Józefa Witkowskiego, a także opisuje działalność Jana Heweliusza, katalog „Theatrum Cometicum" Stanisława Lubienieckiego i historię odkrycia przez Kazimierza Kordylewskiego pyłowych księżyców Ziemi.

T. Zbigniew Dworak

Willy Ley: *W niebo wpatrzeni*. Przełożyli: Ewa Kolińska i Bolesław Orłowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1984. Cena 500 zł.

Popularyzator w ekstazie

Kto to powiedział, że książki zawsze przychodzą u nas za późno, a czyny za wcześnie...? Istnieje wiele dzieł lepszych od „Fletu z mandragory" i znacznie bardziej godnych aforyzmu Kazimierza Wyki, ale pozycji Łysiaka też bym nie lekceważył. Książkę opowiadającą o mitycznym państwie policyjnym kończył Łysiak w roku 1978; rzecz ukazała się trzy lata później. Podobny los dotknął w tym czasie innych autorów próbujących się mierzyć metodą fantastyczną z niedolami homo politicus. Jednocześnie książka Łysiaka – nieforemna i egzaltowana, baśniowa i realistyczna, budująca świat historyczny i współczesny zarazem – mało przypomina klasyczne dystopie, jakie równolegle pisali Wnuk-Lipiński, Żwikiewicz, Oramus, Wolski czy Zajdel.

Łysiak pasuje do nich i nie. Ten człowiek-orkiestra popularyzacji historycznej, reportażu, kryminału, a także science fiction proponuje nam rzecz o sadyźmie, przemocy policyjnej i manipulacji. Jednocześnie do pewnego momentu wygląda książka jak smakowita tych łajdactw apoteoza. Niby jest to powieść, ale trudno chwilami nie potraktować jej jak szaleńczego montażu barwnych epizodów z dziejów świata i historii sztuki. Nie jest to więc fantastyka technologiczna, ortodoksyjna. Trudno też zaliczyć książkę do fikcji Borgesowsko-D'Ormesonowskiej. Jest na to Łysiak zbyt stylistycznie niepowściągliwy, pisze miejscami pokrętnie, żurnalistycznie, żeby nie powiedzieć – na kolanie.

Książka jest i zarazem nie jest anachroniczna. Bywało, że niosła intuicje wyprzedzające swój czas, bywało, że czas ją dublował. W roku 1978 mogło się autorowi wydawać, że odsłania najistotniejsze mechanizmy rzeczywistości; po trzech latach, kiedy książkę rzucił na rynek „Czytelnik", publiczność była zajęta czymś zgoła odmiennym od obsesji dręczących cynicznego policjanta. Teraz, kiedy rzecz wznowił KAW, ozdobioną w dodatku reprodukcjami Böcklina i innych nadrealistów, odsłania się przed nami „Flet z mandragory" jako krzykliwy surrealistyczny dance macabre.

Problem zła w historii to sprawa sękata, na której łamali zęby pisarze, filozofowie, praktycy tężsi od Łysiaka. Kto może mówić tu o sukcesie? Szekspir z „Otellem" i „Ryszardem III", może „Makbetem"; Dostojewski z „Biesami", Lagerkvist z „Karłem"... jako przykładami zła jednostkowego. Ze złem socjalnym, systemowym borykali się Orwell, może Zinowiew, zapewne Conrad, Witkacy, może Huxley... Zawsze jednak ryzykowali zarzuty, że ich wizje upraszczają i schematyzują zawikłany kształt zbiorowego diabelstwa. Podobnie zresztą jak anielstwa. Kłopot w tym, że w racje zła wniknąć dość trudno, wszelkie racjonalizacje mogą tu zawodzić, zło jest często bezinteresowne, działa na swoją niekorzyść, bywa tożsame z obłędem. Nieśmiałe dobro z kolei w walce ze złem potrafi wznieść się na szczyty heroicznej świętości. Pisarze ruszają na te tajemnicze wody zdając się na intuicję, obserwacje i wyobraźnię... Łysiak uprościł sobie zadanie. Ciemne ścieżki zła pokazał cytując obficie przykłady z historii. Obłęd zastąpił banalną kalkulacją: *„Kiedy na koniec zrozumiałem, że lepiej być młotkiem niż gwoździem – wstąpiłem do policji"*. Oto wyznanie narratora, węzłowe zdanie książki. Wiem, że brzmi ono efektownie, ale nie sądzę, by trafiało w sedno.

Atmosferę „Fletu..." budują dygresje. Autor nurza się w historycznych casusach, opisuje dzieła sztuki; łajdactwo, cynizm, sadyzm wszystkich epok defilują przed czytelnikami, opisane żwawym piórem (trudno rzec – zgorszonego czy podnieconego) narratora. Nie żal Łysiakowi stron na powtarzanie anegdot, na rozwlekłe opisywanie anatomii kota, krwiożerczości piranii czy psychiki małpy. Wszystkie te dygresje rozsadzają narrację, odciągając nas od powieści o kręgu władzy, o spisku w dziwnym państwie, w którym prezydent tak bardzo oddalił się i oddzielił oprawcami od poddanych, że kiedy utracił życie, nikt tego nawet nie zauważył.

Narrator powieści jest policjantem, sadystą, a jednocześnie jest to postać świadoma siebie, swoich motywacji i swego miejsca w kulturze i świecie. Łysiak ma na jej temat mało do powiedzenia od siebie, nie wymyśla metafor (jak ta o uśmiechu poszerzonym brzytwą), toteż musi je, podobnie jak motto, pożyczać od Lautremonta. W ogóle dużo tu zapożyczeń. Wszystkie one skwapliwie apelują do świadomości potocznej. Sługa władcy = kanalia = sprzedawczyk = cynik. Poczciwy Sienkiewicz, do którego „świata ułatwionego" mieli pretensje i Prus, i Brzozowski, i Gombrowicz, potrafił skomplikować takie sytuacje. Pokazał przecież pana Charłampa służącego niegodziwemu Radziwiłłowi z ... miłości. I pana Andrzeja Kmicica, który szedł na pasku tegoż Radziwiłła, bo mu, primo – zamącono w głowie szczególnie pokręconym patriotyzmem, a secundo – związano ręce przysięgą. Nie przesądzam, które przypadki są częstsze; pozwolę sobie mieć zdanie, które są ciekawsze dla literatury.

Łysiak tymczasem, bardziej niż literaturą, wydaje się być zafascynowany budową barwnego panopticum – jest to królestwo nieumiarkowania, mieszanina kiczu, erotyzmu, sadyzmu i smaku bardzo wyszukanego. Mimo to, padają tu sądy trafne i adekwatne do współczesności, jak np. ten o „cywilizacji telefonów", w której niegodziwe dyspozycje przekazuje się „na gębę" za pośrednictwem elektroniki. Łysiak daje czytelnikom złudzenie, że kontaktują z całą prawdą i nareszcie unieśli głowy do poziomu prawdziwych problemów epoki.

Częściowo jest to prawda. Ale Łysiak krzywdzi także tę publiczność, co uświadomiłaby sobie łatwo, analizując na przykład jego aforyzm o młotku, czy ten pozornie klarowny rachunek społeczny, że *„lepiej być młotkiem niż gwoździem"*. Skoro „lepiej", czemu gwoździe tak licznie się plenią? Autor zajęty mnożeniem okropności pomija jakąś wartość, jakiś dramat publiczny i jednostkowy i nie wiem czy ostatnie mądrzejsze strony powieści mogą wyrównać ten niedostatek? Tak więc zalety powieści są jej wadami. Zawiera mnóstwo kulturowego materiału, który nie wtopił się w materię książki. Podejmuje istotne problemy jednostki i społeczeństwa, rozprawia o nich jednak hałaśliwie i połowicznie. Opowiada o policyjnym-inwigilacyjnym obłędzie, jest to jednak obłęd wydumany, nieautentyczny. Prezentuje wreszcie parę demonicznych postaci, ale poprowadzonych retorycznie, papierowo.

Wiele się można od Łysiaka dowiedzieć, wiele sobie za jego sprawą uświadomić. Kiedy jednak potrząsnąć książeczką na sitku, to co na nim zostanie będzie przede wszystkim powtórzeniem, cytatem i rezonerstwem popularyzatora, który wprawia się w niekontrolowane ekstazy. Nie polubiłem, jak widać, tej książki, ale jednocześnie, przyznaję, przeczytałem ją z zainteresowaniem i pasją. Mam nadzieję, że przeciera jakieś szlaki, że wyłamuje drzwi wiodące ku podobnym dokonaniom – dojrzalszym, pogłębionym i lepiej wyważonym artystycznie.

Maciej Parowski

Waldemar Łysiak: *Flet z mandragory*. KAW, Warszawa 1984. Cena 90 zł

O wyobraźni

Książka Małgorzaty Baranowskiej „Surrealna wyobraźnia i poezja" zasadniczo traktuje o sposobach ujawniania się w polskiej poezji międzywojennej wyobraźni nadrealistycznej. Ale w istocie rzeczy dotyczy tego tylko druga część tomu, w którym autorka przeprowadza interesujący wywód na temat cech charakterystycznych wyobraźni w rozumieniu surrealistów, źródeł ich pojmowania wyobraźni, a także wpływu, jaki wyobraźnia surrealna wywierała i wywiera nadal na literaturę i refleksję o literaturze.

Udało się Baranowskiej (co słusznie podkreśla w cytowanej recenzji wewnętrznej Jerzy Ziomek) uniknąć niebezpieczeństw związanych ze ściśle historyczno-literacką periodyzacją, z doszukiwaniem się ortodoksyjnie surrealistycznych postaw u polskich poetów międzywojennych, gdyż takie tam nie występowały. Nie było nadrealizmu w rozumieniu prądu literackiego, nie istniała grupa artystów, którą można by było skojarzyć z surrealizmem, ale w twórczości kilku wybitnych poetów pojawiła się wyobraźnia surrealistyczna (Wat, Stern, Ważyk, Brzękowski...).

To, co Baranowska pisze o wyobraźni surrealistycznej ma szczególną wagę. Na ogół bowiem nie uświadamiamy sobie, jak głęboki i trwały wpływ wywarł surrealizm na kulturę dwudziestowieczną. Tu nawet nie chodzi o takie „drobiazgi" jak to, że André Breton odkrył dla nas twórczość Horace'a Walpole'a, ale o to, iż surrealizm stworzył nowy sposób myślenia, wskazał na zupełnie nowy dla sztuki teren, jakim była wyobraźnia.

Tworząc swoją koncepcję wyobraźni, surrealizm skupił bardzo różne wątki myślenia o wyobraźni – najważniejsze zasygnalizować można nazwiskami: Kant, Blake, Coleridge, Schelling. Chodziło mu głównie o ujęcie pełni ludzkich doznań w kontakcie ze światem zewnętrznym i wewnętrznym. W momencie startu surrealistów uświadomiono sobie z przerażeniem, że świat, przestrzeń zewnętrzna, w której ludzie żyją, jest tak skomplikowana i niejasna, że przestaje budzić zaufanie – artyści zaczęli więc tworzyć przestrzeń wewnętrzną, łudząc się (to wiemy dziś), że będą tam mogli czuć się pewniej. Poszli za wskazaniami Blake'a twierdzącego – jak referuje Baranowska – że pełnia i jedność świata może się zrealizować tylko w wyobraźni. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest powszechne dzisiaj odczucie zatarcia się granic pomiędzy tym, co realne i wyobrażone. Nie muszę chyba podkreślać, jak dzięki temu wzbogacił się nasz świat, a ściślej: nasze doświadczanie świata. Na tym przygranicznym obszarze szczególnie dobrze czuje się współczesna fantastyka, ta, która wyzwoliła się spod przymusu technologicznej dosłowności.

Są pisarze – chociażby Ballard – którzy całkiem świadomie nawiązują w swej twórczości do surrealizmu, swobodnie oddając się grom wyobraźni, o której Bachelard pisał: *„Wyobraźnia (...) jest zdolnością kształtowania obrazów, które przekraczają rzeczywistość. (...) Jest ona zdolnością nad-ludzką"*. Są jednak pisarze, a takich jest niestety większość, którzy potwierdzają stawianą niekiedy diagnozę, iż fantazja nie jest twórczą właściwością ludzkiego umysłu, a jest tylko sposobem *„manipulowania gotowymi, zastanymi w naturze, ideami i przedmiotami"*. Umysł ludzki może je zestawiać w najróżniejszych konfiguracjach, by uczynić z tego twórczość, trzeba właśnie posłużyć się wyobraźnią, która otwiera niezwykłe przestrzenie, pozwala ogarnąć to wszystko, co rozgrywa się w i pomiędzy „ja" i „nie-ja".

Zabrzmi to może paradoksalnie, ale literaturze fantastyczno-naukowej potrzeba przede wszystkich wyobraźni, bez której obsuwa się wciąż w regiony sztuki drugo – czy trzeciorzędnej, przestaje być niespodzianką lub „szansą" niespodzianki.

Leszek Bugajski

Małgorzata Baranowska: *Surrealna wyobraźnia i poezja*. Czytelnik, Warszawa 1984. Cena 220 zł.

Irzykowski Karol (1873–1944)

Krytyk literacki, prozaik, poeta, dramaturg

Urodził się 23 stycznia 1873 roku w Błaszkowej (powiat pilźnieński) w środowisku ziemiańskim. Syn Czesława i Julii z Ławrowskich. Studiował germanistykę na Uniwersytecie Lwowskim, której nie ukończył z powodu trudności materialnych. W roku 1894 został nauczycielem szkół średnich: dwa lata przebywał w Brzeżanach, później wyjechał do Lwowa (1896), gdzie pracował jako sprawozdawca sądowy i parlamentarny. Był dziennikarzem w czasopismach lwowskich, m.in. w „Przeglądzie Politycznym, Społecznym i Literackim". Nawiązał liczne przyjaźnie z przedstawicielami tamtejszego środowiska literackiego: Leopoldem Staffem, Jerzym Żuławskim, Ostapem Ortwinem, Stanisławem Womelą. W roku 1908 przybył do Krakowa podejmując pracę jako urzędnik w rządowym Biurze Korespondencyjnym oraz w dzienniku „Nowa Reforma". W tym samym roku, uczestnicząc w sądzie partyjnym PPS, wystąpił w obronie Stanisława Brzozowskiego posądzonego o współpracę z ochraną. Okres pierwszej wojny światowej spędził w Warszawie. W latach 1919–1933 był kierownikiem biura stenografii Sejmu i Senatu. Przeniesiony w roku 1933 na emeryturę wskutek odmowy podpisania adresu hołdowniczego do Józefa Piłsudskiego poświęcił się pracy krytyczno-literackiej. W roku 1924 nawiązał współpracę z „Wiadomościami Literackimi", lecz nieporozumienia w zespole redakcyjnym spowodowały jego odejście. Był sprawozdawcą teatralnym i literackim „Robotnika" (1921–1934) oraz tygodnika „Trybuna". W roku 1928 (wspólnie z Wacławem Borowym i Tadeuszem Boyem-Żeleńskim) otrzymał nagrodę Polskiego Towarzystwa Wydawniczego za działalność krytyczną – jednak nagrody tej nie przyjął. Pięć lat później (1933) został powołany do pierwszego składu Polskiej Akademii Literatury (obok Wacława Sieroszewskiego, Leopolda Staffa, Zofii Nałkowskiej, Tadeusza Boya-Żeleńskiego i Juliusza Kleinera). Współpracował z „Pionem" (1933–1939), prowadził dział dramatu w „Roczniku Literackim". W Polskim Radiu wygłaszał opinie na temat nowości literackich. W czasie okupacji hitlerowskiej utrzymywał się z wykładów stenografii w Wyższej Szkole Lipińskiego i Liceum Warcholowej w Warszawie. Ranny w czasie Powstania Warszawskiego zmarł 2 listopada 1944 roku w szpitalu w Żyrardowie i tam też został pochowany.

Debiutował wierszem „Wśród nocy" drukowanym w „Kronice Społecznej i Literackiej" (1894/4). Był autorem kilku tomów krytycznych zaliczanych do czołowych wydarzeń dwudziestolecia międzywojennego: „X muza" (1924, pionierskie szkice o filmie), „Czyn i słowo" (1913), „Walka o treść" (1929), „Beniaminek. Rzecz o Boyu Żeleńskim" (1933), „Słoń wśród porcelany" (1934). Mistrz i nauczyciel krytyków pokolenia 1910 wchodzącego w ówczesne życie literackie (m.in. Kazimierza Wyki, Ludwika Frydego). Przekładał prace F. Hebbla („Dzienniki", 1911); wydał Brzozowskiego studia o Wyspiańskim (1912), opracował jego „Legendę Młodej Polski" (VIII tom, „Dzieł wszystkich", 1937). W roku 1890 ukazał się dramat Irzykowskiego „Na pełnym morzu", a w roku 1907 „Dobrodziej złodziei" (komedia w pięciu aktach napisana przy współpracy z Henrykiem Mohortem). Pokrewną tematom Freuda i Adlera, wyprzedzającą technikę narracji Prousta okazała się słynna „Pałuba. Sny Marii Dunin" (1903), pierwsza w naszej literaturze powieść o charakterze autotematycznym. W roku 1906 wychodzą w Krakowie „Nowele" – Karola Irzykowskiego; tom drugi – „Spod ciemnej gwiazdy" zostaje wydany w Łodzi w roku 1922. W ciągu całego życia autor „Pałuby" zamieścił setki artykułów krytycznych w „Maskach", „Museionie", „Krytyce", „Kurierze Literacko-Naukowym", „Nauce i Kulturze", „Pro Arte", „Studiu", „Sygnałach", „Życiu i Sztuce", „Życiu Literackim" i wielu innych czasopismach.

Rozległość zainteresowań krytycznych Irzykowskiego sięgająca różnych koncepcji fantastyki dała się zauważyć podczas oceny nowel Stefana Grabińskiego (zob. „Fantastyka" 1982/3). Autor „X muzy" polemizował z Grabińskim przez czas dłuższy, wywołując żywą reakcję pisarza (por. szkic zamieszczony na łamach „Pamiętnika Literackiego" 1925/26). Irzykowski był również promotorem nagrody literackiej miasta Lwowa, którą Grabiński otrzymał w roku 1931. Co istotniejsze, autor „Czynu i słowa" okazał się nie tylko bacznym obserwatorem fantastyki, ale i sam ów gatunek uprawiał. Wydał: **„Nowele"** (Kraków 1906; wyd. 2 – Stanisławów 1908; zawartość: Wycieczka w świat daleki, Diurnista, Wielki jeździec, Pogrzeb, Wróg i nieprzyjaciel, Czym jest Horla?, Małżeństwo Maran, Okno, Nasz kraj, Metamorfozy Mojskiego oraz zbiór **„Spod ciemnej gwiazdy"** Łódź 1922; wyd. 2 – 1958 – wybór nowel pod tym samym tytułem; zawartość: Wielki jeździec, Pogrzeb, Wróg i nieprzyjaciel, Okno, Metamorfozy Mojskiego, Almanzor, Dukat, Arka, Wagon astralny, Melodia Janki, Kowadło Morda, Pyriphlegethon). W roku 1913 pod pseudonimem J e r z y K o w s k i ukazuje się również szkic „W przestrzeniach czasu. Opowiadanie fantastyczne na tle krakowskich stosunków".

W swoich zbiorach nowelistycznych Irzykowski kontynuował dialog z twórczością Stefana Grabińskiego, publikując humorystyczną opowieść „Wagon astralny" będącą pastiszem tekstu „W przedziale" (zob. „Demon ruchu", 1922). Czerpał również otwarcie z rekwizytorni fantastyczno-naukowej nawiązując do podróży w czasie i przestrzeni (nowele: **„Wycieczka w świat daleki", „W przestrzeniach czasu")** gdzie wyprawiał swych bohaterów w przeszłość umieszczając ich we wnętrzu wehikułu temporalnego. W ostatnim z cytowanych utworów Irzykowski, w sposób sobie tylko właściwy, przytacza sparodiowany, ale utrzymany w konwencji „romansu scjentyficznego" opis „cudownego wynalazku":

„Pośrodku obszernej platformy stał na drewnianym rusztowaniu fantastyczny kolos okryty nieprzemakalnym płótnem. Do ośmiometrowego mosiężnego kadłuba w formie cygara lub torpedy przyczepione były po obu bokach olbrzymie stalowe skrzydła (...), w kadłubie znajdowały się motory elektryczne, aparat ruchu i kajuta opatrzona dwoma okienkami z grubego szkła. Na przedniej ścianie kajuty umieszczono tablicę z kilkunastoma guziczkami i dźwigniami, które służyły do manewrowania statkiem. Przyciśnięcie odpowiedniego guzika lub poruszenie dźwigni wprawiało motory w ruch, powodowało wznoszenie lub opuszczanie się statku, służyło do sterowania i wykonywania wszelkich ruchów. Sam aparat ruchu, umieszczony w sąsiedniej kabinie, złożony był z całego systemu precyzyjnie obrobionych kółek, dźwigni i cylindrów, wiążących się ze sobą ku jednemu celowi. Siłą motorową i siłą wynalazku była elektryczność atmosferyczna, czerpana z powietrza w dowolnej ilości za pomocą odpowiednich przyrządów".

Fantastyka pełni w twórczości Irzykowskiego rolę szczególnie ważną. Wiąże się przede wszystkim z kategorią „myśli projektującej", która wyznacza nowe zadania dla rozumu, świadomości człowieka zajmującego się nie tylko opisem aktualnej rzeczywistości, ale przewidującej jej przyszły kształt i wygląd. *„Stąd właśnie* – twierdzi W. Głowala – bierze się aprobata Irzykowskiego dla różnych utopii i legend społecznych, konstrukcji opartych na wyobrażeniach o przyszłości [illegible]". Zdaniem Irzykowskiego literatura powinna pełnić funkcje antycypujące, przedstawiając, w miarę możliwości, doskonalsze stosunki między ludźmi i lepszą wiedzę o nich. Z tym postulatem wiąże się jej funkcja kompensacyjna: sztuka musi dostarczać takich wartości, jakich aktualnie nie ma, lecz które są potrzebne i pożądane. *„Utopia* – wnioskuje Irzykowski – *to nie jest koniecznie coś niemożliwego, nie jest to kwadratura koła ani perpetuum mobile. O utopii stanowi to, że nie można jej środkami ludzkimi wcielić w życie, ale ona sama, gdyby się przypadkiem narodziła, żyć by mogła".* Pojęcie antycypacji twórczej przenosi Irzykowski na grunt oceny literackiej. *„Krytyka* – twierdzi – *powinna odgadywać twórczość, której nie ma i opisywać ją".* Innymi słowy musi twórczość tę projektować. Jak słusznie zauważa Andrzej Lam: *„Autor »Pałuby« uznaje za prawo krytyka wpisanie własnego dzieła w dzieło autora i czyni to tak skutecznie w skali całej literatury polskiej, że tworzy drugi system literatury i m a g i n a c y j n e j* (podkr. moje – A. N.), *wobec tej rzeczywistej konkurencyjny. Dzięki temu łatwiej sobie wyobrazić jak mogłaby ona wyglądać i obserwować dzieła istniejące w pryzmacie tej imaginacji".*

W swoich tekstach odtwarza zatem Irzykowski repertuar możliwych rozwiązań, z którego czerpał autor i zachowując wyjściowe założenia poprzednika nadaje jego wypowiedzi nowy, bardziej odkrywczy sens. Tym samym odsłania uległość wzorca wobec wymogów konwencji literackiej (zob. np. „Wagon astralny"). Nowatorstwo w literaturze – dowodzi Irzykowski – zależy od wymiany szablonów niezdolnych do wywoływania wrażeń estetycznych na rozwiązania szokujące swą nowością.

Taki charakter nosi, zamieszczona na „Pożółkłych kartkach", nowela „Arka", która demaskuje popularne zachowania, postawy, mity katastroficzno-literackie z przełomu wieków nawiązując do ówczesnych polemik światopoglądowych, artystycznych i ideologicznych. Konwencja „romansu naukowego" – dostrzegalna dziś, z perspektywy lat kilkudziesięciu – jest tu rodzajem kostiumu służącego wyrazistszemu zarysowaniu tendencji rozrachunkowych, przeciwstawieniu programom młodopolskim własnej, *„jedynej, niezafałszowanej i programowo katastroficznej racji istnienia".*

Uzupełniając ten skrócony portret krytyka i pisarza warto dodać, iż autor „Arki" był również tłumaczem opowiadań Ludwika Mevesiego „Juliusz Verne w piekle" (Lwów 1925), a w jednym ze szkiców poświęconym wyobrażeniom przyszłej ludzkości przypomniał koncepcję francuskiego prekursora SF – A. Robidy („Książka – Matka" – szkic scenariusza; zob. K. Irzykowski, Nowele, „Pisma pod redakcją A. Lama", Wyd. Literackie Kraków 1979).

Bibliografia wybrana

O g ó l n a:

– K. Wyka: *Karol Irzykowski* (w:) „Polski Słownik Biograficzny", t. X.

– A. Lam: *Irzykowski po latach.* (w:) „Przegląd Humanistyczny" 1958/2.

– T. Burek: *Cztery dyskusje Karola Irzykowskiego. Prolegomena.* (w:) Problemy literatury polskiej lat 1980–1939, seria I, Wrocław 1972.

– A. Lam: *Wstęp* do: K. Irzykowski „Czyn i słowo". Wyd. Literackie, Kraków 1980.

R e c e n z j e z „N o w e l" (1906):

– W. Gomulicki (w:) „Kraj" 1906/43.

– A. Drogoszewski (w:) „Książka" 1907/8.

– J. Lorentowicz (w:) „Literatura i Sztuka" 1907/1.

– W. Morawski (w:) „Krytyka" 1907/1;

– H. Willman-Grabowska (w:) „Książka" 1908/6.

R e c e n z j e z t o m u „S p o d c i e m n e j g w i a z d y" (1922):

– E. Czekalski (w:) „Świat" 1922/32;

– Z. Dębicki (w:) „Kurier Warszawski 1922/255;

– S. Grabiński (w:) Kurier Lwowski" 1922/163.

– L. Piwiński (w:) „Przegląd Warszawski" 1922/10.

– M. Smolarski (w:) „Gazeta Warszawska" 1922/168.

ARKA

Karol Irzykowski

Od setek lat spostrzegano, że Ziemia starzeje się w tempie coraz szybszym. Obliczono dosyć dokładnie, że ilość wody zmniejsza się w takiej mierze, że za 25 000 lat zupełnie jej zabraknie. Nie tylko nawodnienie Sahary się nie udało, lecz nadto w środku każdej części świata porobiły się nowe piaszczyste pustynie, powiększające się na globie ziemskim na kształt wielorakiej łysiny. Zjawiska te przypisywali jedni powstaniu nowych plam na Słońcu, powszechniejszą była jednak hipoteza, że wskutek coraz szybciej entropii rozprasza się zapas energii zawartej w Ziemi. Tę hipotezę zdawał się też potwierdzać zanik życia organicznego. Nie tylko w świecie roślinnym i zwierzęcym zauważono ubytek momentów mutacyjnych, tych nagłych szarpnięć woli biologicznej ku wyższym stopniom rozwoju, także ludzkość marniała (...). Siła rozrodcza przygasła, ludzkość niwelowała się do miary przeciętnej pod względem cielesnym i umysłowym i coraz mniej było geniuszów, którzy by ludzkość ratowali albo przynajmniej pocieszali i krzepili wobec nadchodzących wieków trwogi (...).

Zaczęła Ziemia żyć wspomnieniami o własnej przeszłości i rozpaczą o przyszłości i powoli wykluła się, naprzód przez romansopisarzy, potem przez uczonych pielęgnowana myśl, by z niegościnnej już planety przenieść się na Wenus. Ta myśl przez wieki zmieniła się z marzenia w nieodwołalną konieczność, około której skupiały się wszystkie dążenia. Połowa ludzkości zajęła się problemami inżynierskimi, gdyż należało za wszelką cenę urzeczywistnić utopijny plan. Wszystko poza tym straciło znaczenie, bo któż by wytwarzał jakie dobra kulturalne, jeżeli nie ma pewności, jak długo one potrwają i komu i na co się przydadzą. Bo dzięki wysokiemu rozwojowi nauki, historii ludzkość nauczyła się żyć olbrzymimi perspektywami dziejowymi (...). Na wszelki wypadek postanowiono rozporządzaną energię motoryczną Ziemi koncentrować w olbrzymich akumulatorach, z wyjątkiem tej, która była konieczną do opędzenia potrzeb codziennych. To nie było łatwym, gdyż gromadzenie jej groziło katastrofami i już z góry ogarniała obawa na myśl, co się stanie, gdy siłę tych wszystkich akumulatorów trzeba będzie sprowadzić na jeden punkt (...). Wynurzył się wtedy projekt młodego inżyniera polskiego, który obmyślił specjalny moździeż elektryczny do wyrzucenia pocisku w przestworza. Po przedostaniu się poza atmosferę ziemską pocisk miał sam się poruszać i kierować dzięki nagromadzonej w nim energii ziemskiej. Natrafiwszy na atmosferę Wenus miał wyzwolić w sobie jeszcze jedno wstrząśnienie i przebić nim tę skorupę. Moździeż miano ustawić koło wodospadów Iguassu, aby wyzyskać ich siłę wodną, nadto ze wszystkich stron świata miały tam być dowiezione akumulatory lub też miano tam doprowadzić ich siłę za pomocą przewodów. W chwili wystrzału elektrycznego cała ta energia miała się przenieść w żyły pocisku i odtąd już tylko jemu służyć.

Projekt ten zrazu nie został przyjęty oficjalnie, lecz zapalił swoją fantastycznością tyle serc i głów, że pod naciskiem opinii publicznej, którą od tej pory zawładnęło stronnictwo romantyczne – rządy ustąpiły. Niesłychany entuzjazm ogarnął wszystkich na wieść, że projekt ma być wykonany. Każdy śpieszył, by dorzucić choćby najmniejszą jednostkę siły do wielkiego dzieła (...) zbawczego pocisku, który już się robił na oczach wszystkich, a któremu nadano imię „Nadzieja”.

Ale teraz równocześnie z przygotowaniami do podróży powstało pytanie, kto mianowicie i co ma być przewiezione (...). Wszczęły się spory i dyskusje nieskończone. Rozstrząsano rzecz na kongresach, urządzano plebiscyty. Zgodzono się na to, że wszystkie dotychczasowe wynalazki w modelach i opisach mają być w pocisku umieszczone, międzynarodowa komisja ułożyła historię Ziemi, ale największe zatargi wybuchały, co do tego, które dzieła sztuki ma się uznać za nieśmiertelne czy też godne nieśmiertelności.

Nadto miano wybrać dwunastu najdorodniejszych młodzieńców rasy białej i żółtej i takąż liczbę dziewic w celu przyszłego rozmnożenia ludzkości na naszej gwieździe, która pięknymi wieczorami pełna uroku wschodziła na horyzoncie mrugając brylantowymi rzęsami ku stęsknionym ku niej ludziom i ku warsztatowi, w którym się kuła „Nadzieja”.

Było tylko jedno nieliczne stronnictwo, które wyszydzało te zabiegi około przyszłości. Uczyło: niech Ziemia da innym planetom spokój, niech nie narzuca im marności swoich, a zostawi im rozwój swobodny i niezależny. Może tam żyją już jakieś inne istoty rozumne, dla których my będziemy natrętnymi pluskwami. Korzystajmy raczej z tych ostatnich wieków na Ziemi po to, aby otoczyć swój zgon jak najpiękniejszą aureolą, umrzeć we własnej chwale, aktorzy i jedyni widzowie zarazem. Niechaj się dopełni los Ziemi.

Tych ludzi zrazu prawie nikt nie słuchał, nazwano ich Bankrutami (...).

I Bankruci mieli swoją poezję i poetów. Niekoniecznie w ścisłym związku i zgodzie z najgłębszymi misteriami swej grupy uprawiali oni i rozwijali legendę o Ostatnim Człowieku. Odgadywano wyobraźnią jego wrażenia, myśli, postać. A obok poetów zagnieździli się spirytyści wywołujący duchy przeszłości. Chodziła wieść, że tu i ówdzie pokazywał się Ostatni Człowiek. (...)

Zbliżył się wreszcie dzień przełomowy, witany drżeniem wszystkich serc. Miejsce skąd miała się wznieść „Nadzieja” otoczyło tysiące ludzi w szerokim łuku amfiteatralnym. Metalowy pojazd błyszczał wspaniale na rusztowaniu, na jego iglicy sztandar tęczowy.

Wśród głosów muzyki i oklasków wprowadzono odważnych i zadumanych trochę pasażerów. Kłaniali się na wszystkie strony, wkładając w ten niemy gest podziękowanie za bezcenny zaszczyt.

Polak przemówił do nich uroczyście:

– Pierwsza księga Ziemi opowiada, że kiedy nastał potop Noe zbudował arkę, aby ocalić ród ludzki. Ziściłem starą legendę i ofiarowuję wam...

W tej chwili rozległ się na wzgórzu, w ostatnich rzędach tłumu, dziwny krzyk, w którym mieszał się jakby jęk dziecka z rzężeniem śmiertelnym starca: był to wielki Starzec z białą głową i brodą, o pięknych i mądrych rysach, ale zniszczony zupełnie i wychudły, ubrany w rozstrzępione łachmany (...).

– Skąd przybywacie? – rzekł. – Czyście anioły czy ludzie? Tu mieszkam ja samotny, Ostatni Człowiek Ziemi, od tak dawna i umrzeć nie mogę. Nie puszczajcie mnie, trzymajcie mnie mocno za dłonie, abym wierzył, że nie jestem sam (...).

– Gdzie jesteś starcze? – zapytał Polak.

– Gdzie jesteś – ktoś mnie pyta. – Na wybrzeżu. U stóp moich morze.

– Jakie morze?

– To jest morze pamięci.

– Uciekaj.

– Uciekam na dzikie góry, uciekam przez opuszczone miasta, ale wszędzie wychodzę znowu nad morze pamięci.

– A czy widzisz tam „Nadzieję”?

– Zaczekaj – widzę! Była!

– Więc oto masz nasze dłonie!

Dźwignęli go i przejrzał, a zobaczywszy ich, stał się na nowo śmiesznym jak dziecko, uczepił się szyi, płakał, całował.

– Napatrz się, napatrz, staruszku!

Ukląkł przed „Nadzieją”, dotykał jej drżącymi rękami.

– A teraz dosyć – rzekł inżynier – ustąp starcze, młodość rozpoczyna działanie.

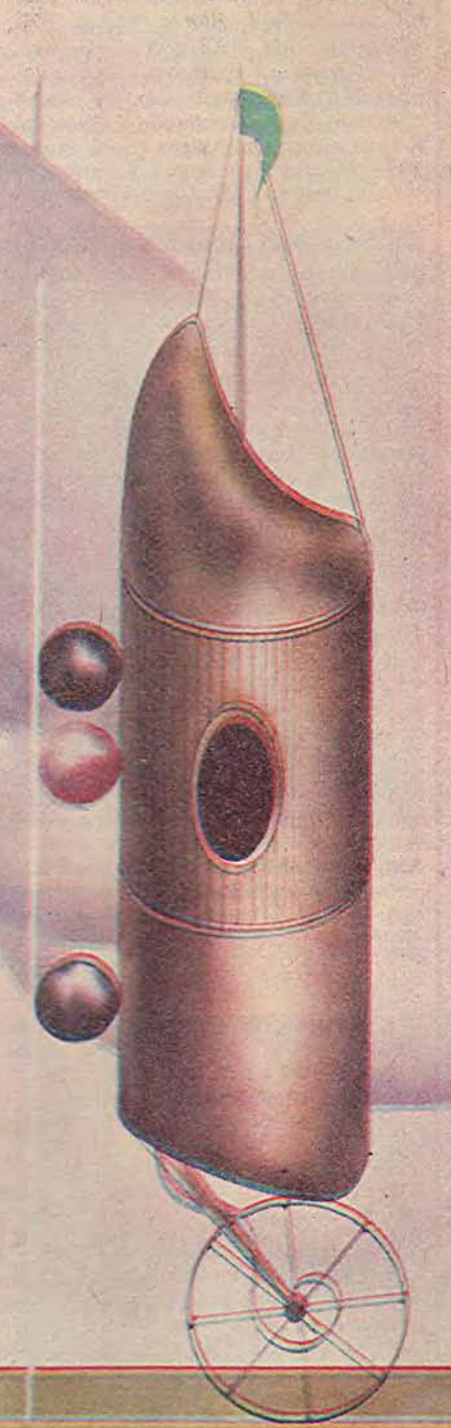
Ale ów trwał w uporze i przywarły piersią do „Nadziei”, ruszyć się nie chciał (...).

Próbowano go odepchnąć, szydzono i szturchano. Bił się rozpaczliwie, wreszcie na kolanach sunął do inżyniera błagając:

– Weźcie mnie z sobą!

– Głupstwo! Precz z nim!

Wtem spośród tłumu wystąpił ten, którego znano jako przywódcę Bankrutów, a który dotąd zawsze ukrywał się przed o-



Andrzej Brzezicki

dokończenie na stronie 58

dokończenie ze strony 57

kiem władz. Przemówił coś po cichu i przenikliwie do inżyniera, a ten widocznie draśnięty do głębi, odskoczył i głośno odparł:

- Nieprawda! Nieprawda! Uratujemy Ziemię! Przeniesiemy ją tam! Zeskamotujemy wasz koniec świata! Bierzemy go ze sobą!

Na te słowa jeden z przyszłych Adamów i jedna Ewa przybiegli i wzięli staruszka pod ramiona i wprowadzili do swego grona. Zamknęły się drzwi. Wszystko było gotowe. Zbliżyła się chwila astronomiczna. Wpadły w ruch wirowy koła aparatu, nagięła się w niesłychanym wysiłku sprężyna, wykuta zbiorową wolą milionów...

Pod naporem tej woli pomknęła „Nadzieja" w górę, lecz przebiegłszy kilkanaście metrów na powrót opadła na miejsce wzlotu. Cieżki okrzyk gniewu i rozpaczy wypadł z piersi tłumu, Polak pośpieszył z pomocą na rozstrzygające miejsce. Znikł w sieci rusztowań jak pająk. Zbadał od razu cały aparat elektryczny, nigdzie nie było żadnego błędu, nic się nie popsuło, mimo to machina, wbrew prawom fizyki nie wypychała pojazdu. Polak zasępił się. Koledzy spojrzeli ku niemu bezradnie. Poszeptawszy ze sobą orzekli, że pocisk jest widocznie za ciężki. Polak machinalnie, bez przekonania, przytaknął. Wieść o takim wyniku narady wnet wydostała się do tłumu, który natychmiast rozwałkował ją trywialnie:

- Za ciężki, bestia!
- Ulżyć jej!
- Wyrzucić Adamów!
- Wyrzucić Ewy!
- Wyrzucić sztukę!
- Wyrzucić literaturę!

Machina balistyczna pracowała wciąż, lecz pocisk jakby przylepł (...).

Wreszcie ktoś krzyknął:

- Gdzie jest starzec?

O tym zapomniano.

Nie można go było nigdzie znaleźć.

- Ostatni Człowiek! - przypomnieli Bankruci pogrążeni w przeczuciach.

Wreszcie ujrzano go u samego stropu wewnątrz pocisku, trzymającego się rękami i kolanami z całej siły metalowej belki będącej osią arki, wspartego rozpaczliwie o jej przęsła. Zdjęto go żerdziami - a ciało jego było ogromne i ciężkie jak spiż.

Uciekli spod dzwonu pojazdu ostatni pasażerowie. Cofnął się przerażony tłum. Całe rusztowanie pod „Nadzieją" zaczęło trzeszczeć i giąć się, wreszcie runęło... „Nadzieja" z łoskotem dotknęła ziemi.

Obracała się naokoło swej osi ruchem wstecznym, wwiercała się w ziemię. Była podobna do olbrzymiego kreta, który przerażony światłem słonecznym grzebie sobie norę. Po arteriach jej cudownego ciała rozlewała się zatruta energia. Czy zatruto ją dopiero w ostatniej chwili? A może ta jedna kropla wydobyła na jaw jej właściwą chemię?

Rozleciał się tłum przerażony, porzucając miejsce klęski. Twórca statku odchylił jedną z klap jego, wskoczył do wnętrza i zamknął się. „Nadzieja" coraz szybciej wirowała, jakby wściekłą furią opętana i wgryzała się w ziemię rozsypując ją naokoło. Z pagórków przyglądali się ludzie jej tonięciu. Wkrótce znikła zupełnie. Tylko mogiła rozkopanej ziemi wskazywała miejsce, gdzie znikła Nadzieja zatruta przez Rozpacz.

W roku 1911.

„Arka" (szkic do powieści) (w:) Karol Irzykowski, Nowele, Pisma pod redakcją Andrzeja Lama, Wydawnictwo Literackie Kraków, 1979, wybór ze stron 200 - 211.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

bibliografia

1959

SF dla dorosłych (ASF):

BĄDKOWSKI L.: *Połów...* – zob. AF.
290. *BIAŁY jacht i inne opowiadania.* Aut.: Antoni Marczyński [i in.]. Katowice. Śląsk. 16° ss. 91. nlb. 1. 40 000 egz. – Złota Podkowa. – Cztery opowiadania, w tym dwa fantast.: Groński Jan Jerzy: *Atomowa śmierć Atlantydy.* (ASF) s. 15–39, oraz Marczyński Antoni: *Biały jacht.* (AF) s. 3–15.
291. BORUŃ Krzysztof, TREPKA Andrzej: *Kosmiczni bracia.* Powieść fantastyczna. Warszawa. Iskry 8° ss. 383, nlb. 4. 20 000 egz.
292. DOYLE Arthur Conan: *Trujące pasmo.* Tłum. [z ang.] Lidia Owczarzak. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 145, nlb. 2. 40 000 egz.
ĔFRĔMOV I.: *Biały...* – zob. Utopia.
293. KAIDER Wojciech: *Śmierć jest światłem.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 196, nlb. 2. 8 000 egz.
294. LEM Stanisław: *Eden.* Warszawa. Iskry. 8° ss. 265, nlb. 3. 20 000 egz.
295. LEM Stanisław: *Inwazja z Aldebarana.* Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 304, nlb. 3. 10 000 egz. + dodruk 10 000.
296. LEM Stanisław: *Obłok Magellana.* Wyd. III. Warszawa. Iskry. 8° ss. 325, nlb. 3. 20 000 egz.
OBRUČĔV V.: *Plutonia.* – zob. CJSF.
297. ŠTEFL Jiři: *Morderca dusz.* Tłum. z czesk. Jiři Janiček. Warszawa. Iskry. 16° s. 294, nlb. 2. 30 000 egz. – Klub Srebrnego Klucza.
298. *TAJEMNICA Bruce Partington i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° ss. 77, nlb. 3. 40 000 egz. – Złota Podkowa – Cztery opowiadania, w tym dwa fantast.: Doberschuetz Konrad: *Esperanta.* (ASH) s. 65–78 oraz Lekszycki Adam: *Szkarłatna iglica.* (W) s. 52–64.
299. WELLS Herbert George: *Pierwsi ludzie na Księżycu.* Powieść. Tłum. z ang. i posłowie Witold Chwalewik. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 259, nlb. 1. 20 000

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

300. BASS Eduard: *Klub jedenastu.* Tłum [z czes.] Zdzisław Hierowski. Wyd. III. Warszawa. Sport i Turystyka. 16° ss. 141, nlb. 2. 15 000 egz. – CJSF/F (właśc.: młodzieżowa satyra fantastyczna).
301. BRZECHWA Jan: *Pan Soczewka na Księżycu.* [wierszem]. Warszawa. Filmowa Agencja Wyd. 8° knlb. 16. 60 000 egz.
302. [OBRUČĔV Vladimir]: *Plutonia.* Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. z ros. Dawid Jarząbek. Wyd. II. Warszawa. Iskry. 8° ss. 342, nlb. 2, tabl. 14. 5 000 egz.; Na k. tyt. aut. A.W. Obruczew, na okł. W. A. Obruczew.
303. VERNE Jules: [Pięśset] *500 milionów hinduskiej władczyni.* Tłum. z franc. Olga Nowakowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 190. nlb. 2. 20 000 egz.
304. VERNE [Jules]: *Wyprawa do wnętrza Ziemi.* Tłum [z franc]. Ludmiła Duninowska. Wyd. I powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 310, nlb. 2. 20 000 egz. – Wyd. przedwoj. ukazały się pt. *„Podróż do środka Ziemi"* – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
***305.** WICHURA Józef: *Martwa rakieta.* Ilustr. Jerzy Świecimski. Kraków. Wyd. Artystyczno-Graficzne. 8° knlb. 32. 50 000 egz. – Nauka-Fantazja-Sensacja. (komiks).

Utopia (U):

BASS E.: *Klub...* – zob. CJSF
***306.** [ĔFRĔMOV Ivan]: *Biały róg.* [Wyd. VII lub III w tym zest.]Tłum. z ros. Marta Kowalewska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 206 nlb. 3. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Iwan Jefremow.
LEM S.: *Śledztwo.* – zob. AF.
307. [MAǍKOVSKIJ Vladimir]: *Utwory sceniczne.* W: *Utwory sceniczne. Proza.* Tłum. z ros. Anatol Stern [i in.]. Warszawa. Czytelnik. 16° s. 3–330. 3 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Włodzimierz Majakowski.
***308.** MROŻEK Sławomir: *Wesele w Atomicach.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 134, nlb. 6. 7 000 egz.
309. RABELAIS [François]: *Gargantua i Pantagruel.* T. I–II. Tłum. [z franc.] i koment. Tadeusz Żeleński-Boy. Wstęp Mieczysław Brahmer. Wyd. IV powoj. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T. I. ss. 608, nlb. 4; T. II s. 451, nlb. 5. 7 000 egz. – Biblioteka Arcydzieł. Najsławniejsze Powieści Świata. – Na k. tyt. brak imienia aut.
310. WELLS Herbert George: *Ludzie jak bogowie.* Tłum. [z ang.] J[adwiga] Sujkowska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 327, nlb. 3. 30 000 egz. – Biblioteka Powieści XX Wieku.
311. ZIELIŃSKI Stanisław: *Statek zezowatych.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 218 nlb. 2. 8 000 egz.; Większość opow. fantast.

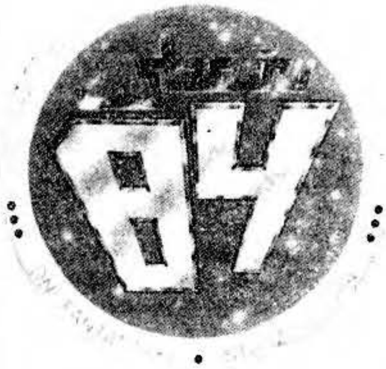
Fantazja dla dorosłych (AF):

312. BĄDKOWSKI Lech: *Połów nadziei.* Gdynia. Wyd. Morskie. 16° ss. 281, nlb. 3. 5 000 egz. – AF/ASF.
BIAŁY jacht. – zob. ASF.
313. GREEN Julien: *Gdybym był tobą...* Tłum. [z franc]. Jadwiga Dackiewicz. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 287, nlb. 1. 10 000 egz.
314. GREEN Julien: *Waruna.* Tłum. [z franc.] Felicja Bąkowska. Posłowie Julian Rogozińoski. Warszawa. Inst. Wyd. Pax 16° ss. 317, nlb. 2. 10 000 egz.
315. GRIN [właśc.: GRINĔVSKIJ] [Alĕksandr]: *Piekło odzyskane.* Tłum. [z ros.]: Seweryn Pollak, Krystyna Pomorska i Irena Piotrowska. Wstęp Seweryn Pollak. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 453, nlb. 2. 5 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Aleksander.
316. HOFFMANN E[rnst] T[heodor] A[madeus]: *Opowieści fantastyczne.* Wybór Władysław Kopaliński. Tłum. Antoni Lange [i in.]. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 471, nlb. 1. 10 000 egz. – Dzieła Wybrane. T. IV.
317. LEM Stanisław: *Śledztwo.* Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 211, nlb. 1. 30 000 egz. – AF/U.
318. STERN Anatol: *Ludzie i syrena.* Wyd. II uzup. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 286, nlb. 2. 5 000 egz.
319. ZAMBRZYCKI Władysław: *Nasza Pani Radosna, czyli Dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau.* Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 346, nlb. 2. 10 000 egz.

cdn.

Przygotował
Jacek Izworski

Dni Fantastyki STASZÓW 1984



W dniach od 4 do 7 października 1984 roku w Golejowie koło Staszowa odbyło się seminarium „Polska fantastyka naukowa w czterdziestoleciu" zorganizowane z inicjatywy redakcji miesięcznika literackiego „Fantastyka", Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, Wydziału Kultury i Sztuki UW w Tarnobrzegu oraz Klubu Miłośników Fantastyki przy Staszowskim Domu Kultury. Program seminarium obejmował prelekcje i dyskusje na temat współczesnej fantastyki naukowej, a także historii i miejsca gatunku w literaturze PRL. Temu nurtowi rozważań towarzyszyło omówienie tendencji światowego i polskiego kina SF. Odbyły się ponadto spotkania czytelników z pisarzami, krytykami, wydawcami oraz redakcją miesięcznika „Fantastyka". Imprezę urozmaicały pokazy filmów video, a także wystawa grafiki i dorobku wydawniczego science fiction czołowych oficyn polskich.

W pierwszym dniu uczestnicy spotkania odnowili ubiegłoroczne znajomości i kontakty oraz obejrzeli projekcję kilku filmów należących do klasyki światowego kina SF.

Dzień następny rozpoczął się od oficjalnego otwarcia „Dni Fantastyki" oraz rozdania nagród literackich redakcji, Rady Głównej PSMF i Oddziału poznańskiego PSMF (werdykty jury zamieściliśmy w „Fantastyce" 12/84). W imieniu organizatorów powitali zebranych: prezes Klubu Miłośników Fantastyki przy Staszowskim Domu Kultury – **Janusz Monte,** Redaktor Naczelny „Fantastyki" – **Adam Hollanek,** Prezes PSMF – **Andrzej Szatkowski.** Byli też obecni goście z zagranicy: **Heiner Rank** (pisarz i krytyk z NRD), **Zoltan Csernai** i **Szentmihalyi Szabo** (pisarze z Węgier).



Sala kominkowa w czasie otwarcia Dni Fantastyki. Fot Zbigniew Latała

O godzinie 11 w sali kominkowej Ośrodka Wypoczynkowego „Lotu" w Golejowie ozdobionej pracami graficznymi m.in. **Zbigniewa Latały,** plastyka **Ryszarda Wojtyńskiego, Bogusława Polcha** i **Andrzeja Biedrzyckiego,** rozpoczęło się seminarium krytyczne pod hasłem „Polska fantastyka naukowa: problemy teorii i historii gatunku" prowadzone przez **Andrzeja Niewiadowskiego.** W pierwszej części spotkania poświęconej tradycjom tego gatunku w Polsce oraz sprawom ogólnoteoretycznym wypowiadali się pracownicy naukowi warszawskiego ośrodka uniwersyteckiego. W krótkim wprowadzeniu do tematu – dr Andrzej Niewiadowski przypomniał najważniejsze fakty z historii rodzimej science fiction, sygnalizując możliwość wcześniejszego datowania jej początków (okres tzw. „romantyzmu krajowego"), ukazując specyfikę różnorodnych nurtów i odmian SF w XX-leciu międzywojennym oraz najnowszych losów gatunku (próba zastosowania kryteriów pokoleniowych).



Wręczenie „Złotej Sepulki 1983–1984" dla redakcji „Fantastyki" (od lewej: Adam Hollanek, Sławomir Pikuła – wiceprezes PSMF, Andrzej Szatkowski – prezes PSMF). Fot Zbigniew Latała

Doc. dr hab. **Ryszard Handke** – kierownik Zakładu Metodyki i Teorii Lektury Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, autor pierwszej rozprawy o literaturze przyszłościowej („Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki", 1969) w referacie „„Science Fiction. W poszukiwaniu tożsamości gatunku" zwrócił uwagę na tendencję rozszerzania granic SF, powiększania kręgu zainteresowań tej literatury, a co za tym idzie rozmywanie kryteriów klasyfikacyjnych, co zagraża jej dotychczasowej tożsamości. Przewartościowując znaną definicję z roku 1969 Ryszard Handke przeniósł akcent z wyróżnika technicznego na rzecz motywacji o charakterze naukowym.

Dr **Barbara Okólska** – romanistka i tłumaczka literatury SF w swoim rzeczowym, szczegółowo uzasadnionym wystąpieniu („Spór o science fiction") przedstawiła sposoby wyodrębniania gatunku SF, specyfikę tej prozy, rolę literatury fantastyczno-naukowej w procesie historyczno-literackim, przytaczając (nieznaną w Polsce) francuską i anglosaską bibliografię tematu (m.in. prace J. Van Herpa, P. Versinsa, R. Caillois).

Druga część seminarium dotyczyła wybranych zagadnień powojennej fantastyki polskiej.

Dr **Antoni Smuszkiewicz,** adiunkt Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Poznańskiego, autor pierwszego zarysu historii

ciąg dalszy na stronie 60

ciąg dalszy ze strony 59

polskiej fantastyki naukowej („Zaczarowana gra", 1982) w wystąpieniu zatytułowanym „W kręgu współczesnej utopii" zaproponował własną klasyfikację odmian gatunkowych i dokonał istotnego rozróżnienia pomiędzy kategoriami dystopii i antyutopii.

Redaktor **Leszek Bugajski**, kierownik działu krytyki „Życia Literackiego", członek kolegium redakcyjnego „Pisma", autor książki „Spotkania drugiego stopnia" podjął temat „Literatura SF wobec przemian czterdziestolecia" wskazując na uwikłania tej prozy w program realizmu socjalistycznego, jej narastającą aluzyjność, szukania zastępczych form działania wobec niemożliwości bezpośredniego opisu świata, lecz zarazem odrębność wobec zjawisk tzw. rewolucji artystycznej mimo, coraz częstszego, wykraczania poza getto literatury rozrywkowej.

Dr **Piotr Krywak**, pracownik naukowy Wydziału Filologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor popularnej monografii o twórczości Stanisława Lema (PWN, 1974) wygłosił referat „Polska fantastyka naukowa w latach 1949–1956", ustalając – na przykładzie twórczości S. Lema, K. Borunia, A. Trepki – specyfikę ówczesnego modelu tej prozy polegającej na systemie odniesień do poetyk różnych gatunków literackich (m.in. antagonistycznego układu wzorców gatunkowych w prozie S. Lema: wysokiego (baśń, bajka, epos) i niskiego (powieść kryminalna).

Redaktor **Maciej Parowski**, kierownik działu literatury polskiej „Fantastyki" w obszernym referacie zatytułowanym „Nowa Fala w polskiej science fiction" omówił sytuację literatury lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych.

W końcowych wnioskach wskazano ponownie na zauważalne rozszerzenie granic gatunku, wieloaspektowość prozy SF i uwikłanie jej w kluczowe problemy współczesności. Sugerowano konieczność specjalizacji wewnątrzgatunkowej w celu omawiania bardziej szczegółowych tematów i zagadnień.

Równolegle z seminarium krytycznym odbywały się pokazy filmów video (Blade Runner, Wojna Gwiazd – parodia Gwiezdnych Wojen, Mechaniczna pomarańcza, Samolot 2) oraz sprzedaż wydawnictw klubowych, plakatów, pamiątkowych znaczków, gier itd. prowadzone przez przedstawicieli Domu Kultury z Tarnobrzega **Aleksandra Dyla** i **Jarosława Piątkowskiego**, którzy okazali dużą pomoc organizacyjną. Zaś krytycy, wydawcy i pisarze uczestniczyli w spotkaniach autorskich na terenie województwa tarnobrzeskiego. Polscy członkowie Światowej Organizacji Twórców Profesjonalnalistów World SF omówili najważniejsze problemy ostatnich miesięcy. Goście węgierscy, w rozmowach z przedstawicielami „Fantastyki", podjęli temat ostatecznego sfinalizowania międzynarodowego leksykonu SF. Niemal cały wieczór wypełniały spotkania autorskie (m.in. ze znanym satyrykiem, ale i pisarzem SF **Marcinem Wolskim**), maraton filmowy oraz kuluarowe dyskusje profesjonalistów i miłośników SF.



Dyskusja wydawców (od lewej: prowadzący spotkanie Leszek Bugajski, Janina Zielonko – „Iskry", Lech Jęczmyk – „Czytelnik, Bronisław Kledzik – Wydawnictwo Poznańskie).

Fot. Zbigniew Latała

W trzecim, kolejnym dniu imprezy, uczestnicy „Dni Fantastyki" zostali zaproszeni do zorganizowanego przez PSMF stoiska z nowościami literackimi, gdzie mogli nabyć aktualne pozycje „Iskier", „Czytelnika", „Naszej Księgarni", Wydawnictwa Poznańskiego, Wydawnictwa Literackiego oraz archiwalne i bieżące egzemplarze naszego miesięcznika.

O godzinie 11.15 redaktor **Maciej Parowski** otworzył pierwszą część seminarium poświęconego aktualnym problemom polskiego kina SF wygłaszając inauguracyjny referat „Czas fantastyki w kinie polskim i światowym". Ten czas trwa rzeczywiście. Świadczy o tym repertuar wszystkich kin świata, zwiększająca się ilość wybitnych reżyserów sięgających po ten gatunek, a także powtarzające się elementy fantastyczne w filmach nie mających na pozór nic wspólnego z gettem SF.

W kolejnym referacie „Pisarz a scenariusz SF" – **Marek Baraniecki**, autor m.in. nagrodzonego przez „Fantastykę" opowiadania „Karlgoro godz. 18", a także zakupionej przez Film Polski noweli „Głowa Kasandry" – opowiedział o ekscytującej i niebezpiecznej przygodzie, jaką staje się dla pisarza możliwość przełożenia jego literackiej wizji na scenariusz filmowy. W drugiej części seminarium **Grzegorz Pieńkowski** – pracownik Filmoteki Polskiej, autor pracy magisterskiej o ekranizachach Lema omawiał tendencje światowego kina SF. Główny dylemat filmów tego typu sprowadza się do wyboru między sztuką, a mnożeniem efektów specjalnych. Dla polskiej widowni dodatkowym problemem jest pytanie, które z bardzo licznie powstających teraz na świecie filmów SF zobaczymy na naszych ekranach? Czyżby wideokaseta miała być ostatnią deską ratunku?

Niemal jednocześnie z zakończeniem seminarium filmowego odbyło się spotkanie klubów SF, któremu przewodniczył Prezes PSMF-u **Andrzej Szatkowski**. W czasie zebrania RG PSMF zaproponowała nową formułę przyszłorocznego POCONU: (1) POLCON jest konwentem otwartym dla każdego klubu, który może być jego organizatorem, bądź tylko uczestnikiem, (2) na podstawie zgłoszeń poszczególnych klubów tworzy się Komitet Organizacyjny POLCONU (jeden przedstawiciel z każdego Klubu), (3) Komitet Organizacyjny POLCONU przyjmuje na siebie całą organizację konwentu, ma głos decydujący w sprawie ustalenia miejsca i terminu jego organizacji. Na spotkaniu w Staszowie chęć organizacji POLCONU 85 zgłosił już Oddział Poznański PSMF.Poruszano także wiele tematów dotyczących m.in. działalności wydawniczej i imprezowej. W spotkaniu Klubów w Staszowie wzięli udział przedstawiciele następujących Klubów: Białostockiego, Bydgoskiego, Częstochowskiego, Gdańskiego, Katowickiego, Kętrzyńskiego, Lubelskiego, Opolskiego, Piotrowskiego, Poznańskiego, Staszowskiego, Świnoujskiego, Warszawskiego, Wrocławskiego, Zielonogórskiego.

Trzeci dzień seminarium był także, podobnie jak poprzedni, dniem wyjazdowym.

Spotkanie z redakcją „Fantastyki" w Tarnobrzegu (od lewej: Jacek Rodek, Adam Hollanek, Darosław J. Toruń).

Fot. Zbigniew Latała



W rozmowach z czytelnikami na terenie województwa tarnobrzeskiego (zwłaszcza w szkołach średnich) uczestniczyli autorzy i krytycy SF, natomiast w Staszowskim Domu Kultury odbyło się spotkanie z redakcją „Fantastyki", na którym omówiono pracę poszczególnych działów i najbliższe zamierzenia. Mieszkańcy Staszowa mieli również okazję uczestniczyć w projekcji trzeciej części „Wojen gwiezdnych" – filmu „Powrót Jedi".

Wieczorem **Leszek Bugajski** otworzył jedno z ciekawszych, wielogodzinnych spotkań miłośników i profesjonalistów SF prezentując edytorów literatury fantastyczno-naukowej: **Janinę Zielonko** („Iskry"), **Ewę Troszczyńską** („Nasza Księgarnia"), **Bronisława Kledzika** (Wydawnictwo Poznańskie), **Lecha Jęczmyka** („Czytelnik"), **Andrzeja Wójcika** (Krajowa Agencja Wydawnicza) oraz z ramienia „Fantastyki" **Jacka Rodka.** W trakcie spotkania, które cieszyło się ogromnym zainteresowaniem, omówiono podstawowe kłopoty, z jakimi borykają się wydawcy serii fantastyczno-naukowych: trudności poligraficzne, materiałowe, finansowe, brak odpowiedniej kadry tłumaczy, spadek zainteresowania ze strony czynników opiniotwórczych. Sytuacja w polskim edytorstwie SF nie wygląda dobrze, jeśli, mimo ogromnego zapotrzebowania, dopiero teraz ukazują się książki sprzed lat kilku i do tego nie jest ich wiele. A przecież mogło by się wydawać, iż efekty reformy gospodarczej premiują inicjatywy przynoszące zyski wydawnictwom, tym bardziej, że fantastyka naukowa funkcjonując w obiegu literatury popularnej odznacza się istotnymi walorami poznawczymi i wychowawczymi.

Kolejny dzień spotkania, obfitujący w różnorodne imprezy, zakończyła wielogodzinna dyskusja krytyków próbująca nakreślić kierunki przemian powojennej literatury fantastyczno-naukowej. W dyskusji udział wzięli: red. **Adam Hollanek,** doc. **Ryszad Handke,** dr **Antoni Smuszkiewicz,** red. **Leszek Bugajski,** red. **Maciej Parowski** i red. **Andrzej Niewiadowski** – a jej skondensowana wersja zostanie opublikowana w „Fantastyce".

Rozważania wokół obecnej sytuacji literackiej, nierzadko burzliwe, pełne ostrych polemik i wystąpień – przeniosły się również poza salę obrad, trwając do późnych godzin nocnych.

Ogólny bilans staszowskich „Dni Fantastyki" jest pozytywny. Słowa uznania należą się miejscowym organizatorom: młodemu, prężnie działającemu ośrodkowi PSMF-u w Staszowie, który do maksimum wykorzystał naturalne walory krajobrazowe Ziemi Tarnobrzeskiej stwarzając dodatkową możliwość wypoczynku. Tegoroczne „Dni Fantastyki" dowiodły ogromnego zainteresowania literaturą SF nie tylko w kręgach miłośników, ale, co ciekawsze, profesjonalistów: pracowników akademickich, krytyków prasowych, którzy przyjęli zaproszenie na imprezę i aktywnie w niej uczestniczyli. Po raz pierwszy od czasów pamiętnych zjazdów poznańskich wyrażali chęć kontynuacji podobnych spotkań w następnych latach. Najistotniejszą, jeśli w ogóle nie jedyną, wadą imprezy okazał się krótki czas jej trwania: spraw, które należało omówić było znacznie więcej, toteż nie z wszystkimi zdołano się uporać.

Każdy, kto obserwował start rakiety kosmicznej, nawet za pośrednictwem telewizji, musi przyznać, że jest to widok naprawdę imponujący. Z obłoku dymu i ognia, przy ogłuszającym ryku silników, majestatycznie wznosi się w niebo ogromna i skomplikowana machina, potwierdzając tryumf ludzkiego geniuszu nad materią. Jednak na to samo można spojrzeć także inaczej: jako na przykład marnotrawstwa i konsumpcyjnego stosunku człowieka do świata. Oto bowiem do wyniesienia na orbitę okołoziemską kilkuset kilogramów czy kilku ton ładunku zużywa się w parę minut tysiące ton paliwa. Zatem pod względem zużycia energii, nie mówiąc o ochronie środowiska, transport na orbitę za pomocą rakiet nie jest powodem do dumy.

Windą na orbitę

Zastanówmy się więc, jakie cechy powinien mieć idealny system transportu w Kosmos. Przede wszystkim powinien być niezawodny – niezależnie od pogody. Ponadto powinien funkcjonować bez stosowania masy reaktywnej, a więc przeciwnie niż współczesne rakiety, które wyrzucają strumień spalin po to, by móc się poruszać. Byłoby wspaniale, gdyby w ogóle nie zużywał energii czerpanej z naszej planety. Ponadto – gdyby był czysty dla środowiska i cichy.

Wydawać się może, że nie sposób spełnić wymienionych wymagań. A jednak – z punktu widzenia nauki – taki idealny sysem transportu na orbitę nie jest mrzonką. Co prawda współczesna technika nie jest w stanie go zrealizować, lecz w ciągu najbliższych pokoleń będzie to możliwe. Nasi następcy będą więc z takim rozrzewnieniem oglądać archiwalne zdjęcia z obecnych wypraw w Kosmos, jak my oglądamy pierwsze nieporadne loty aeroplanów.

Jak więc będzie wyglądać idealny system transportu na orbitę? Zanim odpowiemy na to pytanie – przypomnijmy parę podstawowych informacji, które ułatwią zrozumienie samej idei. Sputnik krążący wokół Ziemi na wysokości kilkuset kilometrów potrzebuje około półtorej godziny, by okrążyć nasz glob. Z praw mechaniki wynika, że gdyby nie było na naszej planecie atmosfery, to taki sputnik wypuszczony tuż nad powierzchnią Ziemi okrążałby ją w 84,9 minuty. Aby do minimum zmniejszyć tarcie atmosferyczne, które działa hamująco na statek kosmiczny, wypuszcza się sputniki na znacznych wysokościach i dlatego ich okres obiegu Ziemi jest dłuższy. Przykładowo – pełny obieg Ziemi po orbicie kołowej oddalonej o 100 km od jej powierzchni wymaga 106 minut. Im wyższa orbita – tym dłuższy jest okres obiegu. Gdy wysokość orbity wynosi dokładnie 35 770 km, wówczas ten okres wynosi 1436 minut, co odpowiada dokładnie dobie astronomicznej. Jeśli więc orbita pokrywa się z płaszczyzną równika, wówczas krążący po niej sputnik w kierunku zgodnym z obrotem Ziemi wygląda tak, jakby nieruchomo tkwił zawieszony nad określonym punktem planety. Ta właśnie orbita nosi nazwę geostacjonarnej i jest szczególnie użyteczna dla satelitów telekomunikacyjnych, teledyfuzyjnych i innych. Dla takich satelitów, właśnie na niej umieszczonych, nie trzeba bowiem ruchomych śledzących anten naziemnych. Wystarczy je wycelować raz w wybrany punkt i od czasu do czasu, bardzo rzadko, przeprowadzić drobne korektury położenia satelity, by utrzymać go na orbicie geostacjonarnej.

Orbita geostacjonarna ma także inne niezwykłe cechy. Na niej przyspieszenia grawitacyjne i odśrodkowe, działające na krążący wokół Ziemi obiekt, są w równowadze. Aby lepiej uzmysłowić sobie tę właściwość, posłużmy się następującym przykładem. Wyobraźmy sobie długą tyczkę ustawioną pionowo na równiku, bardzo długą – ponad 100 000 km. Pomińmy na razie, z czego jest ona wykonana i załóżmy, że jest wystarczająco sztywna, by utrzymać się pionowo. Otóż ta część tyczki, która jest poniżej orbity geostacjonarnej, ciążyć będzie ku Ziemi, ponieważ jej prędkość liniowa jest niewystarczająca, by siła odśrodkowa mogła zrównoważyć jej ciężar. Natomiast druga część tyczki – powyżej orbity geostacjonarnej – będzie starała się uciec od Ziemi, bowiem siła odśrodkowa, wskutek większej prędkości liniowej, pokona siłę ciężkości. Zatem im wyższa tyczka, tym większa siła odśrodkowa na nią działająca. Można więc tak dobrać długość naszej tyczki, by siła odśrodkowa dokładnie równoważyła jej ciężar, a wówczas taka gigantyczna konstrukcja będzie się unosić nad równikiem, nie wywierając nacisku na powierzchnię planety.

Z wyliczeń wynika, że tyczka o jednakowym przekroju na całej swojej długości będzie w takiej równowadze wówczas, gdy sięgnie wysokości 143 700 km. W gruncie rzeczy nie ma jednak potrzeby, by taka tyczka, a właściwie gigantyczna wieża, miała jednakowy przekrój. Największe naprężenia wystąpią bowiem w okolicach orbity geostacjonarnej, a więc na tych wysokościach powinna być ona najwytrzymalsza. Zatem wieża o kształcie bardzo długiego wrzeciona – grubszego pośrodku i zwężającego się na obu końcach – będzie kształtem optymalnym.

Posłużenie się jako przykładem długą sztywną tyczką jest nieco mylące. Proszę bowiem zauważyć, że w takiej wieży działać będą jedynie siły rozciągające. Zatem sensowniej i prościej będzie użyć liny zamiast tyczki. I tu dopiero dochodzimy do sedna idei nowego systemu transportu w kosmos. Każdy zapewne w młodości bawił się ciężarkiem uwiązanym na sznurku. Wystarczyło go odpowiednio szybko zakręcić nad głową, by sznurek się naprężył. A teraz proszę sobie wyobrazić, że na linie długości 144 000 km, przyczepionej do równika, uwiązana jest duża masa i że wszystko jest tak dobrane, by obrót „sznurka z ciężarkiem" pokrywał się dokładnie z obrotem Ziemi. Układ taki będzie w równowadze, a napiętą linę można wykorzystać jako prowadnicę windy, za pomocą której można będzie wysyłać ładunki w Kosmos.

Czy można więc zrobić linę, która byłaby w stanie spełnić takie warunki? Sprawą najważniejszą jest jej wytrzymałość. Taka lina musi wytrzymać swój ciężar, a właściwie ciężar tej jej części, która będzie między Ziemią a orbitą geostacjonarną. W rzeczywistości musi być znacznie wytrzymalsza jeśli uwzględnić fakt, że musi być odpowiednio naprężona, skoro ma posłużyć jako prowadnica znacznych ładunków w Kosmos. Zastanówmy się zatem, jaką wytrzymałość na rozciąganie musi mieć materiał na linę? Wspomina-

dokończenie na stronie 62

dokończenie ze strony 61

liśmy już, że na orbicie geostacjonarnej siła odśrodkowa musi co najmniej równoważyć ciężar liny będącej poniżej tej orbity, a więc odcinka liny o długości 35 770 km. W rzeczywistości napięcie liny będzie mniejsze, a to z dwóch powodów: po pierwsze – przyciąganie grawitacyjne liny ku Ziemi maleje wraz z kwadratem odległości przyciąganej masy od środka Ziemi, po drugie – siła odśrodkowa działająca na masę krążącą po orbicie rośnie liniowo wraz z odległością. Oba te efekty powodują, że wytrzymałość liny może być mniejsza. Z obliczeń wynika, że napięcie liny o stałym przekroju, niezbędne do utrzymania jej w stanie równowagi, wyniesie na orbicie geostacjonarnej tyle, ile ciężar na Ziemi odcinka tej liny o długości 4940 km.

Zastanówmy się, czy istnieją materiały, z których taką linę można by zrobić? Pobieżny przegląd materiałów, którymi obecnie dysponujemy daje natychmiast odpowiedź na pytanie dlaczego „winda do nieba" jest na razie nierealną ideą. Wytrzymałość najlepszej stali jest stukrotnie mniejsza od wymaganej do tych potrzeb. Najwytrzymalsze obecnie materiały, wykonane na bazie kryształów nitkowych grafitu i węgliku krzemu, daleko ustępują naszym wymaganiom. Warto jednak zauważyć, że inżynieria materiałowa rozwija się bardzo szybko. Przyjmijmy więc w naszych dalszych rozważaniach, że któregoś dnia ludzkość będzie dysponować odpowiednim tworzywem. Odpadnie wówczas problem, z czego taką windę zrobić, ale pozostanie do rozwiązania – jak ją zrobić?

Moim zdaniem, trzeba ją zrobić w Kosmosie, z dala od Ziemi, a potem przetransportować w okolice naszej planety i zakotwiczyć w specjalnie do tego celu przygotowanym miejscu na równiku. W tym samym czasie na jej drugim końcu trzeba zaczepić odpowiedni balast, który ją naprężу.

Za budową liny z dala od Ziemi przemawia konieczność zużycia ogromnej ilości materiału konstukcyjnego, który trzeba by transportować na orbitę. Odrębną sprawą jest dostępność takich materiałów na naszej planecie. Tymczasem tak się szczęśliwie składa, że dwa rodzaje asteroidów bogate są w grafit i węglik krzemu, a więc w te najbardziej obiecujące materiały. Zatem w pasie asteroidów można będzie zaopatrywać się w niezbędne surowce.

Scenariusz całego przedsięwzięcia będzie więc wyglądał następująco: na wybranej asteroidzie zostanie zbudowana elektrownia słoneczna lub termojądrowa, która dostarczy energii niezbędnej do eksploatacji tamtejszych surowców i ich przetworzenia oraz do budowy samej liny i niezbędnych urządzeń, jak kable nadprzewodzące, platformy transportowe itp. Gdy całość będzie gotowa, wówczas linę przyholuje się w pobliże Ziemi, zakotwiczy na równiku i odpowiednio napnie. Taka linowa prowadnica będzie miała u ziemi w przekroju kilka metrów kwadratowych. Oczywiście, musi być ona mocno zakotwiczona i tak napięta, by za jej pomocą można było wysyłać w Kosmos ładunki rzędu milionów ton. Gdyby siła napierająca była mała, wówczas taki ładunek mógłby zakłócić stabilność całego układu. I dlatego jest potrzebna znaczna masa uczepiona na końcu liny.

By taka winda kosmiczna mogła funkcjonować potrzeba jeszcze energii, która będzie ją napędzać. Można sobie wyobrazić, że jej źródłem będzie elektrownia słoneczna lub termojądrowa, umieszczona na samej górze, a stamtąd kablami nadprzewodzącymi energia będzie przesyłana wzdłuż liny aż do Ziemi. Można sobie wyobrazić, że platformy z ładunkiem kosmicznym będą napędzane silnikami liniowymi, których budowę już d'brze opanowano. Taki silnik zapewni platformie prędkość podróżną rzędu 300 km na godzinę. Zatem transport ładunku na orbitę geostacjonarną tym sposobem trwać będzie około 5 dni, co w porównaniu z dzisiejszymi rakietami nie jest wyczynem imponującym. Trzeba jednak pamiętać, że taką kosmiczną windą będzie można wysyłać ładunki bez przerwy, bez względu na porę roku czy pogodę, toteż ten sposób będzie niewątpliwie konkurencyjny.

Ponadto kosmiczna winda będzie „czysta" z punktu widzenia ochrony środowiska, czego nie można powiedzieć o rakietach; ich liczne starty mogą zakłócić niezwykle delikatną równowagę w atmosferze. Ponadto – taki system transportu będzie energetycznie prawie samowystarczalny. Można bowiem sobie wyobrazić, że podczas sprowadzenia ładunków z Kosmosu na Ziemię odzyskiwaną energię będzie się magazynować, by ją następnie wykorzystać podczas wysyłania innych ładunków z Ziemi na orbitę. W każdym bądź razie nie obciąży ona naszego ziemskiego systemu energetycznego.

Gdy uda się zbudować taką windę, wówczas będzie to prawdziwy most z Ziemi w Kosmos, po którym w każdej chwili można będzie się dostać na wybraną orbitę. Nasze współczesne rakiety będą na tym tle wyglądać jak maleńkie czółenka od czasu do czasu odbijające od brzegu.

Kiedy taki kosmiczny most ma szansę powstać? Zależy to od spełnienia dwóch podstawowych warunków: po pierwsze – musimy dysponować wystarczająco wytrzymałym materiałem, po drugie – musimy odkryć i umieć eksploatować pozaziemskie źródła surowców niezbędnych do budowy takiego systemu. Prawdopodobnie oba te warunki uda się spełnić w ciągu najbliższych 50-100 lat.

Puśćmy wodze fantazji i spójrzmy w przyszłość odległą o kilka tysięcy lat. Cywilizacja już wyszła daleko poza Ziemię. W Kosmosie istnieją kolonie ludzkie, samowystarczalne pod każdym względem. Ogromne stacje w liczbie wielu tysięcy są budowane z surowców pochodzących z pasa asteroidów. Istnieje jednak naturalna potrzeba podróżowania między poszczególnymi koloniami, w celach handlowych lub turystycznych, naukowych itp. Rzecz jasna, środki transportu nie korzystają z siły odrzutu, do wytworzenia której potrzebna jest masa reaktywna. Kosmiczne windy, których ideę przedstawiliśmy, są w powszechnym użytku. Dzięki nim można podróżować od jednej kolonii do drugiej – po całym Układzie Słonecznym.

I chociaż cała cywilizacja będzie trwała i dobrze zorganizowana, to jednak istnieć będzie źródło zakłóceń i kłopotów, grożących jej nawet niebezpieczeństwem. Tym źródłem jest sama Ziemia, która – jak wiadomo – nie jest idealną kulą i chybocze się nieco wokół swej osi. Dlatego właśnie istnieją pewne osobliwości pola grawitacyjnego zakłócające zarówno ruch samym kolonii kosmicznych, jak i statków krążących między nimi.

Można więc sobie wyobrazić, że któregoś dnia na specjalnym spotkaniu przedstawicieli wszystkich kolonii kosmicznych zostanie postawiony – w imieniu całej ludzkości – wniosek o konieczności usunięcia przyczyny tych perturbacji. A wówczas nowy Katon ogłosił wyrok na jedno lub wiele źródeł osobliwości pola grawitacyjnego w Układzie Słonecznym, na planety.

„Terra delenda est" – „Ziemię trzeba zniszczyć".

Wg „Science Digest"
opracował
Andrzej Gorzym

Bodaj pierwszą gwiazdę podwójną dostrzegł przez lunetę włoski astronom G. Riccioli w 1650 r. Później spostrzegano ich coraz więcej, ale nie wzbudzały specjalnego zainteresowania – sądzono bowiem, iż ich bliskość wynika z przypadkowej zbieżności kierunku (leżą na jednej prostej od obserwatora, dlatego zlewają się razem, ale w istocie mogą być od siebie bardzo odległe). Dopiero w końcu XVIII wieku znakomitemu Williamowi Herschelowi udało się dowieść, iż olbrzymia większość obserwowanych gwiazd podwójnych są to rzeczywiście układy bliźniaczych ciał niebieskich. Inaczej mówiąc, tzw. gwiazdą podwójną są po prostu dwie gwiazdy obiegające wspólny środek.

Dzisiaj znanych jest kilkadziesiąt tysięcy układów gwiazdowych podwójnych (i wielokrotnych) i nie ulega wątpliwości, że owa podwójność gwiazd jest w Kosmosie bardzo pospolita, wręcz typowa. Od pewnego więc czasu nie wydaje się bezsensownym pytanie, czy nasze Słońce jest gwiazdą samotną? Czy może ma bliźniaczą siostrę?

Od razu można mnożyć wątpliwości: skoro w pobliżu Układu Słonecznego krążyłaby druga gwiazda, łatwo byłoby ją przecież dostrzec, a gdyby nawet była gwiazdą wygasłą, nieświecącą, to i tak musiałaby zakłócać ruchy planet i samego Słońca. Otóż niekoniecznie. W 1975 r. amerykański astronom Kris Davidson wystąpił z hipotezą, że Słońce ma niewidzialnego towarzysza, związanego w układzie podwójnym. Wedle Davidsona ów towarzysz byłby w stadium „podczerwonego karła". Jest to stadium, w którym wygasająca silnie skurczona gwiazda ma już stosunkowo niską temperaturę i promieniuje w paśmie podczerwieni. Tak więc „podczerwone karły" (po angielsku infrared dwarfs) najłatwiej można by wykryć specjalną aparaturą, umieszczoną ponad atmosferą na sztucznych satelitach (bo atmosfera Ziemi – poza pewnymi „oknami przezroczystości" – pochłania promieniowanie podczerwone). Obserwacje nieba w widmie podczerwieni dopiero się zaczynają, a pierwszy satelita z odpowiednią do tego aparaturą został wystrzelony w 1983 r.

Dlatego, powiada Davidson, nie udało się dotąd zobaczyć podczerwonego towarzysza Słońca. Co zaś do drugiego zarzutu – o zakłócaniu biegu planet – to i ten łatwo odeprzeć. Składniki wielu gwiazd podwójnych pozostają w dużych od siebie odległościach, zaś gwiazdy typu „podczerwonych karłów" są bardzo małe. Towarzysz Słońca może mieć najwyżej jedną dziesiątą, a najpewniej jedną setną masy Słońca. Tak mała gwiazda z dużej odległości nie wpływałaby na ruch planet okołosłonecznych, najwyżej – twierdzi Davidson – mogłaby zakłócać bieg komet wewnątrz naszego Układu. Dlatego właśnie analiza ruchu komet powinna wskazać miejsce, gdzie znajduje się „ciemna gwiazda". Davidson zaproponował dla niej nazwę: Lucyfer, książę ciemności, władca piekieł (Słońce bowiem jest władcą światła, królem dnia; dla niepamiętających tradycji dodam, że „luciferus" po łacinie znaczy właśnie „niosący światło" i że było to imię zbuntowanego anioła, strąconego za karę do piekieł).

Hipoteza Davidsona nie wzbudziła przesadnego zainteresowania, uznano ją za ciekawą, ale nieco „wydumaną". Później kilka razy podnoszono jeszcze tę sprawę. Wedle kolejnej hipotezy niewidzialny towarzysz Słońca miałby być gwiazdą neutronową. Jest to końcowe stadium ewolucyjne, charakterystyczne dla pewnego typu obie-

Z tamtej strony lustra

Gwiazda śmierci

Maciej Iłowiecki

któw gwiezdnych. W porównaniu do wielkości przeciętnych gwiazd, gwiazda neutronowa jest wręcz mikroskopijna – jej rozmiary sięgają zaledwie dziesiątków kilometrów. Za to jest niewiarygodnie gęsta: jej materia przypomina materię jądra atomowego; jeden centymetr sześcienny takiej materii (naparstek!) waży setki milionów ton... Właściwości tak niezwykłego obiektu są także niezwykłe, ale to już inna historia. W każdym razie zupełnie niedawno jeden ze sztucznych satelitów odkrył w pobliżu Słońca silne źródła twardych promieniowań gamma, a właśnie gwiazda neutronowa powinna takie promieniowanie wysyłać. Owo źródło – ewentualną gwiazdę – nazwano Geminga i kto wie, czy nie jest to właśnie tajemniczy bliźniak Słońca.

Prawdziwa bomba wybuchła jednak dopiero w roku 1984. Dwa niezależnie od siebie pracujące zespoły uczonych amerykańskich ogłosiły niemal jednocześnie w słynnym czasopiśmie „Nature", iż „Słońce podróżuje w parze", że właśnie ma bliźniaczą siostrę, wygasłą gwiazdę! Tym razem hipoteza umotywowana jest znacznie lepiej niż domysł Davidsona.

Jeden zespół składa się z Daniela P. Whitmire'a z Uniwersytetu Południowo-Zachodniej Luizjany i Alberta A. Jacksona z Ośrodka Komputerowego w Houston; drugi zespół stanowią Marc David i Richard Muller z Berkeley oraz Piet Hut z Princeton (te dwa uniwersytety należą do najsłynniejszych w USA). Ciekawe, iż oba zespoły przestawiły niesłychanie podobne, właściwie te same rezultaty, można powiedzieć, że główną różnicą jest tylko nazwa proponowana dla tajemniczej gwiazdy, ale o tym za chwilę.



Otóż bliźniacza siostra Słońca krąży po orbicie eliptycznej, bardzo rozległej, mniej więcej co 26 milionów lat zbliżając się najbardziej do strefy Układu Słonecznego – gdzieś poza orbitą Plutona. I właśnie w tym miejscu, poza orbitą Plutona, na krańcach Układu znajduje się najprawdopodobniej „wylęgarnia komet", czyli rejon ich szczególnego zagęszczenia. Taką hipotezę postawił już pół wieku temu sławny holenderski astronom van Oort. Wyraził on opinię, iż komety są ściśle związane ze Słońcem, tworzą wokół niej coś w rodzaju gigantycznej chmury, wędrującej wraz z całym Układem Słonecznym w przestrzeni galaktycznej. Zatem niewidoczny towarzysz Słońca, przechodząc co 26 milionów lat przez ów „kometorodny" rejon van Oorta powinien mieć bardzo istotny wpływ na bieg komet. O tym, że coś ściąga komety z ich zwykłych orbit i kieruje w głąb Systemu Słonecznego – wiedziano już dawno, snując na ten temat różne hipotezy. Fakt zakłóceń najprościej daje się wytłumaczyć wpływem obcego ciała niebieskiego o dużej sile grawitacji. Pasuje to jak ulał do koncepcji bliskiej Słońcu gwiazdy neutronowej. Jeśli by jednak sprawcą zakłóceń miał być właśnie niewidoczny towarzysz Słońca, to owe szczególne zakłócenia w ruchach komet powinny występować cyklicznie – z maksimami właśnie co 26 milionów lat. Czy można w ogóle sprawdzić coś takiego? Czy można stwierdzić, co działo się z kometami regularnie co dwadzieścia kilka milionów lat w przeszłości?

I oto okazało się, że istnieją pewne pośrednie dowody na to, iż właśnie cyklicznie, z podobnymi okresami cyklów – coś niezwykłego działo się w Układzie Słonecznym. Wsparcie dla hipotezy astronomów dała paleontologia. Na niedawnym sympozjum we Flagstaff w Arizonie (USA) uczeni przedstawili wykres rytmu ewolucji życia na Ziemi. Ściśle mówiąc był to wykres wymierania jednych gatunków i zastępowania ich innymi. Okazuje się, iż wymieranie nie występuje równomiernie w ciągu dziejów życia. Wręcz przeciwnie: wykazuje regularną cykliczność. Mniej więcej co 26-28 milionów lat występują maksima, czyli nagłe i dość krótkotrwałe kataklizmy, w czasie których ginie wielka liczba żyjących wtedy istot. Dopiero później życie odradza się znowu, ale już w zmienionych formach. Wierzchołki krzywej cyklu – odpowiadające maksimom wymierania – nie są równe. W czasie trwania ewolucji zdarzyły się dwa tylko prawdziwe Wielkie Wymierania. Jedno pod koniec permu, w erze paleozoicznej, dwieście kilkadziesiąt milionów lat temu. Zginęło wtedy około 95 proc. gatunków zasiedlających Ziemię! Drugie Wielkie Wymieranie (patrz: Fantastyka" 3/84) zdarzyło się 65 milionów lat temu, pod koniec kredy w erze mezozoicznej. Wymarło wtedy 65 proc. gatunków, w tym i dinozaury. Nadto można jeszcze wyróżnić (oczywiście na podstawie analizy szczątków kopalnych) trzy duże wymierania, pięć średnich i kilka mniejszych.

Regularność cyklów wymierania i późniejszego odradzania się gatunków zadziwiająco zgadza się z ustaloną zupełnie innymi metodami regularnością przybliżeń hipotetycznej bliźniaczki Słońca. Uczeni przeprowadzili więc następujące, śmiałe rozumowanie: wymieranie gatunków na Ziemi, zastępowanie jednych innymi – miało charakter cykliczny. Maksima cyklu były wielkimi kataklizmami. Ich regularność wskazuje, że przyczyna musiała być wspólna i napewniej – pozaziemska. Mogło to zatem wyglądać tak: do Układu Słonecznego niebezpiecznie zbliża się gwiazda-bliźniaczka, jej zbliżenie wywołuje zakłócenie ruchu komet, niektóre komety przebiegają więc blisko Ziemi, niektóre – po prostu walą w nasz glob!



Uderzenie komety w Ziemię wywołuje różne skutki uboczne, między innymi może w wielkim stopniu naruszyć równowagę klimatyczną, naruszenie równowagi wywołuje gwałtowne zmiany w środowisku. Te wtórne skutki – zmiany środowiska – powodują z kolei wymieranie nieprzystosowanych do tych zmian zwierząt i roślin. W nowych warunkach, w których nie mogą już żyć gatunki stare, rozwijają się nowe gatunki, lepiej przystosowane.

Schemat ten może mieć różne warianty, różne okoliczności mogły zmieniać przebieg wydarzeń, ale sedno sprawy pozostaje: regularnie powtarzające się katastrofy kosmiczne co pewien czas „przestawiały zegar ewolucji" na Ziemi. Naturalnie, koncepcja związania przebiegu ewolucji życia na Ziemi z koncepcją, że Słońce podróżuje w układzie podwójnym – jest tylko hipotezą. Oczywiste jest, iż wytoczono przeciw tej hipotezie różne argumenty, wykazując jej słabe miejsca. Nie przedstawiam tych argumentów, bo brak już miejsca, zresztą przecież felietony te nie są rozprawami naukowymi, moim zamiarem jest tylko przedstawienie różnych co śmielszych lub dziwnych hipotez czy pomysłów.

Można chyba przyznać, że hipoteza śmiercionośnej gwiazdy jest pasjonująca, niezwykła i śmiała. Whitmire i Jackson nazwali tajemniczego towarzysza Słońca Gwiazdą Śmierci (The Death Star). Zespół z Barkeley-Princeton proponuje nazwę Nemezis. Wedle mitów greckich Nemezis była boginią zemsty i surowej, bezlitosnej sprawiedliwości. Była uosobieniem kary bożej za różne nieprawości ludzkie. Przynosiła nieuniknioną zapłatę – karę zwłaszcza tym, którzy nadużywali władzy, byli ponad miarę bogaci, pyszni i hardzi.

Ponieważ ostatnie wymieranie odbyło się już bardzo dawno, teraz właśnie (ale „teraz" w sensie geologicznym) zbliża się kolejne, „nadciąga Nemezis, by spłacić nam nasze grzechy" – jak powiedział pół żartem, pół serio któryś z astronomów.

Wydaje się przecież pewne, że nie musimy obawiać się Nemezis, Gwiazdy Śmierci. Jeśli rzeczywiście istnieje, i jeśli to ona wywoływała Wielkie Wymierania, to i tak mamy jeszcze chyba z parę milionów lat przed sobą (mamy – jako ludzki gatunek). Najsmutniejsze zaś, że ludzkość sama dla siebie spełni rolę Nemezis – najzwyczajniej sama się wykończy, niszcząc przedtem inne formy życia wokół siebie. Chyba że ocknie się w porę.

Marek Zalejski

Po cóż lotem bić w gwiazdy, na co życia wiry,
na co piękność i szczęście, i rozum i sława,
i co z pieśni, co z dźwięku rozżalonej liry,
po co szaleć i cierpieć, na co praca krwawa
(...)
jeśli śmierć nas przemieni w marną garstkę błota,
jeśli wieczność – niestety – tylko bajka złota?
(z tomu „Na strunach duszy", 1895)

JERZY ŻUŁAWSKI

O Jerzym Żuławskim wspomina się zwykle przy okazji wznowień jego „trylogii księżycowej" („Na srebrnym globie", 1903; „Zwycięzca", 1910; „Stara Ziemia", 1911). Kim był naprawdę, co napisał, jak oceniali go współcześni? Te pytania powracają zbyt rzadko i nic dziwnego, że coraz trudniej na nie odpowiadać.

Autor „Zwycięzcy" urodził się 14 lipca 1874 roku w Lipowcu pod Dębicą. Był synem Kazimierza, uczestnika powstania styczniowego i Józefy z Gosławskich, stryjecznej wnuczki poety Maurycego. Zgodnie z wolą ojca studiował najpierw na Eidgenossisches Politechnikum w Zurychu, następnie na Wydziale Filozofii w Bernie Szwajcarskim. Miał znakomitych wykładowców – należał do nich sam Richard Avenarrius, współtwórca empiriokrytycyzmu. W czerwcu 1897 roku na podstawie rozprawy „Das Problem der Kausalität bei Spinoza", Żuławski otrzymał stopień doktora filozofii. Po bezskutecznych staraniach o docenturę w Bernie wrócił do kraju, ale i tu spotkało go niepowodzenie. Nie uzyskawszy stypendium naukowego krakowskiej Akademii Umiejętności musiał przyjąć posadę suplementa (zastępcy nauczyciela) w prowincjonalnym Jaśle. Rozpoczął wówczas systematyczną współpracę z krakowskim „Życiem" i akademickim periodykiem „Młodość", do którego pisywali tak znani autorzy jak Staff, Orkan, Ortwin i Jedlicz. W roku 1898 przeniósł się do Krakowa: był początkowo prelegentem Oddziału Krakowskiego Uniwersytetu Ludowego, wygłaszał odczyty popularno-naukowe o różnorodnej tematyce (m.in. o filozofii starożytnej, kulturze XIX stulecia i... Księżycu). Przy poparciu Tadeusza Pawlikowskiego, ówczesnego dyrektora teatru lwowskiego, wystawił większość swoich sztuk scenicznych. W roku 1904 rozpoczął okres systematycznych podróży po Europie trwający aż do roku 1910 (zwiedził w tym czasie Szwajcarię, Włochy, Anglię, Niemcy i Francję). Wielki miłośnik i znawca Tatr był jednym z najaktywniejszych organizatorów Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego: brał udział w wielu wyprawach ratunkowych (m.in. po Klimka Bachledę na grań Turni Jaworowych), wspinał się wyczynowo, miał nawet na swoim koncie kilka pierwszych, udanych wejść (Smoczy Szczyt południowo-zachodnim żebrem z Doliny Złomisk, Żabi Koń, Gerlach od północy z Kaczej Doliny). W roku 1910, wraz z drugą żoną – Kazimierą Hanicką, przeniósł się na stałe do Zakopanego. Jego witkiewiczowska willa „Łada" (Chałubińskiego 9) była miejscem spotkań wielu ludzi pióra: Tetmajera, Orkana, Kasprowicza, Staffa oraz... młodego Stanisława Ignacego Witkiewicza, który uczestniczył w wielogodzinnych dyskusjach filozoficznych. W roku 1914 Żuławski wstąpił do Legionów. W kilkanaście miesięcy później, w pierwszych dniach pobytu na froncie, zapadł na tyfus brzuszny. Umarł w szpitalu wojskowym w Dębicy 9 sierpnia 1915 roku.

Literacki dorobek Jerzego Żuławskiego imponuje swą różnorodnością: obejmuje kilka dramatów historycznych (m.in.: „Eros i Psyche", 1903; „Dyktator", 1902; „Jjola", 1905; „Koniec Mesjasza", 1909), krótkie formy prozatorskie („Opowiadania prozą", 1902), refleksje estetyczne („Prolegomena", 1902; „Miasta umarłe", 1918) i arkusze poetyckie zebrane w czterotomowej edycji z roku 1908.

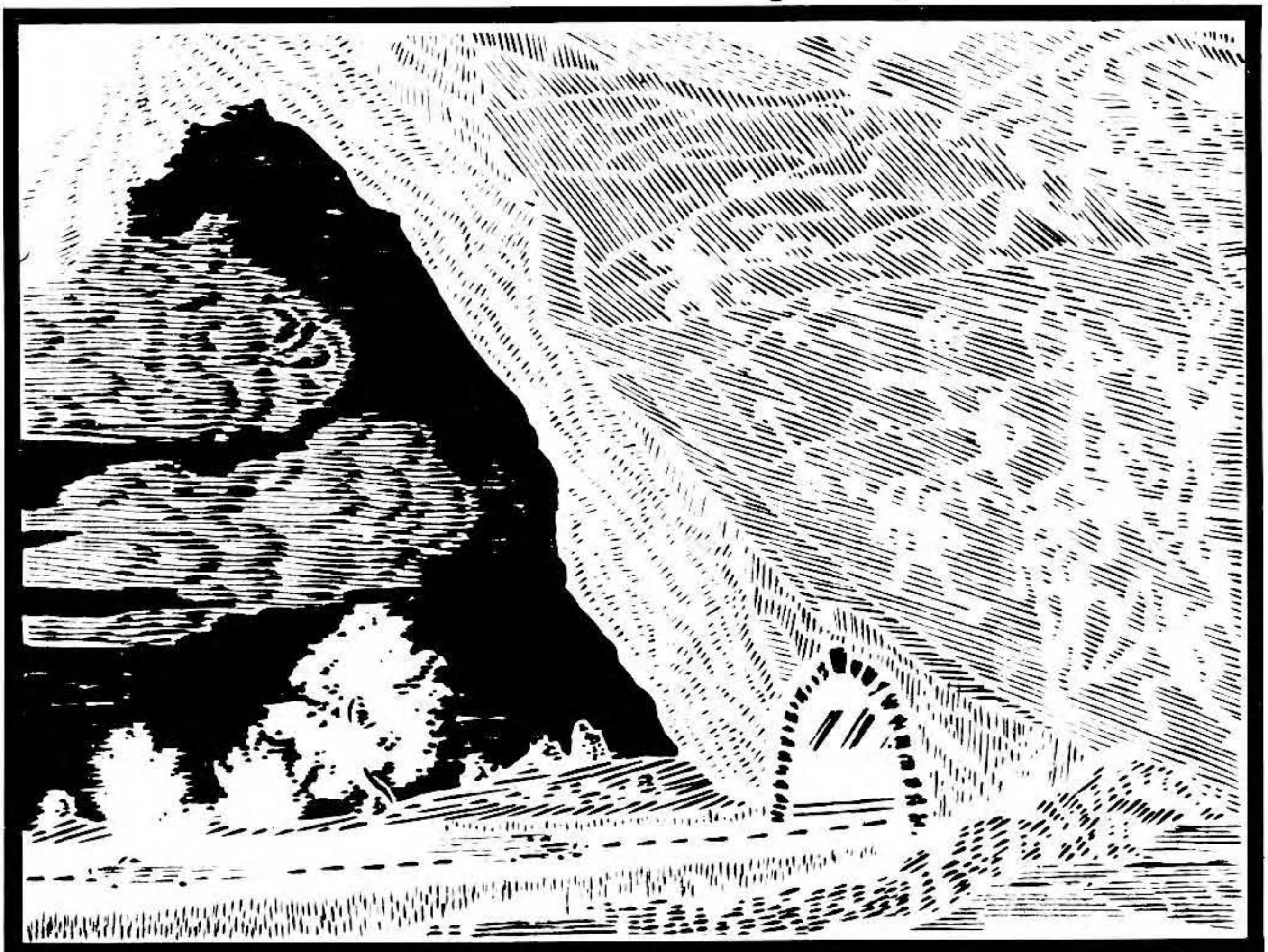
O popularności autora „Starej Ziemi" na przełomie XIX i XX stulecia świadczy fakt, iż sam Przybyszewski zazdrościł mu sławy, a niektóre z jego dramatów, wystawiane na scenach krakowskich i lwowskich w znakomitej obsadzie aktorskiej, spotykały się z niekłamanym entuzjazmem publiczności. Niestety, bardzo szybko o Żuławskim zapomniano: *„zaciążyła na nim literackość i wtórność nie tylko kształtu artystycznego, ale i samej inspiracji twórczej, zbyt jawne, a często zbyt gorliwe podporządkowanie się wymogom epoki."*

Jest w tych słowach wiele prawdy. Trzeba pamiętać, iż Żuławski, obok Micińskiego, Irzykowskiego, Leśmiana, Orkana, Staffa, Brzozowskiego należał do trzeciego, ostatniego pokolenia autorów Młodej Polski, a mimo to klimat epoki zaciążył wyraźnie na przesłaniu jego utworów. Tak było zwłaszcza w przypadku modernistycznych wierszy poety. W debiutanckim tomiku „Na strunach duszy" Żuławski przyznawał się jeszcze do pokrewieństw romantycznych. Zbiór „Intermezzo" (1897) opatrzył znamiennym mottem zaczerpniętym z dygresji Słowackiego *„jestem panteista trochę i romantyk"*. W „Stancach o pieśni" (1897) cytował Mickiewicza, Krasińskiego, Ujejskiego i Asnyka, ale tom „Poezje II" (1900), zrodzony z klimatu moderny krakowskiej, poświęcił w ogromnej części Przybyszewskiemu (jemu to właśnie dedykował poemat „Lotos"). W zbiorach z lat 1902 („Z domu niewoli") i 1904 – („Pokłosie") dźwięczą nuty patriotyzmu, odżywa fascynacja twórczością Nietzschego oraz *„Księgami niektórymi z żydowskich pism starego zakonu wybranymi"*. Poezja Żuławskiego pełna jest tradycyjnych motywów neoromantycznych: wątków, toposów literackich, emocjonalnie nacechowanego słownictwa, egzaltowanych uniesień duszy rozpaczającej nad tragizmem losu, przemijalnością życia, ulotnością pragnień, marzeń, nadziei. Tatrzańskie erotyki, wzorowane na nastrojowych wierszach Tetmajera, urzekają ponadludzkim spokojem Przyrody, surowym, monumentalnym, pełnym tajemnic pejzażem, który z ogromną trafnością zostanie przeniesiony w realia Srebrnego Globu. Symbolem niedościgłego piękna jest kwiat Lotosu rozkwitający pod dźwiękami pieśni harfiarza. *„Wszak my wszyscy* – pisze Żuławski – *jesteśmy tylko piórami w olbrzymim skrzydle powszechnej duszy ludzkiej i drżymy, gdy ona wiatr bije, w prochu i żwirze rozkrwawiamy skronie, gdy opuszczone po ziemi się wlecze. I tęsknimy, tęsknimy bez końca za tym rzeczywistym światem, który jest od wszystkich rzeczywistych – rzeczywistszy"*. Poezję tę rodzi, jakże znamienna, schopenhauerowska rozpacz i ból istnienia, ów bezbrzeżny pesymizm mający swe źródła w ciągłej walce z przeciwnościami, nieuchronnym dążeniu ku śmierci. I stąd właśnie trudno zgodzić się z sądem Heleny Karwackiej, iż *„Żuławski daleki jest od modernistycznych nastrojów dekadenckich"* (zob. „Obraz literatury polskiej", tom 2).

Oryginalności najciekawszych wierszy poety należałoby poszukiwać w zupełnie innym miejscu. Jego liryka zachowuje znamiona niepowtarzalności dzięki rzadko spotykanemu zjawisku: uracjonalnianiu treści, nadaniu poezji rangi rozstrzygnięć filozoficznych. Idea ustawicznego poszukiwania Prawdy jest leitmotivem wielu wierszy Żuławskiego. Od Nietzschego przejmuje autor „Lotosu" zasadę poszukiwania celu i sensu życia w samym człowieku, przekonanie, iż wola mocy kształtuje oblicze świata. To przeświadczenie pozostaje jednak w konflikcie z pesymistycznymi wnioskami Schopenhauera: bezustanny pęd ku nowemu życiu staje się ślepym niespełnieniem, przynosi cierpienie, ból, krzywdę. Wyzwoleniem może być kontemplacja piękna i wartości etycznych. W tragicznym spiętrzeniu przeciwieństw, walce rozumu z uczuciem Żuławski przyznaje pierwszeństwo temu ostatniemu – czasem waha się, jak w cytowanym wierszu „Dwie moce", który zdaje się łączyć ogień z wodą, ale znacznie częściej demaskuje kruchość, iluzoryczną niezawodność teorii naukowych tworzonych przez ułomne postacie mędrców, magów, ziemskich proroków („Nad gruzami"). Podobny motyw odżyje w „trylogii księżycowej" kiedy bohater romantycznego exodusu – Jan Korecki przyzna z goryczą: *„umieram jako dobrowolna ofiara wszechpotężnej żądzy poznania, która nas oderwała od Ziemi i rzuciła na ten glob niegościnny (...). Mimo te wszystkie refleksje czuję wciąż jedno: strach, bezbrzeżny, rozpaczliwy strach. Są rzeczy niepojęte, o których wiemy mało, bardzo mało, to coś nieznane, które od wieków urąga wszelkiej wiedzy, wszystkim badaniom i dociekaniom"*.

Dziś, po siedemdziesięciu latach, poezja Żuławskiego mocno się zestarzała i z trudnością odpowiada kryteriom naszej, wielce awangardowej epoki. Proste, nieco banalne rymy, tradycyjna wersyfikacja, szablonowa forma sonetów budzi obawę, niepokój, zażenowanie sporej części krytyków (był, co prawda, Żuławski twórcą tak zwanej „kaskady" – *„pieśni w trzy spadki złamanej"*, ale nikt jego śladem nie poszedł). Mimo to, sprawy, o których pisał nadal są aktualne, a jego uporczywych powrotów do źródeł człowieczeństwa nie można pominąć milczeniem.

Andrzej Niewiadowski



Janusz Gutkowski

JERZY ŻUŁAWSKI

Dwie moce

Dwie w głębi duszy mej bój wiodą władze,
dwa archanioły o zakrytej twarzy,
których imienia nie znam. Jeden marzy,
drugi na mądrej wszystko kładzie wadze.

Pierwszy chce lotów bezkresnych i wierzy,
iż nieskończoność wysnuć z siebie może,
stwarzając skrzydłom nieścigłym przestworze;
drugi – moc jego i toń niebios mierzy.

Więc zanim pierwszy rozwinie swe skrzydła,
nim w Ikarowe podróże wyruszy,
już go ten drugi chłodną dłonią sidła...

Tak bez ustanku walczą w mojej duszy
dwa archanioły o zakrytej twarzy
ten, który stwarza, oraz ten, co waży.

(z cyklu „Dolce stil nuovo" 1900–1904)

Nad gruzami

Ha, myśliciele! wy walić umiecie!
Prawdy, co wczoraj niewzruszone były,
dziś się w bezkształtne rozpadają bryły
jutro wieść o nich już zaginie w świecie!

Biada stworzeniu, co pod dachem kruchym
stawiło skarby swoje i ogniska,
wierząc stuletniej potędze zamczyska,
które się jutro z jękiem zwali głuchym!

Biada gołębim tam u szczytu gniazdom!
W proch jutro padną razem z wieżą dumną,
razem z złoconą krzyżową kolumną,
co wczoraj blaskiem urągała gwiazdom!

Aby żyć można bez wiecznego strachu,
kretem być trzeba pod powierzchnią ziemi,
oślepnąć, chodzić drogami czarnemi
i słońca nie znać ani świątyń gmachu!

Ha! albo orłem! Wzbić się ponad wieże
i z góry patrzeć na zniszczenia ślady,
na konające pośród gruzów gady
i konające wśród gruzów rycerze!

Bez odpoczynku i bez pokrzepienia
tak się pod niebem orlim ważyć lotem
i gardzić świątyń walących się grzmotem,
i gardzić ziemią, co wiecznie się zmienia!

A kiedy w skrzydłach już nie stanie mocy,
orzeł samotny, który żył bez gniazda,
upadnie z nieba, jak strącona gwiazda,
na łono gruzów, zapomnień i nocy...

(z cyklu „Smutki" 1893–1897)

Nikłe światło

Myślałem tedy, że w ręku latarnię
mam już, co wszystkie tajnie mi rozświeci
manowce Bytu, któremi Duch leci –
a oto ciemność znów się ku mnie garnie...

Minionych ludów, zamierzchłych stuleci
pełne mądrości otwarłem spiżarnie –
i światło moje tak zagasło marnie,
jako łuczywo w śnieżystej zamieci.

Bom znalazł nowe zagadki jedynie
i stare, straszne, dręczące pytania,
ponad któremi duch się ludzki słania

bez odpowiedzi –, a czas rzeką płynie
i tam w otchłaniach gdzieś przepada – cichy,
unosząc z sobą pianę ludzkiej pychy.

(z cyklu „Dolce stil nuovo" 1900–1904)

Jerzy Żuławski: *Poezje*. Tom I–IV. Wydano w roku MCMVIII. Nakład Księgarni H. Altenberga we Lwowie.